

peta

Debiut

Marian Czesław Sokołowski



peta nr 2 – „Debiut”

To lata 1956 do 1965. Opisuję tu moje wzloty i upadki w początkowym okresie życia. Po latach nauki musiał nadejść czas na praktyczne zastosowanie tego, czego mnie nauczono. Są w tej książce absolutne i beznadziejne przegrane, ale i są partie całkiem nieskromne, gdzie z całą żarliwością młodego umysłu sięgam po nowe ujęcie filozofii matematyki, i zaraz obok wytyczam kierunki teorii konstrukcji budowlanej. Teorie te kształtowałem bardzo poważnie, a zwłaszcza wierzyłem, że zbliżam się do prawdy. Do dziś myślę, że mogą one stanowić najważniejsze przesłanie moich książek, choć zawarte na kilkunastu stronach zaledwie. Jest tu również miejsce na bardzo przyziemne sprawy — usiłuję zastosować to wszystko, czego się nauczyłem, również w miłości. Motto każdego rozdziału stanowi kolejny ruch z rozegranej kiedyś przez kogoś mistrzowskiej partii szachowej. Wszak poszczególne rozdziały były dla mnie dosłownymi ruchami rozgrywanej przeze mnie partii przeciw życiu. Raczej ktoś musiał przegrać tę partię rozgrywaną z życiem i tym kimś byłem ja.



Debiut

Marian Czesław Sokołowski

peta*

nr 2

pod tytułem:

Debiut

Warszawa, 2024

* znak firmowy, znak towaru

© Copyright by Marian Czesław Sokołowski 2024

ISBN 978-83-946915-1-6

Wydanie trzecie poprawione i uzupełnione ilustracjami.

Marian Czesław Sokołowski
mariansokolowski8@gmail.com

Gram białymi przeciwko życiu.

partia angielska
biały pion na c4
czarny pion na e5

Gdyby było, to byłoby tak jak w tej książce.

Gdyby ktoś bardzo chciał wyróżnić swe rodzinne strony, a nic nie wskazywałoby na szczególność tego miejsca na ziemi, to może sięgnąłby po bardzo mocny argument, zaskakujący każdego przybysza. Granica między Azją a Europą; geografowie przyznali ją co prawda górą Ural i rzece Ural; ale można twierdzić, że gdzieś w pobliżu wschodniej granicy Polski znajduje się uskok geologiczny czy raczej tektoniczny, który faktycznie oddziela Azję od Europy; można nawet dopatrywać się różnic w przyrodzie, klimacie, czy nawet w kulturze.

Gdyby chciało się znaleźć szalenie sympatyczne miasteczko o przepięknej nazwie, to musiałyby to być takie miasteczko i o takiej nazwie jak Zaklików.

Gdybym pragnął zacząć swą opowieść w najwłaściwszej scenerii nastroju, spraw ludzkich, czy samych ludzi, to tu bym zaczął swą opowieść.



Zaklików (fot. Irena)

Rozdział 1

biały skoczek na c3
czarny skoczek na f6

Pociąg zatrzymał się późnym wieczorem; jedyny wysiadający to ja; jedyny czekający to mój uczeń. W domu z wystawną kolacją czekała reszta rodziny. Po powitaniach i prezentacjach zasiedliśmy do stołu. Obserwowaliśmy się z zaciekawieniem i sympatią – oni – przybyłego korepetytora, który miał przygotować w czasie wakacji jedynego syna do egzaminu na studia architektoniczne. – Ja obserwowałem tę wspaniałą rodzinę: On – głowa rodziny, wielkiej prawości człowiek, miejscowy notabl, farmaceuta, zasługujący sobie i przebijający się do wymarzonej a odległej profesury uniwersyteckiej, posiadający atuty wrodzone i przydane kwalifikujące go już teraz powyżej wytkniętego celu życia. Ona – dama, zachwycająca, pięknie grająca na pianinie, wielce kulturalna, dostojna swym zrównoważeniem, matka, a dokładniej mówiąc wspaniała przykład matrony. Mój uczeń – tak powinien wyglądać i być ukształtowany jedyny syn, w psychice którego zbyt wiele zastąpiono uległością wobec rodziców i uwielbieniem dla nich. Starsza córka – studentka medycyny, nieco wyższa ode mnie i mająca świadomość odbiegania od ideału piękności, ale bez żadnych kompleksów, nawet z tego powodu. Była ciut starsza ode mnie. Młodsza córka – licealistka, za rok matura, pąk wspaniałego kwiatu, który już widać jak się pręży do nagłego i tryumfalnego rozkwitu.

Następnego dnia okazało się, że jest jeszcze babcia, która mieszka w oficynie wraz z dobranymi sobie dwiema staruszkami, żyje własnym życiem. Czyli była oficyna, był i dom przy rynku. Na parterze apteka, źródło dostatku rodziny. Na piętrze czteropokojowe mieszkanie.

Babcia dopełniła wrażenia, jakie na mnie zrobiła cała rodzina. Zaraz następnego dnia gdzieś szliśmy z babcią po rynku i rozmawialiśmy. Wprawdzie zaakceptowaliśmy się wzajemnie, takie odniosłem wrażenie, ale dostatecznie szybko ofuknęła mnie, że wcale nie muszę aż tak się schylać w czasie rozmowy z nią, mimo że moim zdaniem jej niewielki wzrost całkowicie by to usprawiedliwiał. Następnie i ona wykazała mi swą wyższość swymi koligacjami i koneksjami oraz dużym obyciem i wiedzą. Dzieła dokończyła wykładem o degeneratach, których najbardziej rzucającym się w oczy przejawem są mniejsze, lub większe, w zależności od stopnia degeneracji, błonki między palcami. Zastanawiałem się nawet trochę, czy nie mnie miała na myśli, bo dopiero teraz zauważyłem, że i moje palce u dłoni nie rozdzielają się zaraz za stawem kości palca. Szybko więc znalazłem sobie potrzebny dystans w rodzinie i miejsce jedynie korepetytora. Dlatego też nie starałem się wyrabiać pozycji jakimś swoim walorom, które w tej sytuacji musiały być nieistotne. Nikomu nie wchodziłem w drogę, starałem się być uczynnym i miłym i nic ponadto.

W jednym nie popuściłem. Z całą godnością i szacunkiem dla stojących za mną moich nauczycieli pokazałem klasę i wielką szkołę w korepetycjach. Z uczniem pracowaliśmy bardzo sumiennie przez wiele godzin dziennie, uczyłem go rysować. Tu nie miałem żadnej skromności, byłem pewien swego kunsztu, a wyniki szybko stały się widoczne, bo i uczeń był nad wyraz pojętny. W wolnych chwilach mój uczeń stawał się mym nauczycielem, a zwłaszcza przewodnikiem, i całymi godzinami szaleliśmy w okolicznych stawach, kanałach i przy młynie. Obaj wiedzieliśmy, że pływanie, a szczególnie skoki do wody są szczytem naszego spełniania się. A że lato było w całej swej krasie, a i wakacje też, zdawać by się mogło, że my dwaj żyjemy samą wodą. Woda jednak wymagała intensywnego uzupełnienia. Pochłanialiśmy więc z niesamowitym apetytem wszystko, co tylko zjawiało się na stole, a dodać trzeba, że i kuchnię prowadzili w sposób godny siebie. Toteż wzbudzaliśmy entuzjazm i zachwyt całej rodziny tą wirtuozerią w jedzeniu.

Dla dokładności zapisu zaznaczę, że jedzenie to było jedyną formą zapłaty za przygotowanie syna do egzaminu na wyższą uczelnię. Tak ustalono na samym początku przez pośrednika transakcji. Musiałem jednak przesadzić z tym zamiłowaniem do jedzenia, bo któregoś dnia wszyscy zaczęli częstować mnie przygotowanym cukrem w kostkach, podstawiano mi go przy każdej okazji, aż całkowicie straciłem apetyt. Teraz trzeba było mnie dosłownie namawiać, abym cokolwiek zjadł.

A może swoim zwyczajem zacząłem się podkochiwać? Patrzyłem coraz częściej i dłużej i zapadałem się w uwielbieniu dla młodszej córki. Długie blond włosy, aż biskup miał mawiać: – nasz Polski lenek – patrząc na jej włosy. Wiedziałem, że nie można nic teraz, że trzeba czekać aż dorośnie. Ale już teraz czekanie stawało się prawdziwą przyjemnością. Dostrzegany w jej oczach wyraz pogody zdawał się świadczyć, że już wie o moim uczuciu i że może nawet sprawia jej to przyjemność. Domyślać zaczęli się prawdopodobnie i wszyscy inni, bo jakże wymowne potrafi być milczenie i spojrzenia zakochanego młodzieńca.

Czułem też, że i ja zaczynam podobać się obojgu rodzicom. Myśl o konkretyzowaniu się przyszłości była wspaniała, ale i tym razem musiała wziąć górę obawa przed takim szczęściem, bo zwyczajnie chciałem czmychnąć. Okoliczności były sprzyjające. Dobiegał końca ustalony okres korepetycji, a i uczeń wyraźnie się zbuntował uznawszy, że już wszystko umie i dalej sam sobie ustalił wyłącznie wakacje. Zapowiedziałem wyjazd, ale rodzice tak długo namawiali i przekonywali, aż przyrzekłem, że zostanę do końca wakacji.

Żyliśmy bardzo naturalnie, ale delikatnie czuło się sterowanie domem i jego wydarzeniami. Któregoś dnia, o bardzo odpowiedniej porze, wszyscy, co trzeba znikli i zostałem sam z matką. Zwyczajnie, w długiej rozmowie wypytała mnie o wszystkim o mojej rodzinie, o moich sprawach, nie pominęła żadnej istotnej kwestii, ja szczerze z wylewnością odpowiadałem i nawet nie kryłem tym razem, że w gruncie rzeczy jesteśmy ubogą rodziną, że jesteśmy prostymi ludźmi, że nawet moje studia tak niewiele podnoszą ten status prawie że najniższej warstwy społecznej.

Jednak musiałem chyba zdać ten egzamin, bo rozmowa zakończyła się stwierdzeniem pani, że pragnie abym wiedział, że jestem tu traktowany jak syn, a nawet może coś więcej. Tym bardziej przestałem myśleć o wyjeździe i było mi tu po prostu dobrze.

Spędzaliśmy dni przykładowo, wszyscy byli wyraźnie zadowoleni; miejscowi panowie czasami szli na polowanie na kaczki; młodzież baraszkowała, pływała; całe grono wiele spacerowało wieczorami po okolicznych polach, lasach, groblach. Najintensywniej chyba ja żyłem, bo zaliczałem się i do polujących panów, i do pływającej młodzieży, a i spacerować nad wyraz lubiłem. W tym czasie do starszej córki przyjechał kolega na kilka dni, na jego wspaniałym motocyklu znikali na całe dni, stąd młodsza córka, obiekt moich westchnień, pozbawiona towarzystwa stała się przedmiotem moich natarczywych spojrzeń i nawet adoracji. Potem kolega starszej córki wyjechał, a w naszych układach czymś subtelnie powiało i niepostrzeżenie nastąpiły przesunięcia towarzyskie. Syn zdecydowanie zajął się swymi sprawami, o młodszą córkę zaczęli troszczyć się rodzice i nigdy już nie była samotna, miała rodziców po obydwu stronach, a w wyniku takiego naturalnego rozwoju sytuacji ja dotrzymywałem towarzystwa starszej córce. Początkowo były to przypadkowe zbiegi okoliczności, potem ona zaczęła do tego zmierzać i gdy tylko byłem z nią, rodzice jakby przyspieszali, my zostawialiśmy sami, bo i ścieżki nasze jakoś zaczęły się rozchodzić.

Gdy się wreszcie spostrzegłem, nowy status towarzyski był zaakceptowany. Wdzięczny za tak wspaniałą gościnę, grzeczny nad wyraz, wywiązywałem się poprawnie i bez uchybień ze swej nowej roli, ale zacząłem uważać, by moja rycerskość nie przekroczyła określonych granic, aby sytuacja nie stała się dwuznaczna.

Musiało dobrze owocować moje wieloletnie wprawianie się w szlachetności, bo pojawiły się delikatne prowokacje ze strony rodziców i ich starszej córki, potem nawet musieli wyjechać zostawiając nas samych na wiele godzin. Byłem zupełnie niedomyślny i wolałem stawiać pasjansa, gdy moja towarzyszką proponowała obiecująco długi spacer we dwoje przy księżycu. Wreszcie wszyscy zrezygnowali zniechęceni brakiem postępu w sprawach. Karę jednak musiałem ponieść, bo pani domu przy kolacji z sarkazmem należytym skonstatowała, że „nie sądziła, iż mój charakter jest tak bardzo cieplarniany...”

Do dziś nie wiem, czy aż tego było potrzeba, czy też było to przysłowiową kroplą przepełniającą kielich, w każdym razie w ciągu kilku minut dokonało we mnie dogłębnego przewrotu. Przeobrażenie to nastąpiło tak błyskawicznie, że nikt niczego nie odczuł, a ja dalej, jako dotychczasowe ciepłe kluski, siedziałem przy stole. Od tego czasu moja ze wszech miar dobrotliwa a rozbijająca bezradność kwitła, a wszyscy czuli się upoważnieni do nie krycia się z własnym przeświadczeniem, że poziom mej wszechstronnej dobroci jest beznadziejnie nieuleczalny.

Ja jednak od razu następnego dnia i paru kolejnych dni podjąłem bardzo systematyczne i precyzyjne badania. Sprawdziłem każdą deskę w podłogach dwóch pokoi. Udało mi się ustalić, które z nich nie trzeszczą przy chodzeniu po nich. Najbardziej żmudnych zabiegów wymagały drzwi, ale i tu znalazłem rozwiązanie. Problem skrzypienia własnego łóżka musiałem zostawić na jedną z nadchodzących nocy. Musiałem rozwiązać problem ewentualnych nocnych odgłosów, bo między naszym pokojem a pokojem rodziców były drzwi, wprawdzie zamknięte, ale rodzice wszystko słyszeli, co działo się w naszym pokoju. Mój zamysł nie był wcale oryginalny. Wszak niedawno przeczytałem „Czerwone i czarne” Stendhal’a.



Marie-Henri Beyle (ur. 23 stycznia 1783 w Grenoble - zm. 23 marca 1842 w Paryżu),
bardziej znany jako **Stendhal**, francuski pisarz romantyk, prekursor realizmu w literaturze.

Najbliższa noc bezksiężycowa, sprzyjała moim planom. Ciemności mogły znakomicie utrudnić akcję, ale wszystko znałem na pamięć, więc ciemności dały mi jeszcze jedną sprzyjającą okoliczność – nie mogłem być zobaczony.

W łóżku, starając się nie zasnąć, przeczekałem ze trzy godziny. Było dobrze po północy, gdy odważyłem się rozpocząć akcję. Wstać jednak się nie dało. Przy każdej próbie podniesienia się sprężyny łóżka zaczynały złowieszczo trzeszczeć. Dopiero położenie się na brzuchu dało rezultaty. Zapierając się głową i rękoma oraz stopami udało mi się przesunąć bezgłośnie na brzeg łóżka. Teraz wolno opuściłem na podłogę prawą rękę i prawą nogę, i opierając się na nich zsunąłem się na podłogę. Tu już dało się wstać. Teraz po znanej desce poszedłem zdrętwiały do ściany, bo tylko tuż przy ścianie deski w podłodze nie trzeszczały. Tak dotarłem do drzwi. Mój współmieszkaniec pokoju ani drgnął.

Drzwi wymagały bardzo powolnego działania. Otwarcie ich bez najmniejszego odgłosu wymagało najpierw powolnego dociśnięcia ich do futryny, tak aby się na niej dobrze oparły. Następnie drugą ręką ująłem mocno klamkę i wolno pociągnąłem ją do siebie. Przesunęła się w zamku o ułamek milimetra, ale już to najzupełniej wystarczyło. Teraz dopiero opuszczenie klamki i otwarcie zamka mogło się odbyć bez najmniejszego szcęknięcia, czy skrzypienia. Wcześniej nasmarowane zawiasy umożliwiły resztę tego etapu. Znalazłem się w drugim pokoju, w jadalni. Dobrze byłoby zapewnić sobie odwrót zostawiając drzwi otwarte, ale otwarte drzwi były zarazem widocznym sygnałem, że coś jest nie tak, jak być powinno. Każdy przypadkowo obudzony zauważyłby to. Zamknąłem je więc równie mozolnie, jak otwierałem.

Jadalnia, była właściwie dużym hallem, skąd wchodziło się do wszystkich trzech pokoi i do sieni. Tylko drzwi do sieni i nasze były z zasady zamykane; pozostałe były zawsze otwarte. Tu miałem pierwszy dłuższy moment zawahania, ale nie zrezygnowałem. W tym pokoju wszystkie deski w podłodze trzeszczały. Musiałem zrobić jeden celny a duży krok, by znaleźć się na progu trzeciego pokoju. Te drzwi były szeroko otwarte. Na progu stałem jednak kilkanaście minut. Serce łomotało mi niemożliwie mocno, a oczy przyzwyczajone do panującej ciemności chłonęły tych parę wyraźniejszych punktów.

Ruszyłem wreszcie dalej; po trzech krokach byłem na miejscu; usiadłem na podłodze. Myślałem. Pokój był maleńki. Stały w nim jedynie dwa łóżka, a między nimi przestrzeń tak wąska, że poza dywanikiem nic się na niej nie mieściło. Siedziałem, analizowałem oddechy śpiących. Po lewej stronie spała ma wymarzona – licealistka; po prawej – studentka. Tu jednak zdałem sobie sprawę, że moje knowania obejmowały tylko dotarcie do tego punktu. Tylko tyle moja wyobraźnia skonstruowała na użytek tej akcji. O reszcie nie pomyślałem wcześniej – jakby była nieistotna. Stan taki dał mi podświadome uczucie osiągnięcia celu, a w ślad za tym całkowite uspokojenie.

Siedziałem i rozmyślałem, co dalej. Musiałem dokonać wyboru. Pragnąłem delikatnie pocałować śpiącą licealistkę i wrócić. Jednak musiałem wreszcie zgłębić problem kobiety, a licealistka, moja wielka miłość, nie mogła zostać zbrukana. Tak moja prawość zawiodła mnie drastycznie i złośliwie, bo wskazała na studentkę jako właściwszą do tego celu. Zrobiłem ten najgorszy w życiu krok (później się okazało, że nie ostatni) – brzemienny w skutkach, który zepchnął mnie z drogi bezgranicznej miłości do licealistki. Instykt podpowiadający postawienie również w tym względzie na miłość do licealistki musiał ustąpić, bo rozum nakazywał dokonanie stanowczego następnego kroku, do którego nadawała się tylko studentka.

Patrzyłem na łóżko studentki i nie wiedziałem, co dalej mam zrobić. Starałem się przywołać na pamięć wszelką wiedzę, jaką kiedykolwiek posiadałem w przedmiocie rytuału, którego miałem za chwilę dokonać, rytuału zwanego uczenie inicjacją. Przebiegałem w myślach wszelkie obserwacje, przypominałem sobie różne dyskusje i rozmowy, ale wiedza moja na ten temat była niemiłosiernie mała. Najbardziej przydatne wydało się stwierdzenie sprzed lat przygodnego znajomego, który twierdził, że najtrudniej jest dotrzeć do łechtaczki, ale jeśli się ją dotknie ręką, to już żadna kobieta się nie oprze.

Wiedziałem, gdzie powinna znajdować się łechtaczka, toteż nadal siedząc na podłodze, bardzo wolno wsunąłem rękę pod kołdrę i moją pierwszą w życiu kobietę dotknąłem prosto w potrzebnym miejscu.

W ciągu jednej sekundy usiadła i oprzytomniała. Reakcja ta była tak gwałtowną, że zamarłem doszczętnie. Zamarłem tak dalece, że nie zdołałem nawet cofnąć ręki.

Gdy po chwili znów zacząłem żyć i myśleć, jak błyskawica pojawił się obraz mej sromotnej klęski i wstydu, jakiego rano wypędzany z tego domu doznam. Nigdy tak dokładnie nie uświadomiłem sobie swej marności. Wielce gardziłem sobą, ale i miałem ogromną litość dla siebie. Zanim jednak doszedłem w swych katastroficznych myślach do solennych przyrzeczeń poprawy, dotarło do mnie jedno słowo – „chodź”. Ulegle wsunąłem się pod kołdrę i tak bez najmniejszego ruchu, czy nawet szeptu leżeliśmy zwarci ze sobą. Tym razem już bez wątplenia nie byłem zdolny do czegokolwiek więcej. Osiągnąłem absolutne szczyty swego jestestwa. Z pierwszym brzaśkiem wróciłem do swego łóżka i zasnąłem kamiennym snem.

Obudziła mnie wielka cisza panująca w mieszkaniu. Po raz pierwszy nie usiadłem z wszystkimi do śniadania. Wprawdzie zjedli nie czekając, ale stół czekał zastawiony. Czekala i ona.

Byłem moralnie i fizycznie zdruzgotany. Na jedzenie i na siebie nie mogłem patrzeć; wręcz czułem do jednego i do drugiego ogromne obrzydzenie.

Szybko zorientowała się w moim stanie, bo ze sławną kobietą intuicją, czyniła to, co jedynie wolno jej było uczynić. Pocieszała delikatnie i z wyraźnym uczuciem prosiła, abym cokolwiek zjadł.

W niewyobrażalny dla mnie sposób, w miarę upływu kolejnych godzin, jakoś życie wróciło do normy, choć powinno było kompletnie się zawalić. Po kilkunastu godzinach znów byliśmy całą rodziną na długim wieczornym spacerze. Milczeliśmy obojętni, ale pod koniec spaceru rzekła:

– „Dziś przyjdź. Na pewno”. Dotarłem więc w nocy do jej łóżka i leżeliśmy znów w bezruchu. Na kolejnym spacerze uznaliśmy wzajemnie, że musimy sobie pewne sprawy jasno postawić. Ja wprawdzie stwierdziłem, że jest mi z nią dobrze, ale przyznałem się, że właściwie zakochałem się w jej siostrze i nie chcę ani jednej, ani drugiej skrzywdzić, stąd uważam, że nie powinniśmy jednak mieć stosunku. Ona wyznała, że zwróciła na mnie uwagę, gdy wlażłem pod właśnie mający ruszyć ciężarowy samochód i zdjąłem siedzące na osi kocię; że spodobało jej się, gdy gawędziłem ze zdjętym ze ścieżki na trawę turkuciem podjadkiem i przekonywałem go, że tam go ludzie nie rozdepczą. Zaimponowałem jej wprost tym wtargnięciem w nocy do jej pokoju. Ona też jeszcze nie miała żadnego mężczyzny, twierdziła, i pragnie cnotę dla męża zachować. Dobrze, że wie o moich uczuciach do jej siostry, bo teraz robi wszystko, aby siostra odwzajemniła mi się równym uczuciem.

Zapytała jeszcze, czy odpowiedziałbym jej tak zupełnie szczerze, gdyby zadała mi jedno pytanie. Przyrzekłem, więc zapytała: – „Czy wówczas w nocy to mi ‘tam’ położyłeś rękę rzeczywiście, czy tylko mi się zdawało?” Po wyjaśnieniu konkludowała:

– „Teraz, gdy już wszystko jest jasne między nami, możesz tym bardziej przychodzić co noc. Nawet musisz”. Przychodziłem więc.

Pamiętałem tylko i korzystałem ze znamiennej nauki przyjaciela, który mówił, że gdy kobieta nie chce mieć stosunku, to wystarczy, że złączy nogi i już w żaden sposób mężczyzna nie zdoła jej posiąść. Toteż nadal leżeliśmy na boku odwróceniem przodem do siebie, a jej złączone nogi były gwarantem wszystkiego. Teraz jednak rozbieraliśmy się do naga i tak pieściliśmy się wszędzie w kompletnym bezruchu. Może nawet pieściliśmy się, mimo faktycznego całkowitego zbliżenia, pieściliśmy się wyobraźnią. Nawet pewny bezpieczeństwa pozwoliłem sobie na wsunięcie członka między jej przyjazne uda. Nawet ośmielony, poszukałem palcem jej błony dziewiczej. Jednak za mało byłem zorientowany w sprawach, bo niczego nie znalazłem. Może nie umiałem szukać.

Przed południem chodziliśmy we dwoje na polankę do lasu. Wprawdzie nadal chciałem do końca zgłębić problem, na czym polega stosunek zachodzący między kobietą i mężczyzną, ale ja już niczego więcej od niej nie oczekiwałem. Byłem coraz bardziej zdegustowany osiągniętym doświadczeniem. Raczej wolałem odpoczywać po kolejnej nieprzespanej nocy, a jej pozwalałem, aby mnie całowała. Robiła to w sposób szczególnie, zdejmowała mi koszulę i mocno całowała moje ciało, a właściwie bawiła się zostawiając na moich piersiach krwawe ślady. Coraz mniej mi się to podobało i byłem zawiedziony takim obrazem stosunku zachodzącego między kobietą i mężczyzną. Jeżeli to tak ma wyglądać, to ja dziękuję – myślałem. Ona mnie przeproszała za to, że teraz, z tymi śladami na piersiach, nie mogę się kąpać, choć tak bardzo to lubiłem. Wyjechałem któregoś dnia, prosto na studia. Przestaliśmy dla siebie istnieć. Koledzy stwierdzili mą całkowitą rehabilitację, gdy zobaczyli siniaki na moim ciele po jej całowaniu, a że pochodzące z różnych dni, to i w całej gamie zabarwienia.

Pośpieszyłem do swego przyjaciela, mentora i powiernika. Z entuzjazmem opowiedziałem o swych wyczynach. On w równym ukontentowaniu powiedział: – „No widzisz, jakie to proste”. Czułem, że i w jego przekonaniu egzamin zdałem, a tu przecież jest jeszcze jedno nie wypowiedziane dotychczas „ale”. Nie mogłem wszak zataić przed przyjacielem niczego. Na koniec więc rzekłem, że muszę przyznać się, że jednak do żadnego stosunku między nami nie doszło. Moja wiedza w przedmiocie na to wskazywała.

Stwierdzenie to przesądziło. Było to ostatnie spotkanie z moim starszym przyjacielem. Nie rzekł nic, ale jego oczy powiedziały mi przy jakimś rozstaniu, że spisuje mnie na straty.

Tuż przed następnymi wakacjami ona wreszcie odezwała się, po rocznym milczeniu, z propozycją spotkania. Byłem zaskoczony. Nie korespondowaliśmy ze sobą, przecież przygoda wakacyjna się skończyła. Już nawet o niej zapomniałem. Nadal jednak uważałem naiwnie, że ludzie powinni ze sobą rozmawiać. Zamiast spuścić wodę i nie odezwać się, pojechałem. Gdy przybyłem do Lublina na spotkanie, zażądała, abym znów jechał na wakacje do nich, bo musi coś przecieź za to mieć, że miała tyle kłopotu, zanim zorganizowała przerwanie ciąży. Zawrzało we mnie oburzenie, a myślałem: – Przecieź to niemożliwe, nie mieliśmy stosunku, to raczej ten jej kolega. Wreszcie uważałem, że jeżeli zaszła w ciążę, i to rzeczywiście w jakiś sposób ze mną, to powinna była mnie o tym powiadomić. A ona przez cały rok nie odezwała się słowem, żadnego listu. Nie miała prawa sama decydować o tej ciąży, jeśli mnie traktuje poważnie. Nie wierzyłem jej wcale, opowiadanie przyjąłem jako bajkę skonstruowaną na mój użytek, niepoprawnego głupca dającego sobą powodować. Zapewniałem stanowczo, że nie mogę jechać. Przecieź nie ma miłości między nami. Moje przebywanie teraz w ich domu byłoby wyuzdanym draństwem. Nie mamy prawa tak współżyć. Ja tego nie chcę. Nic do niej nie docierało. Zapewniała, że już rodzice wiedzą o moim przyjeździe. Coraz bardziej kategorycznie żądała, abym jechał i to natychmiast, dzisiaj, prosto z Lublina, nie bacząc na to, że nie mam ze sobą żadnych rzeczy osobistych. Uznałem beznadziejność mojego przekonywania, ale zapałem się w swym stanowisku. Nie zmusi mnie wbrew mej woli. Postanowiłem zagrać takimi samymi kartami. Wiedziałem, jak postąpię. Złośliwie pozwoliłem się wsadzić do pociągu, nie dojechałem jednak do miejsca naszych pierwszych wakacji, wysiadłem kilka stacji dalej i wróciłem do Warszawy. Ona miała wyjechać za mną następnego dnia po załatwieniu jakichś spraw na studiach.

*



Rozdział 2

biały skoczek na f3
czarny skoczek na c6



My, nowi studenci, siedzimy na gruzach Warszawy na rogu Alej Jerozolimskich i Chałubińskiego w 1954 roku.
Pałac Kultury i Nauki jeszcze w budowie.

Po tych doświadczeniach postanowiłem poważnie zająć się studiami, aczkolwiek w tymże czasie wyczytałem u Wiktora Hugo w „Katedrze Marii Panny” słowa prawdy: „O, jakże pusty jest głos nauki, kiedy się o nią rozpaczliwie uderza głową pełną namiętności”.

Pokoje w domach akademickich były przepelnione i nie pocieszała wypowiedź rektora na inauguracji roku akademickiego, że w tym roku uczelnia osiągnie wskaźnik półtora koco-studenta. Termin ten stał się monetą obiegową wśród studentów na wiele lat, a znaczył, że co drugi mieszkaniec domu akademickiego będzie miał aż dwa koce. W pokoju, aby wygospodarować miejsce na choć jeden stolik, trzeba było umieszczać piętrowo nad sobą trzy łóżka, a i tak mieścił się jedynie kwadratowy stolik – miejsce do nauki dla jednego studenta – we czterech można było jedynie grać w brydża, zdeterminowani graliśmy więc dniami i nocami.

Biblioteki były moim azylem. Biblioteka na Wydziale Architektury była nieco ciemna i z niewielkim księgozbiorem. Przebywałem więc w innych bibliotekach. Biblioteka Instytutu Urbanistyki i Architektury, która niedawno została wykwaterowana z Pałacu Staszica do budynku po drugiej stronie ulicy, zyskała teraz dużą czytelnię. W międzyczasie na krótko zagościła w Pałacu Błękitnym. Tu na Nowym Świecie, jak mawialiśmy, w IUA, byłem niemal codziennym gościem. Najprzyjemniej jednak było „na Koszykach”. Z głównego hallu na pierwszym piętrze biblioteki wchodziło się przez boczne, niepozorne drzwi wąskimi schodami na poddasze do niewielkiej sali, właściwie pokoju i tu w ciszy, wśród rosnących okazałych papirusów i wśród książek czułem, że żyję naprawdę.



Biblioteka Publiczna miasta stołecznego Warszawy na ulicy Koszykowej (Wikipedia)

Mieszczący się tu Dział Sztuki był właściwie moim mieszkaniem. Stąd udawałem się na zajęcia na Wydziale, lub do akademika spać. Tu poznawałem kulturę całego świata. Wokół na półkach moc książek, tylko ręką sięgnąć; po inne bez trudu sięgałem rękoma bardzo czynnego personelu biblioteki – przynosili każdą książkę z najdalszej półki magazynu – swą bezosobowością, a właściwie wielkim oddaniem i zrozumieniem nie zakłócali panującego nastroju skupienia. My żyliśmy wyobraźnią i nowością poznania, chłoniliśmy książki; im, pracownikom biblioteki,

musiała prawdopodobnie wystarczać radość z widoku naszego zaczytania się, radość, jaką mogą osiągnąć jedynie prawdziwi miłośnicy książek.

W bibliotekach tych zacząłem z pewnością prawdziwie studiować. W tym czasie Profesor Piotr Biegański ogłosił konkurs dla studentów na dowolny temat z zakresu neoklasycyzmu warszawskiego.



Profesor architekt Piotr Biegański

Sugestywność wykładu sprawiła, że postanowiłem zgłębić problem Łazienek Królewskich Warszawskich. Wszak obiekt ten jako dzieło architektury stanowi jedyny moment w historii, kiedy kultura polska wyprzedziła teorię i swymi dziełami myśl twórczą wszystkich innych ośrodków sztuki na świecie zapoczątkowując nowy styl – „neoklasycyzm” – inaczej zwany „Stylem Stanisława Augusta” – i dając go Europie. Zawsze przedtem i potem prekursorzy byli w innych krajach i my budowaliśmy na ich wzór. Postanowiłem dowiedzieć się i opisać to wszystko, co umożliwiło taki rozkwit myśli polskiej.

O Łazienkach, tak jak i o całej kulturze i historii Polski nie pisało się nic. Rosja niszczyła wszelkie symptomy państwowości polskiej. Przez carską cenzurę, przez te wymuszone mroki zapomnienia, co kilkadziesiąt lat przedzierało się gdzieś przypadkowo jakieś zdanie.

W dostępnych mi wydawnictwach natrafiłem na najwcześniejsze ujęcie Łazienek w albumie pt. „Zbiór celniejszych gmachów miasta stołecznego Warszawy” częścią z natury zdjętych, a częścią podług istniejących planów rysowany i litografowany przez Leonarda Schmidtnera Akademika Budownictwa w Monachium, wydany w Warszawie w 1823 roku w Litografii D. Knusmann przy Ulicy Miodowej Nr 495.

Tam, na planszy trzeciej znalazłem bardzo dobrze wykonane ujęcie Pałacu Łazienkowskiego od północnej strony.

W Archiwum Wojewódzkim w Warszawie na Krzywym Kole w tak zwanych „Tekach Korotyńskiego” (IV 19a I) w części pt. „Łazienki – wycinki i rękopisy” natrafiłem na: „Łazienki plan wykonany pg pomiarów Biura Zarz. Kanal. M. Warszawy w roku 1896” (19 b I).

Natomiast w jednym z wycinków przeczytałem w notatce F.M. Sobieszczańskiego:

„Pałac Łazienkowski ma belweder ozdobiony nie posągami bóstw mitologicznych, lecz czterema osobami wyobrażającymi Europę, Azję, Afrykę i Amerykę; niżej zaś na balustradzie nad brzegiem dachu są cztery figury oznaczające Wiosnę, Lato, Jesień i Zimą. Z drugiej strony pałacu, to jest od strony pomnika Jana III, nie pamiętam jakie tam są figury, co jednak na miejscu sprawdzić można”.

„Dziennik Polski” w roku 1915 (nr 225 i 226):

„I w niezmienionym kształcie przetrwała wiek z górą. Prawie każdy sprzęt pozostał w tem miejscu, w którym go umieścił Stanisław August. Następni bowiem właściciele Łazienek, cesarzowie Rosji, nie zamieszkiwali nigdy dłużej w pałacu, i żaden obcy gust nie zmieniał układu stworzonego przez gust twórcy. Skasowano tylko kaplicę, przepołowiwszy ją na dwa piętra, dobudowano jako lewe skrzydło kaplicę prawosławną...”

„Część wywieziono w październiku 1914, resztę w lipcu 1915 roku. Wywieziono wszystko, cokolwiek się wywieźć dało. Czterysta skrzyń wywieziono z Łazienek do Moskwy. Zabrano wszystkie obrazy – prócz dwóch, których się nie dało wyjąć z supraportów, – wszystkie rzeźby – prócz jednego marmuru, – wszystkie meble, wszystkie wazy, kandelabry, żyrandole, dywany, zabrano nawet brązowe okucia z drzwi i kominków, zostały tylko ściany, zostały ozdoby architektoniczne, malowidła ściennie i rzeźby wpuszczane w ściany, których wyjąć nie było można”.

Z zewnątrz

„Wyrwano jednak 10 lwich głów z pozłoczonego brązu, które zdobiły 5 drzwi wejściowych pałacu”.

Wszystko to wróciło do Polski w roku 1925, by przepaść ostatecznie w niespełna dwadzieścia lat później.

W roku 1916 został wydany piękny album wyłącznie zdjęciowy, gdzie na 37 zdjęciach „odtworza Łazienki w tym stanie, w jakim były przed usunięciem z nich ruchomych pamiątek”. Album pod tytułem „Łazienki Królewskie. Warszawa”. Nakładem wydawnictwa „Piękno” Warszawa, Piękna 16a. m.8. telef. 291-43. Fot. Nofok Piękna 4. Wykonano w Zakł. Graf. A. Hurkiewicz i Ska. Mariensztadt 16.

W tymże 1916 roku nakładem wydawnictwa „Piękno” Władysław Tatarkiewicz wydał książkę pt. „Budowa pałacu w Łazienkach” rzecz odczytana na posiedzeniu Towarzystwa Naukowego Warszawskiego dnia 19 maja 1916r.

Wśród 25 zdjęć znajdują się:

str. 10 nr 3 – Mapa parku Łazienkowskiego z czasów Augusta II

str. 19 nr – niewykonany projekt przebudowy z r. 1788.

str. 33 nr – niewykonany projekt nowego korpusu zachodniego

str. 35 nr – przekrój pałacu. Projekt z 1788r.

(dekoracja wewnątrz została wykonana inaczej)

str. 39 nr – niewykonany projekt nowych pawilonów zachodnich.

Alfred Lauterbach w książce pt. „Styl Stanisława Augusta. Klasycyzm warszawski wieku XVIII” (Warszawa, 1918, nakładem księgarni F. Hoesicka) podaje:

str. 2. w. 7 – „Cała zaś sztuka północnej Europy od XVI wieku nie daje się pomyśleć bez wpływu włoskich architektów i włoskich teorii Odrodzenia”.

w. 14 – „Zasadniczym przeto czynnikiem sztuki narodowej nie jest ani pochodzenie artysty, ani wpływ obcej szkoły, lecz ów genius loci, który znamię swe wywiera i wyraz odrębny twórczości artystycznej nadaje”.

str. 10 – „Nie należy jednak zapominać o Bacciarellim, którego rolę dotychczas stanowczo za mało uwzględniano. Bacciarelli, jako dyrektor generalny budynków królewskich, malarz i doradca we wszystkich sprawach artystycznych, przyczynił się znacznie do ukształtowania nowego stylu, zarówno przez swoje osobiste przekonania artystyczne, jak przez dobór wykonawców”.

str. 11 – „Klasycyzm warszawski jest wytworny i lekki, a pod tym względem najzupełniej do francuskiego zbliżony”.

str. 13 – „Punkt wyjścia Bacciarellego polegał zatem na włosko – francuskim kompromisie, uwydatniającym się zresztą dosyć wyraźnie w pałacu w Łazienkach”.

„Sfera stylu Stanisława Augusta jest ciasna. Nie jest to styl obejmujący wszystkie przejawy twórczości, lecz raczej podstyl zamknięty w ramach architektury i dekoracji”.

„Ryzykując nową nazwę określamy styl Stanisława Augusta jako zaawansowany klasycyzm pozostający pod wpływem francuskim i włoskim...”

str. 14 – „Za czasów książąt mazowieckich teren obecnego parku (wraz z ogrodem Koła Sportowego) należał do zwierzynca pałacu Ujazdowskiego. Podobno już w średniowieczu, w miejscu gdzie dziś wznosi się pałac, istniała łazienka, co być może tem się tłumaczy iż źródło tryskające jako fontanna na tarasie pałacowym, w mniemaniu ówczesnym, posiadać mogło właściwości lecznicze. Pewne jest natomiast, że w pierwszej połowie XVIII wieku łazienka jakaś w tym miejscu stała, gdyż Jarzębski o takowej wspomina”.

str. 16 – „Opis Włocha posiada wartość tylko w stosunku do owej łazienki, którą faktycznie Stanisław Lubomirski około roku 1690 wystawił, August II przebudował, a Stanisław August jako zawiązek nowej budowli użył”.

„Jeżeli trzymać się dat, wskazanych przez Sobieszczańskiego, to łaźienka w roku 1698 musiała już istnieć, a jeżeli nadto plan o którym mowa, nie zdradza wpływów rzymskich, lecz polskie, to wydaje się nam słusznie szukać autora projektu gdzie indziej, przypuszczając jednocześnie, że architekt kurfirsta brandenburskiego Christian Eltester, właśnie z natury plan zdejmował”.



Canaletto – Łazienki Stanisława Augusta w Warszawie, 1776 rok.
Po lewej Biały Domek, po prawej Łazienka Lubomirskiego.



Tak wyglądała łaźienka Stanisława Lubomirskiego w 1776 roku, fragment powyższego obrazu Canaletta.



Tak wyglądał Biały Domek w Łazienkach w 1776 roku, fragment obrazu Canaletta.

Speszyły mnie te chłodne wywody. Lauterbach mówi o wielkich wpływach włoskich i francuskich. Nie mówi nic o twórczości króla, a wydobywa zasługi Bacciarellego. Kwestionuje sam styl, dopuszcza jedynie miano podstyłu nieobejmującego wszystkich przejawów twórczości. Jak na ironię w dodatku używa słów „ryzykując nową nazwę”. Szukałem czystego, niezaprzeczalnego stylu, tymczasem znalazłem u Lauterbacha wskazanie Łazienkom Królewskim podrzędnego miejsca w kulturze europejskiej. Humor jednak mi się poprawił, bo Lauterbach znalazł godnego przeciwnika.

Władysław Tatarkiewicz – „Rządy artystyczne Stanisława Augusta”, Warszawa 1919 rok, Wydawnictwa Towarzystwa Naukowego Warszawskiego Wydz. II.

Ze zdjęć tu zamieszczonych pragnę zwrócić uwagę na tytuł – „Kwitnienie sztuk, nauk i przemysłu” – taką treść stanowił plafon M. Bacciarellego w sali Asamblowej zamku Warszawskiego. Ponadto autor zamieścił rysunek własnoręczny Stanisława Augusta oraz obraz M. Bacciarellego wykonany wg projektu króla.

Trochę cytatów:

str. 8 – „Naczelnym stukkatozem, ciągle zajęтым w rezydencjach króla był Graaff”.

– „Próba utworzenia letniej rezydencji z zamku w Ujazdowie nie powiodła się ze względu na niepodatne stare mury”.

str. 10 – „W r. 1766 nabył od Lubomirskich tereny parkowe sąsiadujące z Ujazdowem”

– „Artyści królewscy doprowadzili do porządku pawilon Łazienkowy, nabyty razem z terenem i wybudowali dwa nowe pawilony: Myślewicki pałacyk i Biały Domek. Nastąpiła odbudowa zgorzałego „Eremitorium”.”

Na stronie jedenastej autor wskazuje, że król zwrócił uwagę na Belweder, ale i ten nie nadawał się do przeróbki na wymarzoną letnią rezydencję.

Dalej znów cytuję:

– „Gdy roboty w Ujazdowie były skończone, Belweder zaniechany, Myślevice i biały domek gotowe prace ześrodkowały się dookoła Łazienek. Nowa przebudowa odbyła się w 1784r. a potem aż do końca panowania ciągle rozszerzano, zmieniano, zdobiono pałacyk”.



Pałacyk Myślewicki w Łazienkach Warszawskich.

str. 12 – „Żądza budowlana była w królu ogromna”.

– „Teatrów wybudował w samych Łazienkach trzy: stary nieistniejący już, opodal pałacu, teatr w oranżerii i teatr na wyspie”.

str. 24 – za Tatarkiewiczem cytuję króla:

– „Jest wolą moją, aby p. Bacciarelli miał nadzór naczelny nad wszystkim, co dotyczy budowli, ogrodów, kopania ziemi, wód i jakiegokolwiek dekoracji zarówno w Zamku Warszawskim, jak w Łazienkach, Myślewicach, Białym Domku, Belwederze i in. i aby nic się tam nie działo bez jego wiedzy ni wbrew jego zdaniu...”

A teraz za Tatarkiewiczem cytuję jednego ze współczesnych:

str. 30 – „Oto powziął postanowienie wybudowania kaplicy w Łazienkach i cieszy się, że da ona pole „dla smaku i wyobraźni Kamsetzera”.

str. 31 – „...nagli Righi’ego, by kończył figurę do teatru na wyspie Łazienkowskiej i brał się natychmiast do dwóch Rzek, mających stanąć naprzeciw pałacu; Bingowi dał do zrobienia lwa do teatru na wyspie, a jednocześnie myśli już o tym, by kuł posąg Stefana Batorego dla Rotundy w Łazienkowskim pałacu”.

str. 32 – „Le Brun rozpoczął posąg Stefana Batorego; ale skoro ma jechać w swych sprawach do Grodna, to niechaj jedzie; zastąpi go Monaldi i Stuggi; gdy się król jednak dowiaduje, że Monaldi nie skończył popiersia Tytusa, potrzebnego do jednej z sal Łazienek, każe mu pracować dalej przy tym popiersiu; tymczasem będzie zastąpiony przez Binga, gdy zaś skończy Tytusa, wtedy powróci do Batorego...”

Co za współczesna organizacja pracy! [przypisek mój]

Teraz sam Tatarkiewicz o królu:

str. 34 – „Jego zajmowanie się rzeczami sztuki nie ma zupełnie charakteru rozrywki, ale ma zawsze charakter poważnej pracy”.

str. 35 – „Zawsze zaś chciał mieć przynajmniej szkic wykonanego dlań dzieła i zastrzegął sobie prawo korekty”.

str. 37 – „Podobnie też w późniejszych latach cały zespół pracował w Łazienkach, a jednak osiągnęto nadzwyczajną jedność artystyczną. Nad jednością zaś czuwał przede wszystkim król”.

str. 38 – „Chodziło mu o jedno: uczynić aby powstały rzeczy piękne, stworzyć rozkwit sztuki”.

str. 45 – „Tak samo i w architekturze król chciał siły, mocy i monumentalności. A w połączeniu z tą wrażliwością szczegółu, jaką mieli artyści końca XVIII wieku, musiało to dać wyniki niezwykle. Powstało w Polsce na dworze królewskim nowe pojmowanie kształtów”.

Już myślałem, że polski król dał tylko imię nowemu stylowi, podobnie jak to miało miejsce we Francji ze stylem Ludwika XIV, XV i XVI, a tu mamy rysunek wykonany przez samego króla, obraz namalowany według wskazówek króla i król nawet zastrzegał sobie prawo do poprawiania dzieła sztuki wykonanego przez zatrudnionego artystę. Tymi to sposobami król osobiście zapewniał jedność nowego stylu. No i przecież widział poza sztuką po części zarówno sprawy polityczne jak i gospodarcze, skoro rzeźby na Łazienkach, to nie greckie, czy rzymskie bóstwa, lecz Europa, Azja, Afryka i Ameryka, a na tarasie przed pałacem polskie rzeki Wisła i Bug. Król polski nawet polecił Bacciarellemu namalowanie plafonu w sali Asamblowej Zamku Warszawskiego, a treścią plafonu było, ni mniej, ni więcej, tylko „kwitnienie sztuk, nauk i przemysłu”.

Ale wróćmy do Tatarkiewicza:

„Naczelnym budowniczym król miał z Włoch: ci mieli tradycję wielkości”.

„Rozwój sztuki szedł naówczas w kierunku mocy i masy; była to konieczna reakcja na sztukę XVIII wieku. Ale ten kierunek rozwoju objawił się w Europie dopiero na początku następnego stulecia. Polski król uprzedził to o ćwierć wieku. Jeszcze sala Audiencjalna i sypialnia na Zamku, jeszcze górne pokoje i nawet jadalnia w Łazienkach, jeszcze biały Domek i pawilon Myślewicki są mniej więcej w zwykłym stylu klasycznym, choć nie pozbawione swoistych cech i zalet; ale za to Sala Balowa (1781), Tronowa i Rycerska (1784) na Zamku, Sala Salomona w Łazienkach, oranżeria i teatr Łazienkowski – to już nowy styl Stanisława Augusta”.

str. 46 – „Własne budowle Stanisława Augusta – Zamkowe pokoje i Łazienki – są z natury rzeczy najtypowszemi i najpiękniejszymi wytworami tego stylu. Ale także noszą jego cechy Królikarnia i Natolin Merliniego, warszawskie pałace Kamsetzera, zwłaszcza Tyszkiewiczowski, i Schregera, zwłaszcza Tepperowski. Należą też do tej grupy liczne koszary warszawskie, wybudowane za ostatniego króla, dziś zapomniane i zagubione w uboższych dzielnicach, ale wtedy słusznie zaliczone do najprzedniejszych gmachów stolicy”.

Tak więc znalazłem i styl rdzennie polski, i marzenia o mocy i masie, i zapomniane ówczesne najprzedniejsze gmachy stolicy jakimi były koszary, i wreszcie wielką narodową apoteozę:

str. 47 – „W chwili gdy Polska ginęła, słaba i niezdolna do utrzymania swej państwowości, wtedy właśnie – tego nas wyraźnie uczy historia – zaradzały się siły, które miały Polskę utrzymywać żywą i zdolną do odrodzenia”.

„Nieszczęściem kraju, nieszczęściem samego króla było, że przeznaczony został do innych spraw, których ani tak nie odczuwał, ani tak nie opanował jak sprawy sztuki. Nieszczęściem jego było, że działalność jego wypadła w przełomowej chwili, gdy co innego było wymagane nie tylko od króla, ale od każdego obywatela. Na tle ogólnego upadku i bohaterskich prób naprawy, na tle rozbiorów i konfederacji, na tle Sejmu Czteroletniego i Insurekcji, Raclawic i Pragi, wobec Kościuszki, Staszica i Dekierta, marnemi wydawać się musiały i muszą te zabiegi o sztukę. Nawet Matejko, który nie był satyrykiem i który serio pojmował swe Dzieje Cywilizacji, z ostatniego obrazu, mającego za temat Stanisława Augusta i jego artystyczne otoczenie, zrobił karykaturę”.



Sala Balowa (stan przed 1939 rokiem, z Albumu pt. ŁAZIENKI, Wydawnictwo *SZTUKA* Warszawa, 1955)



Sala Salomona (stan przed 1939 rokiem, z Albumu pt. ŁAZIENKI, Wydawnictwo *SZTUKA* Warszawa, 1955)

Tyle profesor Tatarkiewicz, od którego weźmiemy jeszcze tylko nazwiska twórców tego rdzenie polskiego stylu:

str. 54 – Jan Plersch – w Łazienkach prócz dwóch plafonów malował ściany Sali Balowej. Tamże ozdobił salę Biblioteczną.

str. 55 – Andrzej Le Brun – zajmował na dworze wybitne stanowisko pierwszego rzeźbiarza.

str. 58 – Jakób Monaldi – był nie tylko pomocnikiem Le Bruna, lecz wykonał też i samodzielnie prace rzeźbiarskie dla dworu.

Franciszek Bing (lub Pink, lub Ping, lub Binch)

str. 59 – W roku 1793 pracował w Łazienkach, gdzie robił popiersia cesarzów rzymskich, a prawdopodobnie też i figury królów w Rotundzie.

str. 60 – Righi – nazwisko jego spotyka się często w dokumentach, zwłaszcza gdy chodzi o prace wykonane w Łazienkach w ostatnich latach panowania.

str. 61 – Dominik Merlini – w Łazienkach projektował nie tylko główny pałac. Główny most w Łazienkach był przezeń projektowany i nazywany był „mostem Merliniego”.

Jan Kamsetzer – był znakomitym rysownikiem. Król używał go najczęściej jako dekoratora.

str. 63 – Grismayer – zdjęcia architektoniczne Łazienek.

str. 65 – Jan Michał Graaff (także Graf i Graaf) – Prawie wszystkie sztukaterie artystyczne na Zamku i w Łazienkach są jego roboty.

str. 68 – Szymon Bogumił Zug – obok projektu Łazienkowskiego, „Grand Commun” i oranżerii spotyka się wiele jego pomysłów dekoracyjnych...

Gdyby wypadało na tym poprzestać, miałbym w miarę znośny materiał do udowodnienia tezy. Okazało się jednak, że Lauterbach nie dał za wygraną; popracował solidnie, bo dopiero po sześciu latach odparował cios Tatarkiewicza, a moje zamysły i skojarzenia rozpędził po kątach.

Więc niestety – A. Lauterbach – „Warszawa” książka wydana przez Instytut Wydawniczy „Biblioteka Polska” w roku 1925.

str. 134 – „Autorem pierwotnych Łazienek mógłby być natomiast wzięty wówczas budowniczy Tylman vel Camerini”.

str. 135 – „Bardziej może przekonywujące jest centralne założenie „łazienki”, gdyż zamiłowania do takiego rozwiązania planów uwidoczni się w dwóch kościołach, stawianych przez Tylmana – w kościele Sakramentek i w kościele w Czerniakowie. Pokoje bowiem „łazienki” Lubomirskiego grupowały się wokół większej rotundy z basenem kąpielowym o górnym oświetleniu”.

str. 136 – „Pierwsza przebudowa Łazienek miała miejsce za Augusta II, ograniczyła się tylko do strony dekoracyjnej, której dokonał prawdopodobnie Zachariasz Languelume, nadworny architekt drezdeński. Z okresu tego pozostały ściany „rocaille” w westybulu oraz niektóre ornamenty stiukowe”.

str. 138 – „W pałacu widoczne są ślady trzech epok: barok z okresu „łazienki” Stanisława Lubomirskiego, rokoko z okresu saskiego i klasycyzm Stanisława Augusta.

– Symetryczne centralne założenie pierwotnej „łazienki” zostało rozwinięte... w sposób niezwykle zręczny i wytworny. Do wysuniętego korpusu środkowego dodano skrzydła symetryczne...”

str. 140 – „Za Augusta II Łazienki były budynkiem reprezentacyjnym, parterowym. Nadbudowa piętra uczyniła je mieszkalnymi...

– Nie jest wykluczone, że fasada południowa powstała pod wpływem pałacu le Petit Trianon, chociaż nie posiada ona żadnych cech eklektyzmu lub imitacji”.

str. 141 – „Pozostałe sale i pokoje nie wykazują już tych cech odrębnych, które na miano stylu Stanisława Augusta zasługują. W przedsionku mięsiste profile odrzwi i nische zdradzają swe barokowe pochodzenie, sztukaterie i coquillages mówią o epoce Augusta II i mieszają się z ornamentami dodanymi za Stanisława Augusta. To samo odnosi się do pokoju Bachusa i pokoju kąpielowego. Ściany licowane fajansowymi płytkami w guście holenderskim, pochodzą najprawdopodobniej z okresu pierwszej budowy, gdyż spotkane tam motywy i figury noszą charakter końca XVII wieku.

– Ornamenty stiukowe w obu tych pokojach utrzymane są przeważnie w charakterze rokoka, natomiast piękne wypukłorzeźby o charakterze mitologiczno – kąpielowym, zdradzają wyraźny wpływ stylu Ludwika XVI”.

str. 142 – „Niektóre szczegóły, jak np. supraporta w pokoju kąpielowym, przypominają bardzo płaskorzeźby w medalionach narożnych sufitu głównej sali le Petit Trianon, a ornamentyka pozostałych, w szczególności zaś górnych pokojów, zdradza dosyć wyraźne pokrewieństwo z biblioteką Ludwika XVI (przez Gabriela 1774) i z gabinetem Marii Antoniny (przez Rousseau 1783) w pałacu Versailles.

– Francuska wytworność i akademicka poprawność łączy się tu z włoską ekspresyjnością ruchu i owym barokowym contraposto. Obie te grupy bardzo miłe i dekoracyjne nie są jednak monumentalne.

– Leżące alegoryczne postaci „Wisła” i „Bug” są nieco późniejszej daty i wykazują już zupełnie klasycystyczny charakter.

Dwa marmurowe piękne wazony na tarasie są utrzymane w stylu Ludwika XVI, natomiast rzeźby na balustradach dachu oraz figury królów w niszach rotundy nie są pozbawione cech włoskich”.

str. 143 – „Plafon J.G.Plerscha w pokoju kąpielowym, wykonany w r. 1779 cechuje najzupełniej francuski charakter z połowy XVIII wieku.

– Plafony Bacciarellego pod względem stylu, faktury malarskiej i kolorytu są eklektyczne.

– W wielkich obrazach ściennych uwidoczni się pewna dążność do spokoju i klasycyzmu, którego głównymi przedstawicielami byli naówczas w Rzymie Dawid, Mengs i Canova. Malowidło ścienne w gabinecie na piętrze, przedstawiające chińskie miasto, tchnie w pomysł jeszcze duchem rokoka...”

str. 144 – „Fasada północna jest o cztery lata od południowej późniejsza (1788), w swej powadze już do klasycyzmu XIX wieku zbliżona, w ogólnej zaś koncepcji znacznie mniej oryginalna.

– Również, a może bardziej jeszcze znamienita jest ornamentacja sali Salomona”.

str. 145 – „Architektura tego wnętrza również nie daje się sprowadzić do Stylu Ludwika XVI, a przypomina raczej włoskie cinquecento, wydelikaczone i uproszczone w sensie klasycyzmu. Jeżeli gdzie, to właśnie w tej sali poznać można, że Merlini nie zapomniał tradycji swej ojczyzny i że loggie Rafaela nie były mu obce. Wpływ francuski ogranicza się do dyspozycji ornamentyki i do niektórych drobnych motywów. Sklepiony sufit i dekoracyjne obrazy Bacciarellego, wypełniające całkowicie wolne pola ścian zbliżają ogólny charakter tej sali jednocześnie do renesansu i do empiru. Najbardziej zaś włoska ze wszystkich sal jest rotunda, której pełne i jędrne ćwierćkolumny, kopuła, geometryczna posadzka, nisze z postaciami królów i różnorodność marmurów nasuwają jedno tylko nazwisko – Palladio”.

Argumenty były mocne. Tatarkiewicz wrócił do kwestii Łazienek dopiero w 1932 roku w książce pt. „Nowożytna architektura w Polsce od renesansu do klasycyzmu” i tak bardzo lakonicznie jak tylko było można oraz tylko w kwestiach bezspornych podzielił pogląd Lauterbacha.



Łazienki Królewskie w Warszawie – elewacja północna (Wikipedia).



Łazienki Królewskie w Warszawie – elewacja północna. (Foto M. S. 2014.10.11)



Rozdział 3

biały pion na e3
czarny goniec na b4

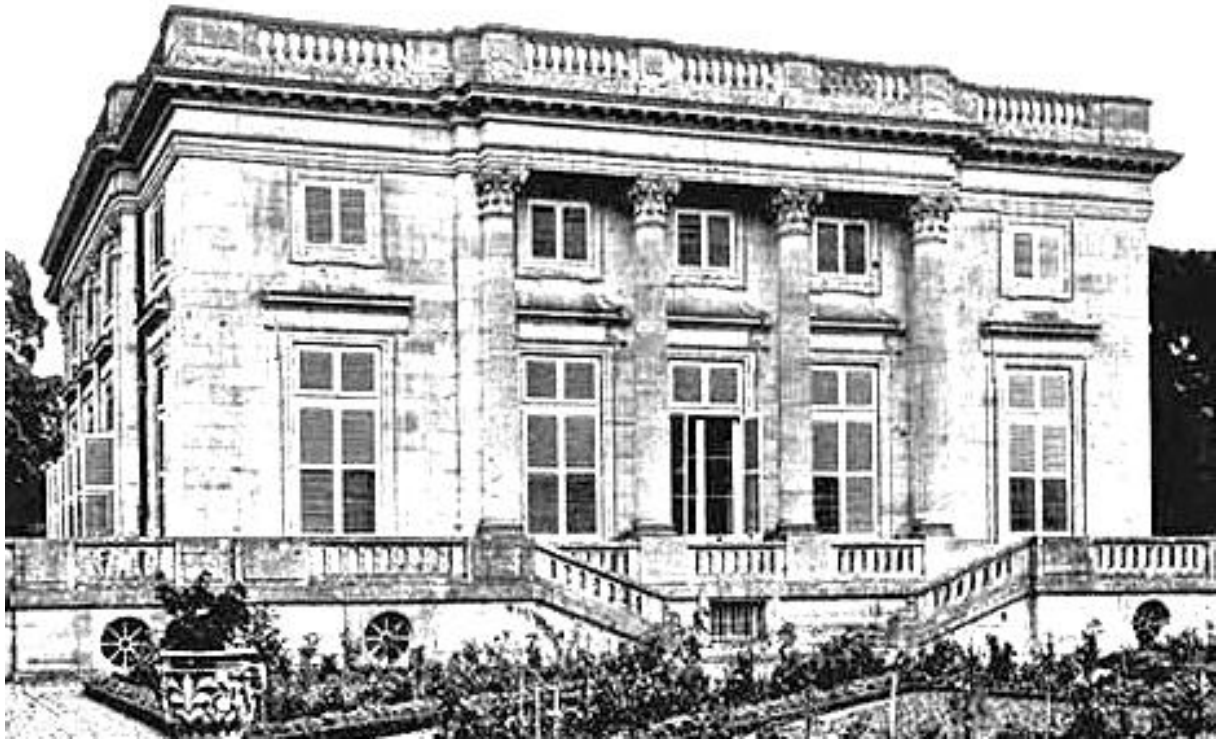
Dalsze lata już nic istotnego nie przyniosły na temat Łazienek. Dopiero w 1954 roku w albumie poświęconym Łazienkom natrafiłem na nieznanne mi stwierdzenie:

„Stanisław August był silnie związany z masonerią, odbiciem czego było powstanie sali poświęconej Salomonowi, mędrcomu biblijnemu, czczonemu przez masonów”.

Poza paroma jeszcze pozycjami, zresztą nieistotnymi, do lat pięćdziesiątych dwudziestego wieku o Łazienkach nie znalazłem nic więcej. Sam pałacyk był w zasięgu spaceru i choć odnowiony z zewnątrz, był starannie zamknięty. Przez bardzo brudne szyby dojrzeć mogłem tylko straszliwe zniszczenie. Tak więc wynik mojej pracy stawał się coraz bardziej wątpliwy, a teza nie do udowodnienia. Przy bliższym poznaniu pozory stylu rozpraszały się w tych aspektach i subtelnościach – nie umiałem niczego na tym zbudować. Kanony, których wymaga każdy styl, były bardzo enigmatyczne, a tu jeszcze miał to być nasz narodowy styl. Przecież same obce nazwiska. Ostało mi się parę sal, czy pokoi i wygląd zewnętrzny. Jednak w wystroju nawet sali Salomona przeważała w mej rozsądzającej wyobraźni masoneryjna treść nad domniemaną formą neoklasycyzmu warszawskiego. Piękny kształt i forma pałacyku łazienkowskiego urzekła mnie swym umiarem i zwartością. Do tego ideału piękna nie dało się już nic dodać – przestrzennie był to obiekt skończony i idealny. Tymczasem natrafiłem na projekty jednoznacznie stwierdzające, że obecny kształt jest tylko fragmentem zamierzonej wielkiej realizacji. W parku łazienkowskim stać miał jeszcze wielki pałac, mauzoleum oraz pawilony, mostki i fontanny. W niezrealizowanym wschodnim pawilonie pałacyku łazienkowskiego miało być muzeum nowoczesne, a w zachodnim teatr – oba skrzydła pałacu znacznie większe od samego pałacyku łazienkowskiego. To rozbiory Polski, przerywając zamiary dalszej wielkiej rozbudowy zdecydowały o architektonicznej dojrzałości obiektu.

Z całej analizy została mi jedynie niezaprzeczalnie piękna elewacja południowa – jej kanony architektoniczne i czas powstania stanowiły dostatecznie mocny bastion do obrony stylu i polskości.

Niestety. Dostojny album pod tytułem „Palais de Versailles Grand et Petit Trianon” wydany przez de E. Baldus’a w Paryżu w 1877 roku pogrążył mnie całkowicie. Na dwunastej od końca planszy ujrzałem elewację wersalskiego „Petit Trianon”, której wierną kopią jest południowa elewacja pałacyku łazienkowskiego. Tak więc nawet plagiat się pojawił. Moje zniechęcenie było wielkie. Na dodatek pochłonęły mnie kwestie, którymi nie zamierzałem zajmować się. Bardzo zaciekawiło mnie bowiem życie pałacyku, użytkowanie poszczególnych sal i pokoi oraz znaczenie całości pałacyku, jego części, elementów rzeźbiarskich i malarskich. Równie pasjonujące było prześledzenie tego, w jaki sposób fragmenty pozostające z różnych okresów przebudowy, wykonane przez różnych ludzi bazujących na innej wiedzy i tendencjach artystycznych, dały się stopić w tak dojrzały wyraz piękna.



Petit Trianon, Wersal.



Łazienki Królewskie, elewacja południowa, Warszawa.



ŁAZIENKI

Okladka albumu pt. ŁAZIENKI, Wydawnictwo *SZTUKA*
Warszawa, 1955



Łazienki Królewskie, sala balowa, stan w 2014 roku.



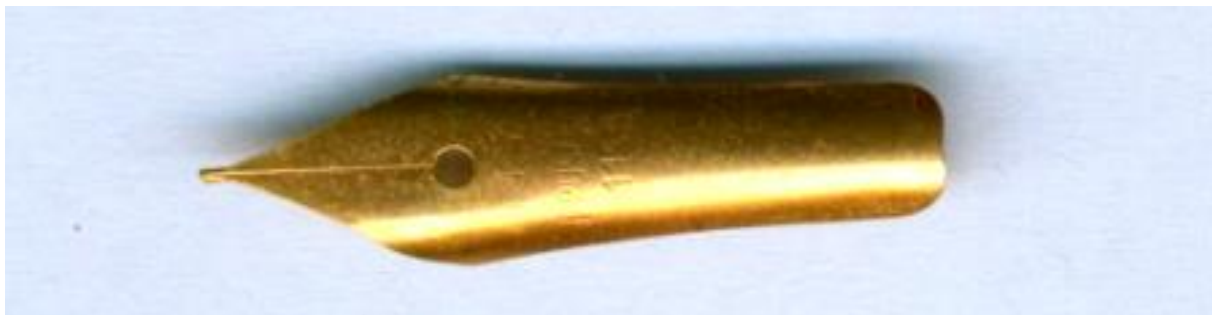


Wiele dni oddałem temu ogromnemu zainteresowaniu, a na finiszu czułem się jak chłopiec, który zapomniał, po co go posłano. Nie złożyłem Profesorowi na konkurs żadnej pracy. Zresztą już było dawno po terminie. Jakże mogłem złożyć coś takiego Profesorowi, który był gorącym orędownikiem wspaniałości stylu Stanisława Augusta.

Zresztą co innego było ważniejsze – sprawy tak brzemienne w skutkach, że aż strach o nich pisać wobec samouwielbienia nas Polaków. Z całym okrucieństwem dotarło do mnie, że w tych kilkudziesięciu latach, kiedy należało tworzyć wyłącznie zwartość narodu i potęgę państwa, bo była to najważniejsza potrzeba racji stanu, kiedy należało tworzyć siłę nowoczesnej armii na miarę potęgi sąsiadów, król pochłonięty był bez reszty wiciem sobie rozkosznego gniazdka na lato i to za pieniądze carycy Katarzyny II, bo jak świadczą fakty, caryca zasilała Stanisława Augusta przez wiele lat olbrzymimi subwencjami, byle tylko był powolny i byle zajmował się wszystkim, tylko nie ratowaniem Rzeczypospolitej. Światłe umysły tworzyły zręby ambitnej koncepcji państwa w oparciu o rewolucję francuską, koncepcji tak groźnej dla samodzielnia carów Rosji i cesarza Austrii oraz Prus, przybliżającej widmo rewolucji do granic Rosji, Austrii i Prus, natomiast jedyna siła – insurekcja postanowiła wyzwolić chłopów z poddaństwa przy tej okazji, zrażając sobie tym samym arystokrację polską i znaczną część szlachty, co wyeliminowało część narodu ze skutecznej walki z zaborcami. Wprost rozpacz, że tak słuszne sprawy były podjęte tak nie w porę. Wolałbym, abym nie musiał to napisać, ale o tym, że w ślad za wielu innymi mam rację, świadczą rozbiory Polski.

Król powinien był najpierw obronić Polskę przed zakusami zaborców, a potem dopiero wolno mu było stawiać letnią rezydencję w Łazienkach. Również po obronie Polski mógł na-
dejsć czas na Konstytucję 3 Maja, a nawet na uwłaszczenie chłopów.

*



Rozdział 4

biały hetman na c2
czarny goniec bije skoczka na c3

Zamiast się bawić i cieszyć swoją i innych młodością szukałem „materiału na żonę”. Niestety i one, zamiast się bawić i cieszyć swoją i innych młodością też szukały „materiału na męża”. W tym przypadku było tak: Były trzy moje koleżanki z grupy studenckiej na naszym roku. Ja najpierw zakwalifikowałem jedną z nich, potem po niewielkiej rozpaczy zakwalifikowałem drugą z nich, ale tu też nic z tego nie wyszło. Złośliwość losu zechciała, że trzecia z nich mnie właśnie zakwalifikowała, jako swój „materiał na męża”. Ja w tym przypadku nie byłem zainteresowany, a ona z kolei nie umiała zabrać się do sprawy. Zdobyła się na to tylko, że pozostałe dwie koleżanki któregoś dnia zasugerowały mi: – Może poszedłbyś z Ireną do kina... – Poszedłem. Na tym się skończyło. Choć niezupełnie.

Innego dnia Leszek zaproponował mi: – Wiesz, jedziemy całą paczką odwiedzić Irenę w jej domu w Górze Kalwarii, może pojechałbyś też? – Nie bardzo rozumiałem, skąd wziął się pomysł mojego udziału, ale zgodziłem się. Pojechaliśmy ciuchcią z dworca południowego, nas było siedem osób, na miejscu też było liczne grono, nikt nikogo nikomu nie przedstawiał, były tylko ogólne ochy i achy i wiele zamieszania. W pewnym momencie padł komunikat: – Idziemy, coś nam pokażą. – Przeszliśmy na jakąś ulicę i weszliśmy na plac budowy, gdzie były już mury domku. Mnie udzieliła się ogólna euforia i wypaliłem: – Oho! Będą nas szokować bogactwem, a panna na wydaniu. – Pech chciał, że koło mnie od jakiegoś czasu kręcił się nieznan mi mężczyzna i on to usłyszał, a był to ojciec Ireny. Czyżby rozpoznawał przyszłego zięcia? Nagle stało się jakoś niewyraźnie, zawiśliśmy, już nie weszliśmy do budowanego domu, jakoś miejscowi znikli. Nasza paczka była wyraźnie skonfundowana. Ojciec Ireny obraził się dokumentnie, a Leszek rzekł do mnie: – Powinieneś wrócić do Warszawy. – Zostawiłem ich, znów wsiadłem w ciuchcią i jechałem do Warszawy.

Rozpamiętywałem całą sprawę, ale moja konkluzja była jednoznaczna. Irena nie wchodziła w rachubę dla mnie na żonę, bo mieszkała poza Warszawą, a ja już wiedziałem, że moja żona musi mieć stałe zameldowanie w Warszawie, abym tym sposobem (a był to jedyny sposób) uzyskał prawo do zamieszkania na stałe w Warszawie, gdzie były moje biblioteki, bez których już nie umiałbym żyć. Tak sprecyzowało się moje zasadnicze kryterium wyboru.

*

W tych paru latach rzucałem się na coraz to inne wyzwania, wszystkiego musiałem spróbować.

Zbliżała się olimpiada 1956 roku w Melbourne i został ogłoszony konkurs na polski plakat olimpijski. W czasie wakacji popracowałem i wysłałem swój plakat na konkurs. Nie został dostrzeżony, ale byłem z niego dumny.



Maniek Sokołowski - robię plakat olimpijski na konkurs - Sosnowiec - wakacje 1955 roku

*

Byłem podatny na sugestie. Kolega z akademika studiujący rok wcześniej szukał kogoś, kto by z nim wyjechał do Zakopanego na narty, bo we dwóch byłoby taniej, nikt nie chciał jechać, a ja się dałem namówić. Zachęcał, że znalazł bardzo tani pokój, mieliśmy dostawać od góralki tylko ugotowane ziemniaki, a my postanowiliśmy zabrać ze sobą w słoikach wiele porcji kotle-tów. Nigdy w życiu nie jeździłem na nartach, nie miałem nart, ale szczęśliwym trafem miałem odpowiednie buty do nart – w tych latach mężczyźni gremialnie chodzili całą zimę w spodniach i butach narciarskich. Narty musieliśmy kupić. Znaleźliśmy najtańsze, niestety były zwichrowane, ale kupiłem. Sam musiałem je okuć po brzegach stalowymi płaskowniczkami, musiałem zamontować okucia – kandahary się zwały.



Okucia do nart typu kandahary.

Wylądowaliśmy w Zakopanem na Jaszczurówce. W Zakopanem było ponuro, nisko sunęły ciemne chmury, ze śniegiem było słabo, podobno tylko wyżej w górach był. Było też go trochę po północnej stronie za chałupami. Za naszą chałupą w ogródku było trochę śniegu i był tam niewielki spadek. Na nartach poćwiczyłem tam kilkumetrowy zjazd, a kolega pokazał mi, jak się jeździ pługiem i tyle było mojej edukacji. Kolejka linowa na Kasprowy Wierch była niedostępna – tak dużo było chętnych, bo tam jedynie był śnieg. Nie było innego wyjścia, wstałem o piątej rano i na przełaj dotarłem do Kuźnic, stanąłem w długiej kolejce, ale bilety dostałem. Teraz już we dwóch ze sprzętem wjechaliśmy na Kasprowy Wierch. Tam na stacji pod sufitem wisiała wielka deska z napisem: „PANUJ ZAWSZE NAD NARTAMI!” Ten apel mnie uratował.

Wyszliśmy przed stację kolejki, tu rzeczywiście był śnieg i wreszcie piękne słońce, a na zboczu jeden za drugim narciarze zjeżdżali szusem jak po szynach po jedynych śladach. Kolega stwierdził, że muszę zjechać przed nim. Cóż było robić, zacząłem jechać, coraz szybciej, nartami okropnie szarpało, byłem przerażony, powtarzałem sobie to „panuj nad nartami” i szusowałem, aż przeciwległe zbocze zaczęło się podnosić i to mnie wyhamowało. Potem już pługiem, po kilkadziesiąt metrów zjechałem do Kotła Hali Gąsienicowej. Tu byłem świadkiem, jak jednemu narciarzowi odpięła się narta i zrazu niepozornie, a potem coraz szybciej sunęła w dół, stawała się coraz mniejsza, aż straciłem ją z oczu, a po chwili na tle lasu wyprysnęły w górę drzazgi z tej narty.



Na Kasprowym Wierchu nadal tak samo przez dziesięciolecia.



Zimą z Kasprowego Wierchu zjeżdża się po tej ścieżce.



Kocioł Hali Gąsienicowej.

W Kotle już było nieco łatwiej i znów po kawałku pługiem zjeżdżałem dalej. Przed Kuźnicami nawet ten mokry śnieg się skończył. Następnego dnia tak samo dotarliśmy na Kasprowy, ale tu kolega zapragnął zjazdu na Halę Goryczkową. Przeszliśmy za stacją meteo na drugą stronę Kasprowego. Tu nikt nie jeździł, a zbocze było tym razem wypukłe, przynajmniej na pierwszym widocznym odcinku. Znów mnie wypadło pierwszemu jechać w nieznaną. Okazało się, że wierzch pokrywy śnieżnej był zmarznięty, była całkiem solidna skorupa. Po przejechaniu kilkunastu metrów skorupa zaczęła pękać pod mną, narta dostała się pod skorupę śnieżną i podczas upadku złamała się. Mnie nic się nie stało. Nawet byłem zadowolony z takiego rozwoju sytuacji. Połamane narty zwiozłem kolejką i na tym moje wyczyny narciarskie się skończyły, zresztą i śnieg gwałtownie się kończył. Następnymi dniami wędrowałem samotnie na Nosal ścieżką od wschodu, a tam w pełnym słońcu mogłem oglądać Tatry. Kolega zmienił zainteresowania, znalazł sobie jakąś babę w sąsiednim domu wypoczynkowym i z nią spędzał dnie i noce. Któregoś dnia kolega postanowił zapłacić gospodyni i ku mojemu przerażeniu okazało się, że znana mi cena jest nie za pokój, lecz za łóżko. Niedowierzałem koledze, jakoś zapłaciłem, ale żeby mieć na pociąg, musiałem wyjechać tego samego dnia. Kolega został.

*

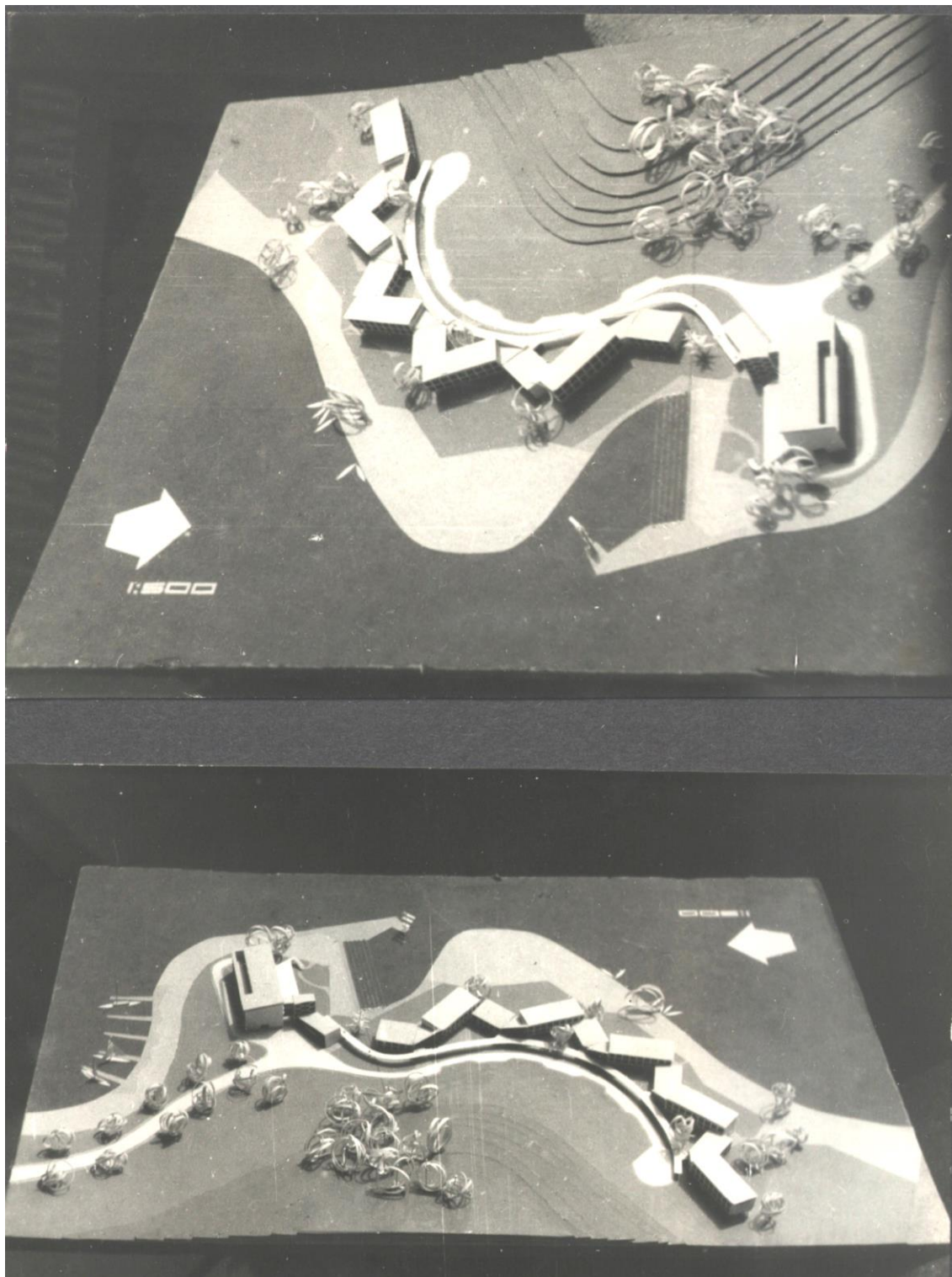
Już wykonywałem pierwsze projekty na Wydziale Architektury.

Zacząłem od projektu domu rzeźbiarza u profesora Zbigniewa Karpińskiego. Asystent, architekt Leszek Kołacz, (z którym później miałem wiele do czynienia w pracy po studiach) robił mi korekty, tłumaczył i projekt powstawał. Któregoś dnia, gdy wszedłem do Zakładu z projektem, było tam szereg osób. Stałem zażenowany, ale ktoś poprosił, abym pokazał mój projekt. Demonstrując, zwróciłem się do rozmówcy, jak dotychczas do wszystkich asystentów – panie inżynierze – ten się nieznacznie zachnął, projekt pochwalił, zwrócił mi uwagę, że nie zna słowa „hol”, że powinienem pisać „hall”. Gdy odszedłem, z przerażeniem dowiedziałem się, że był to

profesor Karpiński. Dla mnie dotychczas profesorami byli ci, którzy prowadzili wykłady, a profesor Zbigniew Karpiński był pierwszym poznanym mi profesorem uczącym nie poprzez wykłady, lecz przez nauczanie projektowania bezpośrednio na desce kreślarskiej.

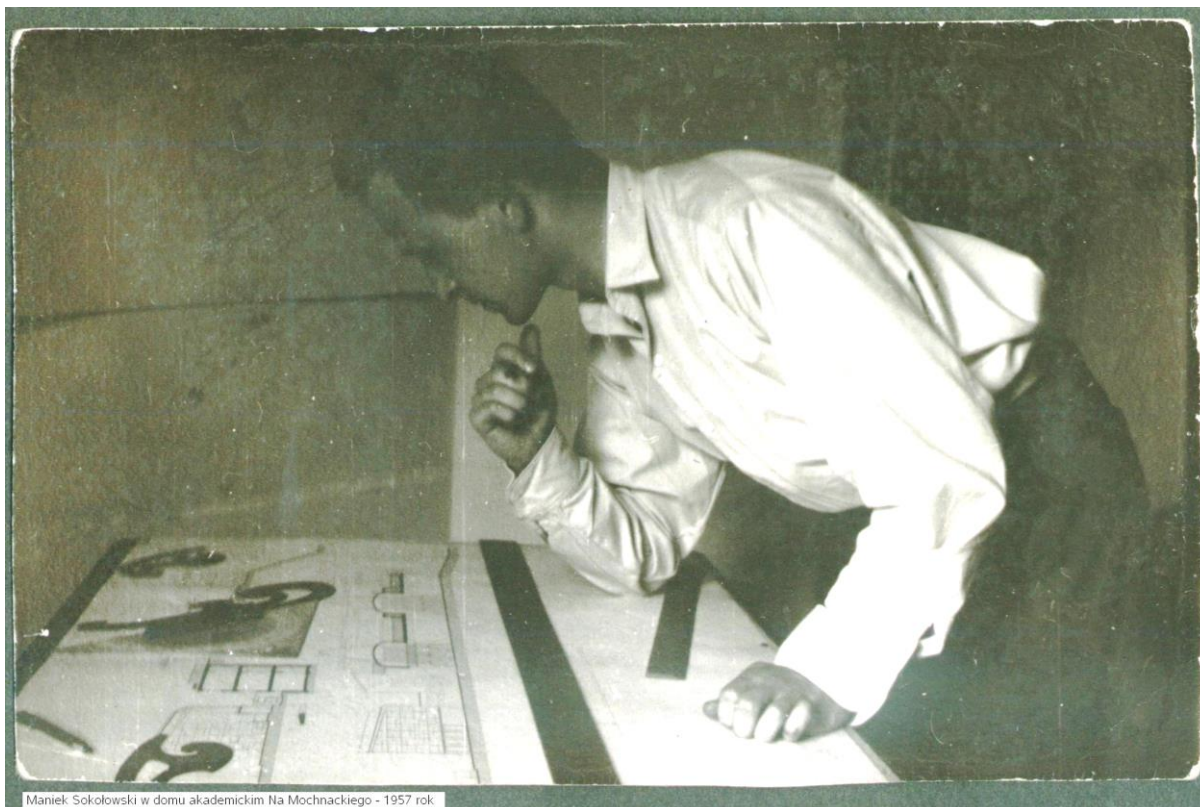
*

U profesor Barbary Brukalskiej wykonałem projekt ośrodka wypoczynkowego nad jeziorem gdzieś na Mazurach.



Projekt moim zdaniem się udał, był śmiały. Zrobiłem pierwszą w życiu makietę. Pani profesor zaczęła wątpić w moją propozycję, aby co drugi pawilon był na słupach, stwierdziła, że to znacznie podniesie koszty. Bronilem się, że chciałem w ten sposób poprzez prześwit pod pawilonami połączyć brzeg jeziora z pozostałym terenem. Nie była przekonana. Ja niestety nie byłem trzeźwy. Powiedziałem, że jeżeli woli, aby nie było prześwitów, to proszę bardzo i zacząłem wciskać kolejne pawilony, a było to łatwe, bo teren był z miękkiej płyty pilśniowej, a pawilony umieściłem na szpilkach. Pani profesor poczuła alkohol, kazała zostawić projekt, a mnie wygoniła do domu. Jednak sprawiedliwie dała cztery minus.

U profesora Jerzego Hryniewieckiego projektowałem dworzec Warszawa – Solec. Tu dałem propozycję odważnej wiaty nad peronami zakomponowanej na trójkątach. Również wyjście z peronów wprowadziłem między torami bezpośrednio pod wiadukt kolejowy.



Mianiek Sokolowski w domu akademickim Na Mochnickiego - 1957 rok

*

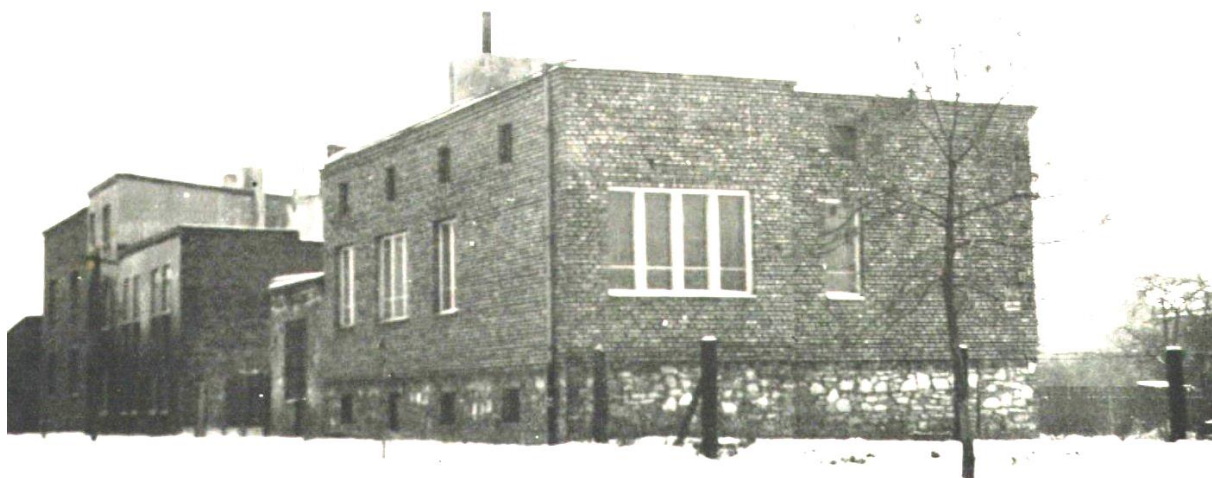
Rodzice kupili upragnioną działkę w Sosnowcu na ulicy Grabowej 9. Któż inny jak nie ja musiał wykonać projekt. Jako architekt jeszcze nie mogłem wykonywać projektów do realizacji, ale jako technik budowlany wolno mi to było zrobić.

Popracowałem i zrobiłem projekt ślicznego domku, bardzo współczesnego, chyba i Gropius by się nie powstydział, a już go rozpoznałem w bibliotece. Jedne południowe okna od salonu były bardzo duże, inne okna były poziome i wąskie, bryły wyważone – cudo! Rodzice nie byli przygotowani na taką architekturę i z zażenowaniem jakoś poprosili o jeszcze inną propozycję.

Wpadłem w drugą skrajność. Postanowiłem zabudować działkę trzema segmentami do realizacji w różnym czasie, najpierw segment dla rodziców, potem dla brata i może ostatni dla mnie. Segment był prościutki i był najwłaściwszym pomysłem, bo relatywnie najtańszy. Ojciec poniósł projekt do urzędu miasta, a tamtejszy architekt stwierdził: – Panie Sokołowski, to nie dla pana. Pan musi mieć willę, a nie malutki segment. Zabudowa segmentowa się nie przyjmie.

Zrobiłem trzeci projekt. Tym razem przewidziałem warsztat w płytkiej piwnicy, a na parterze i na dwóch piętrach trzy samodzielne mieszkania, mieszkania według rozwiązań francuskich: z sieni wchodziło się do małego przedpokoju, z którego było wejście jedynie do salonu i z boku

do kuchni. Za tym był drugi przedpokój, skąd wchodziło się do dwóch sypialni, do łazienki i do dużej kuchni jadalnej – jak na Śląsku. To zostało przyjęte przez urząd i rodziców, ale zrealizowano jedynie warsztat w piwnicy i parter, który przez lata i z wielkim trudem był wykończony.



dom Czesławy i Stanisława Sokołowskich - Sosnowiec, ul. Grabowa 9 - lata 60-te XX wieku

*

W lipcu 1956 roku wyjechaliśmy całym rokiem do Przemyśla, gdzie pod kierownictwem docenta Czesława Krassowskiego inwentaryzowaliśmy stare kamienice przy rynku.



Przemyśl – inwentaryzowaliśmy ten podparty dom.



Przemyśl, inwentaryzowanie budynku.



Przemyśl, widok z dachu domu, który inwentaryzowaliśmy.
Pośrodku wolnostojące piętrowe klozety nieskanalizowane dla mieszkańców,



Przemyśl, widok z około roku 2010.

W czasie tej praktyki miałem dość nieprzyjemną przygodę. Wyjechaliśmy zwiedzać Łańcut i podczas zwiedzania wozowni, która mnie bardzo zaciękała, zagapiłem się z jednym kolegą i gdy wyszliśmy, już wszyscy odjechali. Była to złośliwość docenta, bo przecież jechaliśmy autokarem i mogli chwilę poczekać. Pociągu tego dnia już nie było, spaliśmy tej nocy na polu w snopkach, a wróciliśmy jednak na śniadanie.

*

Byliśmy też w kolejne wakacje na praktyce urbanistycznej w Szamotułach. Kierował nami architekt Jurek Skrzypczak (a po piętnastu latach miałem ja nim kierować, ale o tym będzie w czwartej pecie, która nosi tytuł „Samczy happening”). Byliśmy tam w pięcioro – Basia Rutka i nasz nierozłączny cały pokój z akademika – czterech chłopaków, a inwentaryzacja Szamotuł polegała na tym, że chodziliśmy z planami miasta będącymi w małej skali (1:500), stąd tych planów było kilkadziesiąt, i na tych planach zaznaczaliśmy ilość kondygnacji, rodzaj dachu oraz czy dom murowany, czy też drewniany. Również dorysowywaliśmy nowe domy.

Jednocześnie szukaliśmy dziewczyn. Za jedną pojechaliśmy nawet do Wronek. Ona sprowadziła koleżanki i rozłożyliśmy się w poprzek na dwóch łóżkach i się „migdaliliśmy” – tak to się wówczas nazywało, ale były to tylko pieszczoty, choć nieszczerłone, bo przecież nie byliśmy ekspertami w temacie.

Kolejnym razem byliśmy tylko z tą jedną z kocami na trawie. Złożyło się, że koledzy gdzieś odeszli, a ona zaczęła namawiać mnie, abym zapalił papierosa, wszyscy wówczas palili papierosy, tylko ja byłem niezłomnym harcerzykiem. Wreszcie ona stwierdziła: – Ja i tak im powiem, że paliłeś papierosy. – Odrzekłem: – A ja im powiem, za jaką cenę.

Tak też się i stało. Były to żarty, ale nie na żarty obraził się Grzesiek, który do niej startował całkiem poważnie. Z takich wypraw wracaliśmy późnym wieczorem, a Basia czatowała w oknie i nas wpuszczała do już zamkniętego internatu, w którym mieszkaliśmy.

Pod koniec pobytu nasz opiekun zaproponował, abyśmy zostali jeszcze kilka dni i na kolejnym komplecie planów podjęliśmy się wykonać kolorową kopię inwentaryzacji. Potem zawieźliśmy ją do Poznania, gdzie urząd od ręki nam zapłacił.



*

Przed wojną w karnawale bale architektów w Warszawie cieszyły się wielką renomą, były najważniejszym balem w karnawale, były gwoździem programu tak jednoznacznym, że za którymś balem zaproszenie było autentycznym dużym stalowym gwoździem, a na nim była wytłoczona treść zaproszenia.

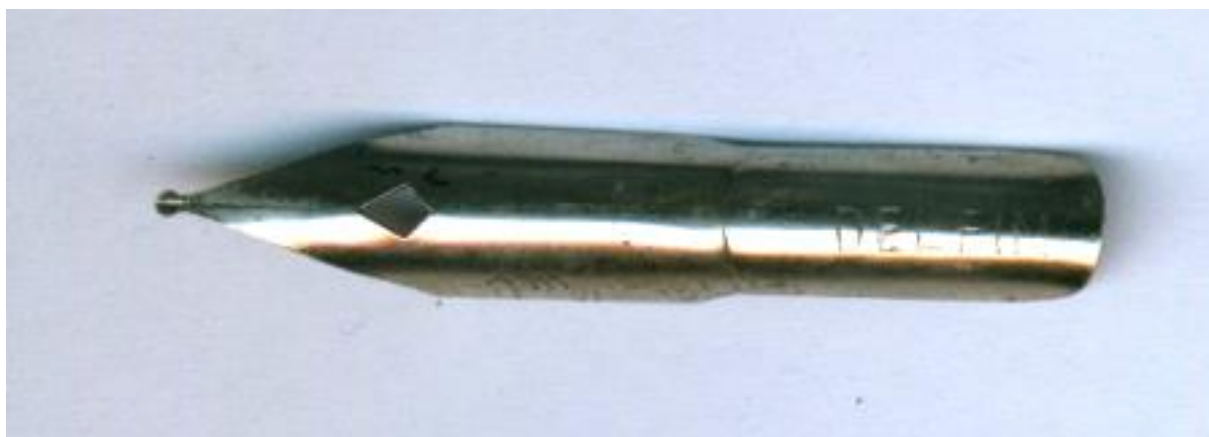
W roku 1956, a może 1955 postanowiono wrócić do tradycji i zaczęto organizować bal architektów na Wydziale. Musiało mnie być wszędzie pełno i byłem dobrym rysownikiem, bo asystent Jan Szymański, który należał do organizatorów balu, mnie zlecił zaproponowanie dekoracji balu. Bal miał się odbyć w całym budynku na wszystkich piętrach. Dobrałem sobie grupę studentów z roku i zaproponowaliśmy dekorację głównej sali w postaci czaszy nad orkiestrą, jako układ lin jak w konstrukcji wiszącej, między którymi niektóre pola były pełne i kolorowe. Trzeba było też udekorować korytarze i inne sale, a koledzy nie mieli pomysłu. Postanowiłem roz-

wiesić pod sufitem wszystkiego ciągnącą się swobodnie bez przerw wstęgę tektury karbowanej. Polutowałem z drutu przestrzenny schemat gmachu i na tej makiecie pociągnąłem wstęgę, tak jak sobie wyobrażałem jej przebieg. Organizatorzy uznali projekt za śmiały i się zgodzili. Dali pieniądze na potrzebne materiały, a dla nas jako zapłata był wstęp wolny na bal. Napracowaliśmy się setnie, ale dekoracja była zrobiona na czas. Byliśmy też pierwszymi gośćmi balu. Potem pojawiali się zasadniczy goście, podjeżdżali dorożkami, panie w długich sukniach, panowie we frakach, a może były to smokingi, a mnie robiło się coraz bardziej markotno, bo byłem w zwykłym ubraniu studenckim. Nie pasowałem do tego towarzystwa. Po godzinie wypiliśmy w rozgoryczeniu pół litra czystej i zanim zaczęła działać, jakoś dowlokłem się do akademika.



Plakat jednego z powojennych balów Wydziału Architektury w Warszawie.

*



Rozdział 5

biały hetman bije gońca na c3
czarny hetman na e7

Zorganizowałem wyprawę w Tatry. Udział wzięli: Zbyszek, Grzesiek i moi dwaj bracia: Witek i Tosiek. Rysiek miał do nas dołączyć, ale nie dołączył. Znaleźliśmy się na początku Doliny Kondratowej. Wtedy jeszcze wolno było nocować w lesie. Zrobiliśmy namiot z pałatek, nacięliśmy gałązek świerkowych, na nich rozłożyliśmy kolejne pałatki, rozłożyliśmy koce i spanie było gotowe. Posililiśmy się przywiezionymi zapasami, ale chleba mieliśmy mało. Wybrałem się na poszukiwanie sklepu i po paru godzinach doszedłem aż do Witowa. Tu był sklep i na szczęście mogłem kupić dwa duże bochenki chleba. Powrót był równie długi, ale koledzy rozpalili ognisko i tak ich znalazłem mimo nocy.



Ranek w Dolinie Kościeliskiej.

Następnego dnia wyruszyliśmy w Tatry. Szliśmy bardzo dziwnie, bo Zbyszek z Grześkiem rwali do przodu. My bracia w trójkę nie nadążaliśmy za nimi, ale i tak wyprzedziliśmy wielu turystów. Gór właściwie nie widzieliśmy, tylko tę kamienistą ścieżkę pod nogami. Zbyszek z Grześkiem co jakiś czas się zatrzymywali na odpoczynek, ale gdy tylko dochodziliśmy do nich, zrywali się i znów gnali do przodu, nie dając nam czasu na odzyskanie sił. W takim stylu przelecieliśmy przez doliny Kondratową, Strażycką, przez Halę Ornak, Czerwone Wierchy, przez Halę Goryczkową i Halę Gąsienicową. Tu koło Murowańca zanocowaliśmy.

Trzeciego dnia przez Zawrat zesliśmy do Doliny Pięciu Stawów, ale i tu nie zabawiliśmy długo, bo przez Świstówkę zesliśmy na drugą stronę i zobaczyliśmy Morskie Oko. Oczywiście po drodze każdego dnia parę razy się pożywialiśmy. Tu wysoko ponad Morskim Okiem nagle uświadomiliśmy sobie, że przelecieliśmy całe Tatry i że już nie mamy gdzie dalej gnać.



Przełęcz Iwaniacka.

Zaproponowałem, abyśmy zanoceowali pod znanym mi Nosalem, więc przez Gęsią Szyję późno w nocy dotarliśmy pod Nosal. Noc była wspaniała, zobaczyliśmy po raz pierwszy w życiu zorzę polarną.

Teraz sam w to nie wierzę, że przez dwa dni tyle przelecieliśmy, ale faktem jest, że wyruszyliśmy z Doliny Kościeliskiej, widzieliśmy z góry Giewont, przeszliśmy po łańcuchach przez Zawrat, a spaliśmy koło Jaszczurówki.

Kolejnego dnia pojechaliśmy pociągiem do Nowego Targu, gdzie nasza wyprawa się rozpadła, bo koledzy poznali jednego przyszłą żonę, drugi się gniewał, bo mieliśmy jeszcze dotrzeć do niego do Starego Sącza, a my już mieliśmy dosyć i chcieliśmy wrócić do domu. I dobrze, bo w Sosnowcu okazało się, że mamy tyfus.



Ostatni biwak koło Nowego Targu.

*



Rozdział 6

biały pion na a3
czarny pion na a5

Zapraǳnęliśmy też wody. Zorganizowaliśmy spływ kajakami, ale żeby wypożyczyć kajaki, musieliśmy zdać egzamin pływacki. Na basenie Legii musieliśmy przepłynąć dwie długości i 15 metrów pod wodą. Karty pływackie dostaliśmy i z przystani na Czerniakowie popłynęliśmy Wiślą w trzy kajaki.



Rozpoczęcie spływu kajakowego na Cyplu Czerniakowskim.

W ciągu czternastu dni musieliśmy być z powrotem, aby oddać kajaki. Toteż płynęliśmy bardzo szybko, minimum 80 kilometrów dziennie. Nocowaliśmy na kolejnych łachach na Wiśle.



Biwak na Wiśle.

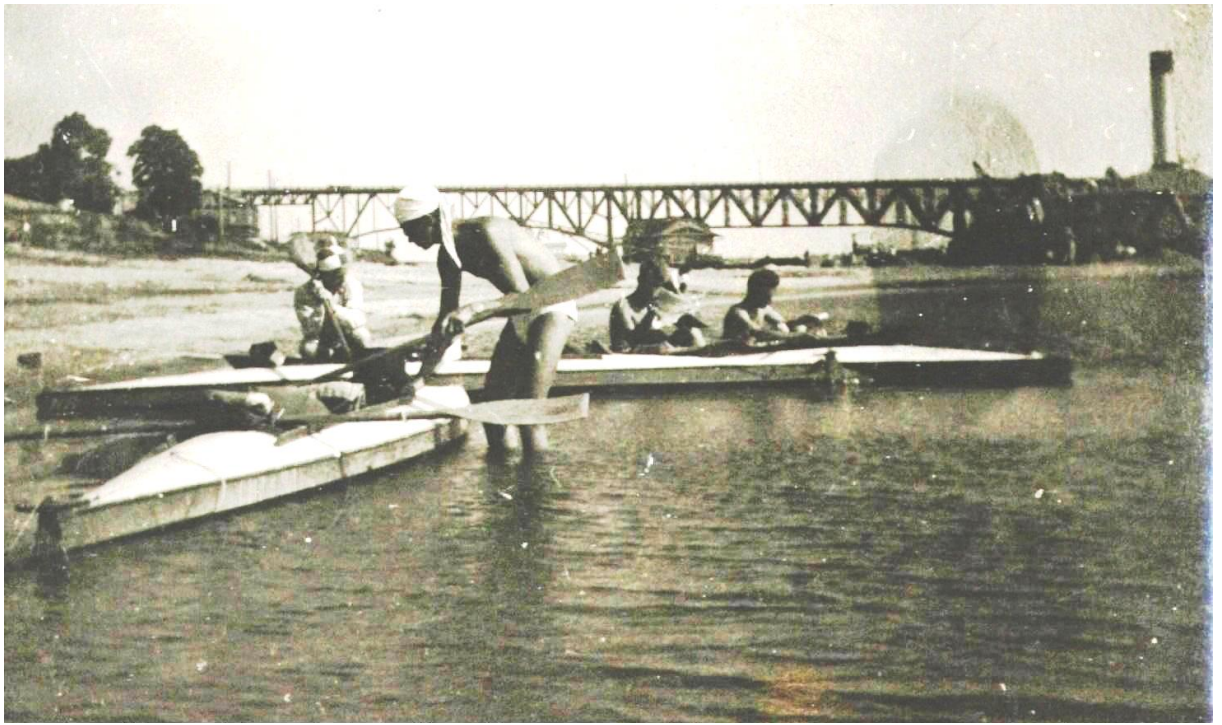
Tak sobie bez troski płynęliśmy, nie mieliśmy kontaktu ze światem, nie mieliśmy radia, nie wychodziliśmy na brzegi, a tu za nami sunęła wielka fala powodziowa. Szczęście nam sprzyjało, bo fala nas nie dogoniła.



Biwak na Wiśle.

Stanowiliśmy niby zgraną grupę, ale napięcie niepostrzeżenie rosło, jakoś każdy z nas miał zbyt duże mniemanie o sobie. Na dodatek tym morderczym wysiłkiem byliśmy wszyscy bardzo zmęczeni. Od słowa, do słowa i wybuchła nagle kłótnia. Kostek, ku wielkiemu zaskoczeniu wszystkich, nagle oświadczył, że w takim razie on przestaje brać odpowiedzialność za nas wszystkich. Było to monstualne oświadczenie, bo skąd mu strzeliło do głowy, że on tu za kogoś odpowiada. Ktoś mu to wygarnął wprost. W tej sytuacji Kostek postanowił niezwłocznie wrócić do Warszawy, a byliśmy już we Włocławku, tyle że miasto było na przeciwległym brzegu i trzeba go było tam zawieźć, a nikt nie chciał. Była to sytuacja o tyle nieprzyjemna, że zdekompletowała się załoga jednego kajaka.

Postanowiłem go przewieźć przez Wisłę, ale po drodze ułagodziłem go i obiecałem, że teraz dalej ja z nim popłynę w jednym kajaku i nie wrócił do Warszawy. W konsekwencji nadal płynęliśmy Wisłą, tyle że jeden kajak sobie i dwa kajaki sobie. Odtąd miałem milczącą wyprawę.



Spływ kajakowy pod Włocławkiem.

Płynęliśmy sobie Wisłą, a dokładnie przed nami była dziwna chmura, bardzo wysoka, a my zbliżaliśmy się do Grudziądza. Nagle zerwał się silny wiatr, fala wzrosła niebezpiecznie, zaczął padać deszcz, pościągaliśmy koszule i pochowaliśmy je w głąb kajaków, aby nie zmokły. Z trudem dopłynęliśmy do lewego brzegu, ale zaczął sypać coraz większy grad. Trzeba było zabezpieczyć kajaki przed porwaniem. Nadludzkim wysiłkiem złapałem swój kajak i trzymając go nad głową wyniosłem wysoko na brzeg, koledzy już tymczasem skryli się w szuwarach. Grad siekł moje gołe ciało aż do krwi – w życiu takich batów nie dostałem.



Postój pod Grudziądem.

Dopłynęliśmy aż do Malborka, a dalej przez Nogat trzeba było skręcić w prawo w odnogę Kanału Elbląskiego, a tu była niespodzianka, bo połączenie kanału z Nogatem było w postaci przegrody, która miała przepust, przez który wylewała się woda z kanału do Nogatu – dosłownie wylewała się, bo poziom wody w kanale był o metr wyższy niż w Nogacie. Musieliśmy wskoczyć kajakami przez ten próg do kanału, ale mieliśmy już taką krzepę w rękach, że przeskok się udał. Wrażenie było zaskakujące, bo nagle znikły fale i dalej płynęliśmy już po bardzo spokojnej wodzie.



Na Kanale Elbląskim.



Na kanale Elbląskim.

Przeplłynęliśmy wszystkie atrakcje Kanału Elbląskiego, przez śluzy i przez wzniesienia jadąc na szynach. W jakiejś miejscowości załadowaliśmy kajaki na pociąg i wylądowaliśmy nad Śniardwami. Po ogromnych Śniardwach płynęliśmy tak, że niemal nie było widać brzegów, a w pewnym miejscu z wody wystawał słup i na nim były deski z napisami, w którą stronę co jest.



Biwak przy ujściu kanału ze Śniardw do Jeziora Roś.

Po przepłynięciu Jeziora Roś dostaliśmy się do Pisy i jej meandrami i zakolami płynęliśmy do Narwi.



Stanica nad Pisą.

Byliśmy coraz bliżej domu, bo dotarliśmy do Narwi. Tu dopiero zaczęto prace przy budowie tamy i Zalewu Zegrzyńskiego. Gdy dotarliśmy do Wisły, przewieźliśmy kajaki statkiem do Warszawy. W ciągu 14 dni przepłynęliśmy około 1500 kilometrów. Dłonie miałem zupełnie zeszywniałe i zgięte jak do trzymania wiosła – długo nie mogłem rysować, czy kreślić.



*

Rozdział 7

biały pion na b3
czarny pion na d5

Ojca Cechu Blacharzy w Sosnowcu postanowił ufundować sobie sztandar. Oczywiście ja musiałem im go zaprojektować. Przez kilka tygodni zaprojektowałem i narysowałem ten sztandar w skali 1:1 na kalce technicznej. Potem zakonnice pięknie go wyhaftowały i nawet uprosiły, abym im ofiarował te kalki. Pracę wykonałem bezpłatnie, honorowo i dostałem zaszczytu bycia ojcem chrzestnym sztandaru. Potrzebna była i matka chrzestna. Wybór padł na córkę blacharza Windysa, a Windys był wieloletnim bliskim znajomym moich rodziców – jeszcze od czasów życia na Piaskach. Dziewczyna bardzo mi się spodobała i w najlepsze tokowaliśmy ku zachwytowi obojga rodziców. Też sobie myślałem, niech się spełni marzenie i połączymy wreszcie te dwie rodziny. Jednak dziewczyna już miała innych chłopaków i po paru godzinach przebywania ze mną ulotniła się na spotkanie ze swymi kolegami. Czyli los chciał inaczej.



Sztandar Cechu Blacharzy w Sosnowcu.



Poświęcenie sztandaru Cechu Błacharzy w Sosnowcu, 1958.3.2

Poświęcenie sztandaru Cechu Błacharzy w kościele św. Tomasza.



UROCZYSTOŚĆ POŚWIĘCENIA SZTANDARU BŁACHARZY
W SOSNOWCU
2 - III - 1958 R.

*

Porywałem się i na inne zadania. Miały się odbyć Akademickie Zimowe Mistrzostwa Świata. Wiele konkurencji rozgrywano w Zakopanem, a hokej na lodzie był rozgrywany na Torwarze w Warszawie. Jakoś zwrócono się do Wydziału Architektury, a tu wskazano na mnie. Trzeba było udekorować Torwar na tę uroczystość. Wobec organizatorów wystąpiłem z wielką butą, na wszystkim się znałem i o wszystkim miałem swoje zdanie. Tym razem skutecznie przekonałem organizatorów, że powinni zlecić nie tylko wykonanie dekoracji, lecz również konserwację jej przez cały czas trwania zawodów. Organizatorzy skwapliwie mi zlecili całość wraz z konserwacją. Dobrałem sobie sześciu studentów.

Plakat mistrzostw przedstawiał trzy flagi, niebieską, czerwoną i chyba białą. Na jednej z tych flag była sylwetka skoczka narciarskiego, na drugiej sylwetka łyżwiarza, a na trzeciej hokeisty. Flagi przymocowane były do zwisających lin z trzech masztów. Ja również na ścianie frontowej Torwaru wykonałem identyczną dekorację, były trzy słupy, były trzy grube liny i trzy duże flagi należycie udrapowane jak na plakacie.

Budowa Torwaru nie była ukończona, prefabrykowany dach nad trybunami nie miał pokrycia i wykończenia, z końców elementów nośnych dachu wystawały nadal pręty. Nad płytą lodowiska nie było dachu. Postanowiłem to wykorzystać i na tych drutach zamocowałem zwisające w dół flagi wszystkich uczestników igrzysk.

Na lodzie pośrodku wymalowaliśmy znak Mistrzostw – śnieżynkę i odpowiedni, obiegający ją w koło napis. Myślę, że co najmniej na Torwarze po raz pierwszy pojawił się taki malunek na lodzie, a rozwiązanie to obserwowałem przez kolejne dziesięciolecia na lodowiskach świata.

Pracowaliśmy bardzo ciężko. Pamiętam, że tam pod Pałacem Kultury Gomułka przemawiał do ogromnych tłumów, a my nie poszliśmy, dekorowaliśmy lodowisko, ale w przeddzień wieczorem było gotowe i byliśmy dumni z wyniku.

Jeszcze tylko trzeba było wymalować wiele tabliczek informujących w kilku językach, gdzie są szatnie i temu podobne pomieszczenia. Była już późna noc, a my w akademiku staliśmy przerażeni przed tą wielką pracą, na którą nikt nie miał siły. Zdecydowałem się i sam wymalowałem pędzlem i czarną farbą pismem odręcznym wszystkie napisy. Zajęło mi to dwie godziny, ale organizatorom się spodobało, uznali, że to takie świeże.

Udało się. A gdy przyszedłem pod Torwar rano, cała nasza dekoracja właściwie była zniszczona. W nocy spadł duży marznący deszcz i moja frontowa dekoracja wyglądała przeraźliwie skuta tym lodem. Również flagi na brzegu dachu były niewidoczne, bo wiatr je powyrzucał na dach i skuł tym marznącym deszczem. A ja sam namówiłem organizatorów, aby nas obciążyli wyglądem dekoracji przez cały czas trwania mistrzostw.

Jakoś przeżyłem.



Torwar około 1960 roku.

*

W domu akademickim na Placu Narutowicza w gmachu głównym była duża sala gimnastyczna i tu co sobotę odbywały się zabawy. Były to szczególne zabawy. Dom miał złą opinię, dziewczyny obawiały się przychodzić, ale zawsze jakaś ilość przychodziła. Tyle że chłopaków chcących tańczyć było znacznie więcej. Po każdym tańcu dziewczyny zasiadały wianuszkami na krzesłach ustawionych wzdłuż ścian, a chłopcy stali na środku, pozornie rozmawiali ze sobą, ale każdy wypatrywał dziewczynę, z którą by chciał zatańczyć. Gdy orkiestra podnosiła instrumenty i zanosilo się, że za chwilę zagra, chłopcy stawali nieledwie w blokach startowych i z pierwszym dźwiękiem rzucali się do swych wybranek. Oczywiście wielu nie tańczyło, wśród nich ja.

Tańczyło się wszystko w rytmie rock and roll, a ja umiałem tańczyć tango, walca i oberka. Stałem na ogół przy orkiestrze i słuchałem, i obserwowałem. Nie wiem, skąd brano te zespoły, ale grali rewelacyjnie, zawsze była jakaś solistka z dobrą dykcją angielską. Było mi co podziwiać. Miałem szczególne upodobanie. Orkiestra grała bardzo głośno, a ja usiłowałem usłyszeć dźwięki kontrabas – nigdy mi się nie udawało. Widziałem zadziwiające ruchy kontrabasisty, ale jego nie słyszałem.

Z tymi zabawami byłem związany w sposób szczególny. Wykonywałem plakaty, na każdy wieczorek inny. Organizatorzy dawali pieniądze na pędzle, farby i brystol, a ja wyżywałem się w coraz to nowych pomysłach plakatu. Za każdy plakat mogłem bezpłatnie wejść na salę.



Były też występy muzyki poważnej, wprawdzie rzadziej, ale były – w niedzielę w południe poranki symfoniczne. Szczególnie zaległa mi w sercu suita Peer Gynt Edwarda Grieg’a. Były i inne poważne występy, czasem recytacje – na przykład ballada Król Olch Goethego. Jednej niedzieli miała wystąpić skrzypaczka Wanda Wiłkomirska. Przez całą noc malowałem plakat dla niej. Nie zdążyłem wykonać napisów na tym plakacie, ale po występie poprosiłem artystkę o dedykację na mym plakacie.

Wanda Wiłkomirska napisała na mym plakacie:

„Patrząc na te struny zaczynam wierzyć,
że w moim instrumencie – skrzypcach
jest wielka potęga.

Wanda Wiłkomirska

23.II.1958”

*



Rozdział 8

biały pion na d4
czarny pion bije piona na d4

Po każdym takim debiucie wracałem do nauki. Wracałem także do brydża kwitnącego w naszym pokoju w akademiku. Jednego dnia koleżanka Grzeška, nie mogąc przyjść na umówione spotkanie, przysłała swoją kuzynkę. Kuzynka przysłała do pokoju, przeprosiła Grzeška w imieniu koleżanki, a że właśnie rozgrywaliśmy kolejnego robra, więc zaprosiliśmy ją do gry. Dziewczyna spodobała mi się od razu. Postanowiłem o nią zawalczyć. Ustaliliśmy oficjalnie, że ten ją odprowadzi, kto wygra. Ona ze śmiechem się zgodziła, a nawet wyraźnie jej to imponowało. Mnie karta szła niesamowicie, a na dodatek zacząłem, jak nigdy dotąd, błyskotliwie rozgrywać – zastosowałem wszelkie sztuczki podpatrzone u kolegów i w pięknym stylu wygrałem.

Dziewczyna była bardzo sympatyczna, ale stosunkowo szybko pojawiła się u niej jakaś duża doza złośliwości w stosunku do mnie. Już zaczynałem widzieć w niej materiał na żonę, więc zapraszałem na spacer, chciałem bywać u niej w domu, kupowałem bilety do teatru, umawialiśmy się na kawę w „Danusi” (Aleje Jerozolimskie w pobliżu Placu Starynkiewicza), aby się bliżej poznać. Osiągnąłem wiele; zostałem zaproszony któreś niedzieli do domu; wbiłem się więc w mój jedyny garnitur, granatowy w cieniutki paseczek i poszedłem, a ona miło się uśmiechając podała mi do przeczytania wiersz Mariana Żałuckiego. Oto znany jego fragment:

Imieniny u Mani. We czwartek.
W czym ja pójdę? Garnitur wytarty.

Trzeba kupić. Kupuję. W konfekcji.
Bardzo ładny. Bez żadnych obiekcji.

Czysta wełna. Tip-top gatuneczek.
Granatowy. W cieniutki paseczek.

Chciałem jasny... Więc byłem w Pedecie,
Peesesie i – słowem – gdzie chcecie...

Lecz się dziwnie niestety złożyło,
Były takie. A innych nie było!

Wizytówka: „Tu Mania!” Więc dzwonię.
Otworzyła. Pcham kwiatki jej w dłoń.

Wita gwar mnie. I aplauz. Najszczęśliwy!
Panie są już. A z panów – ja pierwszy.

Patrzą – chwałą garnitur nowiutki:
Granatowy. W paseczek cieniutki.

Nagle dzwonek. Przychodzi Franeczek.
Granatowy. W cieniutki paseczek!

Potem znów – bombonierka – Romeczek!
Granatowy. W cieniutki paseczek!

A za chwilę z kryształem – Broneczek!
Granatowy. W cieniutki paseczek!

A na koniec Władeczek, mąż Ludki...
Granatowy. W Paseczek! Cieniutki!!!”



Bernard Ładysz (Wikipedia)

W kawiarni wykazała mi sumiennie, że jej pasją życiową jest Opera Warszawska, o której ja niewiele umiałem powiedzieć. Znałem wprawdzie nazwisko wielkiego Ładysza i podziwiałem jego arię Skołuby i Mefista, ale ona znała wszystkie jego wykonania, znała go zza kulis przez pracującą w Operze matkę. – Dla niej był to po prostu Beniek.

Lubiliśmy przecież ze sobą przebywać, a w podtekście każdej naszej rozmowy tkwił jakiś dysonans. Ja starałem się poznać bliżej kandydatkę na przyszłą żonę, a ona tak jakby stała swą osobowością na pozycji wskazującej, że nie to jest istotne.

W każdym razie nasze spotkania kończyły się zawsze tak samo. Odprowadzałem ją pod dom, dbałem o to, by nie wracała zbyt późno, a ona żegnając mnie oświadczała: – „To ja jeszcze idę do kolegów w Dziekance”. – I wchodziła do tego uniwersyteckiego domu akademickiego znajdującego się nieopodal jej mieszkania.

Wiedziałem, po co dziewczyny przychodzą do męskich domów akademickich. Miałem do niej wielki szacunek i nigdy jej tego nie zaproponowałem. Marzyłem, aby została moją żoną i nie chciałem, aby w naszym życiu wspólnym na wiele, wiele lat został cień zbliżenia intymnego przed ślubem. Te jej wyprawy do męskiego domu akademickiego bardzo mi się nie podobały i chciałem popracować nad nią, bo nie wydawała mi się tak bardzo zepsuta, ale sama zdecydowanie zakończyła naszą znajomość.

W jakiś czas potem musiał Grzesiek zadziałać. Wyobrażam sobie, że poszedł do swej koleżanki, zgadali się na mój temat i wyjaśnił, że jestem prawiczkim, że nie sprowadzam dziewczyn do akademika, a właściwie nie miałem i nie mam żadnej dziewczyny i jeśli z tego ma coś być, to dziewczyna musi przejąć inicjatywę i nauczyć mnie tych rzeczy, bo w przeciwnym razie będę czekał do ślubu. Mogło tak być, bo choć już zerwaliśmy z sobą, zjawiała się w akademiku bez uprzedzenia i zabrała mnie do parku, tam położyła się na ławce i kazała się pocałować. Byłem tak przerażony, że przed pocałunkiem wypowiedziałem nie jej imię, lecz aktualnej mojej nadziei.

*



2011/03/26 16:46

Pomnik Adama Mickiewicza na Krakowskim Przedmieściu w Warszawie

Dziekanka Warszawska (z tyłu za pomnikiem)



Rozdział 9

biały skoczek bije piona na d4
czarny skoczek bije skoczka na d4

Próbowałem pisać. Szkicowałem swą pierwszą książkę. Wziąłem zeszyt i zacząłem w te słowa:

Święto Matki. Koncert życzeń, a ja postanowiłem pisać – może godzinę, może już stale. Przecież jest tyle sugestii, które należałoby zapisać. Chciałbym pracować, dużo pracować. Dziwne, że dotąd pracowałem, nawet mam przekonanie, że uczciwie ten czas przeżyłem. Ale zawsze gnębi mnie myśl, że to coś nie tak, że trzeba szukać czegoś innego. Odczuwam smutną radość z tego, że staram się spojrzeć na życie pod pewnym kątem – niemal nieraz po prostopadłej. Ścierają się dwa zasadnicze nurty: zachowanie istnienia i rozkochanie się w pięknie. Słucham teraz arii do matki ze „Strasznego Dworu” i odczuwam coś dziwnego, to mię uspokaja. Widzę schemat, że należałoby żyć tak pięknie, jak płynie ta melodia, a jednocześnie innym usuwając te troski, których sami nie mogą się pozbyć. I znów widzę tutaj drugie życie odbite jak w lustrze. Chciałoby się u siebie stoczyć walkę o... (nie tylko stoczyć, ale stale walczyć) o prawdę. Przecież to takie piękne, gdy się ją znajduje tam, gdzie tego prawa nie przewidują. Trudno jest być człowiekiem, ale właściwie to mię cieszy. Przyjaciel powtarzał słowa – nic, co ludzkie, nie jest mi obce. Ale co jest ludzkie? Koledzy rozmawiają o czymś, nie mogę się skupić, by zrozumieć, o czym oni myślą, trochę klną, też nie wiem dlaczego, a tu jednocześnie melodia dziwnie przyjemna. I czas mija. A może pisać tracę czas? Nie. Czasu nigdy się nie traci. Traci się tylko wiarę w słuszność tego, co się zrobiło...

Ktoś, gdyby to przeczytał, pomyślałby, że ten wstęp jest nieco za długi. Trudno. Chciałem pisać tak, jak to czułem dziesięć lat temu; to znów jak ci koło mnie. Zapędziłem się za daleko. Jest niedziela. O, właśnie przypomniały mi się „Ręce Eurydyki”, a zaraz za tym „Mały Książę” ze słuchowiska radiowego... potem w dalekiej przeszłości Jur, czy „Nad Poziomy” Skiby. A może chodzi o „Faraona”?

Tak... chyba... nie; nie chyba, ale na pewno największym moim przeżyciem było, gdy zrozumiałem Ojca. Chciałbym napisać, że była to chwila, gdy obaj przeniknęliśmy się... Nie, to jest niemożliwe. Ojciec zna mnie od dziecka.

Wiesiek siedzi przede mną – nie wie, co robić (przynajmniej robi takie wrażenie). Chciałem pisać o sobie. Jeszcze bardziej chciałem chwytać na papierze moje sugestie i następnie konfrontować je wzajemnie (może też tylko na papierze), ale potem na pewno miałem wyskoczyć i zmieniać świat... tak, nawet świat. Śmieszne. Trudno. Może na tym polega młodość...

I znów szłem w bez atu! Chwileczkę, zaraz dalej. A może szachy?...



Niedziela dnia 20 kwietnia 1958 roku
Pierwszy stopień zbliżenia do tematu.

sen
przebudzenie
ubieranie
gimnastyka
francuski
śniadanie
kościół
sprzątanie
koncert
obiad
brydż wróżba
kolacja
kreślenie
Matysiakowie
z architektury o barwach
pacierz
tęsknota
początek snu
koniec „Nędzników” — łyż
wzruszenie
próba pisania
powrót kolegów
ich plany na jutro
bezsenna noc, lecz też sen
refleksje
co to było



Drugi stopień zbliżenia do tematu.

W ciągu jednego dnia całe życie. Dzień niby stracony. Jak najmniej dialogów. Kłopoty, radości – te niepozorne. Dzień, w którym na zewnątrz nic się nie dzieje, lecz wszystko w duszy. Dzień odpoczynku – dzień zupełnie taki sam jak inne, lecz z wielką walką duchową. Zakończyć tym planem.

Sen zupełnie abstrakcyjny i jako kontrast przebudzenie, składanie dokładnych planów dnia.

W ciągu dnia powtarzające się wloty energii użyte niby bezcelowo, użyte do całkiem przyziemnych zajęć. Upadki dnia jako efektowne zagrania w oczach kolegów (często zastanawiające).

Kłucie w piersi.

Splot kontrastów.

Szarość czynów w zestawieniu z ogromnym żywiołem myśli. Wzruszenie w najbardziej nieoczekiwanych chwilach, nagrobek babci, który przyrzekłem jej zrobić, i Jan Waljean.

Głód.

Całość jako pamiętnik jednej osoby z wyraźną jednak aluzją, poprzez krótkie błyski na inne galaktyki odczuć (kolegów), na temat małości mojego świata w stosunku do będących obok. Zaskakująca wielkość, którą da się dośpiewać itd.

Zasadniczym kształtem ma być ogrom jednego dnia.

Koncert jako zapadnięcie w sen nieuwagi we własne „ja” biegnące niby dowolnie, ale dokładną interpretacją granych utworów. Kształtowanie się szlaku myśli w zależności i w dostosowaniu do linii melodycznej słuchanego utworu muzycznego.

Okresy brania od świata.

Okresy dawania światu.

Okresy prób wyważania brania i dawania.

Brydż z całą gamą hazardu, który sugeruje i hazard myśli. Kontrast z myślą melodyjną i tą samą na tle gry (na tle rozpalania grą w karty).

Drugim kształtem niewypowiedzianym ma być jakieś wewnętrzne odczucie z dobrze przeżytego dnia. Dzień, który mógłby być chybiony, gdyby nie jedna perełka w nim oprawiona.

Róbmy wszystko jak najlepiej, a ocenę przydatności i ważności (a właściwie ceny czynów) zostawiamy nierozstrzygniętą, jakby zawieszoną w przestrzeni. Zaraz przykład kilku ocen tego samego czynu w różnych porach dnia, przez różnych ludzi i w różnych nastrojach.

Tragizm charakteru dnia. Dialog tylko między kolegami, mój epilog. Ma to być mimo wszystko żywy i barwny obraz dnia studenckiego.



Trzeci stopień zbliżenia do tematu.

1) Sen – pierwsze marzenie, igraszka dająca wprowadzenie w akcję, w ton.

Koncert – drugie marzenie, według sformułowań jak poprzednio.

Cały dzień ten sam schemat, czyli próba pracy, upadki, więc powrót do marzeń, zejście na ziemię i znów bardzo krótka praca.

Brydż – trzecie marzenie.

Tą wspaniałą perełką ma być zejście na ziemię i próba walki w zupełnie innym stylu.

2) Przebudzenie silnym kontrastem do sielanki i fantazji sennej poprzez układanie bardzo konkretnych i mimo wszystko realnych planów na cały dzień. W to wmieszany krótki pacierz i zaraz z całą siłą skok w życie tego dnia. Więc gimnastyka, samouczek języka francuskiego. Ale pierwsze myśli o ukochanej mają dać początek smętnych tonów, jednak niemających chwilowo następstw.

3) Dyskusja w kolejce (po zupeł) zupełnie naturalna – na temat życia studenckiego, szczególnie wielkość porcji i o podrabianiu numerków, na podstawie których dostajemy śniadania, obiady i kolacje.

W poszczególnych chwilach dnia dać charakterystykę – spojrzenie na jedną sprawę (właściwie dwie, tj. praca i miłość). Raz więcej miejsca winna zajmować praca, a drugi raz miłość.

4) Msza. Spóźnienie. Przyniesienie do stóp wszystkich swoich kłopotów i rozdrażnień – szczególnie tych najbliższych i powolne szukanie łaski bożej. Koniec mszy osiągnięciem zupełnego spokoju wewnętrznego.

Msza winna być też marzeniem, ale bardzo realnym i jednak zakropionym silną goryczą. Msza ma być kontynuowana dalej w koncercie, ale tu znów wielki kontrast sposobu myślenia, bo myśli układające się w formie melodii i biegnące za jej nurtem są drugim snem i to snem bardzo przyjemnym, odrzucającym wyciąganie tragicznych wniosków z prawdziwie tragicznych obrazów myśli.

Prowokować czytelnika do właściwej oceny chwil, prowokować przez dwa skrajne sądy kolegów i mój.

Marzenia mają być żywym scenariuszem z dużą dozą dialogów. Realnym wytłumaczeniem całej historii zawód miłosny i dlatego milczenie przez cały dzień i dlatego skłonność do melancholii i innych odcieni marzeń.

5) Obiad?

6) ?

– Przecież dopiero jadłeś i znów o tym wspominasz. Pomoże ci to coś? – oponował Grzesiek.

– Pomoże, nie pomoże, ale ja przede wszystkim muszę być najedzony i dotąd nie odzyskam spokoju dopóki... a zresztą gównu wam wszystkim do tego, że nie powiem chwilowo inaczej.

– Te k... znów pchają tę swoją głupią dyskusję. – jeszcze zza drzwi wmieształ się Zbyszek, ale jakby podświadomie dodał:

– Ja jednak mam pełny kałdun. – i już leżąc na łóżku obrócił się do ściany.



Czwarty stopień zbliżenia do tematu.

Tego trzeciego nie znałem. Dziwisz się, że o tym mam czas wspominać. Więc powiem Ci, że skorzystałem z nowej taktyki Anny, która może zmęczona dotychczasową grą, a może znużona zbyt szybkim powrotem do niej piłeczki, zaczęła na swojej części stołu robić dziwne rzeczy. Aha – jeszcze zapomniałem dodać, że stół, na którym odbywały się rozgrywki tenisa stołowego, miał dziwne manieri. Przecież początkowo był zupełnie normalną, trochę za twardą płytą – jak wyrażał się o nim Grzesiek – ale w chwilach najbardziej nieodpowiednich zmieniał kolor, a nawet później, gdy mu to się zapewne znudziło, zaczął zmieniać kształt, toteż nagle zmienił się w coś, co miało przypominać trójkąt i zaraz na tym nowym boku mojego dziwnego istnienia wyrastał – tak, wyrastał, bo jakże inaczej można powiedzieć o kimś, kto zupełnie nieprzewidywany, a nawet nie zaplanowany...



Piąty stopień – przesilenie.

Chciałbym, aby to była bajka...

Więc musi być ona i on. Szczególnie ten on mnie interesuje. O niej wspomnę później.

Wyobraź sobie stalowego studenta, który od tygodnia nie widział grosza i właśnie nadszedł dla niego ten dzień – Dzień Matki Boskiej Pieniężnej – w którym nagle mają się przed jego oczami ukazać ni mniej, ni więcej, tylko cztery banknoty stużłotowe z przyległościami, i na dodatek ta zjawia ma być jego własnością. Więc niczym było dlań marne śniadanie w stołówce akademickiej – nawet nie zauważył, że ma jeszcze bardziej pusty żołądek niż przedtem.

Z jakąś dziwną sytością udał się pieszo do upragnionego celu, który miał nosić szumny sztyld – Kwestura Politechniki Warszawskiej, a pod nim mała karteczka z jakże miłą treścią: stypendia wypłaca się od godziny... do godziny...

Szedł znaną wszystkim studentom trasą (oczywiście studentom Politechniki Warszawskiej) z Placu Narutowicza do Placu Jedności Robotniczej, a głowa jego dumnie podniesiona wymownie świadczyła, że doń świat ten cały należy. W pewnym momencie przez to dziwne oblicze przemknęła mała chmurka zakłopotania. Uświadomił sobie nagle, że już piąty dzień nie pokazał się na żadnych wykładach, ani nawet ćwiczeniach. Chmurka ta jednak szybko znikła z jego oblicza, bo była to nieprzeciętna głowa, głowa, która zaraz podsunęła cały szereg argumentów uniewinniających. Zresztą osądź sama, czyż nie było najzupełniej wystarczającym powodem do takiego stanu rzeczy, że po pierwsze nie miał pieniędzy na tramwaj, a czas ten i tak wykorzystał na łaskawe kreślenie projektu leżącego już od roku. I tak wyliczałyby jeszcze długo cały szereg innych argumentów, ale ukazał się następny element bajki – nie, jeszcze nie ona – na razie tylko czarny kot, który z wielkim wdziękiem przebiegł mu drogę, a że właściciel tej dumnej głowy takie zjawisko uważał za nader szczęśliwe dla siebie, więc wyobraźnia jego szybko przerzuciła się na bardziej miłe wspomnienia. Pod sklepieniem jego czaszki zaczęły się ukazywać jakieś niespotykane elementy. Nie wiem, co było pierwsze, i w jakiej kolejności ukazywały się następne. Głowa ta, jak już zauważyła, była dnia tego w wysokich sferach marzeń. Więc widział wielką literę „A”. Tak – A – jak Anna. Potem te śliczne oczy, w które gdy patrzył, to nigdy nie ograniczał się do ustalania ich koloru, lecz szybko pogrążał się dalej, w ich nieraz nieprzeniknioną głębię. Ukazał się kilkakrotnie jej cudny czarny warkocz, nad którym nie mogło być wcale dyskusji. Właśnie z tych elementów powstała Ona.

Aha, jesteś ciekawa, kim była ta królowna – o, to moja tajemnica. Powiem ci tylko to, czym się sama chwaliła, że właśnie zdawała maturę, że miała coś wspólnego z harcerskimi słonecznikami, jeszcze coś z Kubusiem Puchatkiem... Mogę ci jeszcze zdradzić, ale to już w wielkim sekrecie, że nasz bohater niewiele więcej o niej wiedział od tego, co już wyjawilem, zresztą jak każdy młodzian w jego błogostanie. Ach, byłbym zapomniał – w jego posiadaniu były dane o niezwyklej wadze taktycznej, dane – które w przyszłości miały mu dużo ułatwić, dane – które brzmiały: piąte piętro, dziesiąte okno.

Zaczął nieco realniej myśleć i doszedł do wniosku, że miło by było, gdyby ją znów ujrzał. Wprawdzie na poprzednim spotkaniu ustalili swoją następną przyjemność aż na niedzielę, bo ona miała jeszcze tyle do powtórzenia z historii przed ostatnim ustnym egzaminem maturalnym, ale gdyby wcześniej miała wolną chwilę, to byłoby niesłychanie przyjemnie. Zboczył przeto nieco ze swego kursu i kroki swe skierował na wydział (mniejsza z tym jaki), gdzie w umówionym miejscu mogła na niego oczekiwać mała karteczka z miejscem i godziną niedzielnego spotkania.

Była!! Teraz fakty potoczyły się szybko. W tej dziwnej głowie zawrzało. Dopiero po chwili doszedł do wniosku, że trzeba kartkę przeczytać.

Zapamiętaj sobie dobrze te słowa: „Czekam na rogu Nowowiejskiej i Alei Niepodległości o godz. 16 przy kwaciarni. Mam ochotę jechać do Wilanowa.” I ten podpis... podpis który dopiero drugi raz widział i już znał na pamięć.

Myśli toczyły się szybko: trzy godziny czasu, wszystkie koszule brudne, trzeba kupić nową, jeszcze może zdąży na obiad, więc jednak kochana dziewczyna itd. a może... (i znów wymowne milczenie), ostry błysk w głowie: dlaczego nie ma daty? Ale chwileczkę – wyraźnie pisze: „mam ochotę” i jeszcze „czekam”, więc dzisiaj... Tak, nie może być inaczej, tylko dzisiaj. Ale przecież to piątek, a właśnie na piątek umówił się z asystentem i to na tę samą godzinę, że odbierze temat ćwiczenia z konstrukcji. Nie, nie pokaże się tam. ...ale przecież to już ostatni termin w tym semestrze. Więc niezawodny przyjaciel Rysiek musi coś wymyślić. Wszystko było ustalone – nastął okres precyzyjnej realizacji. Wprawdzie pomylił Aleję Niepodległości z Aleją Wyzwolenia, ale w porę dostrzegł błąd i wrócił dobrze przed czasem na umówione miejsce. Teraz już tylko tych parę minut i... Ach, przecież wiesz już co.

Trzeba będzie ją z miejsca zaskoczyć szybkością wymowy, może jakimś ciekawym żartem – najlepiej dotyczącym jej i oczywiście jego. Zaczął więc przygotowywać przemowę, która miała się zaczynać jakoś tak: „A jednak widzisz, jakiego miałem nosa”, lub „Co to znaczy instynkt”, względnie „Los chciał, żebyśmy się spotkali, bo ja przecież cały tydzień nie pokazywałem się na wydziale i właśnie dzisiaj wyczulem niezawodnie, że cię ujrzę”. Trochę było w tym nieścisłości, gdyż tylko przypadkowo przypomniał sobie o możliwości istnienia jakiegoś listu i jeżeli taki był, to tylko mógł odnosić się do niedzieli.

Myślał o pięknie swoich marzeń i tym podobnych rzeczach, ale jednocześnie spoglądał z coraz to mniejszą pogardą na zegarek, którego obie wskazówki jakoś dziwnie oddalały się od czwartej godziny.

Ptak jego myśli zmęczony przestał trzepotać skrzydełkami i szybując coraz mniejszymi kręgami zaczął obniżać swój zbyt wysoki lot. Wreszcie usiadł i odmówił wszelkich dalszych lotów.

Może nie zrozumiałaś sytuacji? Tak? Więc przetłumaczę ci na ludzki język.

Upragniona i tak oczekiwana, ta właśnie jedyna, ta Ona nie przyszła.

Nie, nie sądz jej przedwcześnie. Złe osądzić zawsze jest czas. Spójrz raczej, jak on przyjął i ocenił sytuację.

List musiał leżeć już od kilku dni i było zupełnie prawdopodobne... ale, prawdopodobne! ...było jasne jak słońce, że może wczoraj lub przedwczoraj na tym samym miejscu ona przeżyła jeszcze okrutniejsze rozczarowanie, gdy jego nie zastała na umówionym miejscu. Tezę tę miał już zupełnie sprecyzowaną w głowie, ale jeszcze długo nie uświadomił sobie jej strasznej treści.

*



Rozdział 10

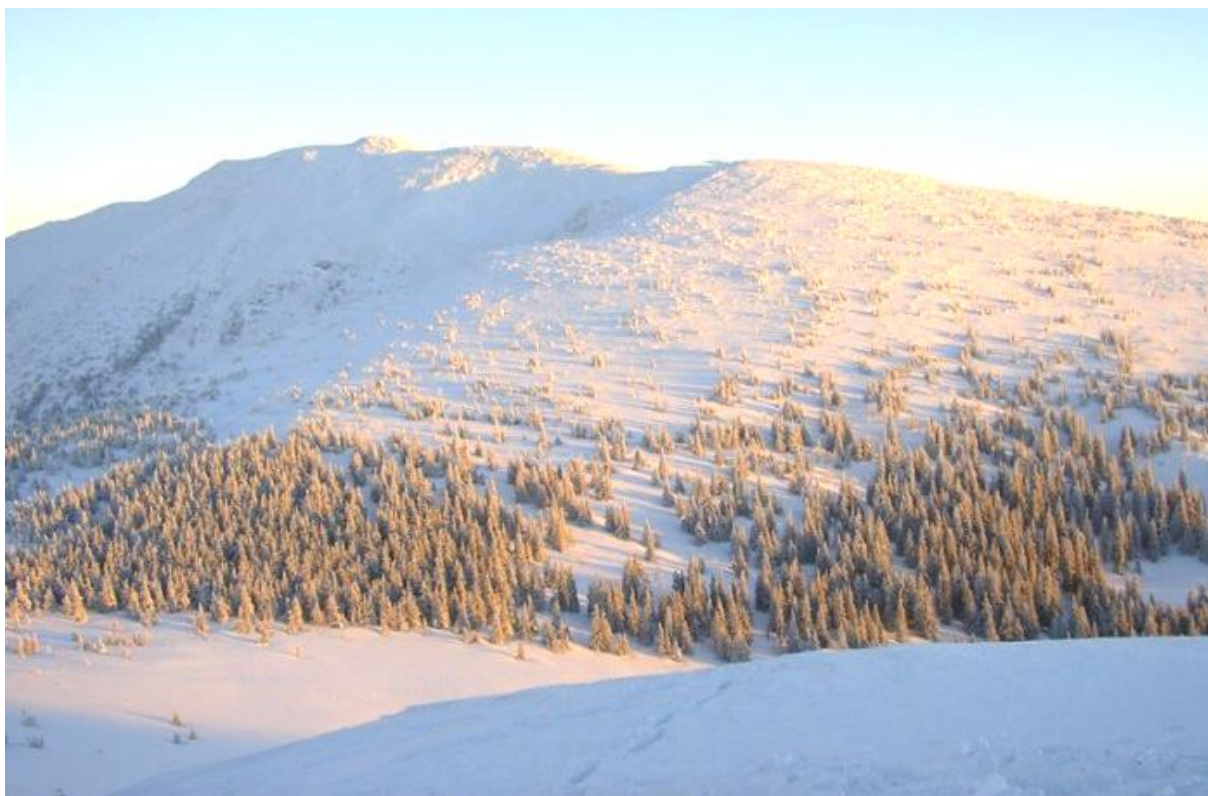
biały hetman bije skoczka na d4
czarny pion na c5

Tak zacząłem i na tym skończyłem swe opowiadanie. Ale już w tym opowiadaniu widać wyraźną zmianę nastroju. Melancholia, i to czarna, przechodzi w frywolną pogodę. Cóż mogło być tego przyczyną? Ano, jak od dawien dawna po dzień dzisiejszy zawsze to samo.

Było mi przykro, że nie mam żadnej koleżanki. Nawet próbowałem z koleżankami moich kolegów. Wreszcie spełniło się stare powiedzenie – jak kto czego szuka, to i znajdzie. Na zimowisku harcerskim w schronisku pod Babią Górą, któregoś dnia, gdy zastępy szły na wycieczkę, postanowiłem towarzyszyć pewnemu zastępowi żeńskiemu. Przecierałem drogę w śniegu, one szły za mną. W drodze powrotnej bardzo systematycznie i powoli zostawaliśmy we dwoje za wszystkimi. Śliskość zejścia nawet to ułatwiała, bo rozdzieliła nas na tych, co uznawali szybki bieg w dół i tym ratowali się przed pośliznięciem, i na tych, co woleli ostrożnie schodzić. Idąc za nią nawet miałem szczęście parę razy uchronić ją od upadku, podtrzymując ją w ostatniej chwili pod ramiona. Potem na wieczornicy pożegnalnej oboje najwyraźniej mieliśmy nadzieję na wspólną zabawę, ale dobrze sobie przypominam, był tylko jeden taniec – po części chyba ze względu na zbyt wczesną porę zakończenia wieczornicy. Potem wracając pociągami staliśmy całą noc na korytarzu, najpierw w dużej grupie, która topniała zmożona sennością wracających, aż zostaliśmy we dwoje na tych kilka zdań, tak zwyczajnych, jak jasnych. Oboje mieliśmy nadzieję, że się jeszcze zobaczymy.



Schronisko w Zawoi.



Babia Góra zimą.

W kilka miesięcy później przechodziliśmy z kolegami przez Plac Konstytucji. Zobaczyłem ją z dala, serce żywiej zabiło. Oddałem kolegom dopiero co kupione skarpetki, a sam po raz pierwszy w życiu odważyłem się zaczepić na ulicy dziewczynę. Miałem na to chęć wiele razy przedtem, ale zawsze spotykałem się z tak jednoznaczną wrogością, że podążanie ulicami za dziewczyną wewnątrznie uważałem za przestępstwo. Tym razem, po raz pierwszy i jedyny w życiu obojętnie się uśmiechnęła. Spotykaliśmy się odtąd szereg razy, aż przyszedł ten majowy piękny dzień.

Aleje Ujazdowskie były tak blisko i taki urok każdego liścia w Łazienkach. Przyjemny, pachnący cień drzew, alejki jakże gościnne i zdające się czekać na spełnienie naszych najpiękniejszych marzeń. Słowa i wymowa oczu głosiły wzajemną radość. W jednej alejce przykleknąłem, by zawiązać jej rzemyki dziewczęcych sandałów. Gdy się podnosiłem, istniała już we mnie świadomość zacerpnięta z pierwszego dotknięcia jej ciała i przecucie nieznanego piękna. I była też ta ławka, pod kasztanem, tuż nad wodą, a po prawej pałacyk, a po lewej most i pomnik Sobieskiego. Urok przyrody, nadane kształty ręką ludzką i urok chwili były przeogromne, a jednak powoli znikaly, potem nawet blask wpatrzonych w siebie oczu zaczął zanikać, a nawet oczy zdawały się patrzeć teraz jakby do środka. Wszystko ogarniała świadomość tego upragnionego, oczekiwanego od lat, i zarówno ta przemożna świadomość, jak i budząca się ogromna moc pożądania – choć wirowały w obu ciałach – zakwitły na wargach i właśnie wargi były wysłane by znaleźć miłość drugiego człowieka. Wszystko wokół zamarło, zamarliśmy i my sami, a ciała nasze niepostrzeżenie zbliżały nasze usta do siebie. Dotknięcie tą najczulszą i najbardziej wrażliwą wysłanniczką drugiego człowieka. I w tej jednej chwili przekazały sobie wszystko, co mogło przyjaznego nagromadzić się w obu organizmach, a nawet przekazały sobie znacznie więcej, bo odwieczny, wszechogarniający sens życia w całej przyrodzie.

Wargi jeszcze pały i paliły, gdy się oddalały, i teraz płynęła do najdalszych krańców ciała i osobowości świadomość stania się jednym ciałem, jedną myślą i jednym istnieniem – tych jeszcze przed chwilą dwojga istot. Wówczas to – mogło, powinno i padło to jedyne nazwanie, równocześnie wypowiedziane i powtórzone wzajemnym echem – kocham Cię.

Słowa te i pocałunki, przez następne miesiące były między nimi jedyną monetą, ale i stawały się coraz bardziej monetą obiegową, aż wreszcie raz jeszcze zatryumfowała pasja młodzieńczej przygody wakacyjnej, która każde z nich pociągnęła w inne strony. Zostały listy.

Dwa z nich.

Nareszcie dostałem list, którego treść tak mnie ciekawiła. Czekałem nań jak na jakąś rewelację. Dostałem, przeczytałem i zasmuciłem się. Przecież nigdy nie przypuszczałem, że aż tak możesz się rozżalić z mojego powodu. I mimo że z tego punktu widzenia miałaś rację, jeszcze prosisz, aby nie gniewać się. Zasmuciłem się, ale jednocześnie zacząłem nieco inaczej patrzeć na nasze sprawy. Wierz mi, że dotychczas nikt nie zaszczycił mnie takimi wymówkami. Jesteś interesująca, gdy wyciągasz tak szybko wnioski i od razu grozisz następstwami. W takim stanie wewnętrznym nigdy dotąd nie pokazałaś mi się. Urządziłaś sąd polowy nade mną, który jeszcze nawet nie zdążyłem zawinić i wyrok zapadł, że odpłacisz mi tym samym. – Gdybyś naprawdę mogła dotrzymać, ale bez wewnętrznego przymusu, tej nieprzewidzianej obietnicy...

Z tych to właśnie powodów, w odpowiedzi na Wasze pismo z dnia dwudziestego trzeciego lipca bieżącego roku składam uroczystą apelację, którą motywuję:

- po pierwsze, że pismo to już jest raczej nieaktualne;
- po drugie, że... a może to już wystarczy? – jak uważasz?
- po trzecie: że Cię długo i mocno całuję.

Jeszcze jedno. Zastrzegam sobie wyłączne prawo do czytania między wierszami.

Nie stosowanie się do powyższego oraz wszelkie domysły będę surowo ścigał administracyjnie.

Wiesz – śniło mi się dzisiaj, jakoby ktoś powiedział do mnie, że na moim miejscu nigdy nie byłby tak naiwny. To coś mówiło jeszcze wiele innych przepowiedni, ale po obudzeniu się tylko tyle zostało w mej pamięci. Gnębi mię to strasznie, bo i nie wiem, czy mam się cieszyć, czy też martwić, a może Ty wiesz?

Przyjmuję każdą alternatywę – lubię się przecież ludzić. Od lat mnie do tego przyzwyczajano.

Dziwny jest ten list. Może. Jednak dla mnie bardziej dziwne jest tych dwadzieścia pięć lat, które właśnie dzisiaj byłbym skończył, gdyby nie to, że wcale nie mogę sobie przypomnieć, o której godzinie to powinno nastąpić. Inne szczegóły pamiętam doskonale. Urodziło się toto po straszliwej burzy, z czego przepowiadano mu, że będzie miał podobne życie, a że było śmiesznie małe i nędzne, co prędkiej ochrzczono, i wprowadzie bez słów, ale już zaczęto dość spokojnie wyprawiać je na tamten świat. Spokój ten był raczej jednostronny, a nawet zabarwiony pewnym zdenerwowaniem, bo to coś w sposób natarczywy, a nawet powiedzieć trzeba – brutalny czegoś się jeszcze domagało i nie przerywało tego protestu przez kilka dni, czym „zjednało” sobie cały szereg zwolenników wśród najbliższych. Nikt nie mógł zrozumieć, o co temu czemuś chodziło, czego jeszcze więcej mógł żądać od życia. Toteż postąpiono w salomonowy wprost sposób i odłożono sprawę na potem. Oczywiście w myśl przysłowia, że „nigdy nie wolno odkładać na jutro tego, co można odłożyć na pojutrze”. Odłożono i wspaniałomyślnie pozwolono żyć – czyli wypowiedzieć się później, a że to coś już nie miało ochoty wypowiedzieć się, tylko naiwnie rozglądało się, więc z niepokojem zaczęto obserwować, czego też może to coś szukać, na co jeszcze może czekać. I tak problem ten ważył się raz w jedną, raz w drugą stronę, aż nadal nierozstrzygnięty został przekazany na następne ćwierćwiecze.

Tak, te i jeszcze wiele innych rzeczy pamiętam doskonale, ale godziny nie mogę sobie wcale przypomnieć. A może ważniejsza jest ta druga godzina?

Wiem, że na przyjaźń Twoją mogę liczyć – dałaś mi tego dowody. Więc błagam, nie gniewaj się na mnie. Taki już jestem różny. Przebacz.

Słyszę coś z Chopina. A może i Ty próbowałaś nieraz coś tak jednym palcem wydobyć z instrumentu? Prawda, że otaczająca reszta staje się prostsza, mniej dostrzegalna? Tylko czasem w takich chwilach z gardłem zaczyna się coś dziać. Jakieś zadławienie, czy ja wiem co jeszcze. A melodia płynie – wprowadzie z trudem, ale tak bliska i nawet jak to dobrze, że bezimienna. Mijają dni, mijają melodie, mijają... czy ja wiem, co jeszcze mija? Może lepiej zbyt wcześnie nie wiedzieć.

Miałem pisać do Ciebie o tym, jak ostatni raz spojrzełem na Mochnaczkę, o której to było, jak wracałem, co tu na mnie czekało, ale nie napisałem. Wydało mi się nieistotne.

Za każde słowo z osobna dziękuję. Tobie życzę znalezienia dwóch czterolistnych koniczynek.

W myśl propozycji z dzisiejszego listu list ten (jeżeli to można nazwać listem) wysyłam już na obóz. Jeszcze raz proszę – myśl raczej dobrze o mnie i uśmiechaj się dużo. Rozumiesz mnie przecież – prawda?

więc całuję Cię mocno

twój M

A w dwa tygodnie później:

Moja Kochana –

Zdaje mi się, że tym razem ja nawygadywałem. Więc jako przeproszenie przesyłam Ci tych parę rysunków z historyjki, jak ja sobie wyobrażam Ciebie z Juzikiem na obozie. Miało ich być więcej, ale nie dałem rady. To wygadywanie zaraz wyjaśnię.

Pisziesz, abym był wesoly; jakże to możliwe, kiedy Ty jesteś chora. A może już czujesz się lepiej?

Wtedy „na granicy” domyśliłem się, że chciałabyś powiedzieć mi, że nie możesz mnie pokochać. Początkowo próbowałem się bronić przed tą wieścią i mimo że coraz wyraźniej zaczęła się rysować, to jednak jeszcze chwilowo nie zdawałem sobie z niej sprawy. Prosiłem, abyś się więcej tym nie przejmowała; a zaraz za chwilę byłbym dodał, że to wcale nie Twoja wina, że taki jest mój los, by nikt mnie w życiu nie kochał. Nie wyrzekłem tego, gdyż nie chciałem robić Ci wymówek. Szybko jednak zapomniałem o dowodach, jakie otrzymałem od Ciebie. Zaraz postanowiłem, że powoli usunę się z Twojego życia, że nie będę Ci przeszkadzał, że raczej powinienem być Ci wdzięczny za to, czego jeszcze nigdy w życiu nie otrzymałem od nikogo. Nawet przeleciało mi przez głowę: „wariacie – zachciało ci się miłości”, oraz kiedyś usłyszane słowa: „ty się jeszcze na tych warkoczyczkach przewieziesz” – i zaśmiałem się, a na Twoje pytanie: dlaczego się śmieję? – rzekłem, że tak w przestrzeń. Zapragnąłem nawet już wieczorem odjechać, ale przecież to były tak oczekiwane Twoje imieniny. Nie zdawałaś sobie sprawy z tego, co działo się ze mną. Chciałem nie dać poznać po sobie zaszłej zmiany, ale tylko udało mi się wycofać do mojej pustki wewnętrznej, którą znałem od lat, a która nie tak dawno mnie opuściła i tym szybciej powróciła. Długo w nocy nie spałem. Pamiętam, jak żaliłaś się do matki, że jest Ci bardzo zimno. Mimo tej całej samoobrony wiedziałem już, że nigdy nie zapomnę. W niedzielę obudziłem się z jednym pragnieniem, by chociaż jeszcze ten dzień był takim, jakimi darzyłaś mnie dotychczas. Lecz jakoś zaczynało mi być obojętne, że to, co przywiozłem dla Ciebie, przez pomyłkę zabrał Grzesiek z teczką. A była to moja lilijka harcerska, którą nosiłem już od kilkunastu lat, a teraz chciałem Cię prosić, abyś nosiła ją na obozie. Już brakło mi siły prosić Cię o zgodę, abyśmy razem wracali w poniedziałek. Przestałem myśleć i tylko unikałem Twojego spojrzenia. Pocałowałem Cię ostatni raz i załamałem się. Wypełniła mię wówczas tylko melodia: „piękna to bajka, lecz już się skończyła; więc żegnaj, więc żegnaj...”. Usiadłem i nie chciałem odjeżdżać. Przecież to tutaj było mi tak dobrze. Siedziałem na tej ścieżce przez wiele godzin i wpatrywałem się w dom z dala widoczny.



Mochnaczka

A potem szukałem już tylko zapomnienia w pracy. Robiłem z wielką pasją, ale starczyło siły tylko na trzy dni. Później był list z moich urodzin, a za parę dni ten drugi. Chciałem tylko Twoją przyjaźń pozyskać, ale za bardzo byłem zachwiany, aby zdawać sobie sprawę ze słów, aby pisać pogodnie, aby nie być złośliwym. I najwidoczniej uraziłem Cię, skoro już drugi raz nadmieniasz, że nie mam żadnych zobowiązań względem Ciebie. Po co to – przecież to boli.

Prawda, że pisałem niejasno i w sposób wiele dający do myślenia, lecz gdy tak zdecydowanie przekonałaś mię, jak bardzo myliłem się, wszystko stało się dla mnie jasne, proste, wesołe.

W dniu, w którym otrzymasz ten list, spójrz na Gwiazdę Polarną. Ona opowie więcej. Namówię ją. Widzisz, księżyc nie chciał i gdzieś mi się zawieruszył. Teraz całuję Cię i czekam, czekam, ach jak bardzo...

twój...

*



Rozdział 11

biały hetman na b2
czarne robią małą rosządę

Doczekaliśmy się końca wakacji i znów spojrzeliśmy sobie w oczy. Poprzednie uniesienie miłosne i zapamiętanie w pocałunkach zostały przetransponowane na samotne wielogodzinne myśli i słowa listów. Wydawać by się mogło, że powinno być odwrotnie, a tu rzeczywistość wykazała swoją wielką niezależność. Bo powinno być równie trudnym przejście od pocałunków do listów, jak łatwym powrót od listów do pocałunków. Tymczasem pocałunki nie chciały być równie żarliwe jak przed wakacjami. W ich miejsce cisnęły się myśli, zwłaszcza ze znakiem zapytania; rodziła się potrzeba wielogodzinnych rozmów mających w gruncie rzeczy na celu wytropienie tej tak bardzo niepokojącej przyczyny.

Sądziłem w swym liście, że osiągam szczyt wyznania miłosnego prosząc, aby spojrzała na Gwiazdę Polarną i z niej wyczytała resztę o mnie. Byłem święcie przekonany o wzniosłości i stałości moich uczuć – tylko Gwiazda Polarna w całym wszechświecie, stojąc stale w tym samym miejscu nad nami, wykazywała cechy podobnej wierności. Okazało się, że nie mogła nijak znaleźć gwiazdy tej na niebie i nawet nie mogli znaleźć we dwoje, gdy kolega harcerz zaofiarował się na wspólne poszukiwanie tej gwiazdy przez szereg kolejnych wieczorów.

Coś przeminęło. Nie było sposobu, by wróciło. Podjęte przeróżne próby miały wynik negatywny. Naprędce zaaplikowane w zamian łudzenie się, też szybko okazało swe prawdziwe oblicze. Byliśmy sobie nadal bliscy, ale tak jak dwoje ludzi, którzy wiedzą dlaczego i wiedzą, że się skończyło, i wzajemnie się o to nie winią. W tym stanie świadomości spotkania były pogodne i niezakłamane, i nawet chętnie teraz przebywaliśmy razem, wiedząc wzajemnie, że któregoś dnia powiemy to ostatnie – no to cześć.

Kontynuowanie spotkań, pogodnych zewnątrz, lecz tak niepełnych, powodowało dojrzewanie w głębi goryczy, jakiegoś cynizmu może nawet. W miejsce, które miała wypełnić ta upragniona miłość, coś musiało się wcisnąć. Rozgoryczony, postanowiłem odstąpić od swych zasad, od etyki, którą przypisywałem prawdziwemu człowieczeństwu. Wreszcie przyznać muszę, że postanowiłem i skorzystać na naszej znajomości. Pragnąłem wszak kobiety jak jasna cholera. Pokój w domu akademickim był, permanentnie do tych celów przez kolegów wykorzystywany. Ona, któregoś dnia, może bardzo bliskiego, i tak byłaby zerwana przez innego chłopaka. Wszak przyrodzie wszystko jedno, kto jej odbierze dziewictwo. Raz będę pełnym draniem.

Na najbliższym spotkaniu w Łazienkach zaproponowałem, abyśmy może pojechali do mnie. Po pół godzinie byliśmy już w uwolnionym przez kolegów pokoju w domu akademickim. Od progu wziąłem ją zwyczajnie na ręce i zaniósłem na łóżko. Jeszcze nigdy tak pięknie kobiety nie czułem, jak przez te parę sekund gdy niosłem ją na rękach. Wyzwoliło to wręcz huraganową namiętność, która poniosła przed sobą najprawdziwszą miłość. Zrozumiałem, że dla tej kobiety zrobię wszystko, że ona zrobi ze mnie, co zechce, że będę przy niej zawsze, jakkolwiek w istocie byłbym daleko, nawet gdyby mnie odepchnęła, nawet gdybym ja zwariował, odejdę tylko zewnątrz. Usłyszałem wyszeptane – kochana – i jak echo – ciche – nie...

Wydaje się, że zapewniałem, że nigdy jej nie skrzywdzę, że zawsze będzie tylko tak, jak ona sobie będzie życzyć. Po półgodzinie znów byliśmy w Łazienkach. Rozbici gromem niedoszłego zbliżenia, a promieniejący nadal posiadaną czystością.

Czas jednak też tu ma coś do powiedzenia. Toteż zrozumiałem, że wejście na ten szczyt trzeba powtórzyć i tym razem zdobyć go, a całość należało lepiej przygotować. Umówiłem się więc z kolegami, że w oznaczonym dniu nie będzie ich w pokoju. Niewiele więcej wiedziałem, co należy przygotować i całe przygotowania nurtowały mię przez kilka dni. Nietrudno sobie wyobrazić skutek. Trudno jednak wyobrazić sobie, co się ze mną działo, gdy na spotkaniu usłyszałem, że chętnie, ale ona sama powie kiedy. Skróciłem to spotkanie do granic przyzwoitości i wróciłem do siebie, by przeżywać swą klęskę. Rzuciłem się na łóżko, na którym mieliśmy właśnie być razem. Patrzyłem na spód materaca łóżka stojącego nad moim łóżkiem i zrazu nic nie rozumiałem. Wolno rozpoznawałem przypiętą tam kolorową reprodukcję, dotarło do mnie, że jest to obraz Częstochowskiej, a dostatecznie duży i dostojny napis głosił:

– Niech Wam Matka Boska błogosławi.

Po kilkunastu dniach usłyszałem: – Możemy dziś iść do ciebie – gdybyś chciał oczywiście. Chciałem oczywiście. Pokój był wolny. Padło jeszcze zastrzeżenie, że sama się rozbierze i część zdjęła z siebie przed łóżkiem, a większość po wślizgnięciu się pod koc. Dane mi było oglądać jedynie wspaniałe włosy rozrzucone na poduszce.

Z absolutnym przekonaniem złoczyńcy wpełznąłem i ja pod koc. Cały drżałem; drżała chyba i cała moja nędzna osobowość. Ręka intuicyjnie powędrowała i jedyne co rozpoznała, to były niemiłosiernie wystające kości biodrowe. W przeświadczeniu konieczności ukrycia tego założyłem prezerwatywę, zbyt dużą i cuchnącą starą gumą, ale cóż dziwnego, skoro tyle czasu czekała w kieszeni na swe przeznaczenie.

Defloracji dokonałem po dyletancku – jednym słowem spieprzyłem problem, jak przystało na debiutanta. Na szczęście przynajmniej organizm sprzyjał, bo po natychmiastowym zaspokojeniu, które nastąpiło zaraz w przedśionku cnoty, po kilkunastu minutach, które przeleżeliśmy w milczeniu nie zmieniając pozycji, wróciła potencja i teraz z mentalnością rzeźnika dokonałem dzieła.

Do domu puściłem ją tym razem samą, bo miałem niecierpiące zwłoki zajęcia w pokoju. Wielką plamę krwi na prześcieradle zmyłem zimną wodą – tyle już wiedziałem, że krew schodzi tylko w zimnej wodzie. Z materacem nic się nie dało wymyślić, więc obróciłem go tylko na drugą stronę. Pomyślawszy zaniósłem go jednak do składziku znajdującego się na końcu korytarza, skąd wzięłem inny wyrzucony tam rozlatujący się materac. Aby całkowicie zatrzeć ślady, przez mokre prześcieradło starannie wyprasowałem spodnie i już teraz mogłem prześcieradło spokojnie powiesić na sznurku, aby doschło. Wszak czyniliśmy tak powszechnie. Nieustawiczne prasowanie spodni zdawało się być podstawowym sensem istnienia każdego mieszkańca domu akademickiego. Byłem na tyle sprytny, że zmyłem nawet ślady krwi z ud i właśnie gdy to kończyłem, weszli koledzy.

Koc, który tak niedawno zakrył miłosiernie swą szarością ten odwieczny akt, teraz musiał posłużyć znacznie nowszym praktykom. Ktoś rozdał karty i życie potoczyło się dalej. W czasie kolejnych robrów któryś opowiedział dowcip na czasie.



Córka zwróciła się do matki z prośbą o radę, co ma zrobić w tej sytuacji, bo ślub niedługo i co będzie, gdy się wyda, że już dawno nie ma cnoty. Matka poradziła jej, aby włożyła sobie śliwkę, która stawiając opór sprawi pozory cnoty. Córka jednak raczyła wątpić czy to dobry spo-

sób, bo mąż może zauważyć. Matka obruszyła się – już mnie możesz zaufać, skoro nawet twój ojciec nie miał wątpliwości, a musiałam włożyć całe jabłko.

Tak błaha rzecz jak taki dowcip, a zachwiał moją pewnością natychmiast i to na wiele lat. Natomiast, gdy ją ujrzałem po kilku dniach, zrazu nie wiedziałem, o czym mówi, gdy mi się zwierzyła, że całą noc nie spała.

*



Rozdział 12

biały pion bije piona na d5
czarny skoczek bije piona na d5

Mimo bardzo dobrych wyników na studiach stypendium nie otrzymywałem; nie przysługiwało mi nadal jako synowi rzemieślnika. A rodzice przysyłali stale tę samą ilość – czterysta złotych. Coraz częściej nie starczało to na życie. Wielu było w takiej sytuacji. Ratowaliśmy się więc razem i każdy z osobna. Liczni o tym pisali, piszę i ja, dla odnotowania, że student zawsze miał te same problemy.

Najpierw wpadliśmy na pomysł nie wykupywania kartek na śniadania. Wystarczyło długo w noc grać w brydża, to i bez trudu przesypiało się śniadanie... ale przesypiało się i zajęcia na uczelni – poniekąd... Było to coraz łatwiejsze, bo właśnie Architektura walczyła o zniesienie dyscypliny studiów, o przywrócenie studiów akademickich. Działaliśmy metodą faktów dokonanych, gdyż zarówno studenci jak i profesorowie demonstrowali pełne respektowanie tej zasady. Studenci nie przychodzili na niektóre wykłady, ćwiczenia i nawet egzaminy, a profesorowie nie protestowali.

Likwidacja śniadań zdała egzamin, więc prekursorzy poszli dalej – przestaliśmy wykupować w ogóle wyżywienie na stołówce. Zupę można było dostać bez kartki, a chleb był zawsze w koszu, można go było brać do woli, trzeba było tylko sprytnie przemknąć się przed okienkiem kucharek. Ponadto stałe godziny posiłków zaczynały być uciążliwe, bo właśnie złapaliśmy wiatr w żagle. Natrafili na nas plastycy robiący wystawy zagraniczne poprzez Przedsiębiorstwo Wystaw i Targów. Im nie opłacało się wykonywać żmudnego i niskopłatnego liternictwa, a my studenci byliśmy wprost idealni do tej pracy, zwłaszcza po takim treningu teoretycznym na studiach. Czterdzieści groszy za literę dla zawodowych literników było obrażą po prostu, a dla nas stało się kokosowym interesem. Konstrukcja plansz i zasada wystaw była taka, że wszelkie napisy musiały być w górnej części planszy. Wygodnie byłoby planszę położyć i tak pisać, ale leżąc na planszy i nawet podkładając tekturę czy szmaty zawsze zostawały ślady tej metody – choćby w postaci zniszczenia tak zwanej świeżości planszy. Stąd też liternicy ze specjalną laseczką na stojąco wykonywali tę katorżniczą pracę.

My szybko ją ulepszyliśmy. Planszę kładliśmy jednak na podłodze, ale sami w czasie pracy leżeliśmy nie na planszy, a na podłodze (to jest na betonie); wymagało to posiadania umiejętności pisania liter do góry nogami – ale czegoż to człowiek nie potrafi się nauczyć, jeżeli musi.

Następne dziesięć groszy od litery można było zarobić za układ napisu, to jest, jeżeli było widać zakomponowanie położenia słów w napisie. Było to trudne, bo wymagało pisania najpierw na papierze poszczególnych słów, komponowania ich, a następnie wykonywało się napis. Można się było bardzo wysilać, a i tak efekt był mierny, bo każda litera żyła swoim życiem, wychodziła nieco inaczej niż się zaplanowało, słowa nieznacznie się przemieszczały i wymagany układ napisu właściwie był nieosiągalny. Tymczasem ludzie odbierający pracę ustalili perfidny sprawdzian – linijką sprawdzali pionowość zakończeń wszystkich wierszy napisu. W ten sposób często udawało się im zakwestionować prawo do tych dziesięciu groszy.

My studenci pokonaliśmy i tę trudność. Nauczyliśmy się pisać napisy nie tylko do góry nogami, ale i od końca – właśnie od tych sprawdzanych ostatnich liter. Trzeba było tylko zakończyć pracę pięknym inicjałem litery, od której napis się zaczynał. A każdy inicjał był inaczej zdobiony, bo musiał swymi zawijasami zrobić coś z nierównymi początkami kolejnych wierszy.

I jeszcze jedno dziesięć groszy nas kusilo – tym razem przysługujące za krój litery. Najpiękniejszą była i pozostanie antykwa. Z prawdziwą lubością malowaliśmy pędzelkami jej zgrubienia i szeryfy, wykonywane z całą filozofią swych osi, sąsiedztwa, wysokości. A antykwa posiada ponadto teorię tak zwanego światła między literami. W tym jednym pisaniu napisów do góry nogami i od końca było prawdziwie skuteczną metodą, bo tylko tak bardzo oderwawszy się od treści napisu i istoty malowanej litery można było niemal geometrycznie wyznaczyć i osiągnąć wymaganą powierzchnię światła pomiędzy poszczególnymi literami, słowami i znakami.

XΔE

Antykwa.

Napisy wychodziły przepięknie, aż przychodzili oglądać. Uczelnia mogłaby być z nas dumna. Chyba nigdy potem wiedza zdobyta na uczelni nie była mi tak przydatną.

Tak. Przychodzili i patrzyli – aż podpatrzyli. Teraz i inni wyczuli w tym godny uwagi zarobek. Dostaliśmy pracę jeszcze ze dwa razy i wyparli nas miejscowi z przedsiębiorstwa. Jednak tak zdobyte parę tysięcy złotych jakże w porę podreperowały nasze budżety. Ale i jakże nie w porę... Kto raz spróbował „dobrobytu”, to jest, że może nie być głodny, ten szuka dalej.

Jedynymi zleceniodawcami okazali się profesorowie. Zaczęto w kraju drukować podręczniki akademickie, a tylko głodny student potrafił wykonać i był w stanie porwać się na wykonanie ilustracji przedstawiających zabytki architektury świata. Za jedno sto złotych zapłaty ślęczał taki kilka dni, by piórkiem wykonać miniaturę książkowego obrazka swą techniką naśladowanego do złudzenia miedzioryt. Profesor resztę bezsprzecznej należności często spłacał wyrozumiałym stosunkiem do opuszczania przez nas zajęć i wykładów. Wyrozumiałość ta była czasami tak dalece szczodrobliva, że przyniesienie kolejnego obrazka stawało się niemal jedynym kontaktem z profesorem i tym wszystkim co niesie w sobie wiedza Wyższej Uczelni.

Musiałem chyba umiłować ilustrowanie książek, bo wykonywałem tę pracę dostatecznie długo. Palce osiągnęły mistrzostwo, a że jeść trzeba było każdego dnia, to i dały chleb. Staliśmy się postrachem stołówek akademickich. Potrafiliśmy swymi piórkami i pędzelkami tak wymalować każdy rodzaj numerka na śniadanie czy obiad, że kucharki wprost załamywały ręce. Malowaliśmy na każdym wolnym skrawku grzbietu kartki żywnościowej, bądź tak długo oglądaliśmy okładki sprzedawanych zeszytów, aż dobrało się identyczny materiał.

Aż strach pomyśleć, co by to było, gdyby ktoś z wyobraźnią a przedsiębiorczy spostrzegł w porę te nasze tak specyficzne kwalifikacje. Na szczęście w życiu nie wszystko sprzysięga się przeciwko człowiekowi.

Chociaż...? Miałem tu przed chwilą na myśli dojście do aż tak kryminalnej sprawy jak podrabianie dokumentów. Tymczasem doszło do czegoś gorszego, choć w każdym swym fragmencie całkiem poprawnego.

Dostałem stałą pracę! Najwyższa Instytucja w najwyższym budynku i Profesor Wielki. Krążyły o nim legendy. A to że u niego nawet sprzątaczką musi mieć wyższe studia. A to że najpierw głosząc, że niczego nie potrzebuje, przekazał swoją przedwojenną willę Najwyższej Instytucji, po czym poprosił, by pozwolono mu w niej jednak mieszkać. Najwyższa Instytucja dokonała tego, z czym nie mógł sobie poradzić Profesor, wywaliła z willi kilka rodzin, które się tam nieopatrznie zaraz po wojnie same dokwaterowały. Remonty, konserwacje i koszty eksploatacyjne płaciła teraz Najwyższa Instytucja.

Dwukrotnie dotarłem przed oblicze Profesora Wielkiego. Za pierwszym razem poniosło mnie tam jak na skrzydłach – zawiadamiająca mnie pani o wezwaniu szepnęła, że wyjadę za granicę z Profesorem. Nie wyjechałem jednak, bo musiało i na twarzy mej pojawić się to, co zawrzało we mnie, gdy Profesor przeszedł bez żenady do istoty mojego wyjazdu – nie wezmę żadnego osobistego bagażu – po dwie walizy zgłoszę się w dniu wyjazdu do mieszkania Profesora. Cóż mnie wówczas mogło obchodzić to, że linie lotnicze bezwzględnie przestrzegały limitu ciężaru bagażu osobistego osób wyjeżdżających za granicę.

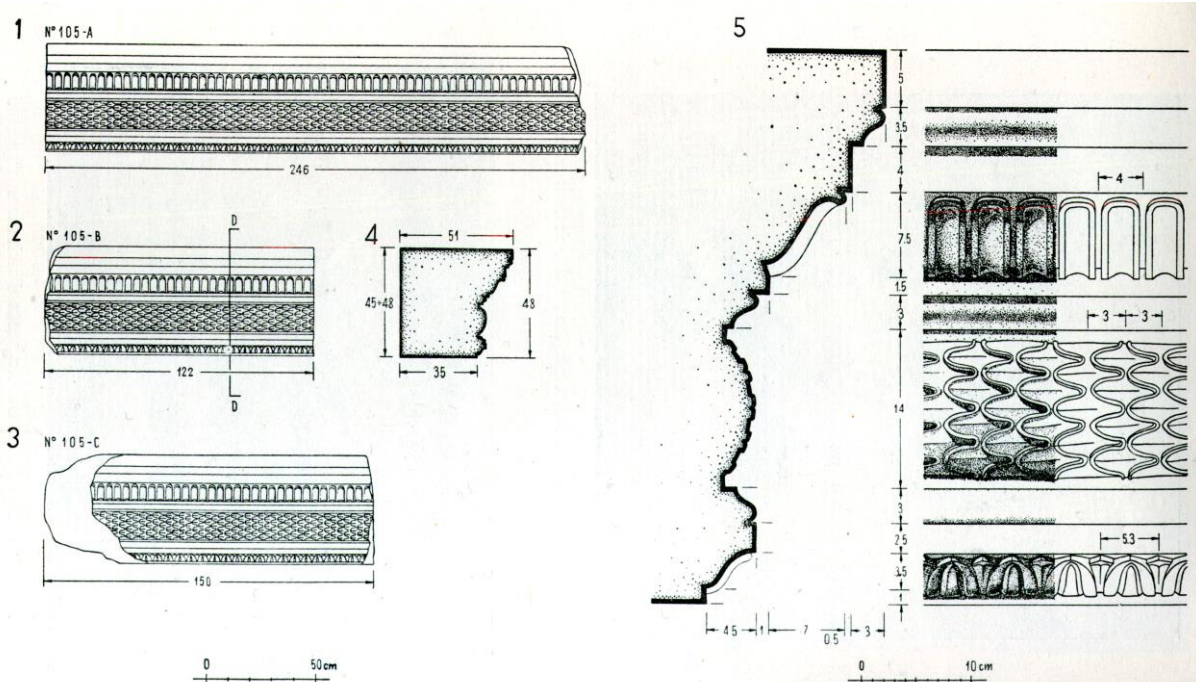
Za drugim razem powlokłem się sam, czekałem parę godzin do skutku pod drzwiami, by błagać o pomoc w rozwiązaniu beznadziejnej sytuacji mieszkaniowej. Profesor miał nawet pomysł. W jego willi była jakaś sposobna ławeczka, na której chyba dałoby się spać, a i od dłuższego czasu już nikt nie chciał być dozorcą w jego willi, palić w piecach, więc dobrze się ponie-

kład składało. Podkowa Leśna, gdzie mieszkał Profesor, była dla mnie na tyle daleko od Warszawy, że komplikowała wszystko w moim życiu.

Nasz kilkuosobowy zespół w Najwyższej Instytucji był w pełni samodzielny. Pracowaliśmy nawet nie za dużo, ale za to każda nasza czynność układała się w bezwzględny system w jedną całość. Organizująca nas pani miała w perspektywie rzeczywiste mianowanie kierownikiem naszego zespołu. Zasługiwała się i dokumentowała swe organizatorskie zdolności. Konkurowały w tym z nią dwie inne panie – ale te najwyraźniej czekały już tylko na cud. Stąd pierwsza, trzeźwo stąpająca po ziemi miała łatwiejsze pole działania. Jej sukces na niwie kierowniczej nie był snąc zadowalający, bo nagle pojawiła się nowa pani. Ta nowa dotychczasową pretendentkę do tronu wysłała na sześć tygodni za granicę, pozostałe dwie konkurentki na urlop, w tym czasie przejęła liczące się kontakty, spokojnie rozpoznała stan spraw i gdy po niedługim czasie nasz zespół znów był w komplecie, nie było wątpliwości, kto kieruje zespołem.

Użyłem słów – nasz zespół – a przecież nie było to takie jednoznaczne. Dwie osoby nie należały do zespołu. Ja – bo nie zasłużyłem. I jakaś dziwna pani – bo nie chciała. O niej mówiło się z pogardą – ta w strąkach na głowie, ale jednocześnie zachowywano wobec niej niewytłumaczalny respekt. Pani ta była wyrocznią w sprawie treści; narzucała styl poszczególnych części opracowania. Bezimiennie, skromnie, realizowała swą genialną osobowość.

Pozostałe panie rozpracowywały szczegóły, pisały kolejne rozdziały na czysto, robiły korekty tekstu. Ja na podstawie odręcznych szkiców, a zwłaszcza fotografii wykonywałem ilustracje, jak ta moja poniżej.



29. *Camb de Dioclétien*. Trois fragments d'architrave n° A 105: face (1—3), coupe *D-D* (4), profil et détails (5)

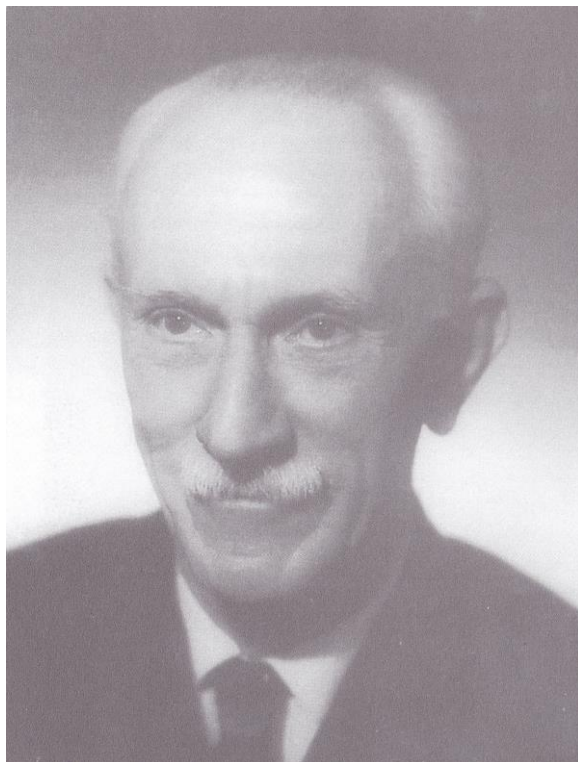
Kierowniczką na pniu, choć ze skrupulatnością księgowego, rozdzielała całe przyszłe honorarium między tych wszystkich z wydawnictwa i z drukarni, od których cokolwiek zależało w procesie wydawniczym.

Gdy wszystkie tak zwane szczytki były już po korekcie, przypadło mi wykonanie pięknej obwoluty i całość poniosła kierowniczką Profesorowi Wielkiemu, by ujrzał swe kolejne dzieło.

Profesor Wielki był wspaniałomyślny. Nie wziął ni grosza z dużego honorarium, wziął z godnością całą naszą pracę.

Profesor był nawet jeszcze bardziej bezinteresowny. Zatrudnił w naszym zespole równie inteligentną jak piękną panią, która aktualnie była miłością innego profesora. Aby dzieło było dokonane idealnie, nic niewiedzącego męża tej pani wysłał za granicę. Wieści niosły o sukcesach męża za granicą, aż raz przyniosły, że utonął. Może niosły w obie strony? Nieborak.

Był jeszcze inny epizodzik mnie dotyczący. Któregoś dnia, nie wiedząc czemu, zostałem wysłany z rurką rysunków do Profesora Wielkiego, a miał on swój gabinet w Muzeum Narodowym. Tam inna pani odebrała tę moją rurkę i kazała czekać. Wróciła po kilkunastu minutach, zwróciła mi tę rurkę z rysunkami i kazała wracać do Pałacu Kultury i Nauki. Teraz jednak strażnicy muzeum się rozeźlili i kazali sobie dokładnie pokazać całą zawartość mojej rurki. Oczywiście niczego nie znaleźli, ale mnie żółtodzioba bez żenady pouczyli, abym nie dał się zrobić w takie noszenie, bo za którymś razem w mojej rurce może być obraz z muzeum.



Profesor Kazimierz Michałowski.

Przyganiał kociół garnkowi... A te bezceństwa które sam wyprawiałem?

*



Rozdział 13

biały goniec na e2
czarny goniec na f5

Podobno najtrudniejszy jest początek, ale jak już się zacznie, to leci. Nasz pierwszy stosunek był prawie że z obowiązku, a potem jakoś przywykliśmy, szczególnie ja. Polubiłem to nie-
możebnie. Dobre było każde miejsce i każda pora. Dowód młodszej miłości brałem sobie
w obłądnych sytuacjach i porach.

...winda zatrzymana między piętrami, klatka schodowa lub schody w parku. Szczególnie
nadawał się do tego celu Pałac Kultury i Nauki a w nim pokój 1909, w którym pracowałem. Pa-
łac Kultury miał wówczas zakamarki, w których przez wiele godzin nikt się nie pojawiał. Był
dobry, i zimą, i latem. Nie byliśmy jedynymi pomysłowymi, bo kiedyś straż pałacowa wykryła
w jakimś kącie ukryte łóżko polowe i zidentyfikowała użytkownika, gdy wieczorem przyszedł
spać.

Nawet firanka odsłonięta czyniła pewne pomieszczenia przydatnymi. Gdy musiała sygnali-
zować zasłonięciem, że są i inni mieszkańcy, to nie zawodził pokój w domu akademickim. Aż
wreszcie współmieszkańcy pokoju wyjechali wraz z Variété na tournée, jako obsługa, a my mie-
liśmy pokój na stałe. Przez wiele godzin każdego dnia nie wychodziliśmy z łóżka. Tu padł mój
rekord – siedem razy; tu usłyszałem, że zdawało się, że będzie zawsze panowała nad sobą,
a zrobiłem z niej taką bezwolną szmatkę.

Przyszły jednak wakacje i nas rozdzieliły. Ona pojechała na obóz, ja do rodziców. Przedtem
jednak przewidująco wymogła na mnie solenne przyrzeczenie, że nie przyjadę do niej na obóz.
Słałem więc listy płomienne. Każdy był szczytowym osiągnięciem, dopóki nie napisałem na-
stępnego. Tęsknota lawinowo wzrastała, aż napisałem te słowa:



Droga jednokierunkowa (w moim życiu też).

Kochana moja –

I znów będzie dziesiąta. Za parę minut. Noc. Będę pewny, że moje pocałunki natrafią na Twoje. Za kilkadziesiąt godzin skończysz osiemnaście lat. Może właśnie w dniu w którym będziesz czytała ten list. Cieszę się niezmiernie, że to już, i życzę Ci dużo szczęścia. Chciałbym, żeby ten właśnie list był ładny, żeby był pogodny i wesoły, żebyś czytając go mogła się uśmiechać i czuć tak nieograniczone szczęście, jak ja dzisiaj czuję. To nic, że nie zastałem Cię przed moim domem, gdy wracałem wieczorem z rodziną; nawet nie było mi przykro, gdy mimo zaklęć i próśb nie zesłałaś dzisiaj do mnie ze sceny wraz ze słowami „pyk, pyk, pyk z fajeczki”; nie rozczarowałem się również, gdy siedząc na trybunach stadionu obejrzałem się i tam, gdzie Ty byłaś, zobaczyłem małe dziecko; wierzyłem, że to Ty pociągasz mię za koszulę i wystarczy tylko obejrzeć się.

Gdy „Śląsk” śpiewał przepiękną pieśń zbójnicką o Ondraszku, moje oczy stale odbiegały w lewo na koronę stadionu, gdzie lada chwila miałaś pojawić się, i w mundurku, i z długim war-koczem, i w Kubusiowej żółtej chuście. Już tylko wystarczyło roztrącić zdziwionych współ-widzów, by podbiec do Ciebie, pocałować jak tyle razy dawniej, a potem już tylko posadzić obok i poprosić, abyś oparła głowę na moim ramieniu. I byłaby ogromna masa ludzi na stadionie, i byłiby moi rodzice i bracia obok nas, a z estrady popłynąłby i otoczył nas wprost niemożliwie piękny śpiew. Wszystko to byłoby tylko obok nas, my znów bylibyśmy tylko dla siebie, bylibyśmy bezwzględnie sami. Nawet z pewnością nic nie mówilibyśmy, już wszystko byłoby powiedziane w pierwszym pocałunku jeszcze tam na górze stadionu i tylko może wraz z melodią przeplatałoby się, to znów rywalizowało albo płynęło identyczną falą nasze szczęście.

...nasze, zawsze, bezgraniczne.

Czas, przestrzeń? – na cóż by się to zdało?

kocham Cię...



Niebezpieczny zjazd (w moim życiu też).

Napisałem, spakowałem plecak, włożyłem na siebie mundur harcerski, a pociąg sam mnie zaniósł do Rajczy.



Rajcza.

Z listów wiedziałem, czego szukać. Znalazłem naderwany powodzią mostek, z dala widoczną polanę w lesie, a na niej obóz. Szare harcerki nawet stąd były widoczne. Wstąpił we mnie duch tropiciela i lasem obszedłem obóz dookoła. Następnie wróciłem na wybrane miejsce, skąd w całkowitym ukryciu mogłem dokładnie obserwować całe życie obozu i twarze harcerek. Nie rozpoznałem jej, ale pamięć opisów listowych pozwoliła na zidentyfikowanie namiotu, w którym ona mieszkała. Tym baczniej więc oglądałem każdą wchodzącą czy wychodzącą stamtąd harcerkę. Wiele godzin pilnego obserwowania nie przyniosło żadnych rezultatów. Gdy zapadł zmrok, ułożyłem się na dużym w tym miejscu stoku i zasnąłem. Zsuwałem się jednak tak bardzo, że w środku nocy obudziło mnie to. Dobrze się składało. Teraz można było z bliska sprawdzić. Podszedłem niepostrzeżenie pod sam obóz, podpełznąłem pod ten ustalony namiot, rozsznurowałem bok namiotu i skulony na ziemi rozmyślałem. I choć nie powodowałem żadnego szelestu, przechodzące wartowniczkę, bardzo sumienne zapewne, wyłuskały mnie światłem swych latarek. Wstałem i odszedłem, a one tym samym światłem wskazały mi właściwą drogę. Trafiłem na swoje miejsce z drugiej strony obozu, gdzie zostawiłem plecak i położywszy się tym razem tak, że miałem między nogami pień świerka spałem spokojnie do pięknego ranka.

Następnego dnia jakieś zastępy wyszły na wycieczkę. Podążyłem za nimi i schodząc szybko górską ścieżką wyminąłem je beztrąsko, ale dokładnie choć ukradkiem sprawdziłem każdą twarz. Nie było jej, czyli została w obozie. Uczyniłem najlepsze, co zdołałem wymyślić. Odnalazłem w Rajczy pocztę i napisałem do niej list informujący, że przyjechałem jednak i gdzie będą cały dzień czekał. List miał prawo dotrzeć do niej tego ranka, bo poczta nie musiała nic z nim robić, a tylko wręczyć dyżurnej harcerce, która codziennie winna tu przychodzić po listy dla całego obozu.



Skrzyżowanie dróg (w moim życiu też).

Byłem tak zaaferowany swym pomysłem, że niemal wpadłem na grupę harcerzek wchodzących do urzędu pocztowego. Na dodatek w jednej rozpoznałem koleżankę mojej Pani. Teraz już nie miałem wątpliwości, że list mój niezwłocznie dotrze do adresatki. Pozostawało mi tylko pójść za nimi i czekać w umówionym miejscu. Zdziwiłem się jednak bardzo, gdy okazało się, że podążyły w innym kierunku, niż według moich ustaleń miał znajdować się ich obóz. Czatowałem więc wczoraj pod zupełnie innym obozem.

Ten nowy, właściwy obóz swym położeniem niczym nie przypominał wczoraj odkrytego obozu, a zwłaszcza nie było wokół żadnego miejsca, które by choć w przybliżeniu było podobne do opisanego przeze mnie w liście. Tak więc miejsce, które wyznaczyłem na nasze spotkanie nie istniało.

Zmartwienie moje z tego powodu byłoby ogromne, gdyby nie to, że po krótkim czasie i bez żadnych trudności rozpoznałem ją w kuchni. Była tam z jeszcze innymi dwiema harcerkami. Patrzyłem i chłonałem moją niewymowną radość. Aż się chce napisać, że tak stałem i patrzyłem przez długi czas, że spełniło się moje marzenie. A tu nie, poderwało mnie to do szczególnie bezczelnego działania. Musiałem niezwłocznie nawiązać z nią kontakt, tak by nie wywołać sensacji w całym obozie. I nie tyle przeszkadzała mi sama ewentualna sensacja, ile miałem świadomość, że ujawnienie się wszystkim zniweczy moje zasadnicze plany.

Napisałem więc kolejny krótki list zawiadamiając, że jestem za tą grupą drzew powyżej kuchni.

Do dziś nie wiem, jak udało mi się przekonać niemłodego już górala, aby przerwał orkę i aby poniósł list takiego gówniarza do tej tam podlotki pracującej w obozowej kuchni. Musi, co górale to naprawdę mądry naród. I wiercie mi, że był lipiec, a on tam coś rzeczywiście orał.



Nakaz jazdy w prawo lub w lewo (w moim życiu też).

Minęła króciutka chwila i już staliśmy w milczeniu przed sobą. Potem usiedliśmy na stoku i nadal milczeliśmy. W jej oczach nie widziałem zgorszenia, czy najmniejszej wymówki; może tylko malował się w tych oczach cały kobiecy realizm zawarty w uświadamianiu sobie tego nieuchronnego, co teraz niechybnie musi nastąpić. Oprócz wyrazu tych oczu, dostrzegłem nie dziewczęce jeszcze nogi zawarte między króciutkimi, niemal dziecięcymi szortami a przydużymi gumiakami. Zrobiło mi się na duszy nijako. Czegóż ja mam prawo żądać od tak wczesnego poranka jej młodości?

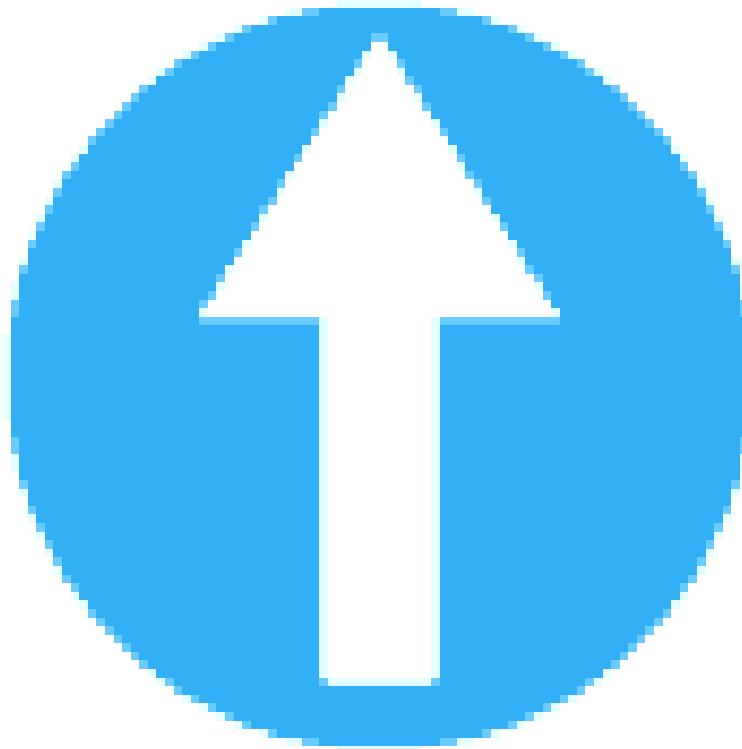
Po długiej chwili wstała, posłusznie uczyniłem i ja to samo. To, co przywarło do mnie całym ciałem, było już kobietą, najwspanialszą...

W bezpiecznej odległości od obozu znaleźliśmy grupę starych świerków, których gałęzie opadały do samej ziemi. Pod nimi był dosłownie namiot. Tu wymościłymi gałązkami wspaniałe łożo, ale tu spałem tylko ja sam, w nocy. We dwójkę, w ciągle wspaniałym słońcu uzupełniliśmy naszą pełną miłością sens otaczającej przyrody.

Czyż może zespolenie dwojga młodych, zespolenie jeszcze tak przynależne przyrodzie życia, czyż może mieć lepszą oprawę, niż taka przestrzeń, bezkresne wzgórza, pola i lasy, zwielokrotnione aż do dzwonienia cykanie świerszczy i śpiew ptaków? Prażące słońce i będący tuż tuż nozdrzy zapach ziół łąkowych sprawiały, że te dwa ciała osiągnęły pełnię kolorytu młodszej miłości.

Byłem szczęśliwy. I gdy nasze szczęście i miłość roznieśliśmy i ogłosiliśmy po okolicznych wzgórzach, zapragnąłem obwieścić je komuś. Można było zacząć tylko od moich rodziców i braci. Tylko oni wydali mi się godni podzielić z nami piękno naszej pełnej miłości, zaakceptować nasze szczęście.

Wsiadliśmy w pociąg i po paru godzinach byliśmy wśród nich. Byliśmy, a zdawało się, że jeszcze nie dojechalśmy, bo oni widzieli nasz przyjazd, a jeszcze go nie dostrzegali; my nadal czekaliśmy na powitanie nie tylko syna z nieznaną dziewczyną; spodziewaliśmy się, że jednak nastąpi powitanie naszego szczęścia. Może i my byliśmy nadal tylko dla siebie i tylko ze sobą, tak jak potrafiliśmy być sami nawet wśród największego tłumu.



Nakaz jazdy prosto (w moim życiu też).

Konwencjonalna rozmowa przy kolacji, a potem matka pościeliła dla niej w jednym pokoju, a my wszyscy wynieśliśmy się ze spaniem do drugiego pokoju.

W nocy przeszedł mię dreszcz – wezwanie samca przez samicę wcześniej dotarło do mnie biologicznie, niż za pośrednictwem zmysłów. Gdy wreszcie wyrwałem się ze snu, dotarło do mnie zza drzwi kolejne, przejmującym szeptem wypowiedziane wezwanie, jedyna w swoim rodzaju prośba — Maniek, przyjdź...

Wstałem ostrożnie z łóżka, po cichutku otworzyłem drzwi i gorącymi pocałunkami powitałem i uczciłem jej pożądanie. W noc tę zapragnęliśmy się do szaleństwa, a mimo to z całym możliwym respektem dla odczuć mej rodziny zadbaliliśmy o drobiazgi, choć od naszego zapamiętania miała prawo cała kamienica się obudzić. Zdjęliśmy piżamy i nakryliśmy nimi prześcierało, aby nie zostawić śladów, następnie ją ułożyłem na samym brzegu tapczanu, bo wydawało mi się, że tu sprężyny nie będą skrzypiały i dokonaliśmy rytuału bardzo dokładnie. Nie mogło być inaczej. Ostudzenie i uspokojenie naszych ciał powierzyliśmy księżycowi, gdy przez długi czas stojąc nago na balkonie słowami uzupełnialiśmy to, czego nasze ciała nie zdołały wypowiedzieć.

Sen upomniał się też o swoje prawa i gdy od paru godzin wszyscy byli na nogach, brat się zlitował i obudził mnie. W domu była atmosfera zwyczajnego dnia pracy, nikt się najwyraźniej nie zorientował, ale my byliśmy skruszeni. Nie wiedzieliśmy, jak nawiązać dialog z rodziną. Sprawy okazały się znacznie bardziej proste i naturalne. Ja pobiegłem do sklepu jak zwykle, ona pomogła zmywać naczynia w kuchni. Wróciłem odprężony i odświeżony spacerem, ona też miała radość w oczach i opowiadała, że miały z matką długą przyjacielską rozmowę, matka moja ją zrozumiała, pytała wiele o jej rodziców, nawet interesowało ją, gdzie w tej chwili przebywają na wczasach.



(W moim życiu też).

Rodzina moja jakoś tak się rozbiegła, byliśmy znaczną część dnia sami, było tak zwyczajnie jak to w domu rodzinnym. Wygospodarowany czas się skończył i rozstaliśmy się pogodnie na tych pozostałych kilkanaście dni wakacji – wróciła na obóz.

W parę godzin później ojciec skądś wrócił i zupełnie niespodziewanie dla mnie bomba pękła. Miałem zasadniczą rozmowę z rodzicami. Program był jeden, skoro aż do tego doszło, natomiast musi być ślub, nie wolno żyć w takim grzechu. Wykazywałem, że przecież nie mamy żadnych warunków materialnych i ponadto sami uważamy, że proces decyzji – czy na całe życie – w nas samych jeszcze się nie zakończył.

Wyrok-przekleństwo był jeden: jeżeli ona nie potrafi dziś uszanować siebie, w przyszłości nie uszanuje ciebie. Będzie cię zdradzać przy każdej okazji, a ty nie będziesz wiedział, czy bić zaraz przy ludziach, czy dopiero w domu.

Kto nie słucha ojca-matki, ten słucha psiej skóry.

Byłem oburzony jak nigdy w życiu takim zbrukaniem naszej pięknej miłości. W słowach wyrzuciłem z siebie całą radość i zachwyt dla tego, co między nami zachodzi.

Nie rozumieliśmy się absolutnie. Po paru dniach nie wytrzymałem tego i wyjechałem do Warszawy, by tu czekać na jej powrót z wakacji.

Czekałem na dworcu, widziałem jak przeszła z rodzicami, ale nie miałem odwagi podejść. Zadominowała nade mną psychoza złodzieja. Jednak po paru godzinach nie zdzierżyłem i zadzwoniłem. Usłyszałem: – Przyjdź.

Radość sama mnie poniosła. Za progiem zorientowałem się, że coś nie w porę przyszedłem, chcieliśmy się wynieść na spacer, ale nie pozwolono jej. Wzrokiem pytałem, o co może chodzić?

Cicho wyjaśniła mi, że tu jest wszystko w porządku i przeszliśmy do rozważań, co zrobić z tym ostatnim tygodniem wakacji. Najlepiej byłoby wyjechać razem gdzieś w lasy. Oficjalny wspólny wyjazd był nie do pomyślenia; oceniała, że nawet prosić o zgodę nie można, takie byłoby to oburzające.



Koniec drogi dla pieszych (w moim życiu też).

A wyjechać pragnęliśmy bardzo. – Wymyśl coś. – Usłyszałem.

Wymyśliłem. Poproszę o zgodę na wspólne odwiedzenie moich rodziców, a że wizytę taką mieliśmy już za sobą, więc można by prosto w lasy augustowskie.

Poprosiłem jej matkę – i w życiu jeszcze nic nie runęło tak na mnie. Wymówki padały jedne za drugimi. Co ja z niej ośmieliłem się zrobić? Ona przecież musi skończyć studia i ślub jest niemożliwy.

Ze mną coś zaczynało się dziać. Po kręgosłupie przebiegały bardzo nieprzyjemne ciarki i cały od tego sztywniałem.

I po co ona ma jechać do moich rodziców? Żeby jeszcze raz tak była przyjęta? Wiem wszystko. – Usłyszałem.

Okazało się, że moja matka, w tej rzekomo przyjacielskiej rozmowie, wyciągnęła od mojej dziewczyny adres pobytu jej rodziców, że mój ojciec niezwłocznie pojechał do nich tam na wczasy i kategorycznie żądał ślubu dla zlikwidowania tego bezceństwa. Niczego nie wskórał. – Było to ostatnie, co ze słów jej matki do mnie dotarło, choć słów padało jeszcze wiele. Moja cała osobowość uciekła gdzieś daleko w bok. Wyło we mnie w środku: – Jak można mi było coś takiego zrobić? Jak można było w ogóle coś takiego zrobić?

Przecież mam już dwadzieścia pięć lat, (ona miała o osiem lat mniej, czyli siedemnaście), a ojciec wyjeżdżając na tę straszną rozmowę nie powiedział ni słowa. Nie powiedział o tym ni słowa, gdy wrócił z niczym. Nie uprzedzono mnie nawet, gdy wyjeżdżałem, choć oczywiste było, na co nadzieję się tutaj.

Zupełnie nieprzytomny z żalu, jedyne, co zdołałem wypowiedzieć, było: – Ja o tej rozmowie nie wiedziałem.

*



Rozdział 14

białe robią małą roszađę
czarna wieża z f na d8

Byłbym się przewrócił od tego ciosu, ale podparty zostałem przez drugie nieszczęście.

Jak co roku oddałem do dziekanatu indeks do rejestracji. Zaczynał się dla mnie jedenasty semestr studiów, czyli ostatni dyplomowy. Tym razem indeksy trzymano w dziekanacie nieco dłużej, ale nie zwróciliśmy na to uwagi, gdyż zajęci byliśmy samowolą, która miała być naszą odpowiedzią na samowolę innych.

Architekt powinien umieć nie tylko rysować, czy malować, ale i rzeźbić. Tymczasem po wojnie nie została przywrócona nauka rzeźby na studiach architektonicznych. Swego czasu nasza uczelnia wypożyczyła na trochę salę rzeźby Pracowniom Sztuk Plastycznych i tak zostało. Korespondowano ze sobą od paru lat. Pracownie nie zamierzały się wynieść, Wydziałowi bardzo potrzebna była sala. Skrzyknęliśmy się któreś nocy i studenci wraz z asystentami wynieśli na podwórze wszystkie rzeźby i sprzęty, a nawet worki z gipsem. Nie śmieliśmy tknąć tylko wielkiej, wykonanej w skali 1:2 gipsowej makiety pomnika Chopina, który miał być zrekonstruowany, aby powrócił do Łazienek Królewskich.



Pomnik Fryderyka Chopina w Łazienkach Królewskich w Warszawie.

Myślałem nawet o tym, czy raczej nie należałoby przeznaczyć na naukę rzeźby Sali Belojanisa (kto to był? Sięgnąłem do encyklopedii: „BELLOJANNIS Nikos, ur. 1916, działacz greckiego ruchu robotniczego, członek Komitetu Centralnego Komunistycznej Partii Grecji, aresztowany, skazany i stracony w 1952 roku”, a więc salę niedawno tak nazwano), która od dłuższego czasu była zamknięta. Nie wystarczyło mi wyjaśnienie uzyskane w Dziekanacie, że tam będzie z prawdziwego zdarzenia kreślarnia dla studentów. Ukradkiem dostaliśmy się tam we dwóch. Widok był dziwny. Kreślarnia była gotowa, pomalowana, stoły równymi rzędami ustawione i przytwierdzone do podłogi, na każdym stole przykręcona lampa, od której rurką stalową przewody szły pod podłogę. Tylko że te lampy nie dały się zapalić. Zaciekawieni odkręciliśmy śruby mocujące jeden ze stołów do podłogi i unieśliśmy go w górę. Wraz ze stołem z nawierconej dziury w podłodze wysunęły się wprowadzone tam krótko obcięte przewody od lampy. Pod podłogą nie wykonano żadnej instalacji elektrycznej. Konsternacja nasza była ogromna. Takiego oszustwa jeszcze nie widzieliśmy.

Biedny nasz dziekan. Jak on z tego wybrnie?

Wróćmy do indeksów. Odebrałem swój i oczom nie wierzyłem. Zamiast rejestracji na jedenasty semestr miałem rejestrację na trzeci semestr. Tak postąpiono z większością studentów. Nowy dziekan najwyraźniej dostał polecenie wyrwania z korzeniami marzeń o studiach akademickich i każde uchybienie ustalonemu programowi studiów uznał za niedopuszczalne.

Po godzinie miałem rejestrację już na piąty semestr, bo udowodniłem, że sumiennie odbyłem praktykę na budowie po drugim roku. Skończyłem parę rysunków, zaliczyłem jakieś zajęcia i dostałem dalszą rejestrację. Trzeba było przygotować się do kilku egzaminów, ale i te zdałem. Tak w ciągu trzech tygodni uzyskałem rejestrację na dziewiąty semestr. Ale w tym roku wprowadzono na piątym roku studiów historię architektury najnowszej. Nie uczyliśmy się tego i nie mieliśmy szans na zaliczenie. Tylko paru jakimś psim śwędem prześliznęło się obok tego rygoru. Większość musiała ponownie studiować dziewiąty i dziesiąty semestr. Już po paru miesiącach zdałem sobie sprawę z tego, jak istotnym było powtórzenie tego roku. Bo jakimż architektem mógł być ktoś, kto znał doskonale historię i teorię architektury od jej początków do osiemnastego wieku, a nie miał zielonego pojęcia o dorobku ostatnich, długo wyklętych wieków, który nie słyszał nic o współczesnej twórczości architektonicznej na świecie. Tu dopiero zaczęły się nasze studia.



Walter Gropius

Dostałem na przykład, dla napisania recenzji, książkę traktującą o sprawach, o których nigdy nie słyszałem, i w dodatku książkę w języku niemieckim, którego nie znałem.

Długo wpatrywałem się w ilustracje, potem kojarzyłem je z życiorysem, a ten przetłumaczony na polski dostałem od koleżanki. Z pracy mojej dokonanej w tych warunkach musiało wyjść szalbierstwo, a nie wyszło. Może naprawdę zaczynałem rozumieć istotę architektury? W ciągu tych kilkunastu dni dotarłem do sedna architektury współczesnej; czułem się jakbym odbył długą praktykę w pracowni tego wielkiego architekta.

Natrafiłem na Waltera Gropiusa. Pisałem:

Będący obecnie w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej architekt Walter Gropius jest słusznie zaliczony do grona budowniczych, których twórczość ma charakter międzynarodowy. Jedną z jego najnowszych realizacji, tak zwane „Boston Center” rzuca najlepsze światło na wielkość swojego twórcy.

Walter Gropius za całokształt swojej działalności dostał w roku 1954 Grand Prix. Można powiedzieć, że osiągnął wszystko, na co mógł pokusić się architekt jego epoki – naszej epoki.

Lecz jakaż była droga do tego tryumfu?

Walter Gropius rodem z Berlina i tam też studiujący wyrasta z tej samej pracowni i w tym samym czasie co Mies Van den Rohe i Corbusier – z pracowni Behramsa.

Już w pierwszych artykułach Werkbundu zrywa z panoszącym się podówczas w Niemczech ekspresjonizmem. Szuka nowej drogi. I gdy w roku 1911 już we własnej pracowni realizuje Fabrykę Fagusa, rzuca światu niespodziewane i nagłe oznajmienie, na czym winna polegać nowa architektura. Stalowe i szklane elementy ścian łączą się przejrzystością na narożnikach bez udziału słupów. Konstrukcja budynku jest cofnięta do wnętrza. Rola ścian ograniczona jest tylko do roli zasłony. Gropius zerwał więc z kanonem dotychczasowej architektury, w myśl którego ściana zewnętrzna była jednocześnie elementem konstrukcyjnym budynku.



Fabryka Fagusa 1911 rok.

Nowe możliwości, jakie dawało szkło, stal i żelbet, proste traktowanie ściany, oświetlenie wewnątrz światłem naturalnym –wszystko to zostało jasno skoordynowane. A trzeba pamiętać, że był to okres wielkiego przemysłowego rozwoju Niemiec i że naród niemiecki po zrobieniu z siebie potęgi przemysłowej zapragnął wykazać tę potęgę w dziedzinach bardziej odczuwalnych przez ludzi. Te dążenia znajdują naturalne centrum w Werkbundzie. Niemiecka sztuka stosowana staje w punkcie zwrotnym swego rozwoju.

Było to jednak zrobione z możliwości przemysłu, a zwłaszcza z jego specyfiki technologicznej nowych kanonów architektury. Dwuteowy przekrój dźwigara walcowanego w hucie urasta niemal do rangi najwyższego wcielenia piękna, a nadana mu, jedynie możliwa dla procesu walcowania stali, linia prosta produktu przemysłowego zdominuje bezapelacyjnie charakter architektury.

Tej specyfice przemysłowej produkcji podporządkowuje się szkolnictwo i wpaja młodzieży te kanony jako wyraz absolutnego postępu. Gdy w roku 1918 Gropius zostaje mianowany dyrektorem szkoły Bauhaus w Dessau, tak pieczołowicie dobiera nowy personel, by jak najbardziej uchronić młodzież przed wpływami ekspresjonizmu niemieckiego.

Tak stworzono warunki do masowego natarcia. W tej walce o nowy kierunek w architekturze Gropius atakuje nie tylko przez twórców, atakuje i przez odbiorców piękna. Osiąga to przez swój udział w wielu wystawach zagranicznych jak wystawa w Paryżu w 1930 roku, wystawy budowlane w Berlinie w roku 1931 oraz w roku 1933.

Jednocześnie realizuje wiele kolonii mieszkaniowych w Berlinie, Dessau, Frankfurcie nad Menem i Karlsruhe. Tu Gropius krystalizuje kolejny kanon, który w architekturze do chwili obecnej ma swoje reperkusje. Stwierdza on mianowicie, że na terenie o tej samej wielkości i przy zachowaniu identycznego nasłonecznienia da się uzyskać tym większą ilość mieszkań, im więcej kondygnacji będą miały zastosowane budynki. Kanon ten umocnił poważnymi studiami nad fizjologią kolonii mieszkaniowej. Wszystko to jednak sprowadzało się w swej ostateczności do zubożenia problematyki zakresu potrzeb mieszkańca.



Walter Gropius, Bauhaus, Dessau, 1926 rok.

W roku 1926 Gropius projektuje budynki Bauhaus'u w Dessau. Program i założenia tego projektu były olbrzymie. Głównym celem i doskonałym osiągnięciem tego celu było jasne wyodrębnienie wszystkich funkcji obiektu. Tak powstał kolejny kanon o zgodności bryłowego wy-

razu z technologią funkcji użytkowania obiektu, identyfikowany później z tak zwaną architekturą funkcjonalną.

W roku 1927 Gropius projektuje teatr. Wprawdzie nie zrealizował go, ale studia nad problemem, jakie wówczas prowadził, stały się przyczynkiem do wielu późniejszych rozwiązań. Opracował zasadę zmienności funkcji użytkowania obiektów służących widowiskom. Poprzez pomysł obrotowego parteru widowni oraz skonstruowania proscenium na zasadzie zapadni uzyskał możliwość różnego wykorzystania sali – do koncertów, recitali, wystawień operowych i teatralnych.

W roku 1929 Gropius zostaje wiceprezydentem międzynarodowego kongresu architektów współczesnych.

W latach 1934 – 37 przebywa i pracuje w Londynie, a w roku 1937 zostaje zaproszony na stałe do USA. Początkowo jest profesorem, a później dziekanem Wyższej Szkoły Budowlanej w Cambridge. Tutaj Gropius musiał zaczynać też niemal od początku, gdyż po pełnej prostoty i wyrazu architekturze Szkoły Chicagowskiej lat 1900 reprezentowanej przez Sullivana i Wrighta duch amerykańskiej architektury zdegenerował się do merkantylnego klasycyzmu.

W roku 1938 Gropius buduje dom dla siebie w Lincoln (20 mil od Cambridge). Przez długi okres czasu tłumy ludzi przyjeżdżały oglądać ten nowoczesny dom. Tę willę, jak i wiele innych z tego okresu realizuje przy współpracy Marcela Brewer'a.



Walter Gropius, własny dom, Lincoln, 1938 rok.

Okres wojny wyraźnie zmniejsza możliwości realizacyjne Gropiusa.

W roku 1949 Gropius realizuje wraz ze znanymi młodszymi współpracownikami Centrum Akademickie Uniwersytetu w Cambridge. Składa się nań siedem domów akademickich i budynek przeznaczony na skupisko życia społecznego studentów. Niespotykana swoboda w usytuowaniu, świetne proporcje poszczególnych elementów i piękne wkomponowanie w otaczające miasto jeszcze raz podkreśliły geniusz twórcy.

Z tego samego czasu pochodzi szkoła podstawowa w Attelboro (USA) – niesłychanie dojrzała w swej formie. Na uwagę zasługuje zastosowanie pochylni do komunikacji pionowej.

Do najnowszych i najlepszych realizacji zaliczyć należy biurowiec w Chicago z roku 1953 o pięknym podkreśleniu zasady konstrukcyjnej – operowanie przy projektowaniu jedynie stropami, słupami, oknami i pełnymi powierzchniami ścian. Równie doskonałe jest „Boston Center” z tegoż samego roku.

Aż czternaście wyższych uczelni technicznych świata nadało Walterowi Gropiusowi tytuł doktora honoris causa. W roku 1954 w Sao Paulo dostał międzynarodową nagrodę Grand Prix w dziedzinie architektury.

W mojej recenzji sumiennie i obszernie chwaliłem autora książki i wydawnictwo, a zakończyłem ją tak:

Będący obecnie w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej architekt Walter Gropius jest słusznie zaliczony do grona budowniczych, których twórczość ma charakter międzynarodowy. Jedną z jego najnowszych realizacji – Boston Center – rzuca najlepsze światło na wielkość twórcy. Można powiedzieć, że Gropius osiągnął wszystko, na co mógł się pokusić architekt jego epoki.

Lecz jakaż była droga do tego tryumfu?

Zmieniała się, ale i niemniej silnie rozwijała się i krystalizowała jego twórczość. Jeszcze przed oczami mamy ostatnie zdjęcie z książki przedstawiające wspaniałe Boston Center i gdy teraz spojrzymy na pierwsze zdjęcie tej książki, ujrzymy bardzo zwyczajny, murowany, z kilkoma oknami dom o żadnej architekturze. Nieodparcie będzie się chciało zapytać:

– Co tamta realizacja ma z tą wspólnego?

A jednak ma... projektował je ten sam architekt. Te dwa zdjęcia najlepiej świadczą o tym, co może człowiek, co może jeden dla całego społeczeństwa, co może całe społeczeństwo dla tego jednego.

Na te i jeszcze na wiele podobnych kwestii znajdziemy odpowiedź w książce Giedion'a pod tytułem „Walter Gropius – człowiek i twórca” wydanej przez Wydawnictwo Alberta Moran w Paryżu.

Skończyłem pisać tę recenzję i zamyśliłem się głęboko – a więc jest „To” możliwe, a więc człowiek jest do „Tego” zdolny?

...a może i mnie się uda?

*



Do dziś nie przestałem o tym marzyć, choć minęło wiele lat. Ja do dziś mam chociaż marzenia, a co mają moje dzieci, skoro córka Gosia pisze takie wiersze:

Droga życia

z oczami utkwionymi w chodnik –
– płyta za płytą płyta za płytą

żyć można w różny sposób
przeskakując co drugą płytę
uważając by nie stanąć na przerwę między nimi
idąc tylko po całych
idąc tylko po pękniętych
nie zwracając na nie uwagi

niektórzy wchodzą na krawężnik
i ze zdumieniem
patrzają na zielony cud trawy
tuż obok
w zasięgu ręki
której nigdy nie wyciągną

ale my szarzy prości spokojni –

– płyta za płytą płyta za płytą –

które nawet liczyć przestaliśmy

już kilka tysięcy lat temu

nasza droga w nieśmiertelność

*

...a młodszej Zosi zostało już tylko ogryzanie paznokci
do krwi...

po gwiazdce dopisałem w Batnie, dnia 7 marca 1982 roku wobec stanu wojennego w Polsce.

*



Rozdział 15

biała wieża na e1
czarny skoczek na f6

Wróćmy do tamtych lat. Nie bywałem już głodny, bo pracowałem, a praca dawała chleb. W ten intymny sposób byłem również wreszcie nasycony. Dodatkowy rok studiów wskazał nieprzewidywane perspektywy zawodu. Trzeba było tylko rzucić się w ten nurt, a rzucić się chciałem i mogłem. Taka zwyczajna sprawa – wystarczy spełnienie fizjologicznych potrzeb organizmu – a pojawia się chęć działania, lotność umysłu, radość życia.

Mimo woli wychodzimy wówczas krok do przodu, jakby przed szeregiem, w którym stoją koledzy, znajomi i ci najbliżsi. Podświadomość zaczyna wszystko sprowadzać do płaszczyzny – ja. To, co dotychczas było upragnionym celem, staje się jedynie środkiem do celu. Mamy odrobinę sukcesu, czy osiągnięcia i zaraz za tym pojawia się cena, jaką trzeba zapłacić. W przyrodzie musi być równowaga.

Ale to potem. Teraz wpadłem w nurt studiów i własnych skojarzeń na temat sztuki. Profesor dał do opracowania serię tematów. Wybrałem – plastyka przekryć wielkoprzestrzennych – i pisałem, że

... dla zobrazowania tego tematu wybrałem kilka ostatnich realizacji na świecie, kierując się jednak pewną porcją sentymentu spowodowanego doznanymi wrażeniami estetycznymi.

Za historykiem nowoczesnej architektury Siegfried'em Giedion'em doszukiwałem się czasoprzestrzeni w analizowanych obiektach.

Odkrywałem, że jedną z podstawowych tendencji w kształtowaniu form budowlanych jest dążenie do wykonania jak najmniejszego wysiłku dla osiągnięcia celu, a spełnienie tego dają poszukiwania na drodze nauk ścisłych, adaptacja form istniejących w przyrodzie oraz poszukiwania artystyczne w oparciu o wrażliwość i twórczą wyobraźnię.

Zachłystywałem się trójwymiarowością konstrukcji, widząc w podpatrywaniu przyrody ważką metodę dla sukcesów architekta i konstruktora.

Pisałem, że hala spełnia ciekawą rolę użytkową w społeczeństwie. Ma służyć zawsze wielkim masom ludzi, bez względu na to czy w danej chwili chcą one manifestować, czy też tylko oglądać i uczyć się, oglądać i wypoczywać, oglądać i pasjonować się, bez względu na to czy masy te chcą w nich budować giganty swej myśli politycznej, czy też modlić się.

Wielkoprzestrzenności przypiąłem łąkę następująco:

Gdy w „L'architecture d'Aujourd'hui” omawiano projekt chicagowskiej hali kongresowej – Mies van der Rohe, nie omieszkało zaznaczyć, że będzie to największa hala na świecie.

Gdy w New Yorku postanowiono budować kryty stadion sportowy, to siłą rzeczy musiał on być na skalę gigantycznych potrzeb amerykańskich, musiał mieścić aż 150 tysięcy widzów. Ciekawe tylko, na miarę jakich potrzeb – czy potrzeb maksymalnego zysku z produkcji widowiskowej uzyskiwanej w takiej sali, czy też może na skalę snobistycznych uczuć gigantomanii, znanej przecież już faszystom w pieszczotliwym uwielbieniu dla słowa „kolossal”.

Gdy ogłoszono konkurs na pawilon Wszechzwiązkowej Wystawy Rolniczej w Moskwie, to w pierwszej kolejności dużo dawała do myślenia wymagana olbrzymia powierzchnia pawilonu, bo wynosząca aż pięćdziesiąt tysięcy metrów kwadratowych. Czyżby w tej idei chodziło tylko o wyprzedzenie najśmielszych marzeń amerykańskich?

Gdy w roku 1955 Belgowie zaproponowali Polsce działkę na Światowej Wystawie w Brukseli o powierzchni 3000m², to propozycja ta została przez Polaków odrzucona. Polska chciała być reprezentowana wspaniale. 10.000m² – i to w najbardziej eksponowanym miejscu – to coś dla nas. 10.000m² działki – to przy obowiązującym regulaminie wystawowym przewidującym 70% zabudowy, 7000m² pawilonu. Wzbudzona do życia olbrzymia pasja szeregu polskich twórców i osiągnięte wprost zachwycające rezultaty zostały przekreślone nieco spóźnionym spostrzeżeniem, że – „...nie wolno nam wychodzić w świat z gigantomaniakalną budową pawilonów”.

Smutne fakty. Toteż w tym miejscu pragnę wyraźnie rozróżnić wymagania życia od wymagań ambicji, a transponując sławne powiedzenie Matisa – „dokładność nie jest prawdą” – chcę przekonać, że ogrom nie jest twórczością.

Następnie przeanalizowałem kilkanaście obiektów chwając je i ganiąc jednocześnie.

... a zakończyłem projektem pawilonu polskiego i pisałem:

Wędrowkę swą chciałem zakończyć na dziwnie ciekawej historii naszego uczestnictwa w Wystawie Brukselskiej w 1958 roku, a dokładniej wyrażając się – na pobudzonej tym faktem współczesnej myśli polskiej. Bo też rezultaty były piękne, a towarzyszące im postulaty – ze względu na swą pionierską rolę w ujęciu, czym powinna być współczesna architektura, zdecydowanie zasługują na uwagę.

Do realizacji drogą konkursu została wybrana praca zespołu Akademii Sztuk Pięknych w Warszawie, występującego pod nazwą BX58 w składzie: T. Babicz, Wojciech Fangor, Zbigniew Ichnatowicz, Jerzy Sołtan, L. Tomaszewski oraz J. Hempel i H. Marconi.

Fragment opinii jury:

„Praca oceniona jest jako wybitne dzieło plastyczne, przerastające swą ekspresją i dojrzałością pozostałe prace”.

Spójrzmy na to dzieło oczami współtwórcy profesora Jerzego Sołtana:

„W sercu starego królewskiego parku – lasu, a zarazem w sercu wystawy znajduje się polska działka. Teren zarośnięty ogromnymi drzewami – bukami, dębami, klonami, lipami i platanami opada tu lekko z północy na południe. Pochyłość kończy się prawie pionową kilkumetrową skarpią. U stóp jej granica polskiego terenu.

Wciskać między wspaniałe, nieraz stuletnie drzewa obce bryły pawilonu, być niewolnikiem nierówności terenu, a jednocześnie kaleczyć go – to wszystko wydawało się bardzo kulawe i połowiczne. Zaproponowano więc dużą, prostą tafelę strukturalną ze szkła, betonu i stali – jakby potężną wiatę, która idealnie poziomo unosząc się w powietrzu nie kaleczy gruntu, przenika lub obejmuje co potężniejsze drzewa, przykrywa drzewa pomniejsze, pozwala trawie zielenić się pod sobą, a krzewom nawet kwitnąć.

Pod krystaliczną koronką – tworem najsztuczniejszym... pozostanie w kontraście las – park, niejako nietknięty. Na trawie wśród krzewów – opierając się wzrokowo o korę drzew – rozstawione byłyby w gablotach eksponaty. Nad kryształami gablot znajdować się będą potężne, cieniście nisze z ekranami. Martwemu eksponatowi towarzyszyć będzie jego sfilmowane życie i życie kraju, w którym powstał. W wędrowce przez zadaszony park, wśród opowieści snutej przez eksponat i film, towarzyszyłaby zwiedzającemu muzyka pawilonu. Jak chciał jej twórca St. Skrowaczewski byłby muzyką sumą wrażeń i przestrzeni, którą by obejmowała.

Tak pomyślany pawilon oczywiście nie będzie posiadał ścian. Całość podparta na trzech strukturalnych podporach z jednej strony i na stumetrowym ekranie z drugiej strony. Po obu stronach ekranu projekt przewidywał kompozycje malarskie. Po zewnętrznej stronie byłyby to interpretacja plastyczna wykresów złożonych z funkcji matematycznych. Po stronie wewnętrznej ekranu zaproponowano montaż rysunków dzieci. Gry świateł i muzyka, konstrukcja i opowieść filmowa, rysunki dzieci i opowieść matematycznego wykresu, zieleń natury i wielka „sztuczność” tworu ludzkiego, określonego tą „nieokreśloną” przestrzenią – tu zapewne mieszczą się jakieś sprawy dla nas ważne”. (koniec cytatu)

W tamtych latach opracowanie moje odniosło sukces ukoronowany piątką. Dziś widzę, jak jednoznacznie przemilczałem pewne fakty. Bo już w czasie rozpatrywania wyników konkursu znaleźli się wybrzydźcze, którzy czepiali się pytając, co zrobi tak wielka tafelę poziomego szkła z wodą deszczową i jak wytrzyma jej ciężar. Inni poddawali w wątpliwość teoretyczne założenia takiej żelbetowo-stalowej konstrukcji. Konstrukcja miała być wzniesiona z identycznych prefabrykowanych elementów trójwymiarowych żelbetowo – stalowych, z jednej formy odlanych. W tym celu musiał taki element być zaprojektowany na największe obciążenia występujące w całym przekryciu. Taką monstrualnie wielką masę żelbetu zamierzano umieścić nad parkiem, w swym rzekomo lekkim szklanym przekryciu. Taka konstrukcja była zwyczajnie dyletancka, a więc nierealna. A wszyscy razem przeoczyliśmy największy absurd tego „zadashzonego parku”.

Pomysł monstrualny – przykryć dachem park, przykryć dachem stuletnie drzewa, odciąć je od niezbędnej do życia wody i znacznej części promieniowania słonecznego, i to na Światowej Wystawie.

Najlepiej sens takiego myślenia oddawała niegdyś moja babcia, określając podobne pomysły, że są to „drzwi do lasu”.

*



Rozdział 16

biały pion na f3
czarny goniec na d3

Tak po prawdzie to nie rozumiem, dlaczego robimy problemy ze zwyczajnych w zasadzie spraw.

Samotni bywamy bardzo często, równie często bywamy wśród wielu innych. Najdziwniejszy jest stan pośredni, bo o ile często bywamy samotni, to rzadko bywamy we dwoje i nie powinien dziwić ani zaskakiwać ten pierwszy moment, kiedy z kolei ze stanu – we dwoje – przechodzimy w stan – wśród wielu innych.

Wszak pierwszym symptomem tej zmiany musi być stan – we troje. Normalna rzecz przecież, a chorobliwy organizm tego pierwszego robi tyle hałasu o tego trzeciego.

Byłem taktowny, czyli byłem dżentelmenem i chciałem liczyć na to, że ten trzeci też jest dżentelmenem. Może był; nie wiem. Przecież nie znałem go, choć napotykałem tak często. On rozumiał wiersze w odróżnieniu ode mnie; słał i niósł je. Czyż mogłem protestować prostacko?

Najpierw w listach ośmieliłem się tylko raz odpowiedzieć – tak – na zadane pytanie – czy on mi przeszkadza? W swej opozycji byłem tak bezsensowny, że nawet moje – tak – musiało oznaczać – nie. Absurdalny ze mnie człowiek. Powinien to być zwyczajny koniec, ale nie w moim pojęciu.

Musiało to coś jakoś się rozwijać, skoro po wielu tygodniach dałem się namówić na dziwny eksperyment.

Przyszedłem na wykład, do którego nie miałem prawa, wszak nie były to już moje studia. I wmieszałem się w tłum studentów; potem usiadłem gdzie trzeba, czyli obok niego. Przedstawiłem się, że jestem nowym studentem, który właśnie przeniósł się z innego uniwersytetu i będzie teraz tu studiował. W Trakcie wykładu przejąłem parę płomiennych uśmiechów bezpośrednio z dołu, o których on nie mógł mieć wątpliwości, jako że były bezpośrednio do mnie skierowane. I wszystko było na najlepszej, czyli zaplanowanej drodze, a ja sobie poszedłem na najbliższej przerwie w diabły. Nie podjąłem walki. Dufam, że jak byczek Fernando.

Po następnym długim czasie znów wymknęło się mojej autokontroli i na powtarzaną strofę Marii Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej, która stale brzmiała mi w uszach słowami:

„Gdy się miało szczęście, które się nie trafia:
czyjeś ciało i ziemię całą,
a zostanie tylko fotografia,
to – to jest bardzo mało...”

ośmieliłem się dawną swoją fotografię tak dedykować:

gdy tylko fotografię mieć się należało,
a nagle się trafia czyjeś serce, czyjeś ciało...
to zawsze wtedy jest to bardzo mało...

Zrozumiany nie zostałem, a zachowałem się niesmacznie.

Po kolejnym okresie czasu, a stało się to między Starym Miastem a Wisłą, dokładnie w miejscu gdzie potem odważył się Ochab wybudować willę dla siebie, gdy od z górą godziny na pięknym spacerze słyszałem tylko o tym trzecim, rzekłem:

– ...wiesz, wolałbym, abyś zdradzała wszystkich ze mną, niż abyś zdradzała mnie z kimkolwiek...

I znów musiało to być niesmaczne, a usłyszałem:

– ...on nie byłby tak szlachetny...

Celnie wymierzony cios został isticie mistrzowsko odparowany.

Mijały dalsze tygodnie, które, wstyd przyznać, spędzałem w oknach okolicznych klatek schodowych, z których było widać jej okna i nawet kilka razy zdawało mi się, że ją rozpoznałem, gdy mignęła w tym oknie; szczęśliwy.

Potem wyjechałem na kolejne święta, by wrócić wcześniej, gnany tęsknotą, choć pod te okna. Szczęśliwość losu pozwoliła mi ją spotkać, mnie – nieliczącemu na nic; a nawet uzyskałem zaproszenie na popołudnie do domu.

Przyszedłem punktualnie i czekałem aż wróci, bo wyszła przed godziną. Czekałem już drugą godzinę, gdy moja niedomyślność została złamana męską solidarnością. Oświecony wyszedłem, ale zaledwie do tych okien na drugich schodach.

Czekałem następne godziny, a gdy ich ujrzałem wracających, pomyślałem tylko o tym, aby przeszkodzić im w pocałowaniu się na pożegnanie pod windą. Gdy się zbliżyłem, on minął mnie – odszedł; ona jeszcze nie zdążyła wsiąść do windy.

– Musimy natychmiast porozmawiać. – rzuciłem.

Bez wahania wyszła z budynku i tak szliśmy metr od siebie przez śpiące miasto, potem wzdłuż parków i jakichś pól.

Chyba cały czas coś mówiłem, a właściwie usiłowałem uczynić naszą rozmowę ostatecznym rozstrzygnięciem przed rozstaniem.

Wreszcie sięgnąłem po argumenty najwyższej wagi, odwołałem się do naszej świętości, która winna wszystko przesądzić. Tłumaczyłem i dziwiłem się jednocześnie:

– Przecież jesteśmy tak ze sobą związani. Już wszystko nas łączy. Od tyłu miesiący tak często oddawałaś mi się dając rozkosz, która jest najlepszym dowodem naszej miłości. I po tym wszystkim, co między nami zaszło, robisz mi coś takiego?

– I trzeba jeszcze dodać, że przy tym wszystkim nigdy dotąd mnie nie zaspokoiliś.

Rzekła tylko tyle. Zrazu nie wiedziałem, o czym ona w ogóle mówi. O jakie jej zaspokojenie tu może chodzić? Przecież tyle razy osiągałismy rozkosz największą – sam to najlepiej wiem – wiem, jak mi było wspaniale. Więc ona nic nie czuła? I ona też ma mieć jakieś zaspokojenie? Więc moje zaspokojenie nie daje jej tym samym równej rozkoszy? – Niesamowite. Czyż to możliwe?

Już wracaliśmy jakąś drogą, a ja nadal nie przytomniałem zamroczony tym obuchem w postaci tych kilku słów, których istnienia nie podejrzewałem. Długo kotłowały w mej głowie te pytania, zanim przerodziły się w inny koloryt.

Jakżeż ją skrzywdziłem tymi pretensjami, jakżeż krzywdziłem ją za każdym razem nie dając jej tego, na co fizycznie oczekiwała. Ona, taka wspaniała, kochana, a ja – zwykły gnój, który sam nie umiał czegoś takiego domyślić się bez pomocy? Racja! Przez te wszystkie dni myślałem tylko o sobie, zapadałem się w swoje zapamiętanie, w tylko moją rozkosz, a ją widziałem na tyle na ile była pode mną. Cham patentowany! Zasłużyłem na znacznie gorszy wyrok – na szyderstwo! Impotent!

Impotent? ...czyż to możliwe? A więc i tego pieski los mi nie oszczędził?

Byłem powalony i zmiażdżony, choć trochę się ruszałem. W mojej ucieczce i krynicy wiedzy i prawdy – książkach – niczego nie znalazłem. Może jedynie to, że impotencja u mężczyzn czasami się zdarza i jest bardzo trudna do wyleczenia. Właściwie nie wiadomo, ani skąd się bierze, ani jak ją leczyć.

Poszedłem jednak do lekarza. Była nim młoda lekarka. Długo wypytywała, miała to być – pozał się Boże – psychoanaliza. Mówiłem wiele i brutalnie. I nie przeszkadzało mi, że w drugim pokoju, do którego były uchylone drzwi, dwie inne lekarki ucichły i zamieniły się w słuch. Moją lekarkę wyraźnie interesowała, nie moja żaloszna w tym osoba, ale strona techniczna zagadnienia, malowniczość życia studenckiego. Wypytywała – jak nam się to udaje, czy nikt nie zauważył do tej pory, czy nie mamy żadnych skrupułów moralnych – przecież to przed ślubem? Była zaskoczona, gdy wyłuszczyłem, jak sobie radziliśmy z brakiem pokoju, czy choćby namiastki łóżka. Mówiłem dużo, choć widziałem, że mówię jak o życiu na księżycu. Mówiłem podświadomie i do tych dwóch w drugim gabinecie, które podejrzewałem o równy brak rozeznania w sprawach młodzieży.

Dostałem jakąś miksturę w dużej ciemnej butelce – jedna łyżka rano i jedna wieczorem po kolacji – na uspokojenie.

Skutek był taki, że teraz albo w ogóle nie miałem chęci na stosunek, albo jak już miałem, to nawet na chwilę nie nadawałem się do tego.

Czytałem w tym czasie Hemingway'a – „Słońce też wschodzi”.

Tam bohater ukochaną kobietę z całym swym wewnętrznym oporem wpychał na tę godzinę innym do łóżka. Ale jemu na wojnie pocisk urwał członka, choć tylko członka.

Konieczność znalezienia dla mnie rozwiązania podsunęła mi myśl, aby jakimś sposobem zmniejszyć rozkosz, którą odczuwam. Ale czyż może nie ogarniać męzczyzną szalona rozkosz, gdy poczuje ciało ukochanej kobiety? Przecież tak wielkie uczucie i zwłaszcza uwielbienie wyładowywać się musi jak błyskawica.

Wykryłem, że czasami pomaga mocne zagryzanie warg, ale tylko czasami, bo choć zagryzałem do krwi, to kończyło się po staremu. Widziałem to w jej oczach.

Przekroczyłem raz, a potem coraz częściej granicę, której nie wyobrażałem sobie, że kiedykolwiek przekroczę. Nie dopuszczałem dotąd nawet myśli, że tak nisko przyjdzie mi upaść.

Posunąłem się do zboczenia i to do tego najbardziej wyuzdanego. To, czego nie umiałem dokonać tym, czym mnie matka – natura w tym celu wyposażyla, zacząłem teraz – o zgrozo! – załatwiać ręką. Pełniłem tę jedyną w swoim rodzaju pokutę z wielką pokorą, choć bardzo bolało, że dopiero poprzez pieszczoty sprawiam jej rozkosz.

W swym zaprzepaszczeniu się, w swym skrajnym upadku – czego byłem całkowicie świadom – brnąłem dalej, bo wyczułem, że nie na wszystkie rodzaje dotknięć jednakowo reaguje. Dokonałem więc bezczelnego wyłomu w swych moralnych, głęboko wpojonych mi zasadach i zacząłem ją odkrywać, czyli wreszcie patrzeć na nagą, bo musiałem śledzić jak narasta jej podniecenie, musiałem studiować jej reakcje. Ale przecież widok ciała kobiety! To niedopuszczalne! Grzech ten brałem na własne sumienie już obojętny na dalsze losy. Nawet przy tym nie miałem nic na swoje usprawiedliwienie, bo bardzo podobało mi się jej ciało – zwłaszcza wtedy. Może i występne to – ale jakżeż piękne – myślałem.

Upokorzenie i świadomość winy została ze mną i towarzyszyła mi przez wiele, wiele lat. To nasze grzeszne upodlenie i zapamiętanie się w nim – wiedziałem, czym się skończy. Wyczytałem wówczas w książce o Franciszku Goi, że zmarnował talent idąc na drogę występnego życia z księżną Alba. Zaniedbywał własną żonę i rodzinę i grzeszył tak ciężko i tak często. Na dodatek posunął się do namalowania ciała kobiety. Uczynił to już kiedyś Velazquez, ale akt ten trzymał za zasłoną i pokazywał tylko zaufanym. Goja natomiast swą wspaniałą Albę namalował nago jako Maję i w tej samej pozie w sukni. Obraz – Maja w sukni – zasłaniał przemyślnym mechanizmem – Maję nagą.

Nie pomogły upomnienia duchownych i Goję zniszczyły jego grzeszne chucie, bo każdy stosunek zabiera potężną ilość fosforu z mózgu i niszczy go bardzo. Goja w konsekwencji zaburzeń umysłowych, wiemy już, czym spowodowanych, przestał malować wspaniałe portrety rodziny królewskiej i oddał się grafice, znajdując szczególne upodobanie w okropnościach wojny i potworach z sennych widziadeł. Po zniszczeniu mózgu, pozbawianie organizmu fosforu spowodowało utratę wzroku. Jeszcze kilka razy Kościół zabiegał o uratowanie jego duszy. Bezskutecznie.

Pracowałem teraz mozolnie w łóżku. Musiałem nie doceniać, ani wówczas, ani obecnie skutków, jakie osiągnąłem, skoro umknęły mej uwadze jej słowa, nawet na piśmie.

Jedyny!

... dziękuję, bardzo dziękuję...

...jestem strasznie szczęśliwa.

Zazdroszczę słońcu, że patrzy na Ciebie, i Tobie, że patrzysz na słońce; czy nie uważasz, że to za wiele – i ty, i słońce?

Oj, oj, co ja powypisywałam; a teraz będę pisała pod dyktando Piesa, więc uważaj. Liźnięcie w policzek, jeszcze jedno, mruknięcie i znów liźnięcie. Oczątka lśni i mrugają, on czeka, aż mu dmuchniesz w nosek, bo Piesunio strasznie to lubi. Mordeczka troszkę mu się umorusała i wygląda z tym strasznie, strasznie zabawnie. Ale ja kocham Piesa, bo trzymały go Twoje palce. Ciebie kocham bardziej.

To co niżej, to do Koralików, a nie do Ciebie, więc niech to przeczytają Koraliki.

Kochane moje Koraliki. Szare. Niebieskie. Szare i Błyszczące jak Gwiazdeczki. Patrzcie zawsze wesoło, wesolutko i nie mrugajcie tak prędko. Jak będę chciała Coś zobaczyć, to się otwórzcie szeroko, szeroko, a ja sobie zajrzę do środka.

Daj wsadzić nosa tam gdzieś, bo mój nos stęsknił się do Ciebie i do swojego miejsca. Nie wiem do czego bardziej.

Teraz wiem, co to znaczy pragnąć Ciebie i nie chcieć przeszkadzać – kiedy się nie wie co robić, żeby było dobrze.

Będziesz mi się śnił do samego rana, jedyny mój. Ucałowania dla Koralików moich kochanych.

Twoja...

naprawdę Twoja wczoraj, dziś, jutro i jeszcze tyle, tyle, tyle dni będę Twoja, więcej niż sam będziesz chciał, bo tak chcę.

[Pieso, to była maleńka figurka siedzącego pieska, wypalona z gliny i polewana, a pochodząca z Centrali Przemysłu Ludowego i Artystycznego, którą dostała ode mnie w prezencie].

Kochana...

Kocham Cię bardzo. Staram się wmówić sobie, że nie tęsknię, ale to przychodzi mi coraz trudniej, a natomiast coraz częściej przeraża mię myśl, że to jeszcze tyle dni. ...kochana – dlaczego tak mi Ciebie brak?

Moja kochana... – uśmiechnij się ślicznie i wybacz mi te brednie. Ty jesteś taka dobra.

Kochany mój!

List, który już od Ciebie dostałam, czytam ciągle i długo, gdy jest mi źle, powtarzam sobie słowa Twojego listu. To bardzo pomaga.

Jestem już całkiem zdrowa i może dlatego mam ochotę powłóczyć się razem z Tobą, pobiegać (bo Tobie trudno chodzić). Samej mi się nie chce, bo co to za wędrówka, gdy nie można powiedzieć, że coś mi się podoba lub nie, komuś kto chce to słuchać. A przecież Ty chcesz, prawda?

...jeszcze całe dwa tygodnie do Twojego przyjazdu, dwa tygodnie ponurych, wolno wlokących się dni i długich, tak strasznie długich. ...może wytrzymam!

Nie, kochany, ja się nie smucę, ja chcę być wesoła, cieszyć się z Tobą, ale tylko z Tobą, bez Ciebie nie umiem. To Twoja wina. Tak mnie nauczyłeś. Tyle rzeczy nauczyłeś mnie. Przez Ciebie jestem szczęśliwa, ale nie tak jak dziecko, które dostało ulubioną zabawkę... Ja się cieszę, nie dlatego że Cię mam, ale dlatego że Cię kocham, tak bardzo, i tak bezgranicznie Ci ufam. Tak lubię Twoje oczy raz szare, raz niebieskie, a czasami mieniące się złotymi gwiazdeczkami. Tak lubię, gdy spuszczasz wstydliwie oczy. Masz takie mocne dłonie i takie pewne jest w nich oparcie.

Leżą przede mną Twoje zdjęcia, ale ja nie lubię Twoich zdjęć. Najbardziej lubię patrzeć, gdy chcesz coś zrobić. Pamiętasz, gdy pomagałeś mi froterować podłogę? W takich chwilach chciałabym nieba Ci przychylić. Prawda, jak to wszystko po babsku?

Kochana...

...strasznie się cieszę. Naprawdę nie wiesz dlaczego? Dzisiaj Ty narozrabiałaś. Byłaś w nocy u mnie – aha!

Wczorajszy list chcąc aby szybciej doszedł do Ciebie, wrzuciłem do skrzynki na pocztę i dopiero wracając uświadomiłem sobie, że nie miał on naklejonego znaczka. Zrobiło mi się głupio. Wyobraziłem sobie, jakie koleje losu będzie przechodził, zanim go otrzymasz i powiedziałem sobie, że nie ma rady. Wróciłem na pocztę, odszukałem go i nakleiłem znaczek. Już był ostemplowany.

I nowy list od Ciebie też już jest. Śliczny. ...jak ja Cię kocham w takich listach. Po przeczytaniu ogarnia mię spokój, ale nie taki leniwy, lecz wielka pewność i skupienie woli. Strasznie lubię pracować, ale szczęście w pracy znajduję tylko wtedy, gdy mam taką wiarę i radość jak ta, którą mi w tej chwili dałaś. Nigdy nie byłem zdolny wyobrazić sobie, że szczęście ma tak wielką siłę.

...pocałuj mię mocno, bo chyba śnię. Któryś z sąsiadów gra na skrzypcach śliczną melodię. Może to jest „Poemat” Fibicha, albo „Marzenie” Szumana. Nie ważne. Czuję jedynie wielką harmonię w tym, co mnie otacza, z tym co myślę i czuję. Całym życiem będę Ci dziękował...

Mój miły!

...proszę, bardzo proszę, przyjedź na Święta do mnie. Naprawdę zapewniam Cię, że nie będziesz nikomu przeszkadzał, a mnie sprawisz straszną przyjemność. Opanowała mnie ta myśl i lepiej żebym tyle o tym nie myślała, bo przecież możesz się rozchorować i nie będziesz mógł przyjechać.

...tak strasznie Cię kocham, z każdym dniem bardziej mi Ciebie brak, czuję się zmęczona i osamotniona. Jedyna przyjemność, poza czytaniem Twoich listów, to pisać do Ciebie. Piszę w każdej wolnej chwili...

Kochana moja!

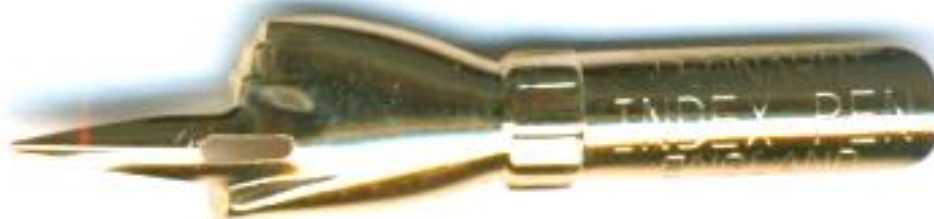
Jest mieszkanie! Kawalerka z wygodami. Na Saskiej Kępie. Tak jak sobie wymarzyliśmy. Wczoraj wieczorem, gdy mi Witek o tym powiedział w czasie obiadu, to zupełnie nie mogłem jeść. Nic tylko o tym myślę. W nocy nie mogłem spać. Obudziłem się bardzo wcześnie i może od razu zabrałbym się do pisania, ale nie chciałem świecić, by nie przerywać braciom snu. Teraz jest już szaro na dworze, dłużej nie mogłem wytrzymać i ledwo co widząc na papierze śpieszę by podzielić się z Tobą moimi troskami. Tak – muszę to nazwać troską, bo za tę kawalerkę chcą aż siedemnaście tysięcy złotych. Ja dosłownie oszalałem. Gdybym miał...

Kochany...

Wiesz, żebym wiedziała, że gdy napiszę słowo „kocham” tyle razy, ile tylko zdołam, a wyczytasz z tego wszystko, co myślę, to wzięłabym zeszyt i cały zapisała tym najpiękniejszym słowem, a potem drugi, trzeci...

...nie wolno się złościć. Już nie chcę być ciągle tym roztrzepanym podlotkiem, co wszystko zamiatał ogonem swoich włosów, chcę być Twoją żoną, która myśli po babsku, dlatego że Ty myślisz po męsku, a dziecinne myśli zostawiamy dla naszego Mańka i Basi...

*



Rozdział 17

biały goniec na d1
białe proponują remis
czarne odrzucają tę propozycję
czarny pion na b5

I stało się. Powinno być świadomym ukoronowaniem szczęścia, spełnieniem jego odwiecznego sensu – a okazało się absolutnym zaskoczeniem i przerażającą klęską.

Już przy drzwiach jedne oczy wyraziły mi – doigraliście się – zanim ujrzałem ją leżącą w dziwnej pozie na tapczanie, tak powaloną mdłościami, że nawet nie mogła podnieść głowy na powitanie.

Nie od razu do mnie dotarło i nie na raz. Wszystko, co trzeba, było mi wypłacane przez los z ogromną systematycznością i klarownością. Nie śpieszyło się. Miałem tygodnie bezsilnych zmagania ze sobą. Dzień po dniu z całego serca pragnąłem coś wymyślić – bezskutecznie. W zamian dzień po dniu przerażająco układała się udręka. Znam tylko tę moją; bo Ona spalała samotnie tę swoją swoim ciałem, całą swoją osobowością... Czasami tylko przez ten proces samowyniszczenia, wzywały jej oczy, nadal ufne, choć stale niemo pytające. Przerażająco była kształtowana tym wszystkim kobieta, która jak bardzo by tego chciała i jak usilnie by nad tym pracowała, już się nie wyzbędzie nigdy tego balastu.

Czyż można uwierzyć, że nie mogliśmy oczekiwać wsparcia, czy chociaż litości od najbliższych?

Nawet wśród obcych nie mieliśmy odwagi szukać ratunku. Tylko przypadek zrządził, że natrafiłem na Placu Trzech Krzyży na szyld – Towarzystwo Świadomego Macierzyństwa. Wszedłem nawet od razu, ale nie umiałem tam sobie poradzić. Wróciłem do siebie; całe to olbrzymie napięcie przepęłniło się i polało się na papier strugą żalu, wyjaśnień, zapewnień – z każdego słowa ziała prośba o ratunek dla nas. Dla szybkości działania podałem telefony, a sam list oddałem w sekretariacie.

Następnego już dnia siedzieliśmy przed poważną i budzącą ufność panią doktor. Nawet nie miała wiele pytań, wszystko było jasne, a swe głębokie współczucie najlepiej wyraziła nam nie czyniąc cienia wymówki. Oszczędziła nam nawet pouczeń wszelkich. Jedyne co padło w tej kwestii, to w wielkiej zadumie wypowiedziane:

– Kochani, tak wiele powinniście wiedzieć, a nie wiecie... Nie was winić za to... Oskarżać by wam wypadło.

Zwyczajnie podała jednak adres doświadczonego lekarza i kazała koniecznie potem przyjść.

Nadzieją przeciw tego nazwać nie można, coś jedynie w obojętnie niewiadomym kierunku drgnęło, a i to króciutko trwało. Lekarz ten nie chciał podjąć się zabiegu, choć go nie odradzał. Dopiero na usilne prośby podał adres swego kolegi. Tu już było przerażająco i dziwnie. Mrok, willa za miastem, same otwierające się drzwi z elektrycznym zamkiem, w środku równie mroczny i zaniedbany nastrój jak na zewnątrz. Okrągłutki starszy pan silił się być jowialnym. Wiele mówił, ale jedyne co zapamiętałem to – że najlepszym środkiem antykoncepcyjnym jest szklanka zimnej wody – wypita w porę dla opamiętania się.

Ale swoje zrobił błyskawicznie. Pracował taśmowo, bo nie byliśmy sami w kolejce. W niepełną godzinę później już ją wiozłem bredzącą i prawie nie świadomą istnienia...

...moją kochaną, ja, jej kochany, potomkowie biologiczni i moralni tego świata, a którzy dołożyliśmy do niego swój niemały kamień zgryzoty i win zapisany w spuściznie dla tych, co będą po nas.

*



Rozdział 18

biały pion na e4
czarny skoczek na d5

Przychodzą takie chwile, gdy trzeba pokazać, co się potrafi; gdy trzeba całą swoją wiedzę i całą swoją osobowość rzucić na szalę, by udowodnić osiągnięcie mistrzowskiego władania rzemiosłem. Jest to wówczas naturalne, że usiłujemy zrobić coś niezwykłego, zaskakującego, że sięgamy do najtajniejszych zakamarków swojej jaźni, by dzieło swe budować z samego najlepszego. Wówczas to może kończy się skromność, kończy się zwyczajność nawet, decydujemy się na zdjęcie nałożonych po wszystkie czasy pieczęci na naszych największych tajemnicach.

A intuicja, którą uważam za najwyższą formę matematyki, wyposażona w takie czynniki, w stworzonych jej w najgłębszej istocie osobowości warunkach, sięga po jasność geniuszu.

Przykład, który tu opiszę, nie udowodni tych ostatnich słów, pokaże jednak, że coś mogło zaczynać się tak dalece prawidłowo, iż po którejś kolejnej, tak jak ta nieudanej próbie życiowej, może nastąpić ta jedyna, która okaże się nie być już próbą...

Kolejne egzaminy zdawałem dosłownie w marszu, aż przyszedł i ten, o którym z przejściem powiedziałem, że był tym ostatnim. Profesor pogratulował mi. Dziekan wpisał do indeksu uzyskanie absolutorium. Pozostała praca dyplomowa. Jej temat. Obrona.

Nie potrzebowałem wielkiego wysiłku, by sobie przypomnieć swoje przyrzeczenie złożone Częstochowskiej Paniencie przed rozpoczęciem studiów. Obiecałem, że zaprojektuję kościół. Teraz chciałem wywiązać się i ja ze swego przyrzeczenia. Intencja ta zrazu obrosła, a potem nawet została wyparta przez inne przesłanki. Musiała.

Zresztą w tym czasie został ogłoszony konkurs na kościół w Nowej Hucie i poważnie chciałem wziąć w nim udział. Przez szereg tygodni tym się zajmowałem. Na konkurs nie zdążyłem wykonać projektu, lecz miałem pomysł.

Było bardzo wątpliwe ucieleśnienie mojego zamiaru. Jeszcze nikt po wojnie nie odważył się wybrać kościoła na temat pracy dyplomowej, a może nikt nie dostał na to pozwolenia. Profesora na tyle zaintrygowała moja propozycja, że uzyskał zatwierdzenie Rady Wydziału – może wykorzystał w tym celu jakieś rozproszenie ogólnej uwagi, może i swojej, bo dalsze jego zachowanie było dziwne. W każdym razie podstawowa trudność została pokonana, a reszta zależała już tylko ode mnie.

Zagadnienia w zasadzie nie musiałem studiować. Liturgię miałem wpojona od dziecka i poruszałem się po sprawach kościoła jak po własnym domu. Cała historia architektury to właściwie architektura sakralna, a tę szczególnie sobie umiłowałem.



Ronchamp – le Corbusier.

Zafascynowała mnie kaplica w Ronchamp le Corbusier'a.

Najnowszy podówczas pomnik architektury. Wiele dni wpatrywałem się w zdjęcia tego obiektu i chłonałem jego wspaniałą filozofię. Frapujący i jednocześnie przyciągający kształt zewnętrzny; intrygujący od każdej strony inną swą rzeźbą, z przedziwnym dachem, linią prowadzenia ścian-rzeźb zapraszający do wnętrza, a w środku spokój i filozofia promieni słonecznych sprężonych z witrażem otworów. Przeszkadzała mi tylko nieszczerłość masywności ścian i dachu. Wszystko to było puste w środku. Kształt wymodelowano w stalowych prętach, pokryto siatką stalową i mechanicznie natryskano warstwę betonu.

Jako lokalizację swojego kościoła wybrałem miejsce przy zbiegu ulic Dolnej i Puławskiej w Warszawie, gdzie stał już stary kościółek uzupełniony o dziwnie nie pasujące do niego, znacznie większe nowe elementy. Jak się okazało po wielu latach, był to sposób na budowę nowego kościoła, władzom przedstawiany jako remont starego kościoła. Odszukałem nawet architekta, który dokonywał tych dziwnych przeobrażeń, by zapytać go, czy nie będzie miał nic przeciwko temu, że na tym samym miejscu zaprojektuję inny kościół. Etyka zawodowa tego wymagała. Pan nawet pochwalił zamysł i nawet dał mapę geodezyjną terenu, której inaczej bym nie zdobył.

Jest to bardzo ciekawie ukształtowany teren. Skarpa Warszawska w tym miejscu wyjątkowo wysoka i stroma, uzupełniona ciekawym zakolem jaru, którym ulica Dolna wydostaje się na górny taras skarpy, w swej całości stanowi wspaniały, naturalny cokół pod obiekt o szczególnym charakterze. Punkt widoczny z dużych odległości z terenu położonego pod Skarpą ma swoje jednoznaczne wymagania przestrzennego ukształtowania.

Już te walory terenu zdolne są wymusić koncepcję bryły. Uzupełniłem to długimi rozmyślaniami nad treścią wnętrza. W kościele zachodzi szczególne zestawienie misterium ołtarza i celebrującej rzeszy wiernych. Pojęciowo, to jeden punkt ołtarza w opozycji do dużej płaszczyzny dla wiernych. Stąd wyłonił mi się kształt trójkąta, na wierzchołku którego jest ołtarz, a na całej jego powierzchni wierni.

Zarys geometrii bryły powstał tak, jakby na omawianym wytyczonym trójkącie terenu, w miejscu ołtarza postawić pionowy wąski prostokąt i ukształtować go w smukły, wysoki witraż, by z kolei taki sam prostokąt położyć poziomo na tym boku trójkąta, który znajduje się naprzeciw ołtarza i ukształtować go w postaci wielu drzwi wejściowych do kościoła. Geometrię architektury stanowiły – trójkąt powierzchni terenu, dwa trójkąty powierzchni ścian i jeden trójkąt powierzchni dachu.

Sens kościoła jako obiektu dorzucił dalsze przesądzenia architektoniczne. Wierny wchodząc do kościoła i modląc się, cały czas kieruje wzrok na ołtarz – stąd oba trójkąty ścian winny być pełne, nawet gładkie, nierozpraszające uwagi. Natomiast podnoszący się w kierunku ołtarza dach miał być ażurowy.

Konstrukcyjnie była to etiuda, ale pominę zawiły opis.

Równie daleko, a może nawet najdalej była posunięta zasada akustyki wnętrza. Miałem tu do czynienia z jednej strony z pojedynczym śpiewem modlitwy księdza, który winien tak być akustycznie wzmocniony, by dotarł do każdego wiernego – i z drugiej strony gromki śpiew wiernych, który dla pełnej czystości winien mieć wyeliminowane fale drugiego i trzeciego odbicia powodujące pogłos. Do ukształtowania koncepcji akustycznej wnętrza posłużyła mi istota instrumentalna trąbki i skrzypiec.

Trąbka jest tym instrumentem, który uzyskuje wyjątkowo silne wzmocnienie początkowo słabego dźwięku powstającego w ustniku. Trąbka w swej budowie charakteryzuje się specyficznymi krzywiznami, jej wylot nagle się rozszerza powodując zasadniczy efekt dźwiękowy. Gdyby trąbkę przekroić wzdłuż, okazałoby się, że krzywa takiego przekroju ma kształt hiperboli. To dało mi asumpt do przestudiowania akustycznych właściwości powierzchni hiperbolicznych.

Hiperbola należy do rodziny tak zwanych krzywych stożkowych i zawsze muszą występować dwie identyczne hiperbole, stanowiące względem siebie lustrzane odbicie. Takie dwie hiperbole, obrócone wokół osi przechodzącej przez nie, utworzą dwie powierzchnie hiperboliczne zwane hiperboloidą dwupowłokową. Przyjąłem je jako ściany kościoła.

W tych latach był budowany drugi epokowy obiekt – filharmonia w Sydney w Australii.



Opera House w Sydney w Australii. (Foto luty 2004)

Autorzy tego obiektu, architekci Jørn Utzon i Ove Arup, do filozofii kształtu bryły sięgnęli po kulę, z powierzchni której wycinali potrzebne fragmenty i z nich zakomponowali wspaniałą rzeźbę gmachu. Ja moje powierzchnie hiperboliczne też przeciąłem dwoma płaszczyznami uzyskując potrzebny kształt ścian.

Ten twór uczyniłem w swej myśli ponadto wielkim instrumentem na wzór pudła rezonansowego skrzypiec.

W skrzypcach, w ich wnętrzu jest dusza – mały świerkowy kóleczek przenoszący drgania podstawka na płytę dolną. Podobnym kóleczkim – duszą rozparłem obie czasze w miejscu ich wzajemnego największego zbliżenia. Same zaś czasze wyobraziłem sobie jako pokryte siecią strun napinanych i rozluźnianych przez jakiś, nie znany mi wówczas system analitycznej, który uczyni z tego żywy instrument współreagujący na barwę, siłę i rodzaj dźwięku muzyki i śpiewu kościelnego.

Dusza tak wielkiego instrumentu też musi być dostatecznie duża – uczyniłem z niej poziome ramię dużego krzyża zawieszzonego w ten sposób nad ołtarzem.

Jeszcze marzyła mi się poświata uzyskana we wnętrzu od lamp ukrytych pod ławkami, a ogrzewających promieniami podczerwonymi stopy modlących się.

Zdecydowałem się uczynić podłogę nie płaską, jak we wszystkich kościołach, lecz lekko wznoszącą się od ołtarza w kierunku wejść – na zasadzie widowni np. teatru. Pozwoliło to na stworzenie dolnego kościoła z kaplicą żałobną.

Czułem ten swój kościół w najdrobniejszych szczegółach, lecz nie potrafiłem nikomu wytłumaczyć kształtu. Nawet rysunki były mało czytelne i gmatwały prostotę przestrzenną zamierzenia. Zbudowałem więc dużą makietę i taki zabieg uczynił z mojego zbioru teorii rzeźbę, która jednocześnie urzekła mnie i pozbawiła skromności. Ktoś orzekł, że są to skrzydła anioła. Mogłem godzinami patrzeć na swe dzieło. Z tego patrzenia zrodziła się seria zdjęć doskonale opracowanych przez kolegę i stały się one zasadniczą pracą dyplomową, oczywiście były też rysunki techniczne – rzuty i przekroje.

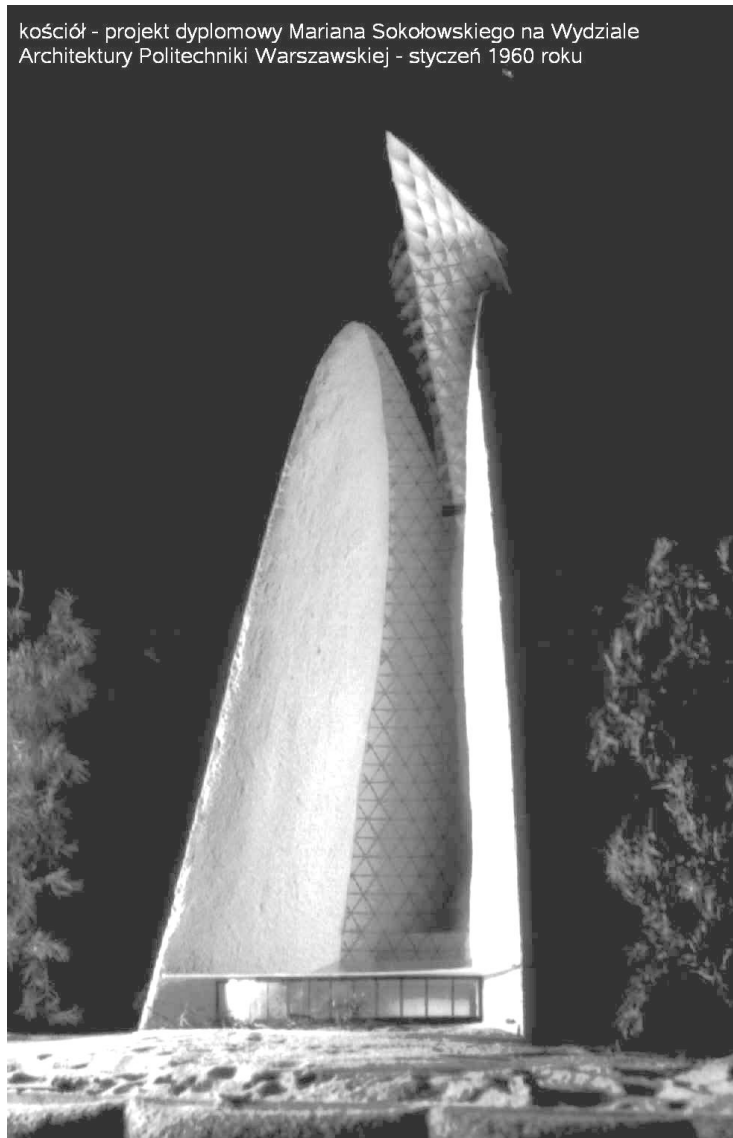
Wokół mnie działały się jednak mroczne knowania. Asystenci nie chcieli dyskutować pomysłu, lecz odsyłali do profesora. Ten znów był dla mnie nieuchwytny. Nie mogłem zrozumieć, o co chodzi. Wszak mój profesor znany był od lat z jasno i odważnie głoszonych poglądów.

Wreszcie udzielił mi posłuchania. Zezwolił mi, abym przyszedł do niego do domu o siódmej rano. Dzwonieniem do drzwi obudziłem go, chodził w piżamie zaspany po pokoju, a ja jękając się usiłowałem wytłumaczyć istotę koncepcji. Po kilkunastu minutach oświadczył – niech pan to skończy; wtedy będzie wiadomo – i poszedł myć zęby do łazienki. Tak więc moja jedyna korekta pracy dyplomowej miała miejsce między wstaniem z łóżka, a pójściem do łazienki.



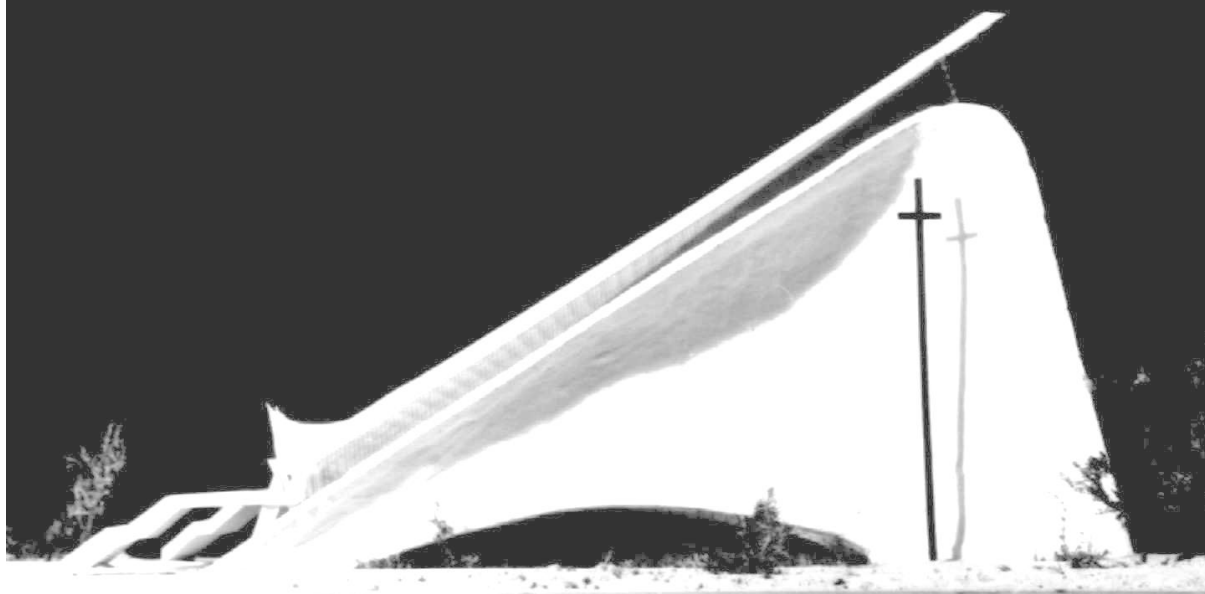


kościół - projekt dyplomowy
Mariana Sokołowskiego
na Wydziale Architektury
Politechniki Warszawskiej
styczeń 1960 roku

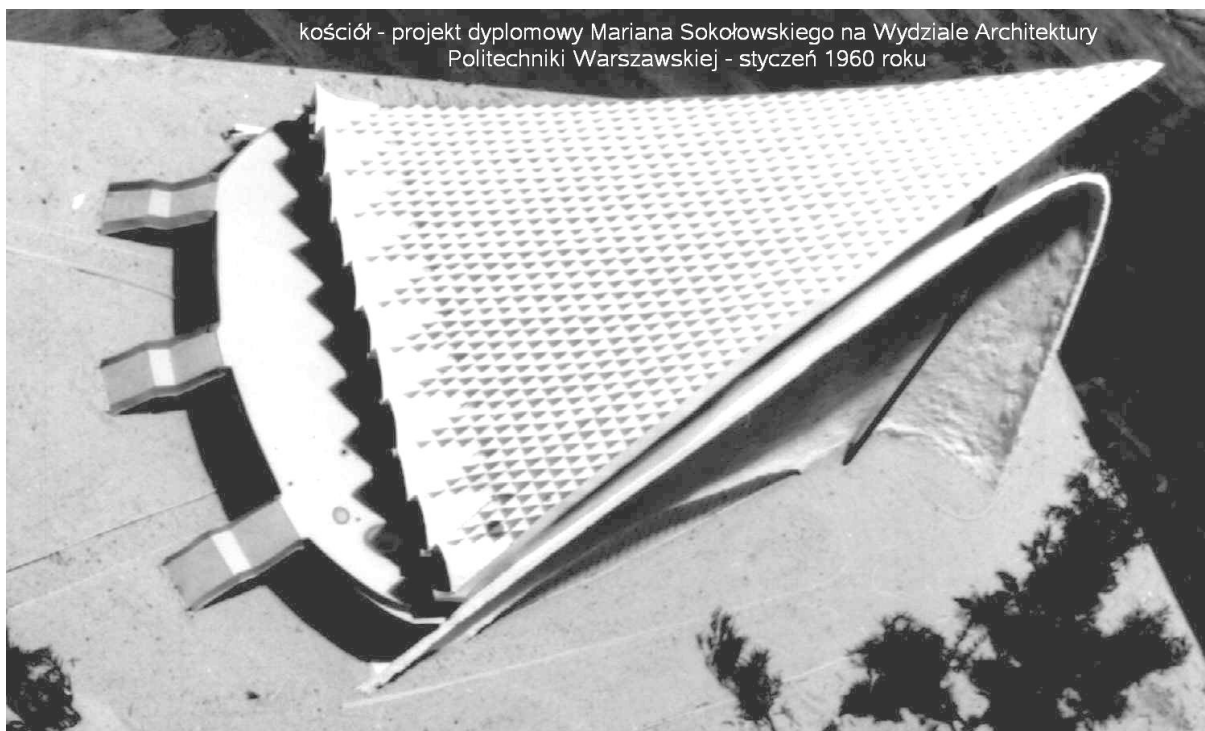


kościół - projekt dyplomowy Mariana Sokołowskiego na Wydziale
Architektury Politechniki Warszawskiej - styczeń 1960 roku

kościół - projekt dyplomowy Mariana Sokołowskiego na Wydziale Architektury Politechniki Warszawskiej - styczeń 1960 roku



kościół - projekt dyplomowy Mariana Sokołowskiego na Wydziale Architektury Politechniki Warszawskiej - styczeń 1960 roku



Za to wezwał mnie inny profesor (nadzwyczajny) Bohdan Lachert (sekretarz organizacji partyjnej na Wydziale) i patrząc z pogardą wyksztusił: – demonstracji się wam zachciało, kolego!

Długo tłumaczyłem, że dla mnie kościół jest tylko pretekstem do wspaniałych rozważań rzeźbiarskich architektury, jej konstrukcji, a nawet akustyki. Pod koniec rozmowy proponował, że zmienimy temat na jakąś hutę i on sam tak mi pomoże dając gotowy projekt do przerysowania, że uzyskam dyplom w tym samym terminie.

Uparłem się. Na obronie zjawilo się wyjątkowo dużo kolegów. Nie było natomiast mojego profesora – przysłał do dziekana list usprawiedliwiający. Nie było też żadnego asystenta z katedry, w której robiłem dyplom. Koreferent wprawdzie był, ale tuż przed rozpoczęciem obrony

radził, abym opuścił w referowaniu całą część dotyczącą akustyki wnętrza, bo przecież akustyka w rzeczywistości sprowadza się do jednego – jeżeli nie ma fali poprzecznej, to wewnątrz ma dobrą akustykę, jeżeli jest – złą.

Nie zainteresowałem się w porę, jak przebiega obrona pracy dyplomowej, nie wybrałem się wcześniej na żadną i nie miałem pojęcia, jak powinienem referować i jak odpierać ataki oponentów, a zwłaszcza, że oponenti oczekują mojej reakcji, aby ocenić moje zdolności do bronięcia swoich pomysłów.

Nie wiem jak referowałem – raczej było to coś bardzo słabego. Natomiast doskonale pamiętam oponentów. Zresztą było ich tylko dwóch, pozostali obecni nie opowiedzieli się po żadnej stronie.

Profesor, który namawiał mnie do zmiany tematu, wyszydził pomysł. Twierdził, że za bardzo zapatrzyłem się na pobliską skocznnię narciarską i że wyszedł obiekt równie nieudany. Już przysłowie mówi – pierwsze koty za płoty, a ja niesłusznie uczepliłem się kurczowo tego jedyne go pomysłu i dlatego wynik jest tak mierny. On nic na to nie poradzi, ale ten obiekt bardziej mu przypomina skocznnię narciarską niż cokolwiek.

Już miałem odpalić – że pewien jego obiekt w Warszawie nie tylko mnie coś gorszego przypomina, bo aż uzyskał nazwę „domu pod sedesami”, ale zmilczałem tę impertynencję zaskoczony wypowiedzią drugiego profesora. Nie spodziewałem się, że właśnie on zechce mnie ohydnie zagiąć. Zapytał: – Jeżeli ma to być kościół, to gdzie tu jest „lavabo”, mój panie?

Nie wiedziałem. Dopiero później w słowniku francuskim wyczytałem, że znaczy to – umywalka. W każdym kościele znajduje się maleńka umywalka połączona przewodem ze specjalnym szczelnym podziemnym zbiorniczkiem. Myje się tu naczynia liturgiczne i aby żadna cząstka ciała i krwi Pana Naszego nie dostała się do kanalizacji, wodę odprowadza się do tego szczelnego zbiornika.

Długo czekaliśmy, aż Rada Wydziału podejmie decyzję, czy będę architektem. Wreszcie nieoficjalnie zawiadomiono mnie, że za sam projekt – piątka, lecz ze względu na temat obniżono na czwórkę. Oficjalną decyzję odłożono na jutro do skonsultowania z kimś tam ważnym. Tylko profesor Romuald Gutt odważył się pogratulować mi.

72 Politechnika Warszawska

SOKOŁOWSKI MARIAN
Nazwisko i imię

Wykonał pracę dyplomową:

na temat — **KOŚCIÓŁ RZYMSKO-KATOLICKI**

z oceną — **h+ (bardzo plus)**

Data **19 LUTEGO 1960R**
u prof. Dymnickiego

pieczęć _____
Podpis profesora

Złożył egzamin dyplomowy

z wynikiem **h (dobrym)**

w dniu **19 Lutego 1960 r.**

Helena Syrczak **PRODZIEKAN** Wydziału Architektury
Przewodniczący Komisji Egzaminu
Członkowie Komisji **(Doc. Dr. G. Sosnowski)**

Helena Syrczak pieczęć **ARCHITEKTURA**
POLITECHNIKI WARSZAWSKIEJ

Miałem obiecaną pracę w biurze projektów, lecz czekające na mnie miejsce dano komuś innemu, a mnie poufnie zawiadomiono, że w Warszawie nie dostanę żadnej pracy. Zrozumiałem, że muszę głęboko ukryć tę kartę z mojego życiorysu. Dopiero po dwudziestu latach ośmieliłem się na tych kartach wrócić do mej tragedii.

Jednak miałem pewną satysfakcję, bo zdjęcie mojego kościoła wisiało przez pięć lat w gablocie przed wejściem do Zakładu Projektowania profesora.

Był jeszcze inny incydent związany z moją obroną. Miałem jako pierwszy na roku obronić dyplom, a tu ten kościół. Partia wydziałowa podjęła działania i student z naszego roku, a członek egzekutywy, dostał gotowy projekt i jego pierwszego puszczono na obronę. Wiem o tym dokładnie, bo kolega z pokoju, który zrobił zdjęcia mojego kościoła, ku mojemu zdziwieniu wykonał pośpiesznie zdjęcia makiety garażu wielopoziomowego na obronę tego członka egzekutywy i uświadomił mnie w tych knowaniach.

*



Rozdział 19

biały goniec na d2
czarny skoczek na c7

Niedługo po obronie Politechnika zażądała opuszczenia domu akademickiego. Równało to się konieczności opuszczenia Warszawy, bo nie miałem stałego zameldowania w Warszawie. Jakąś szansę na pobyt w Warszawie stanowiła moja już dwuletnia praca u archeologów w Polskiej Akademii Nauk. Jakimś rozwiązaniem była ławeczka do spania w domu Profesora w Podkowie Leśnej, o czym wcześniej pisałem. Ale nie umiałem powiązać mojej przyszłości z archeologią – byłbym zawsze tylko architektem, czyli rysownikiem, wśród archeologów. Rozumiałem, że przyszłością dla architekta jest projektowanie obiektów i w tym kierunku pragnąłem pójść.

Musiałem się wynieść z Warszawy. W pokoju w akademiku stała nadal moja wspiana makietą, była duża, była zmontowana na desce kreślarskiej o wymiarach 100x70cm, wysokość była też coś koło tego. Rozebrać na kilka podstawowych części się dało, ale nie miałem gdzie ich wywieźć, rodzice nie natchnęli mnie dobrą myślą. Porzuciłem swoje dzieło. Miałem dyplom magistra inżyniera architektury i nic ponadto. Te trochę ubrania weszło w małą walizkę i z nią wyruszyłem po raz drugi w świat.

Znów na ulicy, jak szereg razy w przyszłości, moje problemy znalazły rozwiązanie. Spotkałem kolegę architekta, który skończył rok wcześniej i ten zachęcił mnie, abym wyjechał do Siedlec i był jego zastępcą w urzędzie miasta. Nawet obiecał mi, że zamieszkać w jego maleńkim mieszkaniu, nawet na jego łóżku i jego pościeli, bo on już mieszka u żony. To musiało przesądzić o mojej drodze życia.

Już po kilku miesiącach splot wydarzeń zmusił mnie do kolejnej decyzji. W urzędzie była sarta niezadowolonych podań. Przejrzałem, o nic szczególnego tam nie chodziło – tu płot, tam daszek... Wyraziłem zgodę na wszystkie prośby i dopiero potem dowiedziałem się, że współurzędnicy robią zakłady, jaką też kwotę wziąłem za te podania. Podania zwyczajnie czekały, aż chłopci dojrzeją.

Proceder unaoczniała mi inspekcja. W kilku szliśmy za szefem przez wieś i szef wchodził do wybranych chat mówiąc – jutro do mnie!

Każdy przychodził następnego dnia z załącznikiem, czyli największym banknotem Narodowego Banku Polskiego i gdy taki pierwszy załącznik mnie się trafił, zrozumiałem, że trzeba uciekać, jeśli za pół roku nie chcę siedzieć razem z nimi. Strachliwy widać wyrosłem, bo zwiąłem, a oni spokojnie pobudowali się, awansowali, brali odznaczenia.

Jak to zwyczajnie dziś brzmi i zupełnie co innego dziś się widzi. Umknęło gdzieś z pamięci to, co stanowiło treść tamtych najpiękniejszych dni. Przecież wówczas mogło się walić, palić wokół, a myśli moje były gdzie indziej.

Kochana...

Byłem. Widziałem naszego kaktusa jak stał w waniencie, widziałem całe pobojowisko pozostałe po waszym wyjeździe nad morze, szukałem Twoich śladów, próbowałem panować nad sobą, ale gdy usiadłem na tapczanie – tyle się przypomniało, że nie wytrzymałem i uciekłem.

Właściwie zewnętrznie to wyglądało tak, że wysłano mnie na delegację do Warszawy na taką konferencję. Potem poszedłem do baru mlecznego na Mokotowską – gazu nie było – nic do jedzenia nie było. W pewnej chwili przyszedł też na obiad ojciec. Porozmawialiśmy. Z tego obiadu wyszedłem bardziej głodny niż przyszedłem. Ojciec zabrał mnie do domu. Porozmawialiśmy o waszym wyjeździe, ale w miarę rozmowy stawałem się coraz bardziej roztargniony, zaczynałem sobie uświadamiać, że jednak nie wyjdiesz, że jeszcze kilkanaście godzin temu..., a teraz nic, tylko tak bardzo długie tygodnie oczekiwania. Oczekiwania w smutku, w pokornej rezygnacji, oczekiwania z wielkim buntem i nic tylko słowa skierowane do siebie – panuj nad sobą, to przecież nic takiego strasznego – wytrzymasz.

Nie, nie wierzę. A tu jeszcze musiałem usiąść na tym tapczanie gdzie tyle wspomnień.

Nie, nie chcę pamiętać, bo to jeszcze gorzej. Wybacz. Już będę pisał spokojnie. Pożegnałem ojca czym prędzej i poszedłem. Jeszcze raz popatrzyłem z ulicy na firankę. Potem powlokłem się. Natrafiłem na sklep Jubilera. Przypomniałem sobie, że chciałem przerobić dla nas obrączkę,

którą miałem po babci – niestety, od pięciu minut było zamknięte. Postanowiłem iść do kina. Obejrzałem, jakie obcasiki Tobie kupić. Potem trochę oprzytomniałem i poszedłem na Plac Unii, by kupić jakieś czasopisma. Żadne mi nie odpowiadały. Kupiłem w komisie taśmę mierniczą. Potem był znów Jubiler – obejrzałem, czy byłby dla Ciebie pierścionek – nie, nie było.

I Ciebie też nie było. Już i na kino nie miałem chęci. Byłem głodny, bardzo zmęczony, bo poprzedniej nocy do pierwszej pisaliśmy sprawozdania. Wszedłem do sklepu, kupiłem budzik. Zawróciłem i znów poszedłem w stronę Twoich okien. Potem zobaczyłem, że pociąg jest dopiero za półtorej godziny. Potem kupiłem chleba i masła, ale i tego było mało dla zabicia myśli, więc kupiłem radio „Figaro”. Niewiele co z pensji zostało. Wiem tylko, że brak mi Ciebie.

Zasnąć trudno. Potem śni mi się, że się wzajemnie zdradzamy. Koszmar. Przebudzenie też jest smutne.

Zazdroszczę zieleni, chłodnej wody, śmiechu i słońca, gorącego piasku i huku morza. Po tem krótkie noce, w których nie ma czasu na marzenia.

Teraz już jest mi dobrze. Leżę i piszę do Ciebie. Jest taki spokój. Figaro gra. Jaka piękna musi być tęsknota, gdy się ma ją już poza sobą.

Tak bardzo nie chce mi się skończyć tego listu. Tam nad morzem są takie malutkie białe muszelki – jedna z nich jest przeznaczona dla Ciebie – zostawiłem ją w marcu, ale teraz jest blisko Ciebie na piasku koło tego kamienia. Przyjmij ją.

Kochana...

Po dziesięciu godzinach piszę drugi list. Przed chwilą skończyło się słuchowisko według Wiktora Hugo pod tytułem „Srebrne lichtarze”. Jestem bardzo wzruszony. Trudno mi pisać. Dało mi to tyle przeżyć. Przypomniało mi się, jak przed laty czytałem „Nędzników”. Było mi wówczas tak ciężko, a ta książka postawiła mnie na nogi. Wiesz, myślę, że gdybyś Ty mnie tak bardzo potrzebowała, jak ja dziś rano Ciebie, to rzuciłbym wszystko i pojechałbym do Ciebie.

Nie wiem jak pisać. Książka ta mnie zawstydziła. Nawet bardzo. Bo widzisz, ja stałem się taki niecierpliwy, mało wytrwały, a przez to mogę zniszczyć naszą miłość. Wybacz – ja naprawdę nie wiem, po co tak piszę. A czy wiesz, że bardzo Cię kocham? Bądź dobrej myśli. Przyszedł czas, gdy winniśmy trochę powspominać i tym teraz żyć. A wiesz, miałem wyjąć Twoje zdjęcie i powiesić sobie na ścianie, ale nie chcę, bo zatarłoby to w mojej pamięci obraz Twój z ostatnich dwóch dni, gdy byliśmy i sami, i razem.

Wiesz, tak sobie myślę, że chciałbym, aby tylko mnie było smutno, a Ty abyś była wesoła.

Jutro to już będzie inaczej, jutro będę dużo pracował – będzie lżej. A wiesz, dopiero dzisiaj znalazłem kartkę z poczty zawiadamiającą, że przyszedł do mnie list polecony z Warszawy. To będzie list od Ciebie, Prawda? Widzisz, ja umówiłem się z listonoszem i on zostawia teraz wszelkie listy w skrzynce z licznikiem elektrycznym i dlatego nie znalazłem od razu tej karteczki na list polecony. Była taka malutka.

Kochana – bardzo trudna jest samotność, ale wierz, dosłownie drzę, gdy usłyszę kroki na schodach; boję się by ktoś nie przyszedł. Wolę być tak zupełnie sam i myśleć o Tobie.

Dzisiaj dopiero trzeci. Dlaczego nie sierpień? Tak chciałbym bardzo pisać do Ciebie wesołe listy, ale trudno być nieszczerym. Widzisz, znów kwękam, a przecież obiecałem, że będę spokojny. Głowa mię trochę boli, więc gdy przejdzie, napiszę coś pogodnego.

Cieszę się z radia – naszego...

...mój Kochany

...wiesz, strasznie się cieszę, że kupiłeś radio. Naprawdę się z tego cieszę. To będzie nasze i dla nas, strasznie się cieszę...

Kochana –

To już trzeci list dzisiaj do Ciebie, bo tak to trzeba nazwać. Zaczyna się ściemniać. Jest po dziewiątej. Już się położyłem. Obok gra Figaro. Dalej tyka budzik nastawiony na 6⁴⁵. Strasznie mocno tyka, a może mnie się tylko tak zdaje. Ciekaw jestem, co też teraz robisz. No powiedz. Mnie trochę boli kark i nie mogę za bardzo kręcić głową. Jutro chyba zapiszę się do biblioteki, może mają tam jakieś kryminały. Byłoby chociaż co czytać.

Wiesz, moje mieszkanie urządzone jest po japońsku. Wprawdzie zamiast mat mam duży dywan, ale reszta już przepisowo stoi i leży na dywanie. Jeszcze trochę i nie będzie gdzie chodzić. Przedstawia to dosyć niesamowity widok. Gdybyś zobaczyła, to uśmiełabyś się. No bo tak: w rogu leży walizka przykryta obrusem, to znaczy gazetą, na niej pestki w spodeczku i jakiś garnuszek; obok wzdłuż ściany leżą dwie rurki z brystolem, dalej przybornik kreślarski, pióro, gumka. Przed nimi kilka numerów Architektury – koniecznie wszystkie otwarte i w dodatku poprzekładane suwakiem i czym popadło. W miejscu, gdzie zaczyna się zasłonka, w sposób bardzo dostojny, bo na tej płytce dziurkowanej, na której robiłem tę małą makietę, a potem długo bezużytecznie leżała na mojej szafce na Jelonkach, więc na tej płytce stoi czarny, milczący telefon, a przed nim szary hałasujący budzik. Wśród tego wszystkiego jeszcze stoją jedyne wystające przedmioty, a to dwa taboreciki z grubego drutu i sznura. Dalej leży deska z przyborami kreślarskimi, pudełko po radiu, moje slipki i skarpetki, a wśród tego wije się długa instalacja elektryczna złożona z trzech sznurów do żelazka, bo pech chciał, że jedyny kontakt znajduje się w przeciwnym rogu pokoju co tapczan, a przecież radio musi być przy uchu, czyli przy poduszce.

Wiesz, ten budzik wcale nie myśli świecić – obraził się, czy co?

A zasłonkę mam taką ogromną, białą, w takie olbrzymie okrągłe plamy – przy czym połowa ma plamy żółte i czerwone, a druga połowa zasłonki – czarne i żółte. To już może wszystko. A nie; jeszcze na kłamce wisi moja flanelowa koszula, ta w kratkę.

Zapytasz może, co robiłem w przerwie między tym a poprzednim listem, że tak mi się humor poprawił? Więc powiem. Pojadłem tak za wszystkie czasy, a potem odpocząłem. W tym cały sekret.

Całuję mocno i bardzo kocham...

...i jak echo brzmiało, gdy czytałem:

Kochany mój...

...oczy czarne są zawsze czarne i nigdy nie można w nich znaleźć niczego nowego. Twoje oczy są szare i stalowe – gdy zmęczone; zielone – gdy wesole, niebieskie – gdy szczęśliwe, a gdy szczęścia pragną – granatowe. Na każdą inną okazję mają inny, szaro-niebieski, szaro-zielony, lub niebiesko-zielony kolor. Gwiazdki w oczach też są kolorowe.

Mówiłeś dziś, że nie chciałbyś, by powtórzyła się historia z jesieni. A pomyśl, co będzie, gdy będziemy razem i nic nie będzie hamowało naszych zmysłów? Czy będziemy w stanie pomyśleć o tym choć przez chwilę? Niełatwe nas czeka życie, ale sądzę, że tym szczęśliwsze.

Jak byłeś chory, to bardzo mi było dobrze myśleć, że mój biedny nudzi się i że trzeba mu cytrynę zawieźć, bo nie ma witaminy C i będzie go potem bolało gardziółko, że trzeba wziąć nici i igłę, bo nie wiem, czy ma, a podarł piżamę. A potem złościłam się, że ten autobus tak wolno jedzie i że tam na mnie czekasz i że masz z tego powodu smutne ślepie. Tak dobrze myśleć, że mnie potrzebujesz, że na mnie czekasz i że muszę o Tobie myśleć, bo jak ja nie będę, to kto będzie?

Kochany...

Postanowiłam dziś napisać do Ciebie. Wymyłam więc pióro, żeby ładnie pisało i piszę.

Wiesz kochany, że ten urlop dziekański, czy repetowanie nawet mnie trochę cieszy. Bo studia nie uciekną, a wrzesień będę miała spokojniejszy. A przecież wrzesień to nasz miesiąc miody. Dobrze o tym myśleć.

Ty jesteś szkaradny. W niedzielę zostawiłeś mi ślad na szyi i to w taki miejscu, że ani ukryć pod włosami, ani pod kołnierzem. Tymczasem ja poszłam do Dziūńki i jej mama pyta się, co to jest, a ja nawet nie wiedziałam, o co jej chodzi.

Mama przyjęła bardzo spokojnie fakt, że z moimi studiami coś nie tak. Nawet spokojniej niż ja, bo ja się rozplakałam, a mama tylko powiedziała, że trudno.

...razem z tym listem posłę Twój dowód, bo już nie jest potrzebny w urzędzie stanu cywilnego, i nasze metryki. Załatwiał ślub kościelny.

Kochany mój...

...Bardzo często myślę o naszym małżeństwie i z każdym dniem mniej to sobie wyobrażam. Nie mogę sobie jakoś wyobrazić, byś został u mnie na noc i nikt na to by nic nie powiedział. Nie mogę sobie wyobrazić, że będę Twoja, gdy ktoś będzie się kręcił pod drzwiami i gdy wszyscy będą wiedzieć, że tak jest. Naprawdę chyba lepiej by było, gdybyśmy byli sami. Inne rzeczy mniej mię jakoś przerażają...

Kochana...

Jestem szalenie wściekły. Nie, nie na Ciebie. Ale jestem w rozterce, czy w takim nastroju należy pisać list do Ciebie. Mogę Cię czyś skrzywdzić. Z drugiej strony wolę, abyś otrzymała taki list, niż nic. Wiem dobrze, co to jest, gdy list nie przyjdzie.

Nie chcę, nie mogę pisać o tym, co mnie tak rozwściekliło. Powiedzieć, powiedziałbym, gdybyś tu była. Pisać nie będę o tym.

Może zacznijmy o czym innym. Wiesz kochana, że dopiero teraz uświadomiłem sobie, że Twojej mamie na pewno był potrzebny ten elektryczny dzbanek, który zimą pożyczyłem. Należało go zwrócić, ale ja zawsze tego co trzeba to się nie domyślam.

Cholernie leje. Wody nie widać w powietrzu, a wszystko jest mokre. Chciałem otworzyć na chwilę okno, to dosłownie całe mieszkanie nasiąkło wodą.

Jestem wściekły. Bo powiedz, jak należy postępować – uczciwie czy nie, a jeżeli uczciwie, to może Ty mi wyjaśnisz, co to jest uczciwość i gdzie się ona kończy, a zaczyna głupota, zakłamanie, pruderia, fasadowość, dwulicowość i co tam jeszcze wolisz. Gdyby mi się chciało, to poszedłbym tak jak Ty na deszcz – podobno uspokaja. Ale ja, nie, nie chcę się uspokoić. Jeszcze w radiu wybrali się z kroniką studencką. Zaraz ich spławię. No już cisza.

Wiesz, zacznę prowadzić wojnę z wszystkimi, to wtedy dadzą mi święty spokój z pouczeniami.

A najśmieszniejsze jest to, że gdybyś nawet chciała mię uspokoić, to uczynisz to w liście, który ja otrzymam dopiero za sześć dni w najlepszym wypadku, a wtedy w jakim humorze będę – nie wiem.

Bardzo ucieszył mię dziś rano Twój list. Ale przedtem bardzo zaniepokoił, bo dlaczego przysyłasz tylko moje papiery? Zanim doczytałem do końca, to dosyć przeżyłem. Czytałem w parku pod drzewem w czasie deszczu.

A może i Ty sądzisz, że jestem zaślepiony, że jestem chorągiewką? Wydaje mi się, że powinienem więcej kantować. Bo tak: te projekty dla ludzi robię uczciwie, długo, a inni odwalają i jeszcze śmieją się ze mnie.

Chciałbym o tym wszystkim, co mnie tak drażni, rozmawiać z Tobą, nie pisać. Cholerne wakacje, ani Ty nie masz pogody, ani ja nie mam Ciebie. A tak obiecywałem, że już na te wakacje to tak urządzę, że będziemy razem, a tu masz – guzik – wymyślił.

Nie gniewaj się, przecież chciałaś wiedzieć, co robię, a że akurat zacząłem pisać list, gdy itd. – drętwa mowa.

Kochana, będą żałował tego, co piszę, więc oszczędź mi nerwów i już nie przysyłaj na temat tego listu żadnych napomnień. Zrób coś, ale teraz, w tej chwili, gdy to piszę, a nie wtedy, gdy dostaniesz ten papier.

Żądam rzeczy niemożliwych, no a dlaczego to wszystko jest tak beznadziejnie głupie. Mam „pałac” – a jakże. „Stanowisko” – a jakże! Chcę spełniać życzenia Twoich rodziców, swoich rodziców. Nigdzie się nie wychyłam, bo można komuś stanąć na włożoną rękę i to do cudzej kieszeni, albo można utracić zbyt wścibski nos. I co mi z takiego życia? Zrównoważony, poważny młodzieniec. To moim celem – prawda? Albo opinia, że zarabiam więcej od kogoś tam – to moim celem – prawda?

Dziwię się tylko, że tak spokojnie leżę pisząc ten list. Powinienem potłuc parę talerzy, coś potargać, zniszczyć – prawda? A tu nie, ten idiota znęca się nad ironicznie cierpliwym papierem,

i w dodatku pisze do Ciebie, zupełnie niewiedzącej, o co chodzi. Nic, tylko mi jeszcze do kompletu potrzeba, abyś Ty się na mnie „śmiertelnie” obraziła. Spróbuj, może to mię uleczy – albo z tego nie wiedzieć na co przyobleczonego spokoju, albo też z nie wiedzieć na co i za co wyładowywanej wściekłości.

Przed chwilą przyszła mi myśl, że pójdę się urżnąć, a potem pierwszemu równie zalanemu wyśpiwam wszystko, co mię boli, a on udzieli mi rozgrzeszenia; ale nie – ja nigdy bym się na to nie zdobył. Za grzeczny jestem, zbyt dbam o swoją opinię. Zbyt wielkim jestem tchórzem. Ciepłe kluski, które jak się gdzieś położy, to można być pewnym, że całymi latami tam będą tkwić, bo same nie odważą się na jakikolwiek ruch.

Ja chcę żyć! – a to jest życie? Raczej pewna nieściskość w określeniu, jeżeli na coś takiego mówi się życie. O, jakże mi tu dobrze! Jestem wzorowym pracownikiem. Przychodzę pięć przed ósmą, wychodzę o wpół do czwartej. Staram się. Zabiegam o względy. Czasem rzeczywiście rzuca mi gdzieś jakiś ochłap, a wtedy aportuję. Tak.

Coś mi się stało w miesiąc biegnący pod lewą łopatkę od karku i niech bym tylko przez pewien czas nie ruszał się, to potem przeraźliwie boli. Jedno, co mnie trochę reguluje.

Jak przeczytasz ten list, to go zniszcz, bo jakże można takie listy pisać do dziewczyny i to na miesiąc przed ślubem. Nie, nie można, ale ja chcę. Jesteś moją Żoną już od dwóch lat. Od chwili, gdy Cię pierwszy raz wziąłem i nic mnie nie obchodzą jakieś tam umowne formalności zwane też ślubami. Jesteś moją Żoną i będziesz, a kto śmiałyby obrażać nasz stosunek, to całe życie popamięta. Już ja umiem się mścić. Wiesz, chciałbym Ci napisać, że nawet taką złością też Ciebie kocham. Musimy być razem. Nikt nie ma prawa wkładać szpilek między nas.

...kochanie, dlaczego Ciebie tutaj nie ma? Pocałowałaś i wszystko by przeszło. ...czy my jesteśmy zdolni cokolwiek sami uczynić? No powiedz? Jestem beznadziejnie bezsilny.

Czuję całą bezsensowność w tym moim buncie. Później będę głodny i kto mi da trochę stawy, będzie mógł ze mnie zrobić niewolnika – nędznie posłuszny, ale już tylko do tego zdolny.

Teraz mam do Ciebie prośbę. Napisz kochana, jak chciałabyś, aby się nasze życie potoczyło. Ale pamiętaj, że Twoja odpowiedź tym większą będzie dla mnie przedstawiała wartość, im bardziej będzie samodzielna. Spróbuj na chwilę wyzbyć się wszystkich sądów Twoich rodziców, koleżanek, moich planów i założeń. Przez chwilę tylko stań się sobą i napisz, co uważasz za swoje szczęście, za swój cel w życiu. Nie, nie mogę obiecać, że spełnię, ale chociaż będę wiedział, czego nie spełniłem. Ja sam, gdy będę trochę spokojniejszy – może właśnie wtedy, gdy Ty będziesz odpowiadać mi na to pytanie – również odpowiem Tobie na to, co mię dręczy i czego pragnę. Jednocześnie przeczytamy swoje odpowiedzi, które naprawdę będą całkowicie bez żadnego wpływu na siebie, ...może ujrzymy przyszłe szczęście?

Bez przekonania, ale dla formalności proszę – wybac mi ten list. Bez przekonania, bo wiem, że nie mogłem inaczej postąpić.

Czy tęsknię? Strasznie.

(Po pięćdziesięciu latach wyznam, że moja matka przysłała list, w którym kategorycznie namawiała mnie do odstąpienia od tego ślubu).

...mój Kochany

Czy wiesz, że się cieszę? Bardzo się cieszę z Twojego listu. Dziwisz się? Zaraz Ci wytłumaczę. Zawsze byłeś bardzo spokojny i zrównoważony. Kiedy tak się działo, a byłam z Tobą, wiedziałam, że to jest naturalne, ale jeżeli czułam to z daleka, to bardzo bałam się, że jesteś chory. To że się złościś, że jesteś wściekły, to świadczy o tym, że nie wszystko jest Ci obojętne i że coś jeszcze czujesz. Wiesz, wołałabym, byś zamiast się smucić i spuszczać nos, abyś wyłodził się i zbił te dwa talerze. Cieszę się też dlatego, że napisałeś to wszystko do mnie. Teraz bardziej niż kiedykolwiek czuję się Twoją żoną.

Nie wiem, o co Ci chodzi, gdy prosisz, bym Ci napisała, co myślę o naszym wspólnym życiu. Ale napiszę, to co myślę. Więc chciałabym byśmy sobie nie przeszkadzali. To znaczy by żadne nie czuło się skrępowane przez drugiego, by nie trzeba było zmieniać dla drugiego swego własnego ja, oczywiście zmieniać pod przymusem. Może konkretniej. Chcę byś pracował, gdy masz ochotę, bez oglądania się czy mnie to przeszkadza czy nie, byś spał, gdy masz ochotę

i robił zawsze to, na co masz ochotę. Oczywiście dla siebie chcę tego samego. Oczywiście że i w tym kierunku można wpaść w przesadę, ale od czego jest nasza miłość?

Chciałabym, by nasze życie było spokojne, bez siupów i wyskoków i przede wszystkim bez pokazywania tym, co chcą widzieć i co nie chcą też, że jesteśmy szczęśliwi. I dlatego skłonna jestem ograniczyć znajomości i wizyty do koniecznego minimum, bo przecież i tak żyjemy wśród ludzi.

Chciałabym, by nasze mieszkanie było miłe i przytulne, byśmy z przyjemnością szli do domu. Wiem, że to ostatnie zależy przeważnie ode mnie, ale ja naprawdę chcę, by tak było.

Ja Cię bardzo kocham. Oczywiście nie w ten sposób jak wtedy, gdy Ci się oddałam, ale bardzo. Myślę, że moja miłość jest spokojniejsza, mniej wybuchowa, bardziej tolerancyjna niż wtedy. Wiem, że dużą rolę zaczyna odgrywać przywiązanie i przyzwyczajenie, ale nigdy nie myślałam i nie myślę, by to zastąpiło miłość.

Wiem, że dziewczęta w moim wieku lubią flirtować, żyć swobodnie, nie wiązać się nigdzie żadną obietnicą, być wolną i dlatego czuję się czasem dużo starsza, niż jestem rzeczywiście. Bo już od dawna widząc jakiegoś ładnego i miłego chłopca nie mam ochoty iść z nim na spacer, ...jak to było kiedyś, na przykład wtedy, gdy Ciebie poznałam. Wiem, że to, co teraz piszę, nie sprawi Ci szalonej radości, ale przecież nie obrazisz się, a ja chcę pisać prawdę...

Kochana...

Już środa. Dziwię się, dlaczego nie piszesz? Ale mam nadzieję, że jutro wyjaśni się, bo jutro już na pewno będzie list od Ciebie. Teraz zgodnie z obietnicą napiszę Ci tak szczerze, jak chciałam, aby nasze życie w najbliższych latach ułożyło się. Za ogólną dewizę moich obecnych decyzji przyjmuję, że powinniśmy jak najwcześniej stać się zupełnie samodzielnymi. Coraz bardziej się przekonuję, że moja obecna praca jest bardzo korzystna i będzie miała zasadniczy wpływ na nasze szczęście.

Do tej pory poważnym kontrargumentem dla mojej pracy tutaj były Twoje studia oraz kwestia uprawnień budowlanych. Teraz widzę, że uprawnienia przy tej pracy też będę mógł zrobić, bo są możliwości sprawowania zleconych nadzorów inwestycyjnych. Z drugiej strony praktyka na tym stanowisku jest równie korzystna ze względów bezpośrednich jak i finansowych. Widzę, że stanąłem na nogach i już teraz nie poddam się. Nie chcę być poza Tobą od nikogo zależny.

Chciałbym Cię bardzo prosić, abyś zechciała po ślubie przyjechać tutaj. Nasze miesiące, a nie miesiąc miodowy spędzone tutaj z dala od wszystkiego i wszystkich będą bez porównania piękniejsze. Marzyłem o tym stale, lecz dopiero teraz ośmielam się prosić Cię o to. Teraz nie będzie to kolidowało z Twoimi studiami, skoro bierzesz urlop dziekański. Tutaj dosłownie wszystko będzie zależało tylko od nas, od tego, co sami własnymi rękami wypracujemy, od tego, co własną logiką wymyślimy. Nie trzeba Cię przecież przekonywać, o ile bardziej piękniejsze to będzie, jak znacznie lepiej i szybciej się zrozumiemy.

Nie chciałem wyjeżdżać stąd z kilku powodów. Widzisz, gdybym rzucił tę pracę zaraz po okresie próbnym, to zaświadczenie, jakie bym otrzymał, wskazywałoby na to, że się nie nadawałem do tej pracy. A to jest dla mnie bardzo istotne, bo jednak szczytem spokojnej kariery jest dla mnie praca na podobnym stanowisku.

...nie wiem, czy przewidujesz w semestrze zimowym jakieś zajęcia dla siebie na uczelni. Jeżeli tak, to zawsze będziesz mogła na ten czas przecież jechać do Warszawy. Gdy będziesz w Warszawie, będziemy starali się widzieć się przynajmniej dwa razy w tygodniu. Zawsze kiedy Ty nie będziesz mogła przyjechać do mnie, to ja przyjadę do Ciebie, chociażby tylko na kilka godzin nocy. Jest rzeczą już teraz bezsporną, że mam tutaj olbrzymie możliwości zarobkowe i to uczciwego zarobku. Nawet gdybyśmy postanowili osiąść później na stałe w Warszawie, to przy takim układzie będziemy mogli dużo wcześniej osiągnąć własne mieszkanie. Niestety – pieniądze bardzo dużo mogą.

Kochana...

Mam już swoją pieczęć służbową. Wygląda ona tak...

Prawda, że strasznie bohaterko wygląda? Pierwsza moja pieczęć z życia. A Ty chciałaś mieć taką, co? Poproś ładnie, to pošlę Ci moją.

Kochana...

Jeden z moich nauczycieli, którego najbardziej poważam, powiedział kiedyś, że dla człowieka najpiękniejszym okresem życia jest ten, który zamyka się między zaręczynami a ślubem. Wiesz – dzisiaj uwierzyłem mu. Jestem bardzo szczęśliwy. Tyle wzruszeń miałem dzisiejszego dnia. Aż za dużo jak na jeden dzień. Dostałem aż dwa listy od Ciebie. Ten polecony przeczytałem na ławeczce przed pocztą o dwunastej i gdy przeczytałem, że teraz już będziesz pisać codziennie, zaraz chciałem biec do domu. Jednak nie poszedłem, ale cały czas w pracy już byłem taki szczęśliwy. Wiedziałem, że on tam czeka na mnie. Myślałem o tym, co zawiera i jednocześnie starałem się jak najpóźniej do niego dotrzeć. Specjalnie szedłem tak wolno do domu po pracy, potem wziąłem go, schowałem do kieszeni i cieszyłem się.

Długo jednak tak nie wytrzymałem i przeczytałem. Potem drugi i trzeci raz. Potem wyjąłem list, który otrzymałem rano i też przeczytałem. Czuję takie ciepło. Słyszałem Twój głos. Widziałem Ciebie i na rowerze, i jak się martwisz, że muszelka skruszyła się, i jak piszesz wieczorem list. Poczuję się tak, jakbym odnalazł Cię na nowo; jakbyś powróciła z bardzo daleka. Cieszyłem się tak, jak cieszy się człowiek, gdy uda mu się przeprosić drogą osobę; gdy wie, że znów wszystko potoczy się tak szczęśliwie. Dziwne, że mimo tylu zgrzytów życia, dzięki Twoim słowom tak bardzo wszystkie niepowodzenia i załamania stały się bez znaczenia, zostaliśmy tylko sami – tak bardzo rozumiejący się.

Nie chciałbym, abyś pomyślała, że wstawiam drętwą mowę. Ja wiem, że te moje słowa mogą wydać Ci się jakies sztuczne. Ale widzisz, w tej chwili na prawdę jestem taki jakiś nieporadnie wzniosły. Przyjmij i taki list.

Gdybym umiał śpiewać, to zaśpiewałbym Ci „Hej, przeleciał ptaszek kalinowy lasek” – tak ślicznie śpiewa w tej chwili „Mazowsze”. Teraz będą śpiewali „Olszynę”. Jakież to piękne. Będziesz mi śpiewać bardzo dużo – prawda, kochana? Tak lubię muzykę, a zostało mi tylko słuchanie jej.

Zapytasz, jak spędzam czas? Niemal jak w wojsku. O 6⁴⁵ dzwoni budzik. Wstaję. Sprzątam pościel, włączam radio, rozpoczyna się gimnastyka. Potem golenie (godz. 7¹⁰), mycie. Włączenie dzbanka z wodą. Zastawiam „stół” i jem śniadanie. Właśnie rozpoczyna się dziennik (7³⁰). Sprzątam szklankę i talerzyk, zaklejam kopertę listu do Ciebie, zamykam balkon, biorę ołówki, teczkę i o 7⁴⁰ wychodzę. O 7⁴⁵ jestem na pierwszym rogu – wrzucam list do skrzynki, o 7⁵⁰ na drugim rogu, za pięć ósma na trzecim i dwie przed ósmą podpisuję listę obecności, wchodzę na trzecie piętro, otwieram biuro, bo przychodzę mimo wszystko pierwszy, i rozpoczynam urzędowanie.

Tu już z zegarkiem w ręku nie da się, ale sterowanie przejmuje żołądek. Najpierw zwalnia się tempo mojej pracy, potem staję się coraz bardziej roztargniony, aż wreszcie odkrywam, że przecież jestem głodny. Jest niezawodnie godzina za piętnaście pierwsza – nawet nie muszę patrzeć na zegarek. Więc wymykam się po cichu i pędzę do milicji na obiad. Około 15 złotych i 40 minut czasu i z nową energią urzęduję. O piętnastej zwijam majdan i wracam do domu, przy czym idę inną drogą niż rano, bo teraz trzeba kupić chleb, masło, kiełbasę i owoce. Nie zawsze kupuję – nieraz już nic nie ma – ani chleba, ani owoców. Przychodzę do domu. Przed otwarciem mieszkania wkładam rękę do skrzynki z licznikiem i jeśli nie ma tam listu, wycieram rękę z kurzu, bo jest go tam strasznie dużo.

W domu jestem około szesnastej. Zaraz za drzwiami zdejmuję buty, nieco dalej resztę, włączam radio i idę się umyć. Potem myję owoce. Czytam list. Jem owoce i odpoczywam, nierzadko śpiąc do piątej. Następnie ubieram się i kreślę do ósmej. Potem kolacja, zasłonięcie okna, przeniesienie radia koło tapczanu, włączenie lampki nad tapczanem i to, co w tej chwili robię, czyli piszę do Ciebie. Po skończeniu listu nakręcam zegar, układam program audycji na następny dzień i jeżeli nie ma jeszcze dziesiątej, to kreślę do wpół do jedenastej. Potem szybko do łóżka, gaszę światło, ale radio gra do jedenastej. Dłużej nie wytrzymuję i śpię.

I na prawdę dosłownie dzień w dzień to samo (z wyjątkiem niedzieli)...

– moja Kochana –

Bardzo rozchmurzył mię Twój dzisiejszy list. Niestety, Fredry – jak radziłaś – nie dostałem, bo było już po piątej, a że nie było światła w bibliotece i już było ciemno w magazynie, więc

mogłem wybrać sobie tylko coś z leżących na ladzie. Wziąłem André Maurois „Klimaty”. Książka poważna, więc i ja wróciłem do powagi...

Kochana moja. Jest noc. Nie mogę spać. Mam tyle do wyznania Ci. Jakże daleki jestem w tej chwili od mojego szczęścia. Jestem taki smutny. Przeraziłem się, gdy obliczyłem dni. Przecież to jest dziewiąty. Zobaczymy się w połowie sierpnia. Dziewięć do trzydziestu sześciu. Jeden do czterech. To nie kilka dni, o których zapewniasz. To jeszcze trzykrotnie więcej tej tęsknoty, oszukiwania się pocieszeniami. Wybacz, ale tak strasznie chciałbym pisać taki pogodny list do mojej żony.

Dlaczego przeminęły nasze gałązki w Rajczy? Gdzie jest ten piękny marzec, gdy czekałem tylko do szóstej wieczór aż skończysz ćwiczenia z chemii? Dlaczego już skończyła się sesja i Twoje kolokwia? Wolałbym po trzy godziny czekać pod drzwiami, ale byłbym pewien, że wyjdiesz.

Dziewięć do trzydziestu sześciu. Nie mam pojęcia, co to za czas, który przyjdzie. Poznałem doskonale gorycz tych dziewięciu dni.

Nie, nie wolno mi pozwolić, abym dał zapanować nerwom. Miałabyś mnie na głowie jeszcze tej niedzieli. Przecież rok temu już niemal godziny dzieliły mnie od ujrzenia Ciebie.

Po przeczytaniu Twojego listu dzisiaj, gdy wyszedłem do biblioteki, zobaczyłem na chodniku Ciebie idącą do mnie. Miałaś na sobie tę sukienkę w białe czerwone paski, białą torebkę w ręce i zbliżałaś się z daleka do mnie, a serce moje biło coraz szybciej i szybciej, przemknęła radość nieograniczona, zrobiło się gorąco. Tak pragnąłem, abys nie zbliżała się już bardziej. Oczy moje przestały widzieć, musiałem oprzeć się o płot. Tak strasznie żałowałem, ale mimo żalu pragnąłem jeszcze przez chwilę tak bardzo wierzyć, że to Ty idziesz. Jeszcze tylko raz, taki króciuteńki, najmniejszy.

Dopiero dziewiąty. Dwa lata temu już wracałem do mojej kochanej. Tak mocno wiosłowałem. Wyjmowałem Twoje zdjęcie i mówiłem: „już jadę”. Nie mam odwagi tego teraz uczynić.

Była burza, teraz trochę przycichła, ale jeszcze nie można włączyć radia. Wiesz – lipy zaczynają tak pachnieć.

Dlaczego ja kocham Cię tą samą miłością, jaką kochałem Cię przed piętnastu laty? Wiedziałem, że gdzieś jesteś, wiedziałem, że należy wszystkiego się wyrzec, by zasłużyć sobie na Twoją miłość.

Wiesz kochana, jeszcze nigdy nikomu nie przyznawałem się do tego. W trzydziestym dziewiątym roku miałem zapalenie płuc, wyleczone, zapomniane przez wszystkich. Pozostały kłucia w piersiach. Dopiero w ubiegłym roku lekarz wyjaśnił mi, że po tym zapaleniu zostały tak zwane zrosty w płucach i one powodują kłucie. Gdy pierwszy raz zwróciłem na nie uwagę, byłem w piątej klasie. Nosilem już krzyż harcerski. Nie wiedziałem, co to jest, ale czułem, że nie wolno przyznać się do tego. Wyobraziłem sobie, że w ten właśnie sposób – moja kochana – która gdzieś na świecie znajduje się – daje mi znać, że o mnie myśli. Jeżeli kłuło w lewym boku po stronie serca – myśli Twoje były dobre – każdorazowo dziękowałem Ci za nie. Jeżeli kłuło w prawym boku – oznaczało, że wątpisz w moją miłość. Chodziłem wówczas smutny i przekonywałem Cię, że się mylisz. Zawsze dawałaś się przekonać.

W Zawoi stałem w kolejce, gdy spojrzałaś w moje oczy ścigające Cię od dłuższej chwili. Tak bardzo ukłuło w sercu. Zrozumiałem, że to na Ciebie czekałem. Myśli te przetrwały tyle lat i chociaż już teraz przekonano mię z punktu widzenia medycyny, to nadal wierzę. Ostatni raz ukłuło przed kilku dniami. Tak bardzo. Właśnie tak bardzo kocham Ciebie.

W niedzielę rano. ...napisałaś bardzo szczery list – tak szczery, że aż silnie protestowałem. Trudno było mi się z nim pogodzić, mimo że był pozornie tak korzystny dla mnie. Wiesz – chciałem powiedzieć Ci, jaką Cię kocham. Kocham Cię taką, jaką zobaczyłem po naszym pierwszym stosunku, bezpośrednio po nim. Odgarnąłem Twoją grzywę włosów, ulizałem je, wygładziłem i zobaczyłem zupełnie inną kobietę. Nie wiem, czy ona czuła się równie moja, nie myślałem o tym, niemal nie zależało mi na tym, chciałem tylko jak najdokładniej zapamiętać ją, jej wyraz rysów. Kocham Cię. Nie dziw się, że tak bardzo pragnę naszych stosunków, szukam w nich tamtej Kobiety. Czy znajduje? Kochana. Byle jej tylko nigdy nie utracić.

Rozumiem, że jestem pod wrażeniem „Klimatów” Maurois. Gdybyś czytała tę książkę w tej chwili, zrozumiałabyś mnie...

Kochana – jeszcze nigdy od Twojego wyjazdu nie byłem tak wesół jak dziś. Co za dziwna niedziela? Jest już wieczór. Opiszę Ci, co robiłem dzisiaj. Miałem dzień zacząć od kreślenia, ale zlitowałem się i sprzątnąłem mieszkanie. Zajęło mi to do dwunastej. Potem dopiero zrobiłem śniadanie – trochę chude, bo kielbasa wyglądała podejrzanie i wolałem nie ruszać.

Następnie rozłożyłem na dywanie wszystkie, jakie tylko miałem Twoje zdjęcia i zacząłem kreślić, raz po raz zerkając to na jedno, to na drugie. Przeprowadziłem eliminacje i okazało się, że najbardziej podobało mi się to Twoje ostatnie zdjęcie, co zrobiłaś do dowodu osobistego, tylko powiększone kiedyś.

Zdjęcia leżą nadal i prawdopodobnie nie wcześniej pozbię je. Skończyłem jeden domek – wyszedł nieźle. Potem rozwiązałem drugi – zapowiada się jeszcze lepiej. Wiesz – to mię bardzo pochłania, złości – gdy nie wychodzi, cieszy – gdy są wyniki. Mam konika. Maluję domki w kolorach temperami. Wcale nie trzeba tak rozwiązywać projektów, ale daje mi to tyle radości. Za każdym razem mówię sobie, że to będzie domek dla mojej ukochanej i staram się jak tylko mogę.

Tyle było dzisiaj wesołych audycji, tyle ślicznych melodii, gwizdałem, śmiałem się, tańczyłem wśród zdjęć. Aż się sobie dziwiłem...



Rozdział 20

biała wieża na c1
czarny skoczek na e6

Kochana...

...dzisiaj wraz z listem od Ciebie dostałem Twoją metrykę. Mam nieodpartą chęć przesłać Ci ją całą, ponieważ strasznie mi się podoba. Więc wygląda ona tak:

Rzeczpospolita Polska
Województwo łódzkie
Powiat Włoszczowa
Parafia Żeliszawice

Dla ślubu kościelnego

Odpis aktu urodzenia i chrztu

Kopii Genowefy Skórwinskiej

x książ metrycznych parafii Żeliszawice

Żeliszawice

67 Dniało to się we wsi Żeliszawice dnia trzeciego sierpnia

tyśiac dwieście czterdziestego pierwszego roku o godzinie szesnastej.

Stawił się Jan Paulin Skórwinski Kierownik agencji

Pocztowej x Żeliszawie lat dwadzieścia osiem liczący w

obecności Stefana Wiaderka i Szymona Piuty

obydwoich pełnoletnich rolników x Żeliszawie

i okazał Nam dziecię płci żeńskiej urodzone w Żeliszawicach

dnia osiemnastego lipca bieżącego roku o godzinie siódmej x jego matronki

Tekli Teodory x Dudow lat dwadzieścia cztery liczący.

Dzieciutku temu na chrzcie świętym w dniu dzisiejszym

odbyłym nadane zostały imiona Kopia – Genowefa a rodzicami

chrzestnymi byli Stanisław Skórwinski i Leokadia Duda.

Akt ten starującemu i świadkom przeczytany i podpisany został. Urzędnik stanu cywilnego #

ks. St. Dominiański # J. Skórwinski

Odpis zgodny x oryginałem.

Na marginesie aktu adnotacji o zawarciu małżeństwa nie ma.

SIGILLUM ECCL.PAR.JM.C.B.V. MARIAE DE ŻELISŁAWICE

[W powyższym tekście wstawiłem dane osobowe mojej babci].

Kochana...

...przed kilku dniami Leszek (mój szef) mi strasznie nawymyślał, gdy mu powiedziałem, że mam zamiar ożenić się. Chodziło mu o to, że nie mam kompletnie nic do urządzenia mieszkania, że brak mi jeszcze dużo z osobistych rzeczy, które winienem mieć przed ślubem, że wprowadzę Cię do niczego – do czterech pustych ścian wynajmowanego mieszkania. Mówił, że życie składa się z tych małych rzeczy i że one potrafią zniszczyć nawet największą miłość.

W odpowiedzi na to następnego dnia pojechałem do Warszawy i załatwiłem formalności. Wiem, że miał dużo racji i dlatego sprawił mi tym wielką przykrość. On też zachowywał się tak, jakby miał zamiar się obrazić. Czy pozostał mi ktoś jeszcze, kto w tej chwili nie czułby się urażony, dotknięty, względnie obrażony na mnie?

Chciałbym z kimś chociaż porozmawiać, a zostałem kompletnie sam. Chwilami dziwię się, że jeszcze nie oszalałem z takich rozkoszy. W sobotę widziałem dużo łez. Biernie musiałem na to patrzeć. Byłem na komisji wywłaszczającej ludzi z ziemi. Wprawdzie pod budowę szkoły, ale to nie zmniejszało postaci rzeczy. Była to dla mnie lekcja beznadziejności wszelkich poczynań. Wszyscy mieli rację, lecz jakże ironicznie brzmiała sprzeczność tych racji. Poczuję się starszym o dobre dziesięć lat. Straciłem dużo entuzjazmu, którego i tak mi nie zbywało. Kilkunastu właścicieli wąskich pasemek ziemi różnymi sposobami próbowało bronić bezskutecznie często swoich jedynek podstaw do jakiejś takiej roślinności. Byli to w większości starszaki, którzy ciężką pracą całego życia tym skrawkiem ziemi chcieli zapewnić sobie starość.

Widziałem kobiety z męskimi, zniszczonymi rękami – jakże wstydzili się swoich rąk. Oferowano im na zasadzie dobrowolności śmiesznie niskie sumy pieniędzy i jednocześnie straszono, że gdy dobrowolnie nie oddadzą ziemi, to w postępowaniu przymusowym dostaną jeszcze mniej pieniędzy. Wielu wolało przymus. Chociaż w ten sposób protestowali. W tym spokojnym, bezskutecznym proteście jakże byli dostojni. Nie umiałbym zachować takiego spokoju. Wiedziałem, że chodzi przecież o szkołę, o nowoczesną szkołę, która tak ładnie była wkomponowana w planie rozwoju miasta... Dlaczego zawsze realizacja słusznych poczynań musi nieść tyle zła i przykrości?

...Widzisz, nie gniewaj się, ale trochę się zalałem. Szkoda, że wczoraj nie zdążyłem na pociąg, a tak niewiele brakowało. Szkoda, że jesteś tak daleko. Taką mam ochotę pisać teraz do Ciebie.

Co Ci po takim chłopaku? Prosiłem, abyś to zrobiła. Wszystko by się tak uprościło. Pamiętaj, że nigdy, a i teraz również, nie prosiłem Cię, abyś mię pocieszała. Pisać muszę, a czy to nie wszystko jedno, co się z tym stanie, co napiszę? Zrób z tym listem, co uważasz, ale nie odpowiadaj. Jeżeli wolałabyś nie czytać tego listu, to nie dojdzie on do Ciebie – zginie po drodze. Wierz w to. Ale pisać muszę.

Czuję się takim starcem. Bardzo pragnę znaleźć się na parę dni z dala od tego wszystkiego i może rzuciłbym w tej chwili wszystko i poszedł przed siebie, ale Twoje zdjęcie zatrzymuje mnie tutaj i tylko dlatego jutro wezmę ten list do skrzynki idąc do pracy. Nie gniewaj się, że jestem pijany. Tak jest źle.

Mam zahamowania, gdyż nie chciałem, abyś źle mnie zrozumiała. Nie chcę niczego. Chcę tylko pisać. Takiego też musisz mnie poznać.

Pytam się – dlaczego Ty mnie nie rzucisz? Co? Ten list znów nie pasuje do młodej dziewczyny na miesiąc przed ślubem. Kiedyś powiedziałaś (dokładnie pamiętam tę chwilę) – „naucz mię prawdziwej miłości”. – To mnie by trzeba uczyć i to długo. Cóż Ty masz za szczęście z takiej wierności? No pomyśl...

Strasznie nienawidzę niedziel...

...A potem przyszedł ten dzień i padło podwójne – tak.

A potem powtórzone – Biorę sobie Ciebie za małżonkę i ślubuję Ci wierność, miłość oraz to, że Cię nie opuszczę aż do śmierci. Tak mi dopomóż Bóg.

I jeszcze ksiądz sentencjonalnie przypieczętował tymi słowami: – Tego, co Bóg złączył, niech się nikt nie waży rozłączyć.



Trzeba, nawet po latach, opisać ten ślub.

Musieliśmy uzyskać pisemną zgodę ojca panny młodej na ślub. Wymagał tego ślub kościelny. Rodzice panny młodej, choć niewierzący, zażądali ślubu kościelnego ze względu na ciotki. Panna młoda miała skończone dziewiętnaście lat, ja byłem starszy aż o osiem lat, czyli miałem dwadzieścia siedem lat. Najpierw był ślub cywilny w Urzędzie Stanu Cywilnego na rogu Alej Jerozolimskich i Nowego Świata, był to chyba czwartek. Świadkiem był mój młodszy brat i nie pamiętam, kto jeszcze, chyba koleżanka żony. Był jeden mój kolega, rodziców ani jej, ani moich nie było. Piętnastego sierpnia (w dniu moich imienin) był ślub kościelny. Było to święto kościelne, dzień wolny od pracy. Rocznicę ślubu mieliśmy obchodzić zawsze w dzień świąteczny. W pracy dostałem dwa dni wolnego, nie mogłem uzyskać żadnego urlopu, bo ten przysługiwał mi dopiero po roku pracy, a ja pracowałem zaledwie parę miesięcy. Przyjechałem do Warszawy i zamieszkałem na te dni w mieszkaniu rodziców przyszłej żony. Kilka dni wcześniej dałem przyszłej żonie dwa tysiące złotych na znak, że teraz ona będzie gospodarowała naszymi pieniędzmi. Były to niemal całe moje oszczędności. Potem żaliła się, że matka ją przekonała, że pan młody zawsze kupuje suknię dla panny młodej i te pieniądze należy niezwłocznie przeznaczyć na zakup materiału na suknię ślubną oraz na wesele. Nie miałem pojęcia o tych zwyczajach. Kupiliśmy w „Jubilerze” jedną obrączkę dla panny młodej, a ja miałem mieć obrączkę po mojej babci. Matka panny młodej zaprotestowała, bo muszą być dwie jednakowe obrączki. Poszliśmy znów do „Jubilera”, a tam musiałem sprzedać na złom obrączkę po babci i jeszcze dopłacić na swoją obrączkę. W przeddzień ślubu kościelnego moja ukochana bez słowa komentarza pokazała mi list od jej wielbiciela, a kolegi z roku, napisany czerwonym atramentem, w którym błagał ją, aby nie wychodziła za męża. Rodzice panny młodej zażądali ograniczenia ilości gości na przyjęciu weselnym. Z tego powodu wszyscy moi koledzy się na mnie obrazili. Mogłem zaprosić tylko swoich rodziców i dwoje kolegów, był jeszcze mój starszy brat. Ze strony panny młodej poza rodzicami, była babcia, były trzy ciotki, dwóch wujków i koleżanka panny młodej. Suknię uszyto w domu, ale z całą premedytacją nie mogła być to suknia „do ziemi”, lecz krótka, aby wszyscy w kościele wiedzieli, że nie jest już dziewczicą. W dniu ślubu kościelnego było wiele zamieszania, zwłaszcza w kuchni, gdzie przygotowywano przyjęcie weselne. Na to przyjęcie kupiłem kilka butelek wina w pobliskim sklepie. Kościół Zbawiciela był odległy o dwieście metrów od mieszkania, ale trzeba było jechać samochodem do ślubu. Miał to zapewnić wujek panny młodej, który miał samochód osobowy, było to podówczas duże osiągnięcie. Wujek skrewił i przyjechała sama ciotka bez samochodu. W tej sytuacji wyszedłem z domu i poszedłem szukać taksówki, znalazłem na Placu Unii Lubelskiej. Kazałem czekać na odwiezienie po ślubie. Ślub był podczas mszy, kościół był pełen. Mszę odprawiał ksiądz staruszek, który co się odwrócił do wiernych, to spojrzawszy na nas klęczących na stopniach ołtarza powtarzał: – Dziecinnada. Po wyjściu z kościoła były życzenia ciotek, wujków. Znów było dużo zamieszania, bo moi rodzice przyjechali prosto do kościoła i zamierzali z kościoła iść od razu do pociągu – nawet nie przywitawszy się z nami. Odszukałem ich klęczących w kościele i uprosiłem na przyjęcie. Po ślubie zjawił się ten wujek z samochodem, więc wsiedliśmy w samochód i pojechaliśmy w okolice wyścigów konnych na Służewiec, gdzie wśród snopków kolega zrobił nam kilka zdjęć ślubnych. Jak na tak szumne przygotowania to przyjęcie było takie sobie. Goście nie chcieli pić wina. Na szczęście kolega przyniósł w prezencie pół litra czystej. Dostaliśmy jeszcze dwa kryształowe talerzyki od ciotek i wazonik od tej koleżanki. Potem było gorzko, które ja wykonałem z całym zapamiętaniem. Potem jeszcze matka panny młodej mi szepnęła, abym powstrzymał swego ojca przed kolejnymi kieliszkami, bo „go jeszcze krew zaleje!”. Zrozumiałem, że tego mu z całego serca życzy. Potem najmłodsza z ciotek zaproponowała mi bruderszaft, co przyjąłem z całą powagą. Wcześniej mnie moja ukochana uprzedziła, że była dyskusja, że jeżeli ja stary mogę się żenić z tak młodą dziewczyną, to ona starsza ode mnie zaledwie o piętnaście lat zaproponuje mi bruderszaft, żebym czuł się jeszcze starszy. Potem pojechali do domu moi rodzice. Potem wieczorem bez żadnego bagażu, bo cóż mieliśmy wieźć, wsiedliśmy do pociągu, ledwo nam na bilety starczyło i po godzinie z minutami wniosłem swoją bardzo lekką żonę przez próg do „naszego” dwunastometrowego mieszkania. Rano poszedłem do pracy. Po powrocie z Urzędu zabierałem się za kreślenie domków, bo potrzebowaliśmy dużo rzeczy. O ile w Polskiej Akademii Nauk zarabiałem dziewięćset złotych miesięcznie, to już w Urzędzie dostawałem dwa tysiące czterysta złotych. Było to jednak nie za dużo. Żona najpierw siedziała w domu, gdy byłem w pracy, a wie-

czorem nie mogłem się nią zajmować, bo musiałem kreślić domki. Dosłownie razem byliśmy trochę w nocy. Taki był nasz miesiąc miodowy.

...A potem już były tylko takie listy umieszczane w różnych miejscach pokoju:

Wiesz, że ja Ciebie Kocham? Jak wiesz, to przyjdź do kuchni.

lub

Ona Ciebie bardzo Kocha, Ty się nie złości, bo ona się boi.

*



Rozdział 21

biały goniec na e3
czarna wieża z a na c8

Rok dziekańskiego urlopu mojej żonie minął i wróciła na studia do Warszawy. Często przyjeżdżałem na tych parę godzin do niej. Potem los się uśmiechnął. W mieszkaniu teściów na MDMie była dokwaterowane małżeństwo. Dla obydwu rodzin było to utrapieniem. W jakiś czas po naszym ślubie to małżeństwo znalazło sobie samodzielne mieszkanie i się wyniosło. Teraz jednak zanosilo się, urząd może przysłać następnych mieszkańców. Teściowie wykazali, że mieszka tu teraz zamężna córka i nie dokwaterowano nikogo. Mieliśmy mieszkanie w Warszawie! – Jeden pokój u teściów. Wypowiedziałem pracę w urzędzie w Siedlcach, dałem kolegę na moje miejsce.

Choć ślub otworzył mi bramy Warszawy – miasta moich bibliotek, teatrów... To należało jednak najpierw poszukać jakiejś pracy. Parę tygodni przed ślubem zacząłem szukać. Obszedłem wszystkie znane mi biura projektów. Nigdzie nie potrzebowali architekta, a raczej radzili, abym szukał pracy na budowie. Rozmawiałem z kierownikiem budowy supermarketu na Placu Unii Lubelskiej. Był trochę zdziwiony, ale odesłał do dyrekcji na Białą. Tam kazali przychodzić wiele razy, robili pewne nadzieje, nawet podawali adresy innych przedsiębiorstw. Wszystko to skończyło się niepowodzeniem. Już zaczynałem głęboko żałować, że zlikwidowano nakazy pracy, ale jeszcze zacząłem szukać pracy w miejscowościach okalających Warszawę. Ktoś nawet zawile mi wytłumaczył, że w Warszawie nie ma wolnych miejsc pracy, że jeszcze gorzej jest tuż pod Warszawą, to jest w obszarze, gdzie już wolno się zameldować, i że trzeba szukać pracy na większych odległościach. Podał nawet szczegóły. Zakaz meldowania nie obowiązywał w kierunku na Skierniewice począwszy od Ursusa, w kierunku na Wołomin począwszy od Ząbków i Zielonki, w kierunku na Mińsk Mazowiecki począwszy od Wesolej i w kierunku na Otwock począwszy od Michalina.

Szukałem pracy w Mazowieckich Zakładach Rafineryjnych w Płocku, w Skierniewickiej Wytwórni Konstrukcji Stalowych „Mostostal” – ale to już bez przekonania, bo moja dotychczasowa praca była niewiele dalej.

Po wielu dniach bezowocnych poszukiwań pracy zdeterminowany udałem się do Stołecznego Wydziału Zatrudnienia. Tu wywołałem największe zdziwienie i oświadczone mi wręcz, że po wojnie jeszcze żaden architekt nie szukał pracy przez Wydział Zatrudnienia. Nie chcieli nawet przyjąć mojego zgłoszenia.

Moje pomysły całkowicie się wyczerpały i wlokłem się z siedziby Wydziału Zatrudnienia w kierunku domu przez Krakowskie Przedmieście, Nowy Świat. Moje absolutne otępienie w miarę tego spaceru najwidoczniej zmalało, bo gdy znalazłem się przed gmachem Komitetu Centralnego, jeszcze nie w pełni świadom swej bezczelności, wszedłem tam. Czujni wartownicy wychwycili mnie jednak i wypyтали, a ja wprawdzie bezładnie, ale dostatecznie wyłuszczyłem im swój problem. Wskazali na kabinę telefoniczną, gdzie po dłuższej chwili odezwał się jakiś mężczyzna, przerwał moje wywody i podał mi jakiś adres – najwyraźniej został wprowadzony w mój problem przez samych wartowników i zanim zaczął rozmawiać ze mną, wykonał gdzieś tam zbawienny telefon.

Na miejscu czekał na mnie sam Naczelnny Dyrektor Centralnego Zarządu Budownictwa „Warszawa” Ryszard Gerlachowski. Był onieśmiałająco uprzejmy. Ja tłumaczyłem, że chciałbym gdzieś na zwykłą budowę, on przekonywał, że właśnie potrzebuje kogoś takiego w Centralnym Zarządzie – zresztą z takim poleceniem...

Potem odbyłem równie długą przyjacielską rozmowę z jego zastępcą dyrektorem Jerzym Pawlickim, potem z moim nowym szefem inżynierem Janem Maciejewskim i okazało się, że już pracuję. To znaczy nie dosłownie, bo Maciejewski chytrze zaproponował, abym zaczął pracę od siódmego stycznia. Zgodziłem się, bo nie wiedziałem, że w ten sposób Maciejewski pozbawił mnie urlopu w nadchodzącym roku. Szczęśliwy wróciłem do domu. Dano mi pensję dwa tysiące osiemset złotych i zostałem starszym inżynierem kontroli produkcji w Wydziale Produkcji Podstawowej.

W nowej pracy bardzo starałem się, aż któregoś dnia poprosił mnie na kawę jeden z współpracowników i zwyczajnie zapytał, czy ja nigdy już nie zmądrzeję – przecież tak pracować to szaleństwo, nikt się na tym nie pozna, raczej jak on winienem rozejrzeć się za jakimiś pracami zleconymi. Teraz ja zrobiłem mu wykład o tym, co sędzę o uczciwej pracy i jak bardzo się myli, jak bardzo bez przyszłości jest taka postawa, jaką mi on proponuje.

Ten już więcej nie przekonywał, tylko zaproponował zakład – przez pół roku każdy z nas będzie pracował według zaprezentowanych tu swoich zasad, a potem porozmawiamy.

Przegrałem. On w tym czasie kupił samochód i zyskał szefów, boć samochód to świadectwo statusu, a i podwiózł czasami.

Na moje nieszczęście rozstrzygnięcie zakładu poprzedziła jakaś zaaranżowana uroczystość z wódką w pracy, która zrećnie została wykorzystana dla wyjaśnienia trapiącej kogoś niewiadomej. We właściwym momencie zapytano mnie, skąd znam Towarzysza z KC, który mnie polecił, bo oni po prostu sądzą, że jestem jego krewnym.

O, naiwności ludzka! Uczciwie wyśpiewałem to, jak zwyczajnie wszedłem wówczas do KC i że tego Towarzysza nawet na oczy nie widziałem.

Moja ranga leciała w dół przez parę dni, a już na tej uroczystości po wyrazie twarzy szefa wyczytałem, że jestem szalbierzem, który tak dalece nieuczciwą drogą zakradł się w ich łaski.

Zresztą moja praca była szczególna. Krótko można ją określić tak – ktoś do wykonywania swojego zadania musi jednocześnie i często widzieć sprawy dziejące się w znacznych odległościach od siebie; sam tego nigdy nie zdoła dokonać, ale zatrudniając takich jak ja uczyni ich swoimi oczami.

Wsiadałem więc rano w tramwaj, bądź autobus, jechałem daleko, potem długo szedłem na wyznaczoną budowę, potem jeszcze po wielu stopniach budowanych budynków mieszkalnych w górę i w dół, w górę i w dół. Wydawało mi się wówczas, że nikt nie musi pokonać tylu stopni, codziennie, w największy upał, deszcz, czy śnieżycę.



Na budowie osiedla Bielany III, 1963 rok.

Ale też chyba nikt poza mną nie był bardziej przekonany, że właśnie tak trzeba. Za to pracy rozpoczynał się mój zawód – moje życie. Wiele godzin w bibliotekach, wiele godzin w domu nad notatkami.

Wówczas to zanotowałem:

Architektura, aczkolwiek stanowi spójną całość, posiada szereg czynników wyraźnie odróżniających się od siebie. Nie wymieniając wszystkich, będą to takie zagadnienia jak:

- znaczenie kulturowe architektury – rozpatrywane na tle sztuk plastycznych,
- wartości użytkowe architektury – przejawiające się głównie w sposobie stwarzania dobrych warunków do życia człowieka,
- wreszcie szereg zagadnień technicznych i ekonomicznych, gdzie myśl konstrukcyjna odgrywa bardzo istotną rolę.

Proponuję zająć się tylko jednym z problemów architektury, to jest konstrukcją, ale nieco inaczej niż to się zwykło robić.

Przejdźmy przez dzieje architektury, aby wyławiając zasadniczy sens kolejnych osiągnięć technicznej kultury budowania, spróbować wytyczyć następny krok, który dopiero będzie musiał być zrobiony.

Konstrukcja budowlana ma i miała zawsze jako zasadnicze cele:

- przekrywanie przestrzeni dla funkcji przebywania i
- wykonywanie pomostów dla funkcji przemieszczania.

Sama zaś architektura przy takim podejściu do tematu stanowi — SPOSÓB podziału przestrzeni.



Jaskinia Mamutowa w Wyżynie Olkuskiej – Polska

Pierwotny człowiek wykorzystywał dla swych potrzeb życiowych istniejące układy naturalne – to jest konstrukcje stworzone przez naturę.

Takie naturalne konstrukcje miały ograniczoną przydatność i zmusiły człowieka do działania. Ustawił kiedyś – po raz pierwszy – oderwany przedmiot naturalny i stworzył nową funkcję. Pień drzewa lub blok skalny oparty o uskoki terenu lub położony nad zagłębieniem terenu podzielił przestrzeń – na zewnętrzną – po której można było wygodniej się poruszać oraz – na wewnętrzną – w której można było bezpieczniej przebywać.



Stonehenge (epoka neolitu i brązu)



Burren National Park – Irlandia

Był to niewątpliwie pierwszy krok na bogatej drodze rozwoju myśli konstrukcyjnej budowania, wystarczył ówczesnemu człowiekowi na całe pokolenia i przez wiele tysięcy lat rozwiązanie to było tylko doskonałe.

Cała architektura Egiptu faraonów, cała architektura starożytnej Grecji i znaczna część architektury Rzymu cesarzy nie wniosły nic nowego do tej zasadniczej myśli konstrukcyjnej. Zawsze było to układanie podłużnych elementów naturalnych – słupów i belek na sobie.



Egipt, Karnak (okres Średniego Państwa, z czasów XVIII i XIX dynastii)

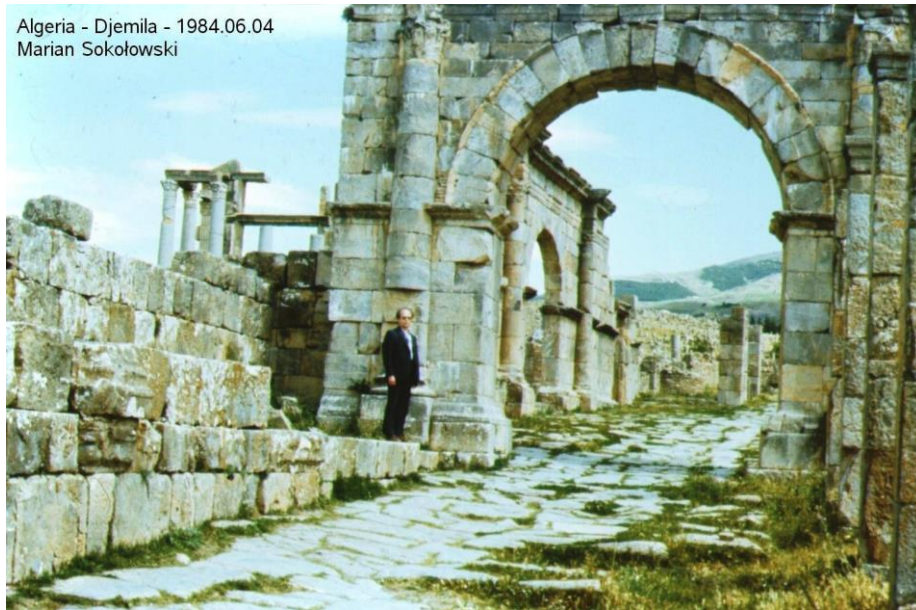


Grecja, Ateny, Partenon (wybudowany w okresie od 444 p.n.e. do 432 p.n.e.)

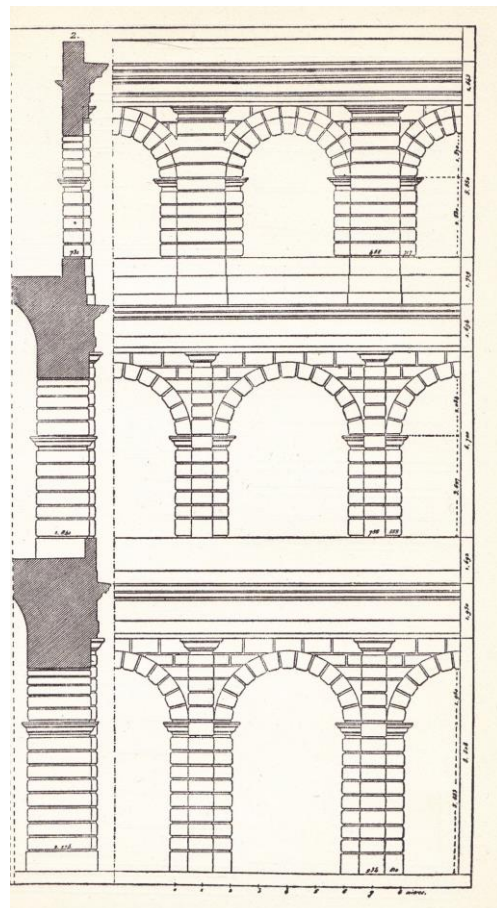
W którymś momencie dziejów człowiek podpatrzył następną konstrukcyjną właściwość przedmiotów natury. Spostrzegł on, że pewna ilość luźnych elementów może ze sobą współpracować na znacznie innych zasadach – elementy nie muszą być układane tylko pionowo i poziomo, aby stanowiły prawidłowy, to jest statyczny, niewalący się układ konstrukcyjny. Myśl ta wywodziła się z pierwotnej formy dotychczas niedocenianej – skośnie opartego elementu naturalnego na uskoku terenowym i później jedynie przekształconej w dwa skośnie o siebie oparte elementy.

Genialność odkrycia polegała na spostrzeżeniu, że jeżeli takie dwa oparte o siebie elementy rozchylimy w miejscu, w którym się one stykają i włożymy tam między nie trzeci element, to cała konstrukcja będzie nadal trwała.

Odkrycie możliwości przekrycia przestrzeni elementami o mniejszych wymiarach od rozpiętości konstrukcji (odległości między punktami podparcia), to jest odkrycie konstrukcji łuku – było kolejnym krokiem. Pamiętać należy, że dotychczasowa belka przekrywająca przestrzeń musiała być dłuższa, od odległości zawartej między punktami jej podparcia.



Algeria, Djemila, łuki w wykonaniu Rzymian (znac skutki trzęsienia ziemi).



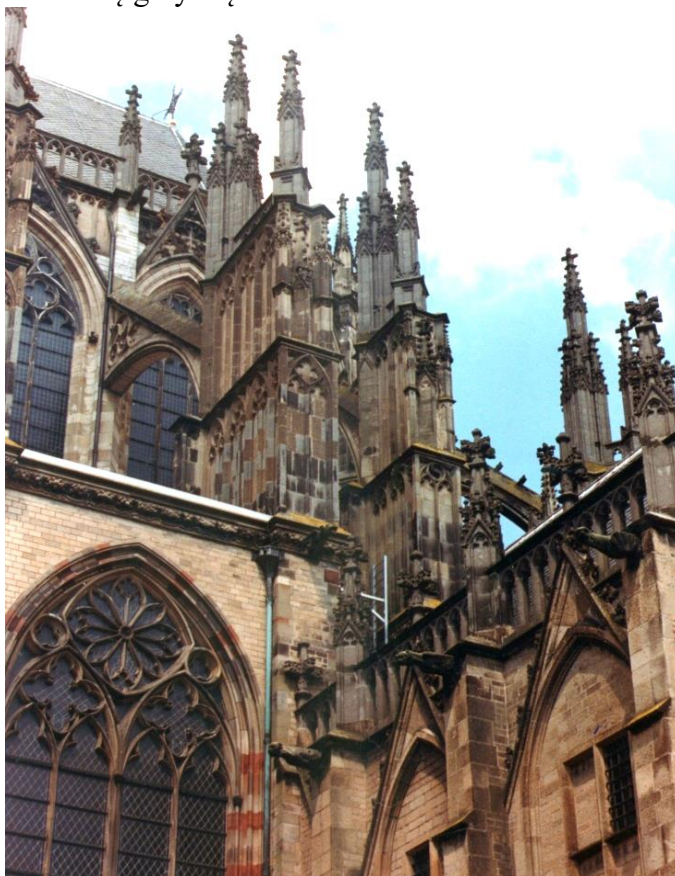
Amfiteatr w Weronie zbudowany przez Rzymian.

I znów to osiągnięcie – konstrukcja łuku – wystarczyło człowiekowi na bardzo długo – było przezeń znów tylko doskonalone. Działo się tak przez okres architektury późno-rzymskiej i przez całą architekturę romańską. Ta ostatnia zresztą zdołała jedynie przenieść przez mrok ówczesnych dziejów dotychczasowe odkrycia konstrukcyjne – belki, słupa i łuku – nic do nich nie wnosząc, a nawet, jak o tym świadczą przykłady, były one znacznie mniej umiejętnie stosowane.



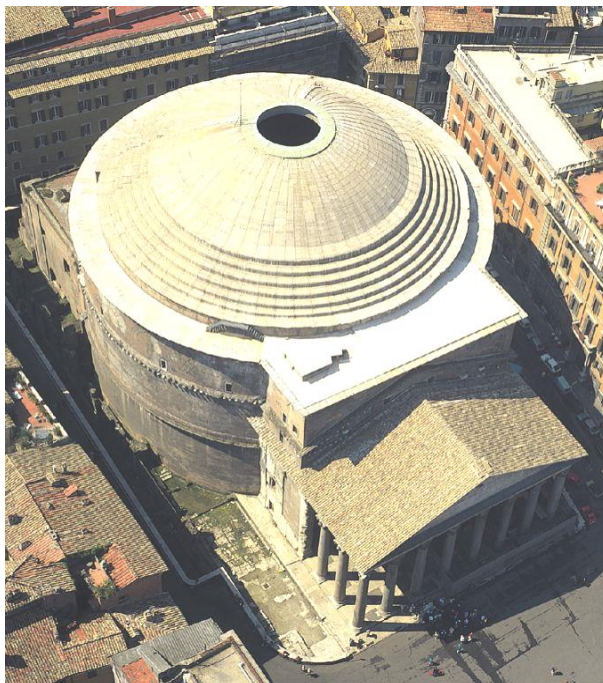
Francja, Asyż, bazylika i klasztor świętego Franciszka (XIII wiek)

Na skutek tendencji do tworzenia coraz lżejszych konstrukcji, poprzez stosowanie elementów o coraz mniejszych wymiarach zaczęły się rodzić nowe trudności. O ile realizując konstrukcje dostatecznie grube i tym samym mocne można było przypuszczać, że istnieją tylko pionowe oddziaływania elementów na siebie, to przy konstrukcjach składających się ze sklepień opartych na smukłych podporach dały o sobie znać parcia odchylone od pionu. Zapewne zdarzały się zawalenia konstrukcji, które zmusiły człowieka do dokonania następnego kroku w rozwoju myśli konstrukcyjnej. Powstała przypora – forma elementu dostatecznie przeciwdziałającego tym siłom skośnym. Rozwiązanie to w miarę czasu zmieniało się, przyjmując kolejno coraz doskonalszą formę – najpierw wystarczająco szerokich podpór skrajnych, potem skarpy i wreszcie łuku oporowego. Te zasady konstrukcyjne królowały przez znaczną część dziejów romańskiej architektury i przez całą architekturę gotycką.



Holandia, Utrecht, kościół De Dom (1254 – 1517)

Nieco później niż siły odchylone od pionu zwróciły na siebie uwagę tak zwane siły ścinające. Każdy łuk, sklepienie, czy kopuła – o ile były łatwe do wykonania i bardzo trwałe w swej części dolnej zbliżonej do pionu, o tyle w swej części górnej zbliżonej do poziomu były bardzo trudne do wykonania i znacznie mniej trwałe. Stosunkowo płasko zestawiane małe elementy nie miały powodu do wystarczającego wzajemnego współpracowania i przy pierwszej okazji spowodowanej przeciążeniem następowało pęknięcie – ścięcie konstrukcji – wzdłuż jej najsłabszej linii, to jest styku elementów i całe fragmenty konstrukcji spadały w dół. Górne części łuków, sklepień i kopuł okazywały się zastraszająco podatne na zniszczenie. Tylko nielicznym mistrzom udawało się trwale zasklepić górną część kopuły, toteż architektura przyjęła zasadę zostawiania otworu w szczycie kopuły. Rozwiązanie to było nawet bardziej efektowne, gdyż umożliwiała dostawanie się światła słonecznego do wnętrza. Najlepszym tego przykładem jest rzymski Panteon.



Rzym, Panteon (ufundowany przez cesarza Hadriana w 125 r.n.e.)



Problem sił ścinających występujących szczególnie wyraźnie w górnej części konstrukcji łukowych nadal pozostawał nierozwiązany. Wielu jednak musiało wpatrywać się w czasie budowania w te trwałe pierwsze odcinki łuku i szukać odpowiedzi na to, jak pokonać tę najtrudniejszą górną część łuku. Aż wreszcie ktoś genialnie wypatrzył, że wcale nie trzeba wykonywać tej górnej części łuku, lecz należy dla zwarcia – zamknięcia łuku – te dwie mocne, zbliżone do pionu części łuku przysunąć do siebie, aż się oprą wzajemnie o siebie.

Tak zapewne powstał dobrze znany ostry łuk – stanowiący, poza przyporą, drugą zasadę gotyku. Teraz już wykonywanie dużych otworów w ścianach, a zwłaszcza śmiałych sklepień doszło do perfekcji, tym bardziej że gdzieś w tym samym czasie wymyślono zasadę tak zwanego zwornika w łuku – który wykonany z dużego bloku kamiennego, wstawianego na szczycie łuku, czy sklepienia, swym dużym ciężarem klinował konstrukcję, czyniąc ją bardzo mocną i trwałą. Genialność i finezja konstrukcji gotyckiej była tak wielka, że starczyło jej na kilka wieków i umożliwiła zbudowanie wielu wspaniałych pomników architektury. Potem nawet w renesansie rolę zwornika spełniała tak zwana latarnia wykonywana nad otworem kopuły.



Gotyk, ostry łuk, a w nim rozeta płomienna.



Sklepienie krzyżowo-żebrowe ze zwornikiem
Francja, Chateau de Queribus

Osobiście podejrzewam, że kolejny krok w rozwoju myśli konstrukcyjnej wywodzi się z popełnianych błędów, bądź nawet z mniejszych umiejętności kolejnych budowniczych. Wydaje się, że czasem zbyt śmiałe konstrukcje gotyckie musiały grozić zawaleniem i wówczas musiały sobie radzić w sposób uwłaczający idei konstrukcji gotyckiej – wzmacniano takie łuki stalowymi prętami łączącymi oba punkty podparcia łuku; spinając ją w ten sposób, ratowano konstrukcję przed niechybnym zniszczeniem. Może nawet niekiedy mniej pewny siebie budowniczy od razu zakładał ściągi stalowe w łukach wznoszonego obiektu, zwłaszcza gdy z jakichś względów musiał posługiwać się gorszym budulcem.

Z czasem zauważono, że za cenę dość niewidocznego ściągającego stalowego pręta, można uzyskać konstrukcję o bardzo lekkim wyrazie architektonicznym – tak powstała architektura renesansu, której wspaniałym przykładem jest Loggia dei Lanzi we Florencji, a w Polsce krużganki na Wawelu.



Florenca, Loggia dei Lanzi (1376 – 1382)



Kraków, krużganki na Wawelu (1501 – 1548)

W tak niepozorny sposób dokonano kolejnego kroku w rozwoju myśli konstrukcyjnej, który stał się punktem przełomowym i podzielił konstruowanie budowli niemal na dwie ery – ta druga, wówczas zaczęta, trwa do dziś.

Przełom ten spowodowało praktyczne wykorzystanie wytrzymałości materiału na rozciąganie. Wszak cała dotychczasowa tradycja konstruowania budowli bazowała jedynie na wytrzymałości materiału na ściskanie. Ale do tego jeszcze wrócimy.

Przez barok, rokoko i neoklasycyzm nie pojawiło się nic nowego w teorii konstruowania. Dopiero zrodzone zainteresowanie kulturą antyczną, poza wielorakim oddziaływaniem na sztukę, wytworzyło przesłanki do rozwiązania problemu trwałości konstrukcji. Zafascynowanie niezniszczalnością piramid i świątyń egipskich, szacunek dla architektury Greków i Rzymian, wreszcie docenienie trwałości średniowiecznych budowli obronnych – wszystko to musiało powodować refleksje natury konstrukcyjnej.



Egipt, piramidy w Gizeh

Coraz bardziej oczywiste stawało się, że przetrwać wieki mogą tylko konstrukcje posiadające olbrzymie zapasy wartości konstrukcyjnych i konstrukcje bardzo statyczne, to jest nieulegające najmniejszym odkształceniom przestrzennym, wykonane z materiałów o dużej odporności na niszczące działanie spowodowane tak zwanym zębem czasu, mogące sprostać olbrzymim obciążeniom dynamicznym (np. uderzenie pocisku). Za osiągnięcie tych właściwości we wznoszonych konstrukcjach trzeba było płacić olbrzymi haracz – przejawiający się skrajną rozrzutnością sił i środków materialnych.

Dylemat między pożądanym czasem trwania budowli, a potrzebą jej taniości był zawsze na przestrzeni dziejów i jest nadal jednym z podstawowych problemów budowania. W różnym stopniu udawało się i udaje obecnie pogodzić te kardynalne sprzeczności. Obserwujemy, że człowiek godzi się na wyjątkową nawet nietrwałość budowli, aby tylko zabezpieczyć doraźne potrzeby dnia bieżącego, i jednocześnie nieobce są mu marzenia o zostawieniu po sobie dzieł trwałych. Przykładem tego jest monumentalizm w architekturze.



Rzym, Watykan, Bazylika św. Piotra (1506 – 1626)

Zapamiętajmy te tendencje, gdyż będą one stanowić pierwszą przesłankę dla dalszych rozważań.

Tymczasem jednak w dziejach świata ekonomia odniesiona do wszystkiego zaczęła odgrywać podstawową rolę. Prowadzona wszechstronna i głęboka penetracja problemów konstrukcji była możliwa dzięki ogromnemu rozwojowi wiedzy.

Wykryto i zbadano prawa rządzące zachowaniem się konstrukcji. Ład i logika zawarta w tych prawach, przy właściwym ich wydobyciu i zastosowaniu we wznoszonych obiektach unaocznily swe piękno.

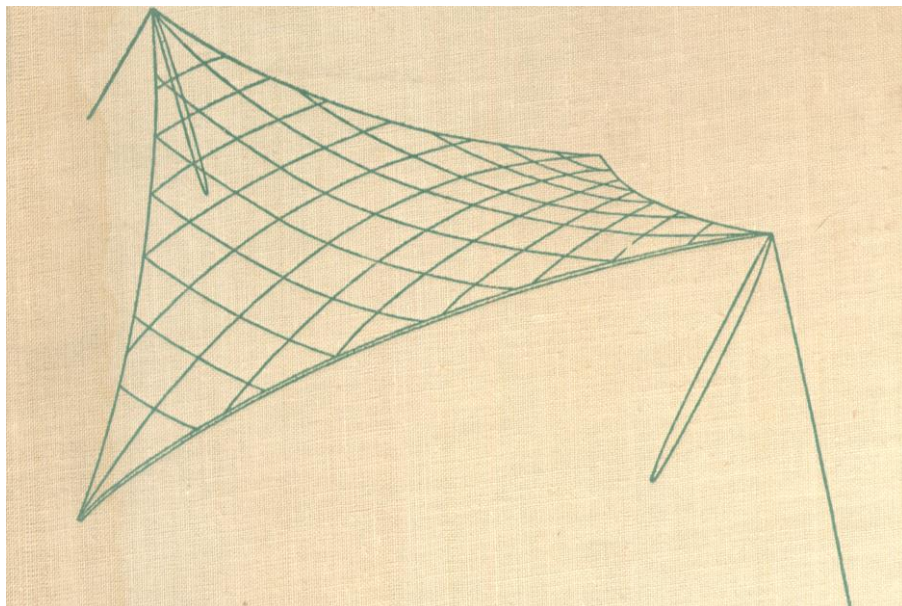
Stąd zrodziło się pojęcie, że architektura to tylko konstrukcja – i znów na liczący się okres czasu zapanowała taka tendencja we wznoszeniu obiektów, a cały ten okres został nazwany konstruktywizmem i panował w latach dwudziestych i trzydziestych XX wieku.

Bo też wiedza i środki, jakimi zaczął dysponować konstruktor i architekt, były imponujące.

Stwierdzenie znacznie wyższych wytrzymałości na rozciąganie niż na ściskanie wielu materiałów, zwłaszcza przy rozszyfrowaniu najbardziej groźnych zjawisk, jakimi są wyboczenie i skręcanie, występujące tylko w prętach ściskanych, a nigdy w rozciąganych – zafascynowały do tego stopnia konstruktorów i architektów, że nawet w pewnym okresie widziano w preferencji sił rozciągających jedyne i najważniejsze rozwiązanie problemów konstrukcyjnych. Dowodem takiego myślenia są mosty wiszące, czy przekrycia wiszące.



Seto Ohashi, Japonia



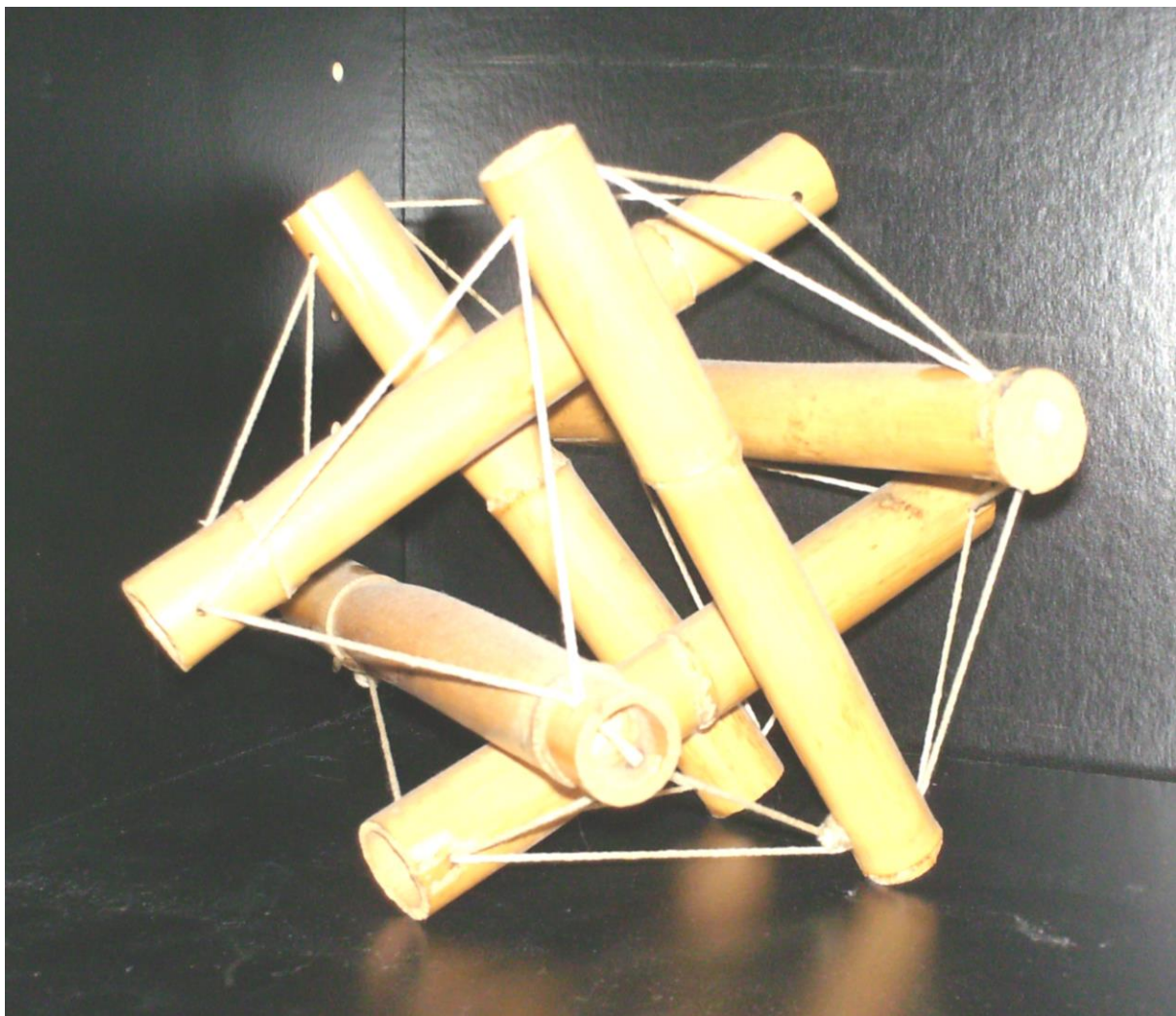
Zasada dachu wiszącego



Rozdział 22

biały goniec na e2
czarny pion na h6

Powstały nawet tak obrazoburcze rozwiązania konstrukcyjne, które zaprzeczyły mniemaniu, że w prawidłowej konstrukcji pręt ściskany musi przekazywać swe obciążenie na inny pręt ściskany. Wprawdzie nigdzie dotychczas nie zastosowano tego, jednak Japończycy skonstruowali już swoisty słup składający się w zasadzie z samych prętów rozciąganych, gdyż pręty ściskane, będące w znakomitej mniejszości, stanowią jedyni rodzaj rozparć.



Nazwijmy to ASTAT.

Każdy bambus, przenoszący obciążenia ściskane, łączy się z innym bambusem za pośrednictwem czterech sznurków – odciągów. Całość stanowi sztywną konstrukcję.
Skonstruował M. C. Sokołowski w Algierze w 1984 roku.

Tę właśnie fazę rozwoju myśli konstruktorskiej zapamiętajmy jako drugą przesłankę do dalszych rozważań.

Prowadzone poszukiwania odkryły wyjątkowo dużą nośność powierzchni fałdowych oraz krzywych, zwłaszcza nierozwijalnych, to jest takich, na powierzchni których nie leży żadna linia prosta, lecz są te powierzchnie utworzone przez obrót linii krzywej lub przez przesunięcie jednej linii krzywej po innej linii krzywej.

Klasycznym tego przykładem jest uświęcona już wytrzymałość skorupki jajka.

Właśnie te niewspółmiernie wzrastające możliwości uzyskiwane przez nadanie pewnych kształtów powierzchniom niech stanowią trzecią przesłankę do dalszych rozważań.



Łupinowa konstrukcja hali – autor Oscar Niemeyer, Alger, Algeria. (Foto 1984)

W gąszczu tych wszystkich osiągnięć i problemów jeszcze jeden jest godny podkreślenia – i to jako czwarta przesłanka.

Mam na myśli wstępne sprężanie konstrukcji. Sprowadza się ono do wykorzystania dwóch zjawisk. Pierwsze to spostrzeżenie, że luźno ustawione obok siebie elementy konstrukcyjne nie stanowią żadnego ustroju, który by można obciążyć. Wystarczy jednak przeprowadzić przez nie strunę, naprężyć ją tak by zwarła ze sobą dotychczas luźne elementy, aby otrzymać belkę o imponującej wytrzymałości.

Drugie zjawisko polega na tym, że ściskany, bądź zginany pręt przed zniszczeniem na skutek obciążenia ugina się. Nazwano to wyboczeniem. Wystarczy spowodować wstępne ugięcie takiej belki, ale w stronę przeciwną niż to występuje w czasie pracy danego belki. Takie wstępne ugięcie można uzyskać poprzez sprężenie struny umieszczonej i zakotwionej po jednej stronie belki. Element tak wstępnie sprężony, po obciążeniu go, wróci najpierw do stanu bez ugięcia. To wstępne sprężenie znacznie podnosi wytrzymałość ustroju.

Jako asumpt do konieczności prowadzenia dalszych rozważań, bądź ich dużych szans powodzenia, niech mi wolno będzie zwrócić uwagę na parę faktów.

Pierwszy. Jak dotychczas konstrukcja budowlana jest rozpatrywana w aspektach jej właściwości statycznych – krótko określając problem – jest nieruchoma. Konstrukcje pojazdów i maszyn wprawdzie dawno ożyły, jednak nie ten rodzaj ich wewnętrznego ożywienia mnie frakuje.

Drugi. Problem czasu znów musi dać znać o sobie. Każda konstrukcja projektowana jest na teoretycznie określone obciążenie. Najbardziej jasno to zjawisko występuje w ujarzmianiu rzek. Bywa czasem latem, że płynie sobie taka rzeczka po kamieniach wąziutką stróżką, by nagle przy pierwszych większych opadach deszczu zamienić się w groźny żywioł. Potem znów robi się poutulna i tylko najstarsi ludzie pokazują niewierzącym gapiom porobione znaki na drzewach, czy murach, dokąd to woda sięgała – jeszcze za czasów ich młodości. Jak wysokie należy usypać wały nad taką rzeczka? Prowadzi więc człowiek szczegółowe pomiary poziomu wód w rzekach i rzetelnie je notuje. Aby nie dopuścić do powodzi projektuje się więc wały na tak zwaną tysiącletnią wodę, to jest na tak wysoką, która wystąpiła jeden jedyny raz w całym tysiącleciu. Dla

bezpieczeństwa wały podwyższa się ponadto jeszcze o dodatkową wysokość. A potem pojawia się ta jeszcze wyższa woda i zalewa pola, choć zdarzyć się może ona rzadziej, niż raz na tysiąc lat.

A przecież jakże bardziej wyrafinowanym przeciwnikiem konstrukcji jest wiatr. Można by się nawet zastanawiać, który z tych przeciwników jest groźniejszy – wiatr, czy woda – gdyby sam człowiek ich nie zdystansował, i to wielokrotnie. Nie ma bowiem takiej wytrzymałości skonstruowanego przez jednego człowieka obiektu, by drugi człowiek nie wymyślił, a zwłaszcza by nie był w stanie zrealizować obciążenia niszczącego ten obiekt. Cała era fortyfikacji i pokonywania ich jest widowym tego przykładem.

Gdyby nawet wyeliminować z ludzkiej mentalności chęć niszczenia, to nie wyeliminujemy i nie powinniśmy wyeliminować tej drugiej, pozytywnej mentalności polegającej na tym, że człowiek sam nie wie, czego jeszcze zapagnie. Nie sięgając do chępliwości równej bogom, przypomnijmy sobie zwykłą codzienność, gdy w czasie niespodziewanej, a porywającej tłumy demonstracji obawiamy się o takie choćby balkony – czy wytrzymają ciężar tyłu gapiów.

Odkryjmy tu jeszcze jedną stronę problemu wytrzymałości konstrukcji, która też staje się asumptem do konieczności dalszych rozważań.

Człowiek zaczął kalkulować, koncypować, w wyniku czego zrodziły mu się w mrocznych zakamarkach świadomości pomysły pewnych sztuczek formalnych, które są bardzo bliskie żonglowaniu życiem ludzkim; i w dodatku wszystko to w świetle chroniącego autorytetu prawa czy etyki zawodowej.

Opowiadał nam nauczyciel, że kilkadziesiąt lat temu oficjalnie rozważano, że jeżeli w wyniku niedającego się przewidzieć zawalenia konstrukcji, na przykład hali przemysłowej, zginie parę osób, to jakże frapujące zawsze będą oszczędności kapitału powstałe w wyniku takich dywagacji.

Podejście takie miało jednak pewien dość istotny mankament – żal było i tego kapitału, który przepadał wraz z zawalonym obiektem. Sprawę rozwiązano wymyślając ubezpieczenie pieniężne, które idealnie rozwiązało interesy tych pierwszych i innych poszkodowanych.

Teraz, gdy doszło do sławnej katastrofy wiszącego mostu, tragedię skwapliwie filmowano, nikt się nie przejmował, gdyż sumy wypłacone z ubezpieczenia dla spółki eksploatującej obiekt były całkiem interesujące. A że tam parę osób spadło z samochodami do wody... – zapewne ich rodziny wzięły też godne uwagi sumy z towarzystw ubezpieczeniowych.



NBC News

USA, Nowy Jork, World Trade Center – 11 września 2001 roku

Dylemat moralny zawarty w ubezpieczeniach pokryła patyna wielu lat i raczej dziwilibyśmy się, gdyby ubezpieczeń jeszcze nie było. Teraz spokojnie co jakiś czas następuje niewielki a stale przygotowywany retusz spraw w postaci coraz dokładniejszych metod obliczeń konstrukcji i sownie nagradzany, gdy okaże się, że tu można zastosować mniej stali, tam mniej cementu. Nawet autorytet nauki jest rzucany na szalę procesu przekonywania ludzkości, że w tym elemencie może być mniejszy współczynnik bezpieczeństwa i w tym też...

Gdyby chociaż równie skwapliwie i skutecznie przekształcało się mentalność ludzką, aby coraz mniej prawdopodobna stawała się ta godzina „X”, w której człowiek znów zechce niszczyć.

Każdego dnia zachodzi nadal konieczność wyboru i decyzji, tym bardziej istotna im bardziej odpowiedzialna konstrukcja – czy zakładać, że obiekt może zawalić się pod obciążeniem występującym raz na sto lat i przyjmować współczynnik bezpieczeństwa mniejszy, czy też należy mieć trochę więcej wyobraźni i miłosierdzia – i przyjąć współczynnik bezpieczeństwa większy.

Dylemat ten nie da się rozwiązać w obecnych kategoriach rozumienia konstrukcji – rozumienia STATYCZNEGO, to jest biernego, czekającego, mającego możliwości w znacznej części za duże w porównaniu z potrzebami codziennymi, a równie za małe w porównaniu z krytyczną sytuacją chwili.

Prowadzony przeze mnie konsekwentnie, od początku tej wypowiedzi, typ rozważań – wykazywania kroków dokonanych przez technikę budowania w czasie historii ludzkości – ośmiela do postawienia tezy o nowym spojrzeniu na konstrukcję oraz podjęcia próby odpowiedzi na nią.

Ta – tak bardzo istotna składowa architektury nie może być nadal statyczną – to jest tak beznadziejnie bierną i obojętną na to, co się z nią dzieje.

Rozwój nauk, a na ich tle rozwój różnych rozwiązań technicznych oraz stałe wykrywanie nowych i coraz bardziej zaskakujących właściwości materii – stwarzają warunki do nowych rozwiązań, do nowych propozycji, do śmiałej wizji przyszłości.

Wyobraźmy sobie dla przykładu najprostszy element konstrukcyjny – to jest belkę podpartą w dwóch punktach. Wystarczy takiej belce dać trzecią podporę ruchomą, mogącą się przesuwąć wzdłuż długości belki – aby powstała zupełnie nowa wartość – nigdy dotąd nie rozpatrywana w dziejach konstruowania budowlanego.

Gdybyśmy zapewnili takiej trzeciej podporze zdolność przesuwania się stale w miejsce maksymalnego obciążenia skupionego – belka taka mogłaby być niewspółmiernie lżejsza – a co najważniejsze – byłaby teoretycznie niezniszczalna.

Skomplikujmy nieco zagadnienie – weźmy element wstępnie sprężony – ale skonstruujmy go tak, aby był zdolny sprężyć się samodzielnie, lub chociaż aby mógł być sprężony przez inne czynniki wtedy, gdy zajdzie tego potrzeba – to jest gdy wystąpią krytyczne obciążenia; w pozostałym okresie czasu niech już będzie mu wolno pracować swymi statycznymi właściwościami.

Inny przykład – zastosujmy materiał o zmiennych właściwościach mechanicznych występujących pod działaniem – przypuśćmy, pola elektrycznego – i włączajmy, uruchamiamy te dodatkowe właściwości w miarę potrzeby.

Dołączmy do tego całe dobrodziejstwo możliwości, jakie przed nami otwiera automatyka potrafiąca sterować znacznie bardziej złożonymi procesami niż te, które występują w czasie pracy takiej konstrukcji; dołączmy do tego nadal niewykorzystane możliwości elektronicznych systemów przetwarzania informacji (to nazwa przed pięćdziesięciu lat przecież)...

Innymi słowy spróbujmy wyrwać konstrukcję z odrętwienia, i choć może nigdy nie uda się nam jej ożywić, to przynajmniej niech nabierze cech życia.

Wszak nikt się nie dziwi i nawet nie spostrzega niczego szczególnego w fakcie, że gdy budynek zaczyna pękać, to po prostu podpieramy go i znów stoi; że gdy w życiu trzeba na przykład przewieźć ludzi z jednego punktu na ziemi do drugiego, to wysyłamy w określonym momencie do określonego punktu określony środek transportowy – a załatwiamy przecież w ten sposób również wiele problemów z różnych dziedzin życia.

Żadna społeczność nie byłaby w stanie sprostać sytuacji, gdyby nawet w czasie pokoju cały kraj był usiany beczynnymi a bardzo mocnymi jednostkami wojskowymi, bez najmniejszego

wysiłku ze strony sztabu w celu lepszego wykorzystania sił w drodze strategii, czy taktyki, a zwłaszcza bez żadnego wysiłku samej społeczności skierowanego na uniknięcie w ogóle zachodzenia takiej konieczności.

Tymczasem jedna z nielicznych dziedzin – konstrukcja – musi być w stałej gotowości bojowej i na każdym odcinku natarcia. Jest to może nieistotne przy małych obiektach i przy niskiej cenie materiałów, ale przy rozpatrywaniu wielkich liczb przyszłości – istota rzeczy jest bardziej znamienna.

Może w rozwoju takiego spojrzenia na konstrukcję należy upatrywać następnego kroku w problematyce konstrukcji budowlanej?

Takie pytanie pozwalam sobie postawić przed żarliwością młodych umysłów.

*



Rozdział 23

biały hetman na d2
czarny goniec bije gońca na e2

Napisałem. Wysłałem do „Problemów” (miesięcznik popularno-naukowy wydawany w PRL). Nie wydrukowali. Nawet maszynopisu nie zwrócili. Wszystkiego tego nie zauważyłem właściwie, gdyż pytanie postawione na końcu artykułu, teraz już mocne i samodzielne, samo postawiło się mnie samemu, przysłoniło wszystko, zawładnęło mną na całe dziesięciolecie.

Iskierka rozwiązującej wszystko pracy pojawiła się w moim umyśle zaraz na samym początku, była nadzieją wielu lat i do dziś kusi.

Umysł przewertował wiele, myśl wniknęła w szereg tajników bardzo głęboko. To ostateczne, wieńczące skojarzenie czułem już końcami palców. Niestety. Potrzebowałem teraz aparatury na badania, potrzebowałem zainteresowania nauki, potrzebowałem wolnego czasu.

Jednym nie chciałem oddać mych myśli, drudzy nie potrafili uwierzyć mi. Minęło trzydzieści lat (a dziś już pięćdziesiąt). Może ktoś inny podejmie myśl moją i zakończy sukcesem dla chwały ludzkości.

Teraz to zawrzeć można na paru stronach zaledwie, a wywodzi się z tyłu, tyłu dni, w których wszystko obracało się i przemijało jak w kalejdoskopie, a to BYŁO – jakby przyświecało... przez wiele lat...

Wyobraźmy sobie zwykłą tyczkę od zwykłego namiotu. Posłużmy się nią tak, jak to robimy wielokrotnie ustawiając namiot. Oprzyjmy ją jednym końcem wśród traw – i jeżeli chcemy oddać tylko istotę konstrukcyjną, to zamiast namiotu należy na czubku tyczki zaczepić trzy sznurki, sznurki te mocujemy śledziami w trawie z trzech stron, napinamy zwykłą przewleczką – i jedna z najbardziej optymalnych konstrukcji stoi przed nami.

Właściwie jest to optymalna konstrukcja (jak dotychczas), a piszę – jedna z najbardziej optymalnych – piszę nawet – jak dotychczas... Właśnie. Cały czas przeczuwam tę jeszcze lepszą, już ją niemal widzę, nawet mam – cały czas czuję jednak, że jeszcze coś nie tak, że coś trzeba inaczej... Na czym to nie odkryte COŚ polega?!

Tyczkę ustawiliśmy wśród traw i sznurki tam zakotwiliśmy, ale właściwie i tyczce, i sznurkom jest obojętne, z czym mają kontakt. Tyczka może stykać się ze wszystkim – aby tylko to coś stanowiło punkt oparcia. Również sznurki mogą dochodzić do dowolnego przedmiotu – byle tylko stanowił on dostateczne zakotwienie.

Co w takiej podstawowej konstrukcji dałoby się skrytykować i w konsekwencji poprawić?

Tyczka jest cienka i wiotka. Przy większym obciążeniu zegnę się jak ramiona łuku strzeleckiego i złamie się. Jest to słaby punkt godny ulepszenia.

Sznurkom właściwie niczego zarzucić nie można; Jeżeli geometrycznie są jednakowo poprowadzone, to stanowią właściwie układ idealny – właściwie nie można o niczym więcej marzyć, nawet nie powinniśmy niczego więcej poszukiwać. Ale sama nasunie się pod rękę, bądź rzuci w oczy ta niewykorzystana płachta namiotu. Faktem jest, że jeżeli ustawimy najprostszy namiot, z jednym masztem pośrodku, o stożkowym kształcie płóciennego dachu, to uzyskujemy konstrukcję znacznie ciekawszą od poprzedniej i jakże niewspółmiernie mocniejszą. Pokazała się tu bowiem w całej krasie konstrukcyjna istota napiętej błony.

I ona ma słaby punkt. Jakże łatwo przebija ją maszt w punkcie podparcia. Jednak wzmacniamy ten słaby punkt (na przykład przyszywamy tam mocniejszy materiał) i wszystko jest w porządku.

W kwestii błony na razie tylko tyle; jeszcze do niej wrócimy. Na coś innego należy niezwłocznie rzucić snop światła – na stożek namiotowej błony. Kształt stożka nadaje konstrukcji ogromną nośność. Nie wątpimy w imponująco dużą nośność naciągniętej błony stożka namiotu – a więc błona stożkowa może być bardzo dobrze pracującym na rozciąganie ustrojem i to obojętnym na nawet znaczne odchylenia działania siły rozciągającej.

Okazuje się, że i przy ściskaniu powierzchnia stożkowa jest bardzo interesująca. Wprawdzie wierzchołek stosunkowo łatwo ulegnie zmiążdżeniu, ale przecież w obu przypadkach – ściskania i rozciągania – możemy posługiwać się powierzchnią stożkową o ściętym wierzchołku.

Takie podejście wymaga wprowadzenia nowego elementu – to jest pierścienia. Pierścień, znów idealnie, może wieńczyć stożek i może stanowić jego podstawę, zarówno w ściętym stożku rozciągającym, jak i w ściskanim.

Sam pierścień jest wyjątkowo wytrzymały na siły rozpierające, co wykorzystano w obręczach na beczkach, a zwłaszcza we wszystkich kołach pojazdów.

Im bardziej stromy stożek i im mniejszy promień pierścienia tym siła rozciągająca pierścień będzie mniejsza, czyli przy spłaszczeniu kształtu stożka i zwiększaniu okręgu jego podstawy – siła ta będzie rosła, ale zawsze pierścień zastosowany w takim miejscu konstrukcji będzie optymalnym rozwiązaniem.

Okazuje się nawet, że powierzchnia stożkowa otwarta (tutaj omawiana), wyposażona w dwa pierścienie nośne, umieszczone u podstawy i w miejscu ścięcia wierzchołka, czyni taką otwartą powierzchnię stożkową ustrojem konstrukcyjnym wymagającym minimum materiału, gdyż powłoka będzie wykazywała dużą nośność i sztywność nawet przy minimalnej grubości materiału użytego na powłokę.

Powierzchnie stożkowe otwarte, właśnie dzięki ścięciu wierzchołka, dają możliwość konstruowania ustroju bardziej złożonego, z wnętrzem mogącym pełnić funkcje użytkowe, co dalszym rozważaniom nadaje skonkretyzowanie ich sensu.

W ten sposób osiągnęliśmy, zamiast wymienionych na początku – tyczki i sznurków, nowe elementy podstawowe, z których spróbujemy stworzyć konstrukcję przyszłości. Ale zanim to nastąpi musimy uzbroić się w kolejne składniki myśli teoretycznej.

Na razie sięgnijmy jedynie po konstrukcję Japończyków, o której pisałem w latach sześćdziesiątych ubiegłego wieku w rozważaniach o konstruowaniu obiektów. Istota tego ich podejścia będzie, wydaje mi się, znacznie bardziej czytelna dopiero przy omawianiu mojego rozwiązania i dlatego przejdźmy od razu do moich przemyśleń. Przypomnijmy tylko, że zbudowali oni ustrój o charakterze słupa tak ciekawie skonstruowanego, że był on zbudowany na zasadzie nośności samych prętów rozciąganych, a pręty ściskane stanowiły jedynie coś w rodzaju elementów rozpierających.

Najlepiej tę zasadę ilustruje zdjęcie na stronie 146 przedstawiające ASTAT.

Weźmy powierzchnię stożkową otwartą, przeobraźmy ją w element konstrukcyjny złożony z dwóch pierścieni – górnego mniejszego i dolnego większego – połączonych błoną – taki element może być zaprojektowany na działanie obciążenia ściskającego, i wtedy grubość błony będzie wyraźnie większa, lub na działanie obciążenia rozciągającego, i wtedy grubość błony będzie znakomicie mniejsza.

Zauważmy jeszcze, że w górnym pierścieniu elementu stożkowego obciążonego siłą ściskającą będą występowały siły ściskające, a w dolnym pierścieniu siły rozciągające, i na odwrót – w stożku obciążonym siłą rozciągającą – w górnym pierścieniu będą występowały siły rozciągające, a w dolnym pierścieniu siły ściskające.

Jeżeli teraz zestawimy taki stożek przystosowany do ściskania z innym bardziej płaskim stożkiem przystosowanym do rozciągania, to uczynimy pierwszy krok na ciekawej drodze nowego podejścia.

Jeżeli w jednym stożku pierścień górny będzie miał taki sam promień jak pierścień górny drugiego stożka, i pierścień dolny będzie też miał jednakowy promień w obu stożkach, to przy zestawianiu ich w jeden ustrój konstrukcyjny, mogą one mieć wspólne pierścienie, w których siły ściskające z jednego stożka będą się w jakimś stopniu znosić z siłami rozciągającymi z drugiego stożka, czyli wypadkowa w konsekwencji będzie mniejsza nawet od każdej ze składowych. Stąd przy współpracujących ze sobą stożkach ich pierścienie będą mogły być znacznie słabsze od tych, jakich wymagał pojedynczy obciążony stożek.

Tak krok po kroku sprawy układają się i układać będą coraz korzystniej dla człowieka – wystarczy tylko iść myślą po tej jedynej, najważniejszej drodze.

Teraz będziemy już budowali nasz obiekt przyszłości. Mamy dwa elementy składowe. Jeden, to stożek ze ściętym wierzchołkiem, bardziej stromy, przystosowany do obciążeń ściskających. Drugi, to również stożek ze ściętym wierzchołkiem, ale mniej stromy od poprzedniego, przystosowany do obciążeń rozciągających. W obydwu stożkach pierścienie górne mają ten sam promień i również pierścienie dolne, aczkolwiek większe od górnych, co jest oczywiste w stożku, mają jednakowy promień.

Budowanie będzie nad wyraz proste. Będziemy nakładać stożek rozciągany na ściskany, a na rozciągany ściskany – wszystkie wierzchołkami do góry. Połączenia winny być wykonane tak dosłownie, aby po zmontowaniu obiektu stożek rozciągany miał wspólny pierścień dolny z nałożonym nań stożkiem ściskany, a ten z kolei aby miał wspólny pierścień górny z nałożonym nań stożkiem rozciągany. I to już wszystko – przynajmniej jak na razie.

Powstanie dziwny słup – w zasadzie nieprzypominający niczego znanego, może najbardziej rysowaną czasami w dużym uproszczeniu choinkę. W słupie takim będą klarownie przekazywane siły pionowo skierowane w dół z jednego stożka na drugi, ale będzie on w tej postaci bardzo wiotki, a więc zupełnie nieprzydatny. Jednak mankament taki jest łatwy do przewyciężenia.

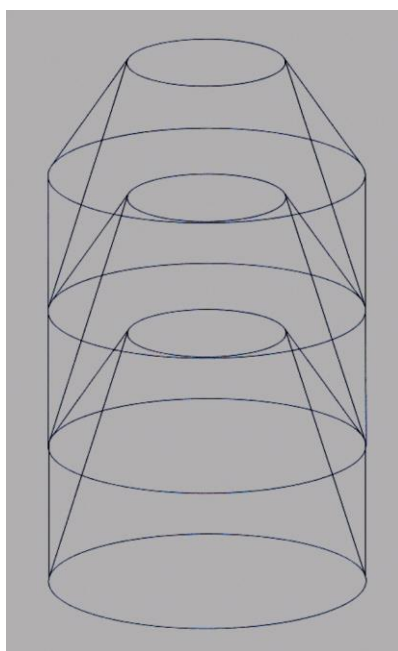
Istotę następnej czynności najlepiej oddamy analizując konstrukcyjną zasadę koła rowerowego. Jeżeli dobrze się przyjrzymy, to okazuje się, że każda z wielu szprych pracuje tylko na rozciąganie – tak przemyślnie są mocowane. Jeżeli ponadto każdą ze szprych jednakowo a mocno naprężymy dokręcając jej nakrętkę, to uzyskujemy ustrój niesłychanie sztywny, a zwłaszcza o ogromnej nośności.

Nie wdając się w pośrednie etapy przybliżenia pomysłu, zaciągnijmy na nasz słup cienką powłokę o kształcie walca, naprężmy ją odpowiednio mocno i zespójmy ją z wszystkimi, będącymi na zewnątrz naszego obiektu, dolnymi pierścieniami stożków. Po tym zabiegu sztywność i nośność naszego słupa kolosalnie wzrośnie.

Czynność tę można i chyba należy powtórzyć w stosunku do górnych pierścieni, będących teraz wewnątrz naszego słupa. Tam też można przeciągnąć inną powłokę walcowatą, naprężyć ją i zespoić trwale z wewnętrznymi pierścieniami. Jest to już mniej istotne rozwiązanie dla tego etapu rozważań, a wydaje się za to, że miejsca te mogą być poddane dalszemu uszlachetnianiu, w wyniku którego uzyskamy kolejne zaskakujące właściwości naszej konstrukcji. Ale o tym nieco później.

Zbadajmy to, co już osiągnęliśmy. Z całą pewnością technologia takiego montażu jest bardzo trudna i bardzo kosztowna. Nie można liczyć na to, że wyprze konwencjonalne rozwiązania stosowane od dawna w standardowych sytuacjach. No tak, to prawda, ale obiekt nasz nie odsłonił nam właściwie swoich podstawowych atutów – ma on bowiem teoretyczne szanse, aby im będzie wyższy, aby był tym lepszy. Ma on prawo królować tam, gdzie wszystkie konwencjonalne konstrukcje dawno stały się bezradne i nieprzydatne.

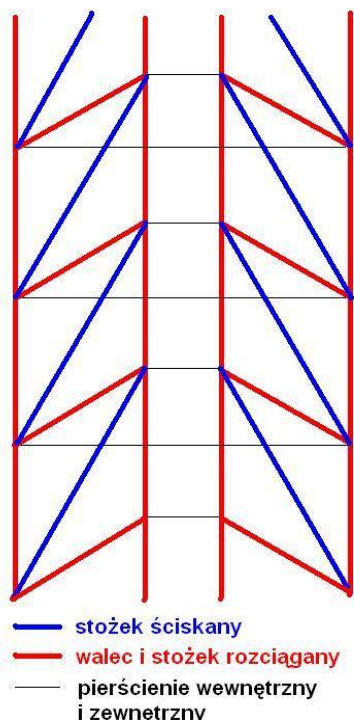
Jest rok 2012, minęło pięćdziesiąt lat rozpatrywania przeze mnie tego zagadnienia i już pojawiły się możliwości konstruowania takiego słupa poprzez drukowanie go w technologii 3D, czyli przestrzennego kształtowania poprzez dodawanie kolejnych warstw z najwłaściwszego materiału i o najwłaściwszej wytrzymałości.



cone – tak nazwałem swoją konstrukcję

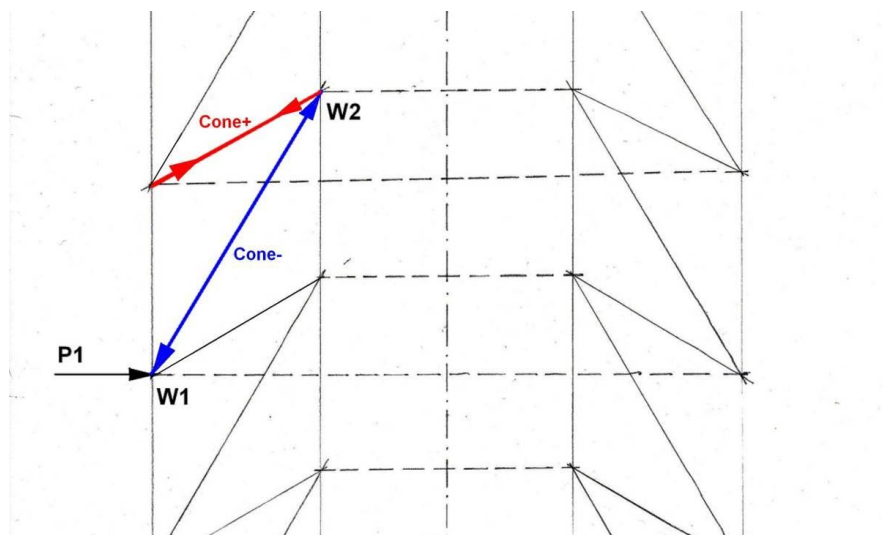
Wierzyć się nie chce, ale jeżeli obciążymy taki maszt tak, że będzie on zginany, to jest, jeżeli obciążymy go w kierunku prostopadłym do jego osi, to poszczególne lejki ustroju będą przekazywały obciążenia do góry, a dokładniej mówiąc, w miarę wysokości w maszcie będą wzrastały naprężenia rozciągające w stożkach bardziej płaskich i ściskające w stożkach bardziej stromych.

Jeżeli zrobimy pionowy przekrój przez nasz maszt, to otrzymamy schemat następujący:



Węzeł dolnego pierścienia, w którym zbiegają się cztery pręty (dwa z powłoki zewnętrznej i dwa ze stożków), jest obciążony poziomą siłą wiatru. Jeżeli wyznaczymy wielkości sił występujących w tych prętach od poziomej siły wiatru, to otrzymamy siły zerowe dla dwóch prętów przedstawiających powłokę zewnętrzną, a całe obciążenie przeniesie stożek ściskany.

Jeżeli teraz przeanalizujemy węzeł wewnętrzny, znajdujący się powyżej węzła zewnętrznego, w którym zbiegają się tylko dwa pręty, to od przyjętej uprzednio siły wiatru pojawi się dodatkowe obciążenie rozciągające w stożku mniej stromym (na skutek parcia do góry stożka bardziej stromego). Te dodatkowe obciążenia (ściskane w stożku bardziej stromym i rozciągane w stożku mniej stromym) w miarę analizowania coraz wyżej położonych węzłów będą się sumować i będą coraz większe.



Jeżeli stożek bardziej stromy będzie mógł przenosić obciążenia ściskające, bo będzie miał powłokę odpowiednio grubą, usztywnioną dwoma pierścieniami, natomiast stożek bardziej płaski będzie miał tak cienką powłokę, właściwie błonę, że nie będzie mógł przenosić obciążeń ściskających, lecz tylko obciążenia rozciągające (idea szprychy lub błony), to w węźle dolnym zewnętrznym (**W1**) całą siłę poziomą (np. od wiatru **P1**) będzie musiał przenieść stożek bardziej stromy (**Cone-**), bo stożek bardziej płaski o cienkiej powłoce nie będzie mógł przejmować obciążeń ściskających go; czyli poziome obciążenie będzie przenoszone tylko do góry i dopiero w górnym wewnętrznym węźle (**W2**) będzie przenoszone na stożek bardziej płaski znajdujący się jedną kondygnację wyżej (**Cone+**), a ten przekaże swe naprężenia rozciągające na stożek ściskany będący następną kondygnacją wyżej – czyli obciążenia będą przekazywane znów do góry. Obie cylindryczne powłoki zewnętrzna i wewnętrzna, które są znów podatne tylko na rozciąganie, a nie na ściskanie, będą przekazywać swe rozciągające obciążenie tylko w górę, a nie w dół. Jedynie ciężar własny będzie przekazywany w dół.

2012-05-19

Cała konstrukcja jest wstępnie sprężona, to jest wszystkie elementy, jak walce zewnętrzne i wewnętrzne oraz płaskie stożki rozciągane są poddane wstępnemu rozciąganiu.

2012-05-25

Przy odpowiednio wyznaczonym kształcie stożków oraz wstępnych naprężeń obydwu powłok – obiekt może okazać się fenomenem słupa jednostronnie zamocowanego niedającego się złamać, a zwłaszcza mogącego być wznoszonym na nieosiągalne dotychczas wysokości, bez żadnych lin odciągających, które przecież nawet przy konwencjonalnych rozwiązaniach mają długość krytyczną, to jest taką długość, gdy zrywają się pod własnym ciężarem.

Wymarzyć można, że obiekt nasz nie będzie chwiać się na boki, lecz będzie dawał znać o wzrastających obciążeniach wydłużeniami, które będą miały charakterystykę pulsacyjną. Zamiast chwiać się, wierzchołek jego będzie drgał pionowo w górę.

Masz taki – wyobrażam sobie – byłby montowany poczynając od wierzchołka. Z dostatecznie mocnego cokołu byłaby konstrukcja wyciskana pionowo w górę. W cokole byłyby umieszczone urządzenia wytwarzające stożki i montujące je. Cykl budowy byłby taki, że czujniki przekazywałyby parametry naprężeń, występujące w miejscu zamocowania ostatnio zmontowanego elementu, do komputera, który programowałby model kolejnego stożka tak, aby przeniósł wyznaczone parametry obciążeń. Komputer mógłby pokierować produkcją kolejnych stożków. Po zamontowaniu każdego konstrukcja byłaby wypychana w górę i cykl budowy by się powtarzał (Patrz wcześniejsze uwagi na temat drukowania D3).

[Jednak przy przekazywaniu naprężeń do góry, a nie w dół, taka metoda wznoszenia byłaby niewłaściwa, bo w miarę wyciskania do góry we wszystkich elementach wzrastałyby naprężenia].

(2012-05-20)

Konstrukcja nasza, przy tych wszystkich rewelacjach, nadal nie zdołała wyjść poza kanony tradycyjnego pojmowania konstrukcji. Nadal nie potrafi obronić się przed niszczącym przeciążeniem, nadal wewnętrznie jest statyczna. Nawet kształt stożków, raz im nadany na początku, nie ulega zmianie; nadal wstępne sprężenie obu powłok – zewnętrznej i wewnętrznej – nadane im na początku, nie może być zwiększane, ani zmniejszane.

Nadajmy więc naszej konstrukcji najbardziej prymitywną namiastkę wewnętrznego ożywienia. W tym celu, dla zobrazowania kolejnego podejścia, posłużmy się przykładem drzwi. Jeżeli zawiasy umieszczone są dokładnie pionowo względem siebie, to drzwi zawsze pozostają w położeniu, w jakim je zostawiliśmy – są statyczne. Jeżeli jednak odchylimy zawiasy od pionu, to pod działaniem siły ciężaru drzwi będą się stale otwierały. Znane są rozwiązania, gdzie zjawisko to budowniczy wykorzystał do osiągnięcia samoczynnego zamykania się drzwi.

Od omówionej skrajności – minimalnego tarcia i minimalnych oddziaływań – przejdźmy w naszej sytuacji do skrajnych przeciążeń, graniczących z wewnętrznymi odkształceniami struktury materiału. Jeżeli w takim stanie pracy naszej konstrukcji posłużymy się nieco inaczej ukształtowanymi lejkami stożków, to jest, jeżeli pierścienie – górny i dolny danego stożka – nie

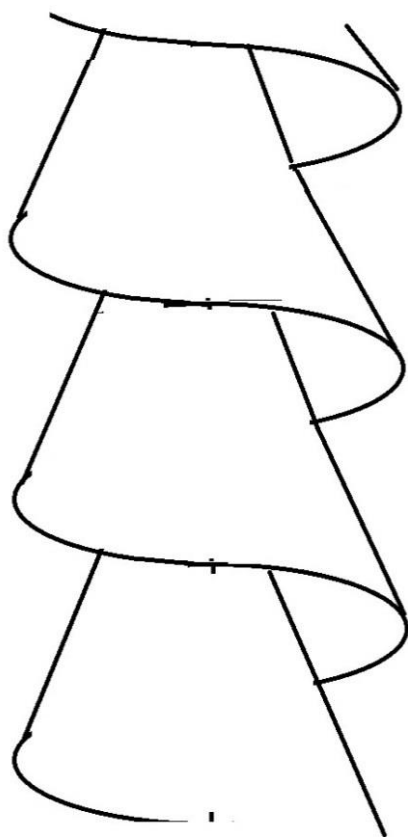
będą względem siebie równoległe, to stożek nasz w tym krytycznym momencie będzie miał tendencję do skręcania się, a nawet wykona pewien obrót przemieszczający go względem sąsiednich stożków. Ten niewielki obrót, który może zachodzić w odniesieniu do wszystkich elementów naszej konstrukcji, może być wykorzystany do tego, by konstrukcja sama broniła się przed niszczącym przeciążeniem. Nawet nie potrzeba dodatkowych rozwiązań w tym celu. Zauważmy, co powoduje swoim obrotem taki stożek. Przez swoje przemieszczenie względem sąsiednich stożków będzie powodował on – na skutek nierównoległości pierścieni względem siebie, a więc tym samym pewnej klinowatości elementu – zjawisko zmniejszenia sprężenia tej części powłoki zewnętrznej, która w tym momencie jest przeciążona i jednocześnie będzie wywoływał przeciwną reakcję znoszącą występujące napięcia – poprzez dodatkowe zwiększenie sprężenia powłoki zewnętrznej w miejscu położonym po drugiej stronie krytycznego jej przeciążenia.

Kolejną ciekawą reakcją o charakterze samoobrony naszej konstrukcji przed niszczącym przeciążeniem, byłoby to, gdyby udało nam się osiągnąć zmianę geometrycznych parametrów samego lejka, to jest zmiany promienia obydwu pierścieni oraz kąta nachylenia powłoki stożka względem pionu. Wówczas stożek przybierałby kształt optymalny w stosunku do obciążenia w danej chwili.

Wydaje się to nieosiągalne, bo jakże da się tak otworzyć oba pierścienie i samą powłokę – co jest niezbędne do osiągnięcia takiej właśnie zmienności kształtu stożka – aby jednocześnie zapewnić zamknięcie i pierścieni, i powłok – co niezbędne jest dla zachowania istoty ich dotychczasowych właściwości.

Jest to tylko pozornie nieosiągalne, jeżeli zadowolimy się pewnym przybliżeniem do wymaganego stanu. Aby to zrozumieć, wyobraźmy sobie jeszcze raz naszą konstrukcję z początkowego etapu, gdy jeszcze nie była ona pokryta walcowatymi powłokami – zewnętrzną i wewnętrzną. Pisałem wówczas, że przypomina ona choinkę w dużym uproszczeniu. Okazuje się, że jeżeli nasza konstrukcja będzie dostatecznie długa, a bez powłok będzie wyjątkowo wiotka, to najbardziej będzie przypominała wiór stalowy wydobywający się spod noża tokarki.

A gdyby tak nasz ustrój nie tylko przypominał wiór? Gdyby przyjął ten właśnie kształt?!



Kształt wióra.

Właśnie takie dwie wiórowate powierzchnie ciągle – jedna, pracująca na ściskanie i druga, pracująca na rozciąganie – gdyby zostały zespolone śrubowatym ciągłym szwem – i na koniec całość pokrylibyśmy jak poprzednio dwoma powłokami – to nasz ustrój nabrałby wymaganych właściwości ożywienia – przeciwdziałającego samoczynnie miejscowemu przeciążeniu.

Jesteśmy więc u celu.

Wznoszenie takiego masztu – urządzeniami uprzednio omówionymi, a zawartymi w cokole – przy ciągłości powłok i szwów oraz ich charakteru śruby – czyniłoby ustrój jeszcze łatwiejszy do wykonywania i wypychania do góry ponad cokół.

Może jeszcze trzeba rozważyć stosunkowo wąskie zastosowanie wymyślonego tworu. Zarysował nam się on jako maszt o niespotykanej wysokości. Wprawdzie na takiej zasadzie w obiektach przyszłości można skonstruować każdy słup, ale jak poradzić sobie z innym charakterem pracy zachodzącym w odniesieniu do belki? To jest problem. Ale czyż nie jak belka pracował nasz maszt, gdy obciążyliśmy go siłą poziomą? Może i belka już jest w naszym zasięgu?

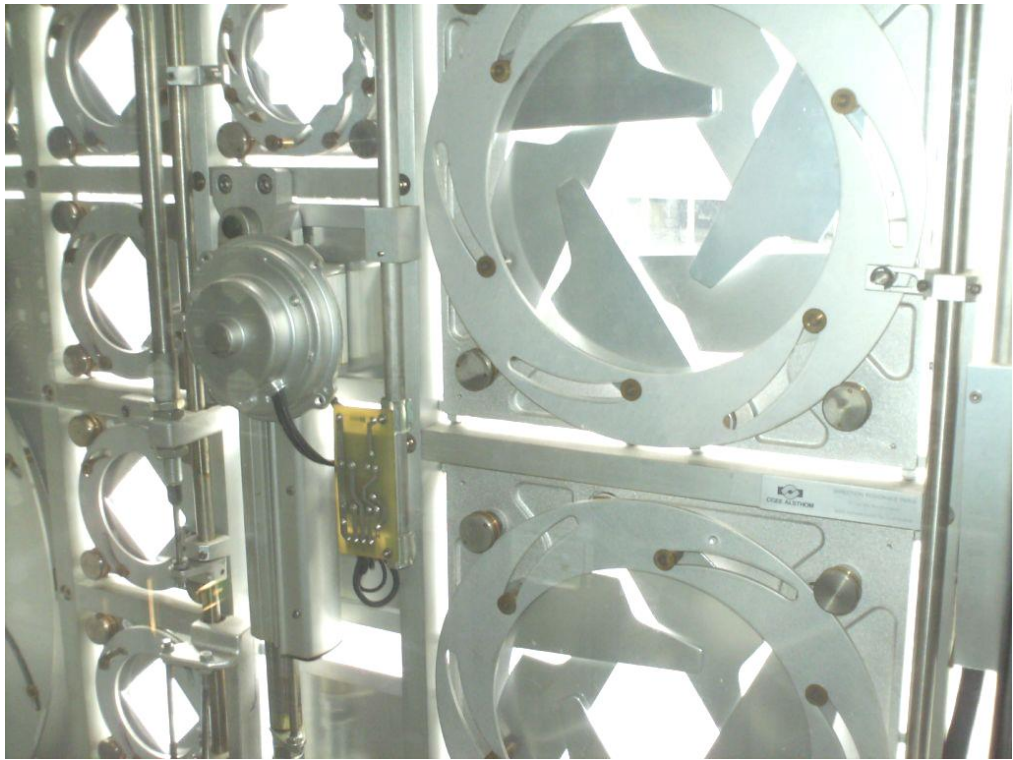
A przecież nadal nie są to wszystkie możliwości pracy takiego ustroju. Sięgnijmy jeszcze po inne istniejące rozwiązanie. Mam na myśli parasol. Olbrzymia sztywność, a więc i przydatność zostały tu osiągnięte przez rozpieranie. Takie rozpieranie dotychczas nie zostało dostatecznie wykorzystane w konstruowaniu obiektów. Nasz maszt doskonale nadaje się do wykorzystania tego zjawiska. Zlikwidujmy wewnętrzną powłokę sprężającą i w to miejsce wprowadźmy system rozpierających elementów, jakby kręgów kręgosłupa – nasza konstrukcja przejmie podpatrzony w parasolu sposób pracy.

Dodajmy do tego filozofię pracy ustroju konstrukcyjnego. Znamy obecnie nadal tylko obiekty zachowujące się statycznie, a więc niezmiennie w przestrzeni i czasie. Dopuszczamy do tego stanu spokoju takie niedające się uniknąć stany jak drganie, ugięcie się, wyboczenie, czy chwanie się. Jednocześnie zauważamy ze zdumieniem, że huragan powalił potężne drzewa, a trawa się ugięła i wstała po ustaniu niszczącej siły żywiołu. Dlaczegoż by wreszcie nie wykorzystać tej filozofii zachowania się trawy? A przecież takich dziwnych i intrygujących filozofii zachowania się jest więcej. Wymieńmy choćby bat. Potęgująca się siła odśrodkowa kolejnych mikroodcinków włókna bata uczy nas jeszcze innego dynamicznego zachowania się przedmiotów martwych.

Gdyby teraz wspomniane kręgi w naszym maszcie miały charakter klinowy i gdyby mogły obracać się między pierścieniami stożków, to mogłyby rozpierać te stożki tylko w jednym punkcie, z jednej strony — właśnie ze strony pożądanej.

Wystarczy, aby obrót klinów, zatrzymywanie ich w tym najwłaściwszym punkcie, a zwłaszcza filozofię ruchu wszystkich kolejnych klinów względem konstrukcji przejęły na siebie komputery uzbrojone w filozofię pracy: i trawy, i bata, i innych podobnych zachowań się, by nasza konstrukcja przestała być statyczną, wreszcie zaczęłaby radzić sobie z chwilowymi przeciążeniami niszczącymi ją.

Już zastosowano podobną zasadę w celach plastycznych, można niebawem zastosować ją również w celach konstrukcyjnych.



Institut du Monde Arabe w Paryżu



Institut du Monde Arabe w Paryżu

Omówiłem to wszystko na przykładzie jednego tylko masztu, a przecież należy to wszystko rozwinąć jako teorię konstruowania w ogóle.

Pisałem tak siedząc w czytelni na Koszykach. Wiele skojarzeń zapisywałem symboliką szkiców, miałem własny świat marzeń. – Ten realny dla mnie nie istniał, ...nawet gdy wracałem do domu.

Któregoś dnia sięgnąłem po teczkę z moimi marzeniami – a jej tam nie było. Do dziś pamiętam, że po powrocie z biblioteki położyłem ją na ławeczce w przedpokoju. Wypytałem żonę, domowników – nikt nie widział. Rozpatrywałem znajomych, którzy tego dnia byli w naszym mieszkaniu... Nawet wmawiałem sobie, że ją gdzieś po drodze zostawiłem...

Zniknięcie tej teczki było jakby symboliczne – choć wszystko doskonale miałem zapisane w głowie – było przerwaniem mych pięknych męskich marzeń. Już nigdy ich dalej nie poprowadziłem. W domu przebywałem teraz znacznie częściej, bo już nie miałem powodu do wychodzenia.

Może był to kres moich możliwości? A może świat sobie o mnie przypomniał i zazdrośnie osnuł bardziej ludzkimi troskami?

*

Teraz to zawrzeć można na paru stronach zaledwie, a wywodzi się z tyłu, tyłu dni, w których wszystko obracało się i przemijało jak w kalejdoskopie, a to BYŁO – jakby przyświecało... przez wiele lat...



Rozdział 24

biały hetman bije gońca na e2
czarny pion na c4!

Swoją samotną podróż w wiedzę zacząłem od istoty konstrukcji, po drodze dostrzegłem i inne problemy, zwłaszcza że musiałem sięgnąć do wielu gałęzi wiedzy w poszukiwaniu dalszych wyobrażeń.

Matematyka.

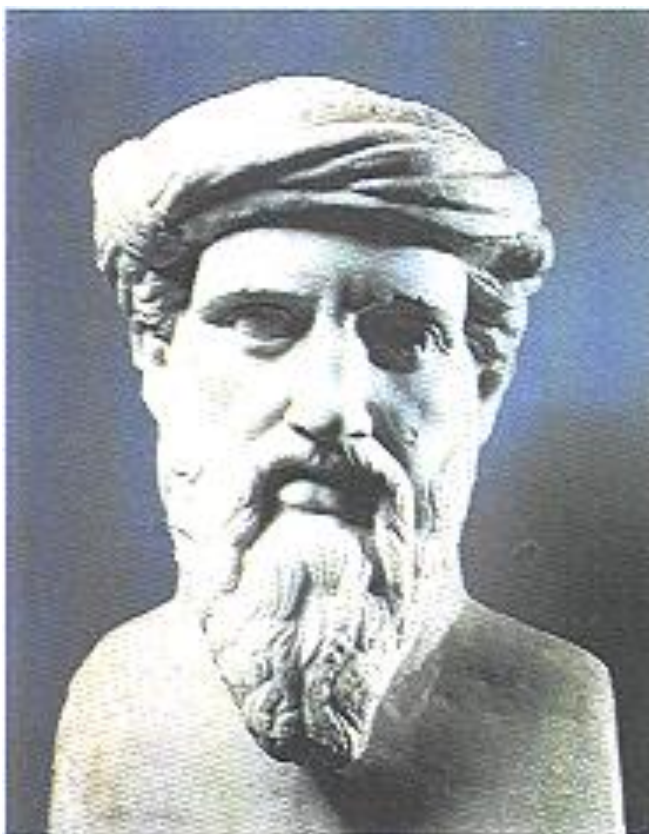
Spójrzmy na jej dzieje w momencie, gdy szereg wojen prowadzonych we wschodnim obszarze basenu śródziemnomorskiego wywołało migrację ludów reprezentujących rozmaite kultury, a te przyniosły stałym mieszkańcom Półwyspu Bałkańskiego, skłonnym i podatnym na wpływy, nowe idee i nieznanne przedtem sposoby myślenia.

Uwaga! Były różne sposoby myślenia! A powstał z nich jeden sposób myślenia.

Nikt nie zaprzeczy, że bez wkładu, wniesionego przez myśl grecką do wiedzy ogólnoludzkiej, nauka współczesna nie byłaby osiągalna.

A jeżeli Grecy coś świadomie, bądź, co jeszcze gorsze, nieświadomie jakąś istotną, może dopiero rodzącą się, inną myśl pominęli, bądź nawet unicestwili, bo była sprzeczna z dopiero co ukonstytuowanymi kanonami matematyki – jaka wówczas byłaby droga rozwoju wiedzy ludzkiej, gdyby poszła ona nie tą drogą?

Patrzmy dalej. Pitagoras, podbudowany autorytetem, a zwłaszcza wiedzą swego nauczyciela Talesa z Miletu tworzy – jak dziś przyznajemy – ciekawy typ mistycyzmu, w którym centralną rolę odgrywało pojęcie liczby. Mistycyzm ten wywarł duży wpływ na sposób myślenia wielu współczesnych.



Pitagoras

Urodził się około 572r.p.n.e na wyspie Samos.

Zmarł około 497r.p.n.e w Metaponcie.



Tales z Miletu - VII/VI w. p.n.e.

Niebywała sprawa – mistycyzm w filozofii matematycznej! A gdyby tym mistycyzmem, przynajmy, jakże skutecznym narzędziem, zostało owiane zgoła inne niż liczba pojęcie i zaczęłyby odgrywać centralną rolę – jakaż wówczas byłaby współczesna matematyka?

Już uczeń Pitagorasa, Hipokrates z Chios, próbował ukoronować dzieło swego mistrza budując ciąg twierdzeń geometrycznych, w którym każde następne twierdzenie wynikało logicznie z twierdzeń je poprzedzających.

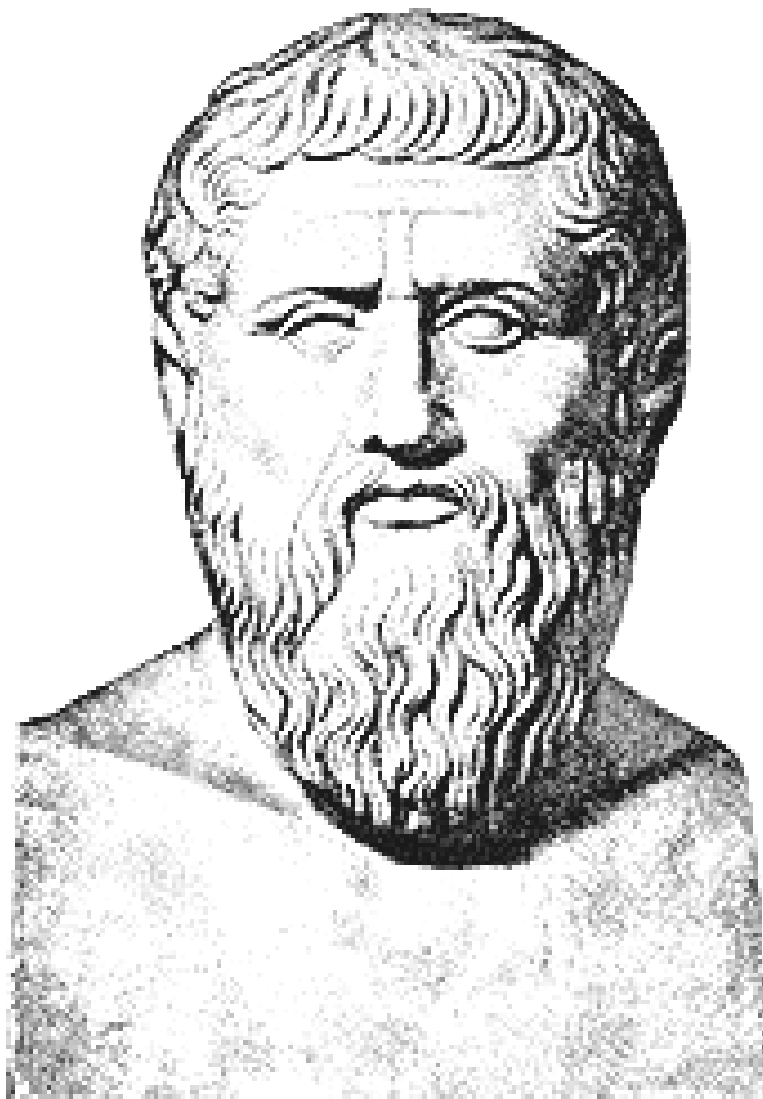


Hipokrates z Kios

ur. ok. 460 p.n.e. na wyspie Kos, zm. ok. 370 p.n.e. w Larysie.

A więc jedna jedyna ścieżka – od punktu wyjścia, poprzez kolejne twierdzenia! A więc świat myśli ludzkiej poszedł z całą premedytacją tylko jedną jedyną ścieżką...!

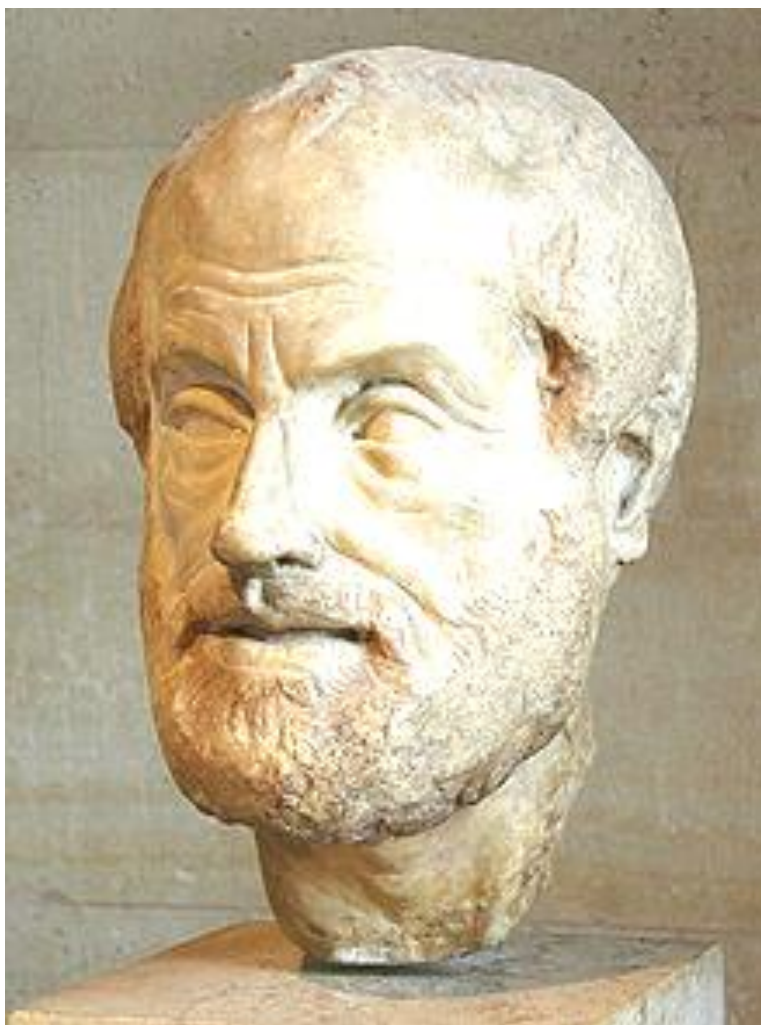
Następny pionier matematyki – Platon – studia nad pojęciami i rozumowaniami geometrycznymi uważał za tak istotny składnik twórczej pracy intelektu, że nad wejściem do swej słynnej Akademii Ateńskiej napisał: „Niech nie wstępuje tu nikt, kto nie jest wyćwiczony w geometrii”.



Platon - żył 428-348 p.n.e.

A więc tak znamienity wpływ na rozwój nauk wywarła geometria. A jeżeli było to piętno? Bo może piętno innej wiedzy spowodowałoby bardziej owocny rozwój matematyki od tego, który wynikał z wszechstronnego rozwinięcia istoty punktu stałego – umiejscowionego. A przecież historyk matematyki, D.E. Smith, napisał: „Gdyby nie było Talesa, nie byłoby też Pitagorasa ani nikogo takiego jak Pitagoras; bez Pitagorasa zaś nie byłoby Platona ani nikogo takiego jak Platon”.

A więc i w tym istnieje jedna jedyna ścieżka! A jeżeli ten inny Tales był, to rozwój myśli matematycznej mógł się potoczyć poprzez anty-Pitagorasa i anty-Platona!



Arystoteles ur. 384 p.n.e., zm. 7 marca 322 p.n.e.

Uczeń Platona – Arystoteles dołożył do tego kierunku rozwoju myśli ludzkiej system logiki, w którym głosił, że twierdzenia nauki dzielą się na dwa rodzaje:

- 1 – twierdzenia pierwotne, będące założeniami oraz
- 2 – twierdzenia pochodne, wyprowadzane drogą rozumowania logicznego z twierdzeń pierwotnych.

Jako z gruntu fałszywy, odrzucił on pogląd, iż wszystko daje się udowodnić; wszelki system wiedzy musi mieć u podstaw pewne twierdzenia, których nie dowodzi się w tym systemie. Dotyczy to nie tylko matematyki, lecz także fizyki, psychologii, teologii, czy ekonomii.

Arystoteles w swoich „*Analitykach wtórnych*” wprost podawał:

„Prawdami podstawowymi każdego rodzaju nazywam te jego elementy, których istnienia nie można udowodnić. Co się tyczy zarówno tych prawd pierwotnych, jak i atrybutów od nich zależnych, ich znaczenie jest przyjęte. Co się tyczy ich istnienia, to prawdy pierwotne muszą być założone; ale można udowodnić pozostałe, atrybuty... Spośród prawd podstawowych, którymi posługują się nauki dowodzące, niektóre są swoiste dla każdej nauki, a inne są wspólne, lecz wspólne tylko w sensie analogii, obowiązujące tylko o tyle, o ile należą do rodzaju, stanowiącego dziedzinę danej nauki”.

A więc wiedza oparta została na prawdach podstawowych, których istnienia nie można udowodnić! Znaczenie prawd pierwotnych zostało przyjęte, a ich istnienie musiało być założone!

A więc można założyć istnienie i przyjąć znaczenie innych prawd podstawowych i zbudować na tym inną naukę!



Charles Sanders Peirce – ur. 10 września 1839, zm. 19 kwietnia 1914.

Czyż nie stwarza przesłanek do takiego innego podejścia idea znakomitego logika harwardzkiego z końca XIX wieku – Charles Sanders Peirce’a:

„Do matematyki nie należy obserwacja świata zewnętrznego, nie stwierdza ona żadnych rzeczywistych faktów. Kiedy matematyk ma do czynienia z faktami, stają się one dlań jedynie hipotezami; nie interesuje go bowiem ich prawdziwość”.

Zanim jednak dojdziemy do bardziej ogólnych sformułowań, popatrzmy na dalszy ciąg historii matematyki.



Euklides - ur. ok. 365 r. p.n.e., zm. ok. 300 r. p.n.e.

Euklides w jednym ze swych traktatów pod tytułem „*Elementy*” złożonym z trzynastu ksiąg dotarł do rozwiązań nad własnościami liczb naturalnych i doszedł do istoty liczb niewymiernych.

Pierwiastek z dwóch – a więc tak początkowy element – nie dał się wciągnąć w logiczny system liczb mierzalnych – zadrwił z doskonałości systemu.

Zaraz potem wypłynął z całą konsternacją i trwał przez wieki casus stosunku obwodu koła do jego średnicy – sławna liczba π .

Zresztą cały problem liczb niewymiernych powstał przed Euklidesem. Bowiem już Platon dał świadectwo, że Theodoros z Cyrenei udowodnił, iż tę samą ważną właściwość niewymierności posiadają pierwiastki z: trzech, pięciu, sześciu, siedmiu, ośmiu, dziesięciu, jedenastu, dwunastu, trzynastu, czternastu, piętnastu, szesnastu i siedemnastu.

Nie jest to istotne, kiedy po raz pierwszy matematycy natknęli się na ten problem, istotne jest jak dalece brzemienym jest ten problem dla stopnia poprawności przyjętej logiki matematycznej. A przecież współczesnym matematykom wiadomo, że liczb niewymiernych jest o wiele więcej niż wymiernych; upraszczając nieco sprawę, można by powiedzieć, że stosunek ilościowy liczb wymiernych do niewymiernych jest jak jeden do nieskończoności!

Czyli tylko rozpatrując przedział tak niewielki, jaki stanowią liczby bliskie jedności, aż tak przeważająca ilość liczb musi w tym systemie logicznym być określana z przybliżeniem. A przecież poza tym maleńkim przedziałem, któremu głównie miał służyć system logiczny, istnieją dwie olbrzymie generacje pojęć, już nie przedziały, ale właściwie wszystko – z jednej strony nieskończenie mały punkt i z drugiej strony ogarniająca więcej niż wszystko nieskończoność w ogóle.

W stosunku do tych dwóch obszarów – przecież podstawowych – system logiczny okazał się beznadziejnie niedoskonały i chyba tylko przez grzeczność pokoleń pokolenia te go nie rozwały.

Istota koncepcji Euklidesa sprowadza się do dziesięciu twierdzeń pierwotnych podanych bez dowodu, z których pięć pierwszych nazwał pewnikami, a drugie pięć postulatami.

Są to pewniki:

- Równe jednemu i temu samemu są między sobą równe.
- Jeśli do równych dodaje się równe, to i całe są równe.
- Jeśli od równych odejmuje się równe, to i reszty są równe.
- Wzajemnie przystające są między sobą równe.
- Całe jest większe od części.

oraz postulaty:

- Zakłada się, że od każdego punktu do każdego punktu można poprowadzić linię prostą.
- Ograniczoną prostą można ciągle przedłużać po prostej.
- Z każdego środka każdym rozwarciem można zakreślić koło.
- Wszystkie kąty proste są równe między sobą.
- Jeśli prosta padająca na dwie proste tworzy po jednej stronie kąty wewnętrzne, które w sumie są mniejsze od dwóch kątów prostych, to te proste przedłużane nieograniczenie schodzą się po tej stronie, po której kąty te w sumie są mniejsze od dwóch kątów prostych.

Tak więc w teorii matematycznej wyróżniamy dwa zbiory twierdzeń – jedne zwane obecnie aksjomatami, a drugie teorematami – przy czym i jedne, i drugie niektórzy wprost zwą hipotezami tylko.

Bardziej istotnym jest jednak, że matematycy w już bardzo wczesnym okresie rozwoju matematyki uświadomili sobie tę prawdę, że wszystko zależy od tego, co człowiek postuluje. Reszta jest sprawą banalną.

O ileż więc bardziej uczciwą jest religia, która choć też posługuje się i buduje swą istotę na aksjomatach jak i teorematach, jednak skutecznie obroniła się przed utożsamianiem jej z nauką.

Odnotujmy jeszcze w świadomości następujące fakty.

Jest sprawą bezsprzeczną, że system dziesiętny wywodzi się jedynie z tak banalnego faktu jak dziesięć palców u rąk człowieka; że pojęcia matematyczne rodzące się w mózgu jednego człowieka tak wyraźnie wyeksponowały pojęcie jednostki; że działania matematyczne, choć po-

dzielone na odrębne grupy jak dodawanie, odejmowanie, mnożenie, dzielenie, potęgowanie, pierwiastkowanie itd. są w istocie swej pojęciami geometrycznymi, która to wiedza nigdy nie wyzwoli się ze swego praktycyzmu; że nawet stworzenie w konsekwencji pomostu formalnego, bo logiczny zawsze istniał, między matematyką a geometrią w postaci geometrii analitycznej, nie wykluczy dominującego sposobu myślenia teoretyków wywodzącego się z praktyki punktu, a zwłaszcza prostej, płaszczyzny, czy bryły, to jest tych pojęć, które są właściwe działaniu człowieka, a którego to działania efekty są możliwe jedynie w niewielkiej skali – co z gruntu skaziło matematykę.

Pewne znaczenie dla dalszych rozważań ma paradoks dziejów sprowadzający się do faktu, że cała ta ogromna wiedza matematyczna miała wszelkie szanse po temu, by poprzez mroki średniowiecza nie przetrwała do naszych czasów. Może już nawet nie będzie istotnym pytanie – co nie miało tej szansy?



Giovanni Gerolamo Saccheri – urodzony 5 września 1667 roku w Genui w Italii, zmarł 25 października 1733 w Mediolanie.

Natomiast bardziej istotne znaczenie dla dalszych rozważań ma los samych twierdzeń pierwotnych Euklidesa. W zasadzie nic nie zostało kwestionowane poza piątym postulatem. Rozważania nad nim to niemal osobna epoka, która po wielu trudach związanych z licznymi próbami wykluczenia go, zrodziła jedynie najpierw w umyśle Saccheri'ego trzy hipotezy – kąta ostrego, prostego i rozwartego, a potem geometrię Łobaczewskiego, Bolyai'a i Gausa, i później geometrię Riemanna.

Saccheri przyjął, że piąty postulat – sprowadzający się do dylematu dwóch prostych równoległych – można podważyć, bądź potwierdzić przyjmując dla kątów zewnętrznych kolejno wariant kąta ostrego, potem prostego i wreszcie rozwartego.

Na wariancie kąta ostrego, niezależnie od siebie zbudowało nową identyczną teorię matematyczną aż trzech matematyków wymienionych wyżej, a zwaną geometrią nieeuklidesową.



N. I. Lobachevsky
1792-1856

Nikołaj Iwanowicz Łobaczewski (ros. Никола́й Ива́нович Лобаче́вский)
ur. 1 grudnia 1792 r. w Niżnym Nowogrodzie - zm. 24 lutego 1856 w Kazaniu.



János Bolyai (ur. 15 grudnia 1802 Kolozsvár, zm. 27 stycznia 1860
Marosvásárhely).



Carl Friedrich Gauss - ur. 30 kwietnia 1777 w Brunzswiku, zm. 23 lutego 1855 w Getyndze.

Natomiast na wariacie kąta rozwartego, przy odrzuceniu twierdzenia, że prosta jest nieskończona powstała druga geometria nieeuklidesowa zwana dziś eliptyczną. W konsekwencji Riemann opracował szereg geometrii, z których jedna znalazła zastosowanie w badaniach nad przestrzenią kosmiczną, a którą zaczęto nazywać „przestrzenią zakrzywioną”.



Georg Friedrich Bernhard Riemann
(ur. 17 września 1826 - zm. 20 lipca 1866).

Tego typu perypetie upoważniły uczonych do wypowiedzi o charakterze nauki w ogóle. Ernest Nagel stwierdził wręcz, że „nauki formalne wyróżniają się tym, że jedynymi stosowanymi w nich zasadami postępowania badawczego są reguły logiki, a także tym, że twierdzenia tych nauk nie są twierdzeniami o pewnych aspektach istniejącego świata, lecz czymś, co jest postulowane przez myśl”.



Ernest Nagel

Ernest Nagel (ur. 16 listopada 1901r. w Pradze, zm. 22 września 1985r.
w Nowym Jorku).
(National Academi of Sciances).

Podobnie P.W. Bridgman stwierdził: „Jest najzwyczajszym truizmem, narzucającym się nawet niezbyt wnikliwej obserwacji, że matematyka jest tworem umysłu ludzkiego”.



Percy Williams Bridgman (ur. 21 kwietnia 1882 w Cambridge, zm. 20 sierpnia 1961).

Taki stosunek do matematyki upoważnił z kolei do rozważań nad innymi niż euklidesowa teoriami matematycznymi, które za podstawę przyjęły inne niezdefiniowane twierdzenia pierwotne. Wymienić tu należy teorię Peana, którą oparł Peano na niezdefiniowanym pojęciu reprezentowanym przez nazwę „punkt” i niezdefiniowanej relacji nazwanej „leżeniem między”.



Giuseppe Peano (ur. 27 sierpnia 1858 w Spinetta, zm. 20 kwietnia 1932 w Turynie).

Później Peano opublikował teorię opartą o zbiory „punktów” i niezdefiniowane pojęcie „ruchu”. Podobnie postąpili, dając swoje teorie geometrii euklidesowej, Hilbert, następnie Oswald Veblen i potem Gilbert de B. Robinson.



David Hilbert (ur. 23 stycznia 1862 w Królewcu (Prusy Wschodnie) - zm. 14 lutego 1943 w Getyndze) - matematyk niemiecki.



Oswald Veblen (ur. 24 czerwca 1880 w Decorah, stan Iowa, zm. 10 sierpnia 1960 w Brooklin, stan Maine) – amerykański matematyk pochodzenia norweskiego.



Gilbert de Beauregard Robinson (1906-1992) był kanadyjskim matematykiem.



Rozdział 25

biały pion bije piona na c4
czarny pion bije piona na c4

Dla mnie wydaje się być istotne wprowadzenie przez Oswalda Velblen'a i Robinson'a niezdefiniowanego pojęcia „porządku” – trzy punkty A, B, C znajdują się w „porządku” ABC.

Są to tylko moje myśli zapisywane bez dalszych konsekwencji, więc niech mi będzie wolno wyrazić mój pogląd zawarty w następujących twierdzeniach pierwotnych, a których za to co nie wymaga udowodnienia, wydawało mi się słuszne przyjąć tylko to, co nie daje się udowodnić.

> Nieskończoność to początek wszystkiego. <

i dlatego:

– plus nieskończoność i minus nieskończoność stanowi to samo

stąd teorematy:

- nie istnieją tylko cztery punkty tworzące przestrzeń
- nie istnieją tylko trzy punkty tworzące płaszczyznę
- nie istnieją tylko dwa punkty tworzące prostą
- nie istnieje tylko jeden punkt
- jeżeli istnieje ponadto pojęcie zapowiadające porządek, to istnieje ponadto takie pojęcie, które zakrzywi dany porządek
- punkt, prosta, płaszczyzna, przestrzeń nie są wzorcami – nieskończoności

Teraz – dlaczego tak uważam. Wydaje mi się, że generalnie należy odwrócić kierunek penetracji. Człowiek, ze swą matematyką, wychodzącą od niego samego, z elementami tej matematyki stanowiącymi analogię do istoty człowieczej i stąd pojęcie liczby jako wywód od istnienia jednego i wielu osobników, i stąd pojęcie prostej, płaszczyzny i bryły jako wywód od własnego produktu potwierdzonego chyba tylko w kryształach, w każdym razie i jedno, i drugie właściwe jest, nazwijmy to, obszarom ani niezbyt małym, ani niezbyt wielkim – z taką matematyką i z takimi elementami tej matematyki człowiek chciał zmierzać w kierunku tych właśnie obszarów dla niego stale malejących i dla niego stale rosnących, by je określić. Niepowodzenie takiego podejścia musiało być niechybne, gdyż nie da się dziesięciu palców ludzkich rąk przyłożyć do istoty wszechświata.

Dlatego też wydaje mi się, a nawet intuicyjnie czuję, że należy, jak to już określiłem, odwrócić kierunek penetracji. Pojęcia pierwotne i elementy podstawowe wywieść należy od nieskończoności, a skierować się teorią stamtąd do nas. Spodziewam się, że liczba, czy punkt mogą być zastąpione, lub nawet wyparte przez znacznie inne pojęcia, bardziej właściwe istocie nieskończoności.

Tak więc przyjąłem i umiejscowiłem w prawdach pierwotnych te przeciwstawne pojęcia, jakimi są nieskończoność i punkt, dając nieskończoności znamiona początku wszystkiego, a brakowi punktu znamiona końca pojęć. To zanikanie ma swój obszar, w swej specyfice, bliski nieskończoności. I dlatego ująłem to tak, że gdyby istniały tylko cztery punkty, to nie mogą one nigdy wyznaczać żadnej przestrzeni, gdyż istotą tak wyznaczonej przestrzeni musiałby być taki co najmniej piąty punkt, który znajdując się wewnątrz pierwotnych czterech punktów uczyniłby tę przestrzeń faktem, a w sensie pojęć udowodniłby ją. Cztery punkty, jako jedyny zbiór, nadal mogą jednak, w sprzyjających temu układach, czynić płaszczyznę i prostą.

Schodząc o szczebel niżej twierdzę, że gdyby istniały tylko trzy punkty, nie mogłyby one nigdy wyznaczać żadnej płaszczyzny, gdyż istotą tak wyznaczonej płaszczyzny musiałby być taki co najmniej czwarty punkt, który znajdując się wewnątrz pierwotnych trzech punktów uczyniłby tę płaszczyznę faktem, a w sensie pojęć udowodniłby ją. Trzy punkty, jako jedyny zbiór, nadal nie zostały zakwestionowane i nadal mogą jednak, w sprzyjających temu układach, czynić prostą. Ponadto trzy punkty, jak i każda większa ich ilość z powodzeniem dowodziłaby istoty punktu samego w sobie.

Ostatni szczebel, najdobitniej wskazujący na względność pojęć i ich rozciąganie w przestrzeni, to tylko dwa punkty. Gdyby istniały tylko dwa punkty, nie mogłyby one nigdy wyznaczać żadnej prostej, gdyż istotą tak wyznaczonej prostej musiałby być taki co najmniej trzeci

punkt, który znajdując się pomiędzy dwoma pierwotnymi punktami, uczyniłby tę prostą faktem, a w sensie pojęć udowodniłby ją. Dwa punkty, jako jedyny zbiór, dowodzą się wzajemnie, w istocie filozofii punktu.

Dlatego też nie istnieje tylko jeden jedyny punkt, gdyż potrzebny byłby co najmniej drugi taki punkt, który przynajmniej ten pierwszy punkt czyniłby faktem, a w sensie pojęć udowodniłby go.

Równocześnie powyższe dowodzi braku dostatecznych podstaw do utrzymania pojęcia liczby.

Przynajmniej tyle trzeba do zapoczątkowania innego sensu.

Jeżeli pogodzimy się z początkiem wszystkiego w nieskończoności i z nieistnieniem tylko jednego punktu – równoznacznie przyjmując brak filozoficznego znaczenia dla słowa „jednego” jak i dla słowa „punktu” – najbardziej istotny i najbardziej przydatny winien okazać się teoremat przedostatni, traktujący o zakrzywieniu porządku. Pamiętając o teoremacie o nie istnieniu tylko jednego punktu, potrzebne jest istnienie innego pojęcia, które wspólnie zapowie pewien porządek. Z pewnością wówczas znajdziemy takie następne pojęcie, które udowodni ten porządek. Mogą być i inne dalsze pojęcia w danym porządku. Wszystko to jednak jest nieistotne. Szczegółowość specyfiki nowego podejścia, dającego niespotykane dotychczas możliwości, jest oparcie się na istocie możliwości zбочenia od zarysowującego się porządku.

Gdyż wystarczy pewna doza względności by:

- dwa punkty zawsze stanowiły się wzajemnie jako punkt;
- trzy punkty zawsze stanowiły krzywą;
- cztery punkty zawsze stanowiły powierzchnię (nie mylić z płaszczyzną), a
- pięć punktów zawsze stanowiło przestrzeń.

Wszystko oczywiście w granicach zastosowanej i dopuszczalnej względności mieszczącej w sobie nowe pojęcie dla obszaru stosowalności liczby jak i samej liczby.

Z kolei dopuszczalne byłoby abstrahowanie od pojęcia liczby, bo od pojęcia tylko jednego punktu, już w stopniu do dalszych rozważań dostatecznym, abstrahowaliśmy w poprzednich wywodach, i uznać jako nowe elementy matematyki, zastępujące liczbę, pojęcia stanów wyżej opisanych, to jest:

- stan nieskończoności
- stan zapowiadający porządek
- stan zakrzywiający zapowiadany porządek
- stan zakrzywiający ten zakrzywiony porządek
- i rodzące się z nich pokolenia sytuacji, uwzględniając już w tym miejscu, że stanem zakrzywiającym porządek może być stan zapowiadający porządek i wszystkie następne stany pochodzące z innej sytuacji, a teraz wpływające na siebie wzajemnie zakrzywiająco.

– Najistotniejsze jest jednak, że każdy taki uprzednio omówiony stan, już nawet dostatecznie skomplikowany i złożony, może stanowić stan zapowiadający pewien porządek, czyli może być znów czystą, wyabstrahowaną sytuacją, może lec u początku pewnego zapowiadającego się porządku.

– Szczytem logiki jest tu, że jest on przez tę właściwość stanowienia początku jakiegoś porządku, że jest on samą nieskończonością, gdyż mieści się w istocie nieskończoności, a istota nieskończoności mieści się w istocie każdego początku.

Można by nieomal rzec, że nieskończoność i początek jest wszechobecny.

Zastrzeżenie – nieomal – ma równoważyć to, że jakże nieistotne jest – co można by rzec.

Tego nie można rzec, to nawet nie jest faktem, to zwyczajnie jest, ale też tylko wtedy kiedy jest.

Były to moje refleksje spowodowane lekturą książki pod tytułem „*Istota – matematyki – pojęcie teorii matematycznej*”, której autorem jest Carroll V. Newsom. Z książki tej przytoczyłem te stwierdzenia, z którymi polemizowałem. Z niej też pochodzą wszystkie cytaty.

Myśli te były jedynie w mej głowie, nie śmiałem ich napisać. Byłem zaskoczony wielce swą beczelnością i zarozumiałstwem. Myślałem, co z tym począć. Taki sposób myślenia odpowiadał mi całkowicie i byłem jego pewien.

Ale byłem jednocześnie pewien oburzenia autorytetów, gdybym spróbował podać to do publicznej wiadomości. Już samym brakiem cenzuru zmiotłoby mnie w pierwszym podmuchu. Myślałem również, by choć sformułować na podstawie przedostatniego teorematu prawo matematyczne, które jest tak oczywiste, że aż się ciśnie do napisania, i nazwać je „prawem chaosu”, i posłać je do jakiegoś czasopisma matematycznego dla dowcipu. I to sobie wyperswadowałem. Wreszcie przez dwa dziesięciolecia zamyślałem wpleść to, jako oczywistą fantazję, w jakąś powieść ilustrującą debiuty myśli pewnego zwykłego mózgu...

Aneks:

Jest zbiór A.

Poza tym zbiorem niczego nie ma.

Gdyby się nawet coś pojawiło, to będzie to jedynie znaczyć, że nie doszacowano zbioru A.

Więc zbiór A jest wszystkim.

A ma wiele części B, C itd.

Częścią B nazwałem uproszczenie przedziwnych właściwości zbioru A.

Część musi mieć swoje relacje do zbioru A.

Jest niemożliwe, aby każda część miała takie same właściwości jak pozostałe, bo taka jest istota A.

Więc inna część C ma swoje relacje do zbioru A.

Relacja od B ma prawo nie mieć związku i konkluzji znajdujących się w relacji od C.

Jest to „prawo chaosu”.

nota bene zaczęte około 1950 roku.

Teraz pod pojęcie części podstawmy człowieka-ludzkość i zrelatywizujmy jego-jej konkluzje;

dostrzeżmy wreszcie jego-jej związki z A

– przecież nie mogą one być pełną, poprawną i wszystko tłumaczącą wiedzą.

Warszawa, 18 lutego 1996 roku o godzinie 6⁴⁵.

*



Rozdział 26

biała wieża na c3
czarny skoczek na d4

Nie wiem właściwie, od czego to się zaczęło. Problem ten istniał we mnie od wielu lat; był jednym z mierników krzywdy ludzkiej; przyniosła mi go literatura. Stan ekstremalny wyznaczał wiersz Marii Konopnickiej pod tytułem „*W piwnicznej izbie*”, gdzie chore dziecko i zapracowana matka tęsknią za słońcem i za jego zbawczymi promieniami, lecz muszą żyć w ponurej piwnicy, do której nigdy promyk słońca nie zajrzy. Opowiada więc matka swemu syneczkowi dziwy nad dziwami o tym, jakie to jest to słońce, a jakie w nim łany... i życie całe...

Przeciwnie temu ekstremum wyznaczył Stefan Żeromski, gdy marzył o „szklanych domach”, do wnętrza których zawsze dotrze słońce – miał to być cel równie wspaniały, jak nieosiągalny.

W pierwotnym rękopisie mej książki następował tu opis zawarty na wielu stronach, dotyczący wielu miesięcy pracy, studiowania zagadnienia urastającego dla mnie do badań nad komfortem biologicznym człowieka, przy założeniu wyciągania wniosków dla teorii architektury. Nawet wiele z tych dociekań nadal jest interesujące, jednak daruję czytelnikowi taką lekturę.

Chodziło mi o to, że natrafiłem, a potem przez szereg miesięcy zgłębiałem wieloletnie badania naukowców sprowadzające się do badania zjawiska nasłonecznienia poprzez precyzyjne zapisywanie wartości tego nasłonecznienia w porach dnia i miejscach geograficznych.

Przejdźmy do momentu, gdy moja bibliografia zbliżała się do tysiąca pozycji, gdy odważyłem się na stworzenie podstaw do dalszych rozważań. Doszedłem do wniosku, że zakończenie tych rozważań pracą doktorską dałoby im glejt naukowej poprawności i umożliwiłoby mi włączenie ich w zasadniczy nurt wydarzeń postępu myśli ludzkiej.

Rozpoznawanie problemu musiało siłą rzeczy rozprzestrzenić się na wiele pokrewnych aspektów zagadnienia. Teraz należało nałożyć sobie konkretyzujące rygory i zawęzić zakres podstawowych rozwiązań.

Tak więc temat pracy sprecyzowałem jako „model operowania zależnościami występującymi między promieniowaniem słonecznym a kształtowaniem przestrzennym budownictwa”.

Znów pominię uszczegółowienia, ale proszę mi wierzyć, że spisałem bardzo dokładnie plan moich dalszych badań.

Wybrany przeze mnie znany mi doktor Ryszard Karłowicz nie podzielił zgoła mego entuzjazmu. Ograniczył się do sugestii innej pani profesor na opiekuna. A gdy z tą nie mogłem w ogóle się spotkać, podał jeszcze inne nazwisko.

Wskazanej osobie przedstawiłem proponowany temat pracy doktorskiej. Od razu się zrozumieliśmy. Trzeba było jeszcze tylko nieco zmodyfikować ten temat. Stale brakowało jeszcze jakiegoś jednego słowa, a temat przechodził coraz dziwniejsze mutacje. Tak zmienił się na „słońce jako czynnik warunkujący prawidłowe funkcje człowieka w sytuacji wielkomiejskiej na przykładzie Warszawy”; potem na: „Taksonomiczna metoda optymalizacji architektonicznych układów przestrzennych na przykładzie warszawskiego budownictwa mieszkaniowego”; następnie na: „Powiązania i uzależnienia w społecznym koszcie budownictwa na przykładzie budownictwa mieszkaniowego”; oraz na: „Relacje w społecznej wartości sposobu wykorzystania przestrzeni na przykładzie budownictwa mieszkaniowego w Warszawie”.

Wreszcie gdy mój temat przybrał formę, po wielu konsultacjach u pana docenta: „Elementy kształtowania środowiska wyższych uczelni w modelu zasadniczych dokumentów merytorycznych procesu inwestycyjnego” i gdy miała nastąpić jeszcze tylko zmiana jednego niezidentyfikowanego w temacie słowa, pan docent zaproponował mi możliwość rewanżu z mojej strony w sprawie dla niego bardzo istotnej, a do której rzekomo całkiem się nadawałem. Taka zwyczajna przysługa za przysługę...

*



Rozdział 27

biały hetman na f1
czarny skoczek na b3

... doktoratu nie zrobiłem.

Zresztą uświadomiłem sobie, że doktoratu z architektury właściwie nie da się zrobić. ...może jeszcze z historii architektury, może z czegoś przydatnego bądź przynajmniej bliskiego architekturze, ale nie z architektury. Nauka stawia tezę i ją udowadnia. Architektura nie, architektura jest twórczością, więc nie polega na postulowaniu i udowadnianiu. Dlatego też architektury nie da się zdefiniować, ani udowodnić, można ją jedynie, i trzeba, tworzyć.

Twórczość słowa zewnętrznie uzależniona jest jedynie od zwielokrotnienia drukiem, ale gdy tylko słowo zostaje napisane, proces twórczości jest spełniony – istnieje jednak dopiero w kontakcie z czytelnikiem. (Paradoksem było, że mnie przyszło postawić taką tezę, a potem przez kilkadziesiąt lat nie zdołałem przekonać żadnego wydawcy do wydania którejkolwiek z moich książek).

Twórczość dźwięku też wymaga zapisu i tym samym jest niemal w całości spełniona, ale istnieje w pełni dopiero w sumie z odtworzeniem.

Twórczość barwy zewnętrznie uzależniona jest od płótna lub papieru oraz od barwników i narzędzi, np. pędzli.

Podobnie twórczość kształtu wymaga materiału i narzędzi.

Twórczość architektoniczna w samym swym zapisie jest jeszcze niczym, wymaga dużych środków materialnych i technicznych, a nawet wymaga istnienia zamówienia.

Wymieniłbym jeszcze twórczość gestu, czy ruchu, która jest ulotna w swej istocie, stale przemijająca.

Takie rozróżnienie twórczości jest zapewne niedoskonałe, ale wykazuje, że architektura do swego spełnienia wymaga znacznych środków materialnych. Otrzymanie do dyspozycji tak wielkich środków uzależnione jest od wykazania, że środki te będą użyte najlepiej jak to możliwe. Temu celowi służą konkursy architektoniczne i są właściwie jedyną drogą młodego architekta.

Uświadomiwszy to sobie poszedłem tą drogą. O konkursach myślałem już znacznie dawniej. Z próby uczestniczenia w konkursie na kościół w Nowej Hucie zrodziła się koncepcja mojej pracy dyplomowej. Od konkursu osiedla „Za Żelazną Bramą” wziął swój początek poprzedni rozdział o słońcu w architekturze. Praca moja nad tym konkursem przebiegała nawet poprawnie, ale tylko do momentu, gdy zechciałem za pomocą dostępnych metod ocenić prawidłowość nasłonecznienia budynków osiedla.

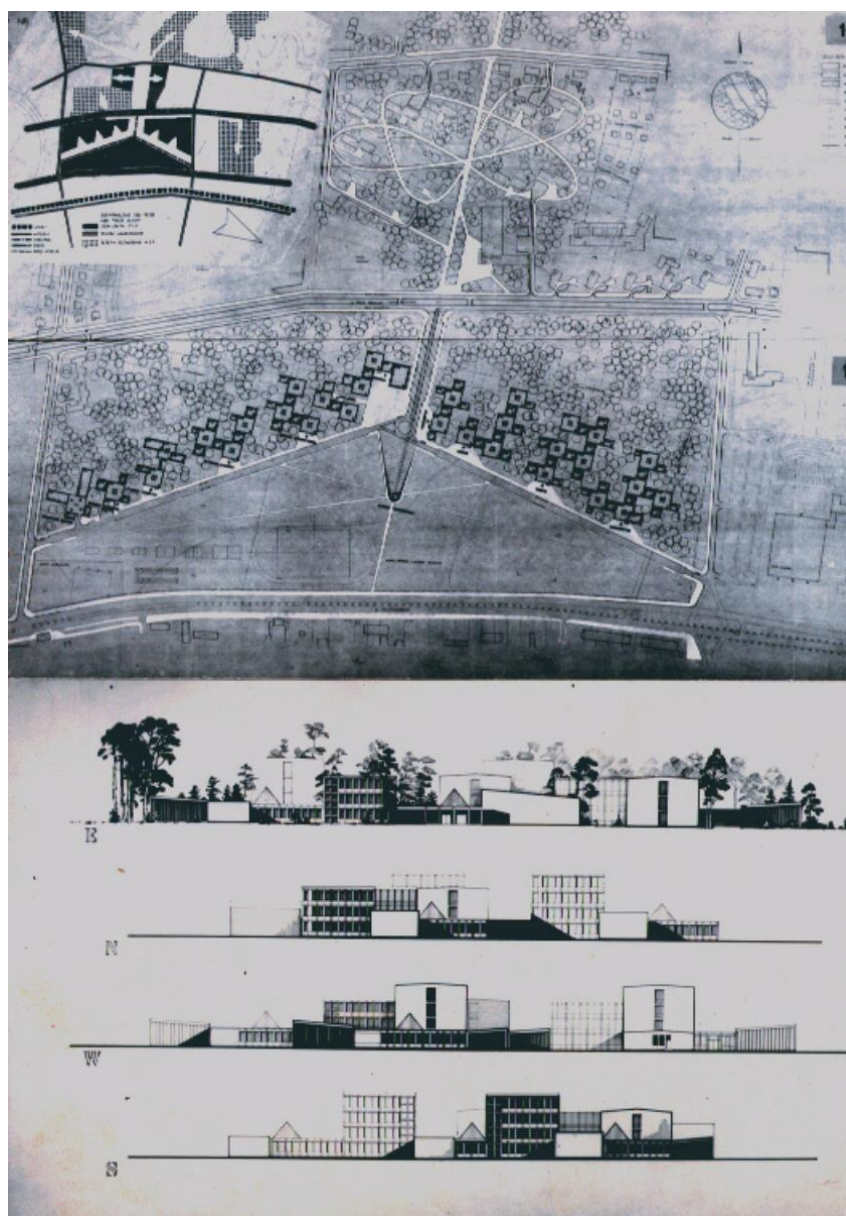
Dotychczasowe ograniczenie mojego zainteresowania konkursami wynikało ze względów formalnych. Szereg konkursów było dostępnych jedynie dla członków Stowarzyszenia Architektów Polskich, a członkiem można było zostać tylko poprzez znalezienie dwóch członków SARP wprowadzających. SARP bardzo zazdrośnie strzegł praw swoich członków. Przekonałem się o tym, gdy zapragnąłem wziąć udział w międzynarodowym konkursie na projekt rozbudowy placu w centrum San Francisco. Już oczy wyobraźni bujały w obłokach powodując ekstazę całej mej osobowości, ale wszystko zawaliło się z braku pięciu dolarów na wykupienie warunków konkursu. Nawet była pewna szansa na uzyskanie prawa do wymiany w Narodowym Banku Polskim złotych na te upragnione pięć dolarów, ale trzeba było mieć pozytywną opinię SARP, a te wydawane były jedynie dla członków. Na moim wniosku przyłożono trzy pieczęcie. Jedna firmowa NBP, druga o treści: „ODMÓWIONO. Decyzja powyższa nie wymaga uzasadnienia, jest ostateczna i nie przysługuje od niej odwołanie” (tu moc artykułów). Żałuj więc Kalifornio. Za jedne pięć dolarów, jestem przekonany, straciłaś tak wiele.

Wyższa szkoła winna wyróżniać się swoistą specyfiką: winna mieć charakter kampusu, być wśród zieleni, mieć możliwość rozbudowy, mieć wiele zakamarków i miejsc do swobodnego przebywania studentów poza zajęciami. Moja koncepcja polegała na zaprojektowaniu szeregu klocków do dowolnego zestawiania zgodnie z potrzebami. Podstawowym klockiem był parterowy kwadrat z umieszczoną w nim pośrodku oranżerią przykrytą szklaną piramidką, a wokół niej przestrzenie rekreacyjne i komunikacja. Element ten stanowił łącznik dla pozostałych funkcji uczelni, które były zaprojektowane w osobnych klockach, jedne z pokojami dla naukowców, inne były audytoriami itp. Obok uczelni w założeniu parkowym umieściłem domy akademickie, stołówki, kluby studenckie. Cały zespół został oddzielony od ruchliwej trasy Gdańsk-Gdynia pasem urządzeń sportowych. Na tych założeniach oparłem swoją propozycję konkursową.

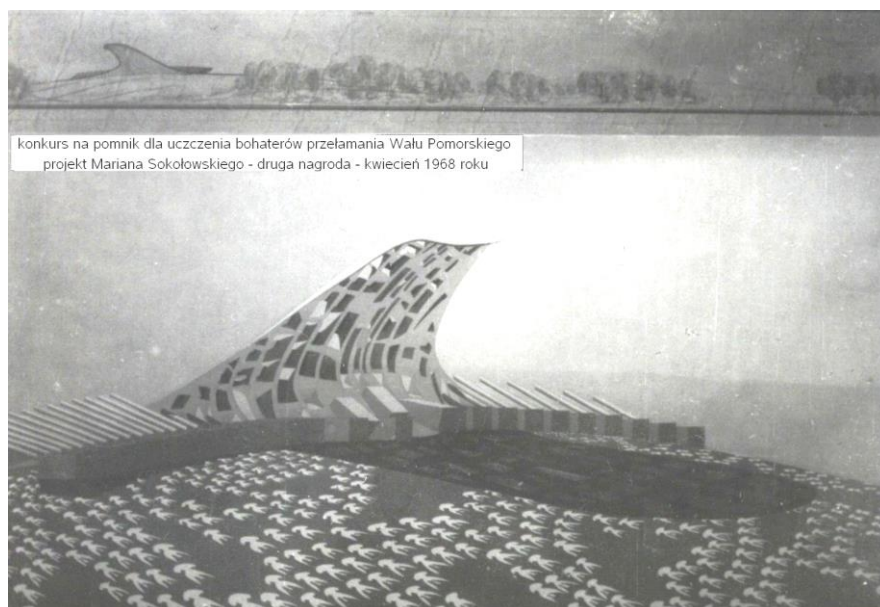
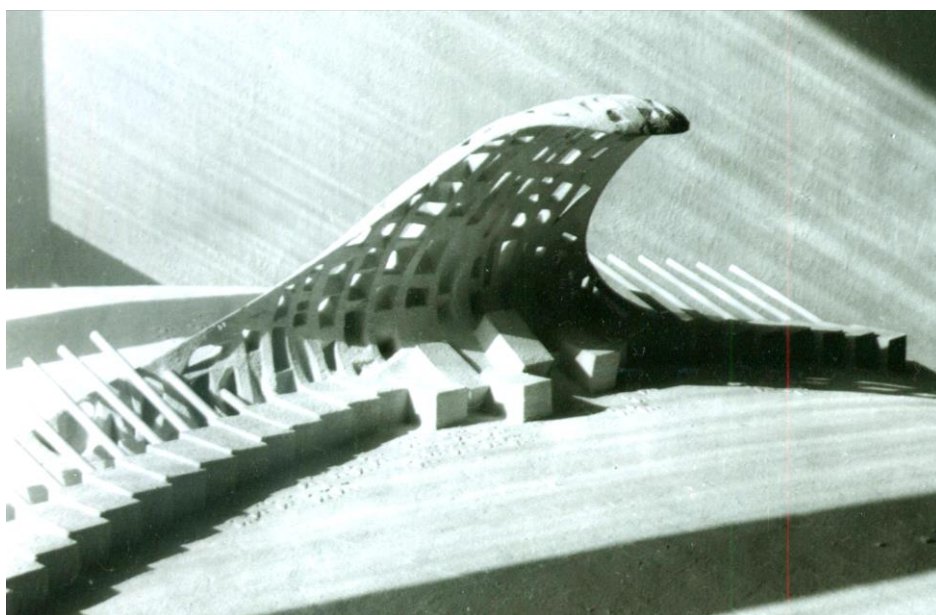
Zawarłem też w tej pracy swoją idee fix wielu lat – oddanie czci tym wszystkim, którzy nas uczyli, uczą i uczyć będą – zaproponowałem wybudowanie pomnika nauczyciela, gdzie jak przy Grobie Nieznanego Żołnierza oddawalibyśmy hołd tym żołnierzom czasu pokoju. Szkoda, że nie udało mi się zaszczepić społeczeństwu tej idei.

Byłem właśnie na wypoczynku nad morzem, gdy dotarła do mnie wiadomość, że otrzymałem za tę pracę wyróżnienie drugiego stopnia. O zmierzchu leżałem na piasku, a spokój morza jednoczył się z uczuciem mej cichej radości z odniesionego wreszcie sukcesu. Za otrzymaną nagrodę kupiliśmy maszynę do pisania i maszynę do szycia.

projekt konkursowy Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Gdańsku-Oliwie



Ostatnim konkursem, na który zdobyłem się, był pomnik dla uczczenia bohaterów przełamania Wału Pomorskiego. W koncepcji konkursowej połączyłem ideę symboliczną i abstrakcyjną. Od lat pamiętałem, że gdy babcia nie chciała mnie zbyt wtajemniczać w sprawy, które były nie dla mnie – gdy pytałem – co to jest? – odpowiadała – drzwi do lasu. Te drzwi do lasu były w mej wyobraźni przez wiele lat czymś szokująco ciekawym. Teraz zapragnąłem zrealizować okno w lesie – pojęcie tak dalece abstrakcyjne, że mogło być użyte właściwie tylko dla funkcji pomnika. Zrobiłem wspaniałą makietę pomnika i z wynikiem wiązałem wielkie nadzieje. Już mi było bardzo ciężko i wprost jako wybawienie widziałem możliwość zaszczytu się w te lasy i budowanie tej rzeźby. Niestety, choć dostałem aż wyróżnienie pierwszego stopnia, tak mozolnie przygotowywany przez życie mój los musiałem spełnić tutaj – ja, nieustający debiutant.



*



Rozdział 28

biała wieża bije pioną na c4
czarny hetman bije pioną na a3

Któregoś dnia dostałem wezwanie do Wojskowej Komendy Rejonowej. Tam wszechstronne badania stanu zdrowia, a następnie rozmowa. Na pytanie, co obecnie robię, odpowiedziałem, że zajmuję się ciężkim sprzętem budowlanym.

Od pewnego czasu jakby awansowałem zawodowo. Polecono mi kontrolę pracy wszystkich żurawi wieżowych na warszawskich budowach. Jeździłem, odnotowywałem, ile kondygnacji żuraw zmontował, w jakim czasie został przewieziony pod następny budynek, ile trwał montaż żurawia na nowym miejscu. Z tych obserwacji wychodziły konkrety. Wiedziałem, gdzie montują sprawnie, gdzie żuraw leży, bo coś nie zostało skoordynowane. Tym sposobem podnieśliśmy w niewielkim stopniu wydajność montażu, ale przede wszystkim znikły na warszawskich budowach żurawie stojące beczynnie, bądź leżące gdzieś za budynkiem. I to nie dlatego, żeby się tak znacznie poprawiła organizacja robót, poprawiła się organizacja radzenia sobie ze mną. Niepotrzebne żurawie nagle zniknęły z pola widzenia, a mnie oświadczano, że „poszedł do remontu”.

Nie wiem, jak tam z nimi naprawdę było, w każdym razie rozmawiający ze mną oficer zakwalifikował mnie na trzy miesiące do Wyższej Szkoły Wojsk Inżynieryjnych we Wrocławiu. Zostały przerwane me pasje twórcze, przerwałem naukę angielskiego i wyjechałem do Wrocławia.



Tu życie okazało się znacznie lepsze, niż to sobie wyobrażałem. Zajęcia były solidne, a do tego byłem przyzwyczajony przez te lata na uczelni. Jeść dawano nam dobrze i schludnie. Było wreszcie dużo czasu na sport. Mieliśmy przy sobie stałe przepustki. Polubiliśmy naszych dowódów.

Może tylko pewne śmieszności, ale gdzież ich nie ma? Zaraz na początku przeprowadzono szczegółowe rozpoznania, wybrano najstarszego wiekiem, członka partii, pochodził z dobrego zakładu pracy – i wyznaczono go, że będzie prymusem. I był!

Że ciągnęło nas do bliskich, więc braliśmy przepustki, kiedy tylko się dało. Pędziliśmy wówczas na dworzec, by jeszcze tego wieczoru dotrzeć do domów. Noc, dzień razem, i choć trzeba było wrócić na apel wieczorny, to tym z daleka pozwalano wrócić w nocy, byle przed pobudką.

Wracaliśmy nocnymi pociągami, w tłoku, potem o czwartej rano wyskakiwaliśmy w tę ciemną, mroźną jeszcze noc i widzieliśmy w wyobraźni tylko przyjazne łóżka wojskowe. Toteż gdy w tunelu dworca jakiś oficer marynarki mijając nas powiedział: „dzień dobry”, stanęliśmy,

popatrzelismy po sobie, nawet któryś zapytał sennie: – Znasz go? – i odwróciliśmy się, by ustalić, który też z nas może mieć taką znajomość. Sytuacja musiała być tak dalece beznadziejna, że nawet ów oficer tylko rzucił: – Co?! Nawet salutować was nie nauczyli? – i dał za wygraną, a my przypomniałismy sobie, że jesteśmy w mundurach.

Wojsko to wryło mi się w pamięć z paru powodów. Jeden z pułkowników bardzo ciekawie mówił o prawości, a zwłaszcza zaszokował mnie bardzo szczegółową analizą spoufalania się, poprzez które ludzie z zachwianymi normami etycznymi i z nie najbardziej chwalebnyimi intencjami potrafią żerować na ludziach prostych i uczciwych. A miałem takiego kolegę w Warszawie, który pomiał mną, wykorzystywał i teraz zrozumiałem, że nie jest to przyjaźń. lecz ordynarne spoufalenie.

Tu rozumiałem, jak wiele można wykonać poprzez konsekwentną dyscyplinę dnia, każdego dnia. Bo przecież i poza wojskiem sami jesteśmy zdolni nałożyć sobie taką dyscyplinę życia.

Tu natrafiłem na książkę Jacka Bocheńskiego pod tytułem „*Boski Juliusz*”. Książka ta jest skarbnicą wiedzy o życiu, a zwłaszcza o jego intencjach i ideałach. Z niej dotarła do mnie prawda, że w życiu mężczyzny musi nadejść taki moment, w którym musi on przesądzić nieodwracalnie dalszą drogę życia swego.

Jak rzekłem, mieliśmy stałe przepustki, ale tylko kilka razy z niej skorzystałem. Nie było co robić na ponurych ulicach Wrocławia. Siedzieliśmy więc wszyscy, jak u siebie, w koszarach i spędzaliśmy ten wolny czas najlepiej jak kto potrafił. Była biblioteka, bilard, ktoś urządził kawiarnię. Ja wpadłem na pomysł urządzenia świetlicy. Po działalności przy targach zagranicznych rutynę w tym względzie miałem dobrą. Pozwolenie dostałem, namówiłem paru kolegów i teraz każdą wolną chwilę temu poświęcaliśmy.

Dziwnie rzecz się miała z telewizorem, który jako pierwszy w całej szkole miał się znaleźć w naszej świetlicy. Szkoła nie miała pieniędzy na ten cel, ale szkoła działała skrupulatnie, bo jak wyjeżdżaliśmy na urlop, to otrzymywaliśmy żołąd na te dni poza szkołą. Z tego żołądu kupiliśmy telewizor, niemal z wdzięczności za umożliwienie wyjeżdżania do domu.

Świetlica się udała. Wszyscy byliśmy zadowoleni. Chciano mi nawet zrobić zdjęcie na tle sztandaru szkoły. Nasz dowódca oznajmił mi to przed zdaniem mundurów. Ale fotograf się jakoś spóźnił, a mnie tak bardzo ciągnęło do żony... Wpadłem wraz z innymi po raz ostatni z tej bramy i co sił w nogach popędziliśmy do nadjeżdżającego autobusu, a potem pociągami, każdy w swoją stronę.

Budżet szkoły był tak skąpy, że aby nie pogorszyć wyżywienia wypuszczono nas o całe dziesięć dni wcześniej. Mieliśmy prawo potraktować te dni jako urlop. Wiedziałem o tym dostatecznie wcześniej i postanowiłem, że będzie to dziesięć bajecznych dni. Napisałem listy do wszystkich schronisk w Tatrach. Prawie wszystkie odpowiedziały, a najcieplej zapraszano nad Morskie Oko. Pojechałem oglądać wiosnę w górach – marzenie wielu mych lat. Wraz z żoną znaleźliśmy się tam tak szybko, jak tylko to było możliwe. Dostaliśmy dziwnie powyginany pokój na poddaszu, przez okienko było widać całą dostojną ścianę Mięgoszowieckiego, a gdy leżeliśmy na łóżkach, to z głową przy poduszce widziałem nawet sam szczyt Mięgoszowieckiego Wyżnego. Widok ten był szczególnie piękny o wczesnych godzinach rannych. Wtedy to Mięgoszowiecki nakładał złotą koronę, świetlistą, wspaniałą... czekaliśmy na tę chwilę każdego ranka.

Któregoś dnia, przy wspaniałej pogodzie, pokazały się nad jego szczytem białe jęczyczki, jakby ktoś tam rozpałił ogniska i czarował nas takimi dymkami. A to duło śniegiem – szedł halny. Potem nagle zaczął walić śnieg i tak sypał, aż zasypał do połowy okien. Zabroniono nam wychodzić ze schroniska, zostaliśmy odcięci od świata, paru goprowców, gospodarze, my. Wówczas było to w pełni Schronisko – trzeszczało swym dachem, dawało ciepło i poczucie bezpieczeństwa, przyjaźń dobrych ludzi, przywracało szacunek dla przyrody. I tylko Baca – biały owczarek podhalański wyciem zapowiadał każdą mającą zejść lawinę.

Gospodyni schroniska zapewniała, że jedzenia mamy dużo, że wytrzymamy i miesiąc. Jednak my musieliśmy wracać. Któregoś dnia dowiedzieliśmy się, że jeden z ratowników zdołał zejść do Łysej Polany. Chociaż mieliśmy jeszcze dwa dni pobytu, w obawie przed dalszymi opadami śniegu wyruszyliśmy niezwłocznie. Brnęliśmy w śniegu po pas, ratowały nas ślady tego ratownika sprzed godziny.



Schronisko nad Morskim Okiem – okienko na poddaszu najbardziej po prawej należało do nas.



Mięguszowiecki Wyżny.

*



Rozdział 29

biała wieża bije wieżę na c8
czarna wieża bije wieżę na c8

Na bujanie w obłokach miałem coraz mniejsze szanse. Życie zaczynało wykorzystywać swą przewagę nade mną.

Praca, którą codziennie wykonywałem, stanowiła próbę wytrzymałości dla mego organizmu.

Szczególnie zimą, w kożuchu, bo silny mróz, szedłem po budowie, potem wchodziłem do budynku, w którym trwały prace wykończeniowe, a więc działały podgrzewacze nadmuchujące ciepłe powietrze, suszące dopiero co wykonane tynki. Ciepło i wilgoć powodowały, że zanim wszedłem na górną kondygnację, mimo rozpiętego kożucha byłem cały zgrzany i mokry. Po kilkunastu minutach takiego ciepła wychodziłem na mróz przed budynek, by znów wejść na inny, czasami dopiero montowany, a więc dla odmiany wiatry, przeciągi. Takich budynków musiałem dziennie przejść kilkanaście.

Stosunkowo szybko mój organizm zareagował. Któregoś zwyczajnego dnia nie mogłem wstać z łóżka; nawet drgnąć nie mogłem unieruchomiony przejmującym bólem. Rwa kulszowa. Chwytała mnie ta rwa kulszowa w najbardziej niewłaściwych sytuacjach i pozostawałem unieruchomiony na wiele godzin. Gdy nogę mocno podkurczyłem, nie bolało wcale, ale najmniejszy ruch powodował piekielny ból. Toteż z czasem wypraktykowałem, że trzeba wszelkimi sposobami uchronić się przed tym podkurzeniem nogi – gdy noga była prosta, wprawdzie bolała, ale można było się na niej wesprzeć i poradzić sobie w dotarciu do łóżka.

Dostałem takiego ataku, gdy stałem na warcie w wojsku. Zawieziono mnie do szpitala i uznano symulantem, bo jedynym dowodem dolegliwości były moje oświadczenia. Zresztą gdy doszło do szczegółowych analiz rano w szpitalu, już noga nie bolała.

Zabolało kiedyś na plaży w pełnym słońcu, i czekając, aż wszyscy sobie pójdą z plaży na obiad, musiałem wysłuchać długich i bardzo snobistycznych wywodów moich sąsiadów, że „Andrycz to, Andrycz tamto...” (Nina Andrycz aktorka w PRL, konkubina premiera Cyrankiewicza). Dopiero gdy plaża opustoszała podjąłem ostrożną próbę zajęcia pozycji stojącej.

Leczyłem to u kilku lekarzy. Jeden zaaplikował mi naświetlania, a ponadto kilka litrów tranu i mnóstwo zastrzyków.

Gdy raz wyjechał na urlop musiałem udać się do jakiejś pani doktor. Do jej gabinetu szło się długim wijącym się po połączonych kamienicach korytarzem, sam gabinet był mroczny, pani doktor jeszcze całkiem młoda, a tego dnia wyraźnie zaspana. Usiadła na leżance, mnie kazała też usiąść, ale tak abym plecami oparł się o jej piersi i brzuch, i objąwszy mię od tyłu rękoma, całym swym ciałem i końcami palców badała z przodu moje reakcje. Musiałem być wówczas bardzo zdarty, a zwłaszcza niedomyślny, bo dała za wygraną w tej jedynej w swoim rodzaju wizycie lekarskiej.

Skutek całego leczenia był bardzo niepozorny. Raz po raz ból unieruchamiał mnie na wiele godzin. Lekarz mój skierował mnie do specjalisty neurologa. Starszy pan, tytułowany pułkownikiem zajął się mną jakoś zupełnie inaczej. Kazał się położyć na leżance, wszystkim czekającym przed gabinetem zapowiedział, że już dziś nikogo nie przyjmie, i kazał mi opowiadać wszystko o swoim życiu; czasami nieznacznie o coś pytał, i tak rozmawialiśmy bardzo długo. Potem kazał położyć się na brzuchu i naciskał po kolei każdy krąg mojego kręgosłupa, aż nagle drgnąłem. Spytał, czy boli. Bolało trochę. Pytał, czy miałem jakiś wypadek. Nie pamiętałem. Nalegał jednak, bym szukał w pamięci. Z mrocznego zapomnienia wydobyłem opowiadanie, że kiedyś jeszcze jako niemowlę spadłem podobno ze stołu, ale nic sobie nie zrobiłem.

Drugi raz siedziałem pod drzwiami gabinetu doktora pułkownika, gdy mnie ujrzał, poznał natychmiast, obcesowo wypędził siedzące w kolejce do niego staruszki i zaczął powtórny analizę mojego życia.

I tym razem chciałem zacząć od dojmującego bólu w stawie biodrowym, ale on w zamyśleniu rzucił: – to pan ma ten uszkodzony kręgosłup. Znowu szukaliśmy w moim życiu, aż wyszło, że zawsze miałem niesamowite trudności ze skłonem w przód przy ćwiczeniach gimnastycznych. Wyszło i wiele innych intymności. Wyjaśniał, że taki ucisk kręgu na rdzeń pachowy

może powodować bóle, tak zwane błądzące, których przyczyna wcale nie leży w miejscu ich odczuwania. Stąd problem trudności wyleczenia mej bolącej nogi. Dalej już do siebie, choć nadal w mej obecności, mówił: – ale przecież skutek ucisku na rdzeń pacierzowy może przejawiać się w znacznie bardziej skomplikowanych schorzeniach nerwowych... może nawet na psychice... a jeśli może powodować pobudzenie szczególnych przejawów ludzkiej działalności... czy nawet zdolności?...

Często potem opowiadałem, że lekarz ten wytłumaczył mi, że to jest przypadek, że mnie tam właśnie boli – i samym tym wytłumaczeniem wyleczył mnie.

Nie wiem, czy kiedykolwiek zgłębił swe domniemania. Ja, z dziwnie zawitych powodów, zawsze pragnąłem, by miał rację, by nawet upadek w swej części dawał nędzy ludzkiej trochę osłody.

*



Rozdział 30

biały hetman na a6
czarna wieża na c2

Tymczasem poznawałem smak innej soli życia. Chodziłem jak zwykle po budowach i przy tej okazji widziałem wiele. Dziwiło mnie, jak też odważni potrafią być ludzie, bo taki jeden specjalista od wykończania spoin ścian z cegły, fachowo mówi się – od fugowania, ustawiał sobie taką jakby wieżyczkę z rusztowań i na niej, gdzieś tam pod gzymsem czwartej kondygnacji dokonywał cyrkowych sztuczek. Czasem układał deskę między oknem a tą wieżyczką i tak docierał do najtrudniejszego punktu elewacji. Wiedziałem doskonale, że ja nie odważyłbym się na taką pracę.

Zareagowałem w miejscu, gdzie byłem pewien swej racji. Nauczono mnie w szkole, że każde rusztowanie ustawione przy elewacji budynku musi mieć tak zwane skośne stężenia. Tymczasem zobaczyłem długie rusztowanie – same pionowe słupki i poziome dźwignice, bez jakichkolwiek krzyżulców. Rusztowanie takie miało prawo niespodziewanie zawalić się, złożyć jak domek z kart.

Zgłosiłem to swojemu szefowi, ale że nasz dział zajmował się tylko kontrolą produkcji, ten przekazał mnie innemu kierownikowi działu, szefowi od bezpieczeństwa i higieny pracy. Niedługo potem zadzwonił do mnie dyrektor odpowiedzialny za to rusztowanie, miał wielki żal do mnie. Gdybym był do niego się zwrócił, byłby mi przecież wytłumaczył, że tak trudno zarobić, że trzeba się śpieszyć z planem, że już tyle razy i nigdy się nie zawaliło, że przecież dogadalibyśmy się. Zaskoczony rozwojem sytuacji poszedłem znów do tego szefa od bezpieczeństwa pracy, a ten zirytowany wygłosił mi reprymendę, że nie trzeba wsadzać nosa w nie swoje sprawy i bezmyślnie stwarzać takie kłopoty innym.

A następnego dnia telefonicznie dotarła do nas wieść, że ten specjalista od fugowania spadł ze swej wieżyczki i zabił się. Natychmiast władze wysłały komisję na miejsce wypadku, w skład której wchodziłem i ja. Zadbali o to moi szefowie.

Gdy po dwóch godzinach dotarliśmy na budowę, cieśle właśnie kończyli pośpiesznie wspinać rusztowanie przy budynku, przy którym życie stracił człowiek. Rozmawialiśmy z robotnikami, byli bardzo przejęci, szczegółowo opowiadali, że żył jeszcze, gdy dobiegli do niego, ale zmarł w chwilę potem, jak mu zrobili sztuczne oddychanie.

Wezwał mnie prokurator i chciał, abym mu opowiedział coś więcej o sprawie. Opowiadałem więc jak tu teraz. Słuchał, długo nic nie mówił, ale i on nie wytrzymał mojej obłudnej prostolinijności. Przerwał mi w pewnym momencie i w sposób nie budzący wątpliwości (dziś powiedziałibyśmy – pryncypialny) zwrócił moją uwagę na fakt, że poza już zatrzymanym kierownikiem budowy firma wskazała mnie drugiego jako odpowiedzialnego, bo tylko ja mogłem zauważyć niewłaściwości na budowie. W pełnej konsternacji wybąkałem, iż sądziłem, że znalazłem się tutaj u pana prokuratora jako jeden z wielu członków komisji. Prokurator, dla rozwiania moich wątpliwości przypieczętował: – panie, do jasnej cholery, rozmawiamy tu w cztery oczy i albo pan oświadczy, że niczego pan nie widział, albo postawię pana w stan oskarżenia.

No, proszę. Musiałem być jednak dziwnym zawodnikiem wówczas, bo po usłyszeniu tego zapytałem, czy mogę się nad tym wszystkim zastanowić przez parę minut.

Po zastanowieniu się podyktowałem do protokołu, że niczego nie widziałem.

Podyktowałem to zastanawiając się zaledwie kilka minut, ale potrzebowałem szeregu tygodni, by tak rzucone ziarno grozy rozwinęło się we mnie na dobre. Toteż gdy jako świadek stanąłem przed Wysokim Sądem, tak mnie zamurowało, że nie byłem w stanie odgrzebać w resztkach swej przytomnej świadomości tego, jak się nazywam. Było to dla mnie tak straszne i musiało być tak bardzo widoczne, że doświadczony sędzia – niech mu będą dzięki za to – o nic więcej mnie nie pytał.

Jeszcze parę razy byłem wzywany na kolejne, stale odraczane na termin późniejszy rozprawy. Zawsze na nich siedział na miejscach dla publiczności jak mój cień – ten szef od bezpieczeństwa pracy. Wychodził z sali zaraz po moich zeznaniach.

Po latach dowiedziałem się, że nadzór nad bezpieczeństwem nie był w zakresie moich obowiązków, bo nie miałem jeszcze uprawnień budowlanych i nie mogłem pełnić na budowie funk-

cji obciążonych odpowiedzialnością karną za wypadki na budowie. Ja sprawdzałem postęp robót na budowach kilku przedsiębiorstw budowlanych. To kilkadziesiąt placów budów z setkami domów. Najwyżej raz w miesiącu byłem w stanie dotrzeć do budynku i odnotować, ile już zrobiono. Przy tak dużej ilości budynków nie miałem żadnych możliwości kontrolować jeszcze coś poza postępem robót. Odpowiedzialnym był kierownik budowy i dyrektor tego przedsiębiorstwa. To moi szefowie zrobili ze mnie kozła ofiarnego, złośliwie stawiając mnie w pozycji głównego świadka, a prokurator nie wysilił się i nie zbadał sprawy w stopniu dostatecznym.

*



Rozdział 31

biały hetman na a6

czarna wieża na c2

Wiele się zastanawiałem, jak wcielić w życie moje pomysły. Doszedłem do wniosku, że dotychczasowe niepowodzenia pochodzą z braku oparcia się na konkretnym, twardym gruncie. Należało przecież oprzeć się już dawno na własnym zakładzie pracy i tą drogą realizować swe marzenia. Pracowałem już wówczas piętro niżej, nadal w Zjednoczeniu Budownictwa „Warszawa”, lecz a Zakładzie Badań i Doświadczeń.

Przejrzałem cały arsenał moich skojarzeń i wybrałem na początek coś niewielkiego, ale bardzo istotnego. Widziałem, jak od lat biedzono się nad rozwiązaniem struktury ściany zewnętrznej budynku; nadal efekty były mierne.

Zapisałem się na rozmowę z samym dyrektorem. Był w dobrym humorze, rozmowa nasza odbywała się z samego rana, a mnie imponowało rosnące jego skupienie, gdy zacząłem od słów, że mam pomysł. Szybko zgodziliśmy się w ustaleniu, czego wymagamy od dobrej ściany. Musi ona być dostatecznie wytrzymała na obciążenie stropami i ścianami wyższych kondygnacji. Przy tym powinna być jak najlżejsza. Chcemy, aby nie przepuszczała dźwięków, ciepła i wilgoci.

Mój pomysł polega na skojarzeniu w jedno kilku znanych zjawisk – rezonowałem. Z dotychczasowych znanych konstrukcji najlepiej jest zbudowana kość – ma ona pogrubienia w miejscu styku z inną kością, to jest tam, gdzie przekazywane są obciążenia z jednej kości na drugą; w miarę oddalania się od punktu podparcia pojawia się otwór we wnętrzu kości, a ścianka kości staje się coraz cieńsza – taka budowa stanowi o najwłaściwszym wykorzystaniu użytego na budowę materiału. To pierwsza część pomysłu, a teraz druga.

Kiedyś w telewizji zrobiono takie doświadczenie: dzwonek elektryczny zamknięto w słoju i włączono – nadal robił piekielny hałas, ale w miarę wypompowywania ze słoja powietrza nasz dzwonek cichł i cichł, aż zupełnie nie było go słychać. Doświadczenie dowodziło, że dźwięki nie mogą rozchodzić się w próżni.

A weźmy termos – dotychczas najlepsze rozwiązanie na stworzenie przegrody termicznej między tym, co jest w środku, a tym co jest na zewnątrz. A więc znów próżnia!

Mój dyrektor też był pasjonatem. Aż podskoczył, bo pojął istotę. Ale szybko zamienił się znów w słuch, bo uświadomił sobie, że to jeszcze mało, a ja wyjaśniałem.

Trzeba teraz wykonać prefabrykat, który spełni te trzy warunki. Weźmy formę w postaci zwykłej szuflady – jakieś cztery niskie ścianki, dno oraz weźmy materac turystyczny. Jeżeli teraz do takiej szuflady włożymy taki napompowany materac i przysznurujemy go cienką linką do ścianek formy, to materac będzie całkowicie unieruchomiony i zawieszony we wnętrzu formy, nigdzie jednak jej nie dotykając. Teraz należy całość zalać ciekłym betonem. Po stwardnieniu betonu idea budowy kości jest osiągnięta.

Jeżeli ponadto rurkę, przez którą pompowaliśmy materac, wyprowadzimy na zewnątrz formy, to teraz możemy przez tę samą rurkę wypompować powietrze i wytworzyć tam pożądaną próżnię. Można ponadto na błonie materaca przed jego zabetonowaniem natryskać metaliczną, cienką powłokę, by uzyskać w ten sposób oporność termiczną elementu.

Tak wygląda cały pomysł. Reszta należy do obliczeń i prób. Zasadę tę można z równym powodzeniem zastosować do ścian i stropów wylewanych bezpośrednio na budowie. Można nawet pomyśleć o automatycznym produkowaniu kilkucentymetrowych baniek próżniowych, które dodane do betonu jak kruszywo, zapewnią podobnie pozytywne właściwości ściany.

Mój dyrektor wszystko w lot docenił. Natychmiast wezwał czterech różnych fachowców, którzy wprawdzie bez słowa, ale z niemym zaskoczeniem, a nawet z widocznym oburzeniem słuchali, gdy im polecał, że od tej chwili podlegają bezpośrednio mnie i mają z całą dobrą wolą wykonywać moje polecenia.

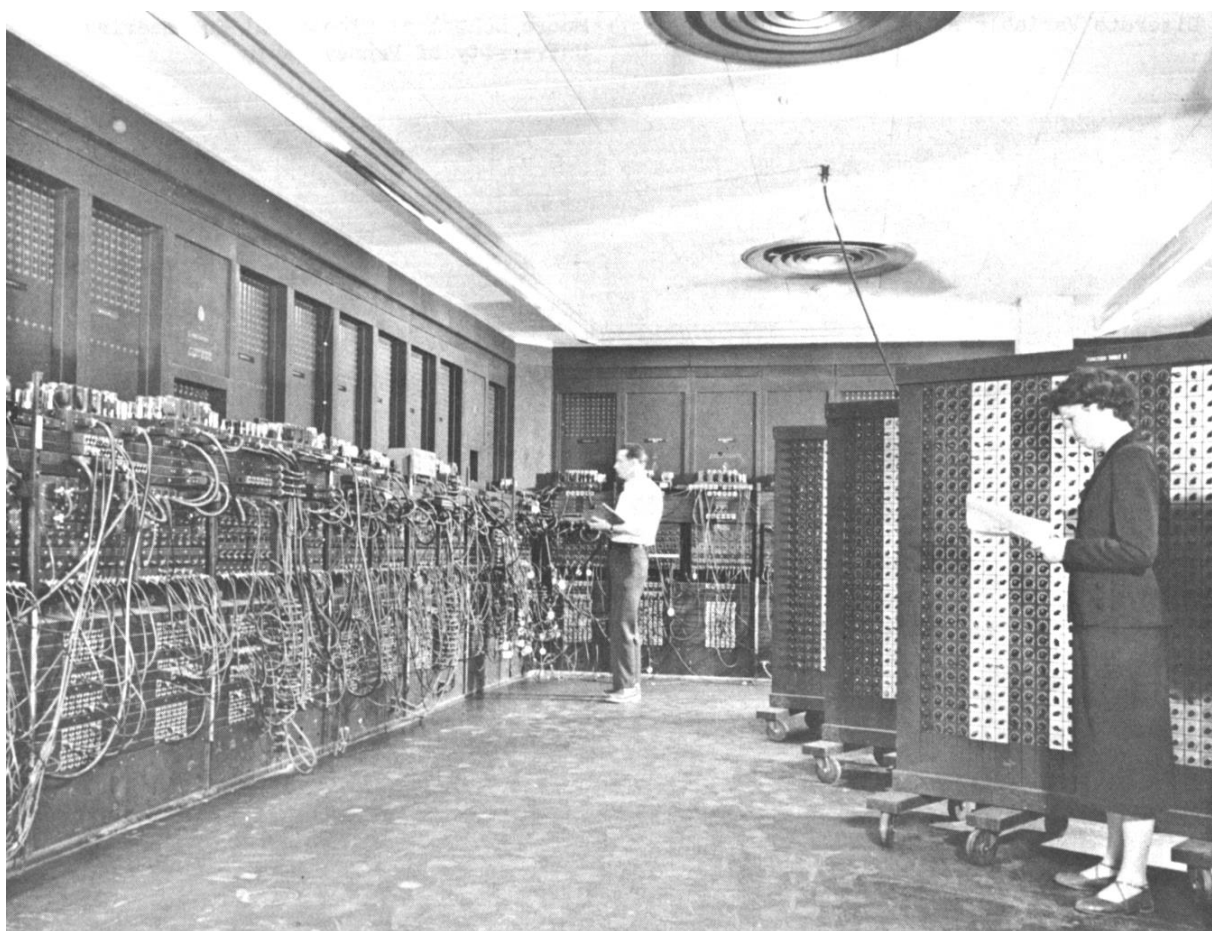
Pozorny tryumf szybko jednak stał się wątpliwy. Zrobiłem tylko rysunki robocze pomysłu i sprawa całkowicie przycichła. Takiemu obrotowi sprawy sprzyjała moja osobista refleksja – dopiero teraz uświadomiona, którą nie podzieliłem się z nikim, że najmniej trwałym stanem na Ziemi jest próżnia, a przecież wieloletnia trwałość to podstawowa cecha poprawnej budowli.

Myślę, że zbyt pochopnie zrezygnowałem z doprowadzenia do końca tego nadal ciekawego pomysłu. Jedyne, co mi zostało, to demonstrowana niechęć do mnie mych niedoszłych podwładnych.

Właściwie nie wracałbym do tej sprawy, gdyby nie zdarzenie mające miejsce po wielu latach. Spotkałem mojego ówczesnego dyrektora, wspominaliśmy wylewnie przeszłość; on już nie dyrektor, a pracownik naukowy instytutu – ja, w pewnym sensie odwrotnie.

Mój były dyrektor w pewnym momencie powiedział: – A wie pan, robię w instytucie doktorat z tych elementów próżniowych, z tych, co to może pan pamiętać, zaczęliśmy wówczas razem rozwiązywać.

W tym Zakładzie Badań i Doświadczeń miałem jeszcze inne znamienne przeżycie. W Polsce pojawił się pierwszy komputer, był on w Ministerstwie Przemysłu Maszynowego. Wymagał sali nieledwie gimnastycznej. Podłoga musiała być przeciwwstrząsowa, była podwójna. Sala musiała być klimatyzowana. Był to komputer prawdopodobnie amerykański, bo Polska dostała go pod warunkiem, że nie będzie użyty do celów strategicznych, a potrafił bardzo dużo, potrafił optymalizować! Wyglądał jakoś tak:



ENIAC (Electronic Numerical Integrator And Computer – Elektroniczny, Numeryczny Integrator i Komputer). Jest to pierwsza maszyna, w której użyto wyłącznie elementy elektroniczne (lampy elektronowe).

Więść niosła, że Polacy spróbowali jednak jakichś obliczeń strategicznych, ale komputer miał wysłać ostrzeżenie, że przy kolejnej próbie nastąpi samodestrukcja komputera.

Był to rok 1963. Dyrektor naszego Zjednoczenia miał brata Bogusia Pawlickiego, który skończył wprawdzie medycynę, ale potem ukończył jeszcze matematykę na Uniwersytecie Warszawskim. Ten Boguś, jak i wielu innych w Polsce, zapalał miłością do komputera, a że miał brata aż dyrektora zjednoczenia, to miał duże możliwości. Przekonał brata dyrektora, że on mu zoptymalizuje pracę na warszawskich budowach. Boguś wyłudował w naszym Zakładzie Badań i Doświadczeń, a mnie do niego dołączono jako znającego się na warszawskich budowach.

Pomysł polegał na zoptymalizowaniu transportu wielu różnych materiałów z wytwórni i dostawców na liczne warszawskie budowy. Znałem place budowy Warszawy, znałem też wytwórnie masowych materiałów. Na każdy plac budowy, na przykład żwir, czy piasek był dostarczany z różnych miejsc w Warszawie. Należało teraz określić drogi przewozu tych materiałów, a komputer miał obliczyć, z których punktów, co i gdzie powinno być przewiezione tak, aby globalna suma drogi tych przewozów była jak najmniejsza, czyli zoptymalizować przewozy.

Robiliśmy to żmudnie i dyletancko, bo inaczej się nie dało. Na planie Warszawy sznureczkiem wyznaczaliśmy tysiące odległości, spisywaliśmy je na wielu arkuszach papieru. Każda z tych danych była potem przenoszona na osobną kartę, która była odpowiednio perforowana za pomocą specjalnej dziurkarki. Ministerstwo posiadające komputer wyznaczało termin dostępu do komputera, a wówczas przez wiele godzin komputer czytywał karty perforowane i potem przez kolejne wiele godzin obliczał, czyli optymalizował. Algorytm, który to robił, nazywał się „simplex”.

Wyniki zostały zaprezentowane zgrupowaniu warszawskich dyrektorów budowlanych, ale poległy, bo dyrektorzy nie wyobrażali sobie, że mają poddać się tak szczegółowym wytycznym, przecież oni lepiej wiedzą i przecież nie zawsze da się tak przejazd zrealizować.

Była jeszcze potem głośna inna optymalizacja. Wojskowa Akademia Techniczna postanowiła zoptymalizować dzienną dietę żołnierza, tak by była wystarczająca, ale i najtańsza. Przygotowano wykazy wszelkich produktów spożywczych, nie pomijając czekolady i bananów. Określono dla nich, poza ceną, ilość kalorii oraz całą gamę wartości odżywczych; podobnie określono różne napoje, a nawet trunki. Z drugiej strony ustalono, ile kalorii trzeba dostarczyć żołnierzowi, ile i jakich witamin i tak dalej. Komputer popracował i zdruzgotał doszczętnie wojskowych, bo określił że najtańszą dzienną dietą będzie półtora litra wody i kilogram chleba razowego.

*



Rozdział 32

biały hetman na a8 i szach królowi
czarny król na h7

Mieszkanie. Trzeba mieć własne mieszkanie. Spostrzegłem, że moja, nie tak dawno założona rodzina jakby stanęła w miejscu. Wszelki realny sens już został w niej osiągnięty zawarciem związku małżeńskiego i inne elementy sensu rodziny były poza zasięgiem nawet wyobraźni. Zamiast, może z wielkim mozołem, zdobywania kolejnych wartości do wzmocnienia idei i piękna rodziny, zaistniały, natychmiast, bez żadnego wysiłku, same, optymalne warunki do jej rozpadu; to już nie istotne, jeżeli nawet bardzo powolnego.

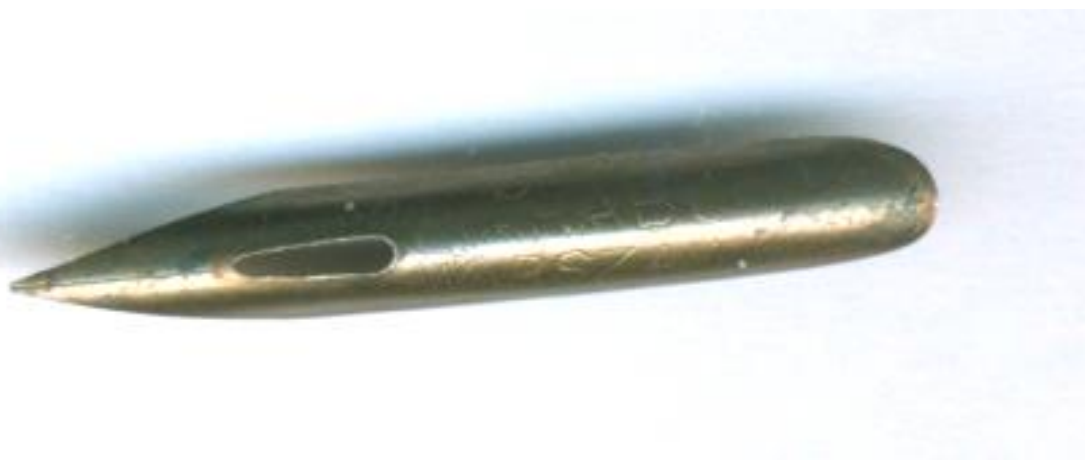
Dlatego też mieszkanie musiałem osiągnąć za wszelką cenę, a cena była bardzo wysoka. Dziś słyszymy, że ten, czy ów czeka na mieszkanie już ponad dziesięć lat i terminu przydziału nie widać. Czeka! Rozumiecie? Aż mu ktoś przydzielili! Tymczasem realizuje wszystko inne.

Dom, aby był domem, w którym ma rozwinąć się prawidłowo idea rodziny, musi mieć w sobie znacznie więcej z budowy gniazda przez ptaki. Żadnego czekania, czy przydziału, tylko przychodzi wiosna życia i nic nie jest ważniejsze od budowy tego gniazda, niczego innego się nie robi.

Mądrość któregoś z narodów głosi, że prawdziwy mężczyzna musi w swym życiu zbudować dom.

Cenę za osiągnięcie własnego mieszkania płaciłem znacznie później niż wydarzenia, o których pragnę pisać. Przyjmijmy tylko, że bez przesady mówiąc straciłem trzy lata życia, wykonywałem pracę, której bardzo nie lubiłem i o której nie miałem pojęcia. Odłożyłem na półkę zeszyty z zapiskami z mych wysokich lotów. Zboczyłem ze swej drogi, zdawało się – na chwilę, a okazało się, że na zawsze. Ale miałem to najwspanialsze – własne mieszkanie. To nic, że miało tylko drzwi wejściowe i drzwi do łazienki, że pozostałych drzwi nie było, że w łazience była tylko miska klozetowa, a jedyny kran z wodą był w kuchni. Taki sposób wymyślono na zmniejszenie zużycia materiałów budowlanych, co miało pozwolić na zwiększenie ilości budowanych mieszkań. Nie przeszkadzało, że te pokoiki stoją puste, a zasadniczymi meblami są cztery krzesła, które już przez kilkanaście lat pełniły rolę wyrzuconych. Starczyło fantazji, by wymalować na całej ścianie pokoju córeczki bardzo kolorową scenę z bohaterami właśnie czytanych książeczek dla dzieci. Starczyło fantazji, by z całą powagą głosić, że tworzę nowy styl architektoniczny wewnątrz – na suficie oprawka z żarówką zawieszona na dwóch drutach wpiętych w porcelanową kostkę, a poniżej pusto, pusto... – miejsce na każde marzenie.

*



Rozdział 33

biały hetman na d5
czarny hetman na b2!

Do tego wszystkiego doszedł problem pieniędzy, których zwyczajnie było za mało. Więc jakieś póletaty, czy z trudem zdobyte prace zlecone. Przez dobrych parę lat pracowałem w dwóch firmach jednocześnie i jeździłem między jedną a drugą, by sprawiać wrażenie, że jednocześnie jestem i w jednej, i w drugiej. Często starczało inwencji tylko na te przerzuty z jednej do drugiej firmy, a pracę trzeba było wykonywać w domu późno w noc. To było jeszcze znośne, bo w znacznej części praca wymagała jednak, abym wracał późno do domu.

Prace zlecone były egzotyczną sprawą. Kolega, w chwili sympatii do mnie, podał mi adres inżyniera z Saskiej Kępy, który pracował w Towarzystwie Naukowym Ekspertów Budownictwa. Towarzystwo to mieściło się na parterze Pałacu Kultury i rzeczywiście splendor miało. Waliły do nich instytucje po wszelkie ekspertyzy. Stąd Towarzystwo zatrudniało na pracach zleconych wielu wybitnych fachowców, a ci wielu murzynów takich jak ja.

Inżynier Dziugieł przyjął mnie w domu, żona podała herbatkę i ciasteczka, nawet się do nas przysiadła. Rozmowa towarzyska była bardzo ciekawa – nikt wobec pozostałych nie miał kompleksów. Dostałem niewielką zaliczkę i inżynier Dziugieł odwiózł mnie własnym samochodem do domu.

Miałem wykonać inwentaryzację rezydencji Ambasadora Francji w Warszawie na Saskiej Kępie. Pierwszy raz zjawiłem się pod głównym wejściem. Powitał mnie lokaj. Potem już wchodziłem od kuchni. Zaprzyjaźniłem się niemal z tym lokajem, z kucharką, pokojówką, kierowcą i osobistą sekretarką ambasadora. Nawet sam ambasador raz natknął się na mnie. Znajomość z tymi ludźmi była na tych kilkadziesiąt dni tylko, ale bez najmniejszego fałszu.

Obmacałem właściwie cały budynek. Wszystko dokładnie pomierzyłem. Rysunki zrobiłem z największym kunsztem jak te na konkurs. Nająłem robotników, by przebili stropy dla ustalenia ich konstrukcji, odkopali fundamenty dla sprawdzenia posadowienia budynku. Sam wykonałem wiele zdjęć dowodowych.

Mury rezydencji pękały i węszyłem za przyczyną. Gdyby nie moja intuicja, nikt by chyba przyczyny nie znalazł, bo bardzo solidne stropy, mury i fundamenty wykluczały możliwość pęknięcia. Tylko że w jednym miejscu, dość oddalonym od miejsca pęknięć ścian, budowniczemu zachciało się z dziwnych przyczyn obniżyć betonowy fundament. Może dopiero pod koniec wykonywania łąw fundamentowych natrafił na kawałeczek gruntu o złej nośności i musiał, chcąc nie chcąc, obniżyć tu fundament o blisko dwa metry, ale nie połączył ze sobą tych obu fundamentów i po kilkadziesiąt lat ta fuszerka zaczęła wychodzić na wierzch.

Inżynier Dziugieł nie umiał ukryć zadowolenia, gdy przejmował mą pracę. Jak przystało na dżentelmenów, o pieniądzech nie mówiliśmy. Czekałem. Wreszcie po miesiącu zadzwoniłem. Powiedział, że przecież całą zapłatę z góry otrzymałem, był nawet oburzony. Nie pomogły wyjaśnienia, że sami robotnicy wzięli ode mnie więcej za przebicie stropów i odkopanie fundamentów. A gdzie koszt zdjęć i wreszcie moja wielotygodniowa praca? Oświadczył, że to on musi przede wszystkim zarobić i że już ma następnego naiwnego.

*



Rozdział 34

biały hetman bije piona na f7
czarna wieża bije piona na g2 i szach królowi

Nie miałem nawet czasu na rozpamiętywanie tego draństwa, bo któregoś dnia zadzwonił ojciec z przerażającą wiadomością. Mój młodszy brat został aresztowany.

Jeszcze parę dni wcześniej był przejazdem u mnie; wybierał się autostopem do Gdyni, gdzie miał odszukać znajomą, a tu nagle taka wieść.

Milicja w środku nocy przysłała do mojego starszego brata i nic nie mówiąc zaczęła bardzo szczegółową rewizję. Rano nie wypuszczono nikogo z domowników, ani starszych do pracy, ani dzieci do szkoły, tylko czegoś zawzięcie szukali. Około południa, gdy rewizja była na ukończeniu i niczego nie znaleźli, zaczęli puszczać farbę, że chodzi o naszego młodszego brata. Wyszło na jaw niezwłocznie, że młodszy brat jest tylko zameldowany u starszego, a od pewnego już czasu mieszka z rodzicami w trochę podkończonym domku. Niezwłocznie rozpoczęto taką samą drobiazgową rewizję u naszych rodziców.

Wreszcie jeden z milicjantów raczył dać karteczkę, na której było podane, że mój młodszy brat został aresztowany w Gdyni. Zawiadamiający mnie o tym wszystkim ojciec podał mi jakieś paragrafy, które nikomu z nas nic nie mówiły, i błagał abyśmy natychmiast tam pojechali. Umówiliśmy się na dworcu w Gdyni; przez noc każdy z nas miał jechać swoim pociągiem.

Pobiegłem też zaraz do niezawodnej biblioteki, by szukać treści tych złowieszczych paragrafów. Mówiły, że kto występuje przeciwko państwu lub działa na jego szkodę...

Nic z tego nie rozumiałem. Nie umiałem sobie nawet wyobrazić, w co zaplątał się mój ukochany brat.

W Gdyni nie wpuszczono nas do więzienia, nie miał dla nas czasu prokurator, ktoś tylko poradził, abyśmy wzięli adwokata. W jakiejś państwowej adwokaturze znalazł się adwokat, który chciał z nami rozmawiać jak człowiek. Wziął zaliczkę, tę karteczkę zawiadamiającą o aresztowaniu i napisane pod dyktando pełnomocnictwo w sprawie. Kazał czekać. Wyszedł gdzieś do telefonu.

Po powrocie zawiadomił nas, że do czasu zakończenia śledztwa widzenie jest niemożliwe, że brata zatrzymano z bronią w ręku. Mój ukochany brat! O co chodzi?!

Oszołomieni błakaliśmy się z ojcem jeszcze parę godzin po Gdyni, Oliwie, aż wreszcie z Gdańska podjęliśmy ten beznadziejny powrót do naszych domów.

Wierzyłem w brata i postanowiłem go bronić, ale wszystko to było wielce nieprzydatne, gdyż nie wiedziałem, co robić. Poszedłem w Warszawie do zespołu adwokackiego. Chciałem poradzić się, jak mam postępować. Adwokata jednak tylko jedno interesowało – czy zamierzamy zabrać tamtemu, a jemu przekazać pełnomocnictwo w sprawie. Stracił resztki zainteresowania mną, gdy powiedziałem, że raczej nie. Narastającym nagle roztargnieniem i nieukrywanym zniecierpliwieniem wyprosił mnie za drzwi.

Udałem się do Komendy Głównej Milicji Obywatelskiej, by błagać o litość dla brata. W Komendzie bywałem kilka lat wcześniej, bo Komenda opiekowała się drużyną harcerską, którą prowadziłem. W Dniu Milicjanta wraz z moimi harcerzami wchodziliśmy do tego wspaniałego gmachu. Wówczas tak przychylnie rozwarte podwoje, dziś okazały się nie do przebycia. Byłem i tak wielce rad, że chociaż z kabiny przez telefon pozwolono mi z kimś porozmawiać. Ten nawet się nie śpieszył, słuchał, więc zapewniałem, jak to przez całe dziesięciolecia zawsze byliśmy porządnymi ludźmi, o przykładzie, jaki dawali nam nasi rodzice, o surowym wychowaniu w domu, a przede wszystkim niesienia wszystkiego, co mamy najlepszego Ojczyźnie. Że wszyscy tak ciężko pracujemy. Że rękami głowami za brata i syna. Mówiłem o ogromnej rozpaczach rodziców i o potrzebie jej umniejszenia. Mówiłem, że nasz najmłodszy członek rodziny, którego tak wszyscy kochamy, zdeprawuje się w więzieniu, więc niechby za naszym poręczeniem mógł w domu przebywać do rozprawy.

W jakiś czas później gdyński adwokat poinformował nas, że teraz trzeba czekać, aż Zakład Kryminalistyki dokona ekspertyzy. Więc była jednak broń! Broń! Dlaczego to się tak nazywa? Ma bronić rzekomo, a gubi ludzi.

Znów rozmawiałem przez telefon z kimś z Zakładu Kryminalistyki. Zapewniali, że się pośpieszą, ale przecież tyle mają roboty.

Po czterech miesiącach sąd zwolnił brata, uznając za wystarczającą karę te cztery miesiące.

Potem dowiedziałem się, że u któregoś z kolegów był maleńki kolt-zabawka wykonany w zamierchłych czasach w imieninowym prezencie przez ojca ślusarza. Wszystko było topornie, ale dostatecznie wykonane. Strzelać się nie dało. Pech chciał, że po latach te gówniarze wykryły, że do bębena i do lufy wchodzi nabój od KBKS — to jest od krótkiego bojowego karabinka sportowego. A naboje te można było normalnie kupić w sklepie sportowym. Ślepia ich zabłysły chęcią postrzelania sobie, ale i brakiem wyobraźni. Znalazł się i ojciec jednego — jeszcze bardziej bez wyobraźni — który dospawał brakującą iglicę. Wystrzelić jednak nie mieli odwagi.

Dopiero mój brat wybierając się samotnie autostopem nad morze wrzucił ten pistolet do plecaka. Sam dokładnie nie wiedział po co. W Gdyni, gdy wieczorem szukał pod wskazanym adresem znajomych, troszkę wcześniej zechciał patrol MO zobaczyć jego dowód osobisty. Dowód był w plecaku, więc postanowiono obejrzyć go sobie w pobliskiej komendzie. A tam z plecaka wypadł i ten pistolet.

Niby cieszyliśmy się z zakończenia tej tragedii, ale znany mi już złowieszczy dreszcz w kręgosłupie mnie przeszedł, gdy mój młodszy brat chciał mnie nauczyć stukanego szyfru więziennego.

*



Rozdział 35

biały król na fl
czarna wieża na g6

Było to wówczas, gdy wiedziałem już, że nazywano mnie – „to ten, co ma minę łaknącego wiedzy”. Takie miano nadała mi sex bomba biurowa – sekretarka dyrektora, której przecież unikałem jak ognia.

Zgłosiłem się do szefa w pracy i zreferowałem, że szereg budynków, tych w których na górze są mieszkania, a na parterze sklepy czy gastronomia, mogłoby mieć bardziej właściwie zorganizowane roboty. Za każdym razem taki budynek ma już dawno skończone mieszkania, bo te łatwo i szybko się wykonuje, a parter nadal wymaga jeszcze wielu prac. Nie wiadomo co zrobić z takim budynkiem i najczęściej czeka on po parę miesięcy na skończenie sklepów. Czyli i mieszkania, i sklepy muszą być dopracowane do ostatecznego szczegółu; cała praca musi być w nich wykonana. Problem polega na tym, aby ją lepiej zorganizować. Nie ma innego wyjścia, tylko trzeba znacznie wcześniej koncentrować zainteresowanie i robotników przy wykończeniu parteru po to, by koniec robót w mieszkaniach zbiegł się z końcem robót w tych parterach. Wówczas nie będzie problemu z przekazaniem obiektu użytkownikowi.

Właściwie nie widziałem w tym żadnego odkrycia, było to logiczne. Szefowi się to jednak znacznie bardziej spodobało niż przewidywałem. Za parę dni byliśmy już u naszego dyrektora. Był też dyrektor odpowiedzialny za taki styl pracy. Mój szef obszernie zreferował problem, wywiązała się burzliwa polemika, a ja nie odezwałem się ani słowem, bo mnie zamurowały pierwsze słowa repliki tego dyrektora: – „Gdybym był bardziej strachliwy, to już bym się dawno przestraszył tego, co mi tu zarzucacie”. Nie mogłem zrozumieć, dlaczego tak właśnie podszedł do propozycji. Spotkanie skończyło się niczym, a rozgoryczony szef miał do mnie pretensję o to, że się słowem nie odezwałem. Tymczasem ja wówczas byłem i do dziś jestem onieśmielony w obecności wielkich świata tego.

Minęło kilkanaście dni, sprawa przestała istnieć, a ja nadal wykonywałem codzienne polecenia. Tym razem miałem pilnie, koniecznie na jutro rozpoznać stan budowy czegoś tam przy ulicy Bokserskiej. Dużo upłynęło z tego dnia, zanim dotarłem na te peryferie. Trzy razy przeszedłem ulicę Bokserską od końca do końca i śladów budowy nie znalazłem. Trzeba było wracać na obiad do domu. Wymyśliłem, że z samego rana wstąpię do dyrektora i zapytam jak tam trafić.

Dzień ten zaczął się dla mnie fatalnie. Już z domu wyszedłem rozgoryczony i bardzo zdenerwowany. Usiadłem pod drzwiami dyrektora i czekałem na tę chwilę rozmowy. Przechodząc za którymś razem zatrzymał się przede mną i ostro rzucił:

– Przestań się pan tu pętać! Co z was wszystkich za pożytek? Tylko donosić umiecie! Ja z kutasami nie gadam!

Zgnębiony dotarłem do pracy. Jeszcze liczyłem na to, że może szef nie będzie miał czasu rozmawiać ze mną i dziś znów tam pojedę i tym razem tak długo będę szukał, aż znajdę. Ale niestety, szef miał czas i właśnie o swym poleceniu chciał niezwłocznie ze mną rozmawiać. Tłumaczyłem się, jak umialem, że nie znalazłem, że dziś na pewno znajdę. I z całą pewnością przemilczałbym całą scysję z tym dyrektorem, bo zawsze takie klęski pokrywałem milczeniem, gdyby nie to wielkie rozgoryczenie, które dziś wyniosłem z domu. Rzuciłem więc, że dyrektor powiedział, że jesteśmy niepotrzebni i że nie będzie ze mną rozmawiał.

Ubodło to niemożliwie mego szefa, bo złapał za telefon i natychmiast połączył się z tym dyrektorem. Cały zamarłem, choć słyszałem właściwie tylko to, co rzucał w słuchawkę mój szef:

– Szanowny panie dyrektorze, ja sobie życzę, aby pan doceniał centralny zarząd i naszą pracę bez względu na to, czy się to panu podoba czy nie!

– ...

– Mój pracownik zawiadomił mnie, że wyraził się pan do niego, że jesteśmy niepotrzebni i że nie będzie pan z nim rozmawiał!

– ...

– To ja już nic z tego nie rozumiem.

– ...

– Tak. Tak. To ja pana bardzo przepraszam.

– ...

– Już go daję do telefonu.

Szef oddał mi piekącą słuchawkę i usłyszałem oburzony głos tamtego dyrektora:

– Czy ja panu tak powiedziałem?!

Dopiero teraz pojąłem, że nie przytoczyłem dosłownie wypowiedzi memu szefowi, ale przecież przez gardło nie przeszłyby mi takie słowa. Musiałem się jednak przyznać, że nie to usłyszałem.

– Nie, panie dyrektorze. – Oświadczyłem w zatroskaniu. I już mój szef zgorszony wybiegał z pokoju, gdy prosiłem:

– Panie dyrektorze, czy mógłbym jutro przyjść do pana dyrektora i wyjaśnić całą sprawę?

Za szefem w milczeniu z pokoju wyszli i inni. Zostałem sam. Ja – kłamca. Jakżeż było mi przykro! Dopuściłem się czegoś, co w mej świadomości tkwiło jako najbardziej ohydne i płaskie przestępstwo, bo tak łatwe. Kłamca! A przecież przed laty przysięgałem matce, że nigdy więcej nie skłamię. Tyle lat wytrzymałem. Ta świadomość sama wyrzuciła mnie kłamcą z pokoju i nogi poniosły do wyznaczonego gdzieś w głębokiej nieświadomości celu. Słyszałem tylko wewnętrzny wyrzut – kłamca – wyrzut wypełniający wszystko, całą świadomość. Wszystko już było przesądzone, nogi same niosły przez całą Warszawę ku jednemu przeznaczeniu. Potem długo siedziałem na potężnym betonowym fundamencie słupa energetycznego zanim zeszedłem na sam brzeg. Jakżeż zapraszały wody Wisły, jakże miłe i upragnione się wydawały.

Moje odruchy musiały snąć być zaprogramowane tylko na postawienie mnie przed tą wodą, to ostatnie musiałem sam zdecydować. Coś tam innego musiało zatlić się w mej znękanej świadomości. Jeszcze nie tu i nie tego dnia okazał się być kres mej wędrówki.

Następnego dnia ów dyrektor przyjął mnie niemal z sympatią. Nawet nie pytałem. Nawet nie było potrzeba tego niemego pytania mych oczu. Dyrektor sam zaczął:

– Widzisz chłopie. Trzeba ci było dać nauczkę. Czy myślisz, że można tak bezkarnie krytykować mnie? Jeszcze nikomu się to nie udało. Zapamiętaj pan sobie to. Początkowo zamierzałem namówić pana do pracy u mnie, dać nawet parę złotych więcej, a po trzech miesiącach kar nie zwolnić z wilczym biletem, tak aby pan nigdzie nie znalazł pracy. Ale potem wpadłem na lepszy pomysł. Wystarczyły dwa dni, żeby załatwić kogoś takiego, jak ty, chłopie. Będiesz miał teraz nauczkę na całe życie.

Wyszedłem.

Jeszcze liczyłem, że powtórna bardzo szczerza rozmowa z moim szefem częściowo naprawi zło, jakie się nam wszystkim stało. Szef jednak nie chciał już rozmawiać. Powiedział, że dla niego już cała sprawa jest jasna i skończona. Lepiej nie mówmy o tym.

*



Rozdział 36

biała wieża na e2
czarny hetman na a1 i szach królowi
– obrona

Poza domem me sprawy wyglądały źle, w domu też nie lepiej, a nad tym wszystkim pływał spokój małej stabilizacji. Bo proszę posłuchać, co wypisywałem wówczas w pamiętniku.

* Postanowiłem codziennie pisać parę zdań o tym, co było. Dlaczego? A dlatego że dostałem już trzeci kalendarz i trzeba z nim coś zrobić.

* Cały czas w pracy przepisywałem różne numery telefonów. A miała jakieś kolokwia. Byliśmy z R w kinie na „Dwóch panach N” – niezły polski kryminał. Potem byliśmy u R na brydżu. Bardzo smakowała mi tam „Gold waser”.

* Robimy świąteczne porządki. Potem odzegnujemy się od nudy kilkoma ciastkami. Cały dzień takiego beznamiętnego obijania się.

* Zaraz po pracy miałem wrócić do domu, gdyż A miała zajęcia do szesnastej. Niestety. Były wybory do Oddziału Warszawskiego Polskiego Związku Inżynierów i Techników Budownictwa. G siłą zabrał mię na samo głosowanie. Tamże dostałem śliczne pióro. Bardzo ucieszyłem się. Potem musiałem bardzo długo przeproszać A, aż ostatecznie obiecałem jej, że dam jej to pióro, a ona da mi swoje i jeszcze będzie miała dobry humor przez trzy tygodnie.

* Temperatura do 23 stopni Celsjusza. Zdenerwowałem się, sam nie wiem czym. Robiłem podłogę. Po południu kupowaliśmy krawaty. Nic mi nie odpowiadało. Długo namawiałem się, aby coś kupić, ale nie wyszło. Szalenie tym się wściekłem i A przy tym się oberwało. Zaczyna być źle – nie można nie panować nad sobą.

* Ładnie. Ciepło. Dzień jak co dzień. Kontrola budowy szkoły na Grabowskiej. Moc lata-
nia. Kupiłem dwa krawaty. A świetnie wygląda. Układamy plany na wiele lat. Więc mieszkanie, dziecko, praca. Z bliższych spraw planujemy morze.

* Nadal bardzo ładnie i bardzo ciepło. Przez cały czas w pracy robię analizę pracy żurawi za pierwszy kwartał. Byłem na ciekawej wystawie ikonografów u nas na dole. Autora nie pamiętam. Poza tym nic ciekawego.

* I znów słońce i bardzo ciepło. Zapracowałem się tak przy żurawiach, że przyszedłem dopiero na obiad nie jedząc śniadania. Było moc gniewu o to. Po południu wycinałem literki do zbioru liternictwa. Postanowiłem zbierać kolory, to znaczy wycinam kwadraciki z każdym od-cieniem każdej barwy. Może być z tego ciekawa rozrywka. W nocy o 2⁴⁵ zabolalo w stawie bio-drowym. Przykre.

* Słońce i bardzo ciepło. Noga boli. Do pracy jakoś zawlokłem się. Lekarz przepisał szczepionkę z Neurocyliny, diatermę i witaminę B. Przeleżałem pół dnia. Jestem wystraszony tym ischiaszem. Po południu już nie boli.

* Upał. Byliśmy w ZOO i na filmie „Gigi” – nędza. Reszta dnia w rodzinie. Brydż.

* Jesteśmy sami w domu. Drugi dzień Wielkanocy. Spacer do Łazienek. Wizyta u R. Zbieram kolory. Upał.

* Upał. Zapoznają się z budowami Śródmieścia. Potem szczepionka Neurovicin 1/50 i wi-tamina B forte. Odwiedzamy babcię na Sadybie, która jest tam u wujków. Oddajemy R pożyczo-
ne rzeczy na wyjazd do Zakopanego.

* Upał. Kłócimy się na budowie szkoły na Grabowskiej. Nie można dojść do ładu z inwe-
storem. Bardzo mnie to wyczerpuje. A szyje sukienki. Jedną za drugą. Wieczorem jesteśmy na
wystawie ikonogramów Niemczyca i w czytelni sztuki na Koszykowej. Przychodzi mi do głowy
pomysł cyklu zdjęć pod tytułem „Nowoczesność pilnie poszukiwana”. Byłyby to graficznie po-
traktowane zdjęcia wad technicznych i wykonawczych obecnego budownictwa. Pomysł ten na-
sunął mi się sam na tej wystawie, gdy oglądałem grafikę prac powieszonych na ścianach i grafi-
kę refleksów światła na błyszczącej połaśdowanej wykładzinie podłogowej.

* Chłodniej. Nawet burza. Cały dzień jestem rozklejony. W pracy nic nie idzie. Byłem
pierwszy raz na diatermie. Nic szczególnego.

* Zimno i pochmurno. Deszcze. Rozpoznawałem stan robót na budynkach drugiego kwartału na Saskiej Kępie. Robiłem literki do dekoracji na 1 Maja. Wieczorem w czytelni sztuki na Koszykowej.

* Chłodno, deszcz. W pracy protestujemy, bo nie chcemy dalej jeździć po budowach za własne pieniądze. Byłem na budowie Akademii Muzycznej. A jest bardzo smutna i milcząca. Zapomniałem iść na diatermę.

* Nadal brzydko. A jest jakby obrażona na mnie. Cały dzień mnie to gryzie. Nic nie mogę robić. Wieczorem zawarcie pokoju.

* Okropne – pada śnieg! Byłem na zastrzykach i na diatermie. Wieczorem byliśmy w kinie na „Jutro premiera”. Podobał nam się ten film. A jest znów wesoła.

* Byłem na pochodzie. Brzydko, zimno. A jest świetna. Cały dzień chce mi się spać. Po południu przychodzi E i długo gramy w brydża. Pada propozycja, aby kupić wino. Potem pijemy po kryjomu, bo mama się sprzeciwiała. Nie wyszło to ładnie.

* Deszcz, grad, słońce, śnieg. Obleciałem moc budynków MDM-u. Troszeczkę kupujemy. Byłem w bibliotece na Koszykach. To już wszystko.

* R proponuje mi inwentaryzację w Łukowie. Przygotowuję pogadankę techniczną do pracy.

* Ustaliam żurawie w Przedsiębiorstwie Gospodarki Maszynami. Przygotowuję pogadankę na sobotę. Postanawiamy, że będziemy mieli dziecko, ale dopiero na sierpień przyszłego roku.

* Dyrektor idzie w ministry. Miałem pogadankę. Z R byliśmy w kinie na „szmince do ust”. Nędza.

* Rano byliśmy na kiermaszu książki w Alejach Ujazdowskich. Potem długo spałem. Byliśmy na wystawie tulipanów. Śliczne.

* Cały dzień robimy stojak do lampy stojącej do naszego pokoju.

* Skończyliśmy lampę.

* Nic specjalnego.

* Liczę, chodzę po budowach, po dyrektorach, śpię.

* Mam dostać wczasy w domku campingowym w Wisłęce od 2 do 22 lipca.

* Żegnamy naszego dyrektora. Po południu długi spacer.

* Byliśmy na „Pierścieniu pięknej damy” – Norwida. Piękne. Potem do trzeciej nad ranem dyskutowaliśmy nad słowem „ślub”.

* Odsypiam wczorajszą dyskusję.

* Drugi dzień leje bez przerwy. Starsza pani z pracy rozmawia z sekretarzem, a ja z szefem na temat mieszkania dla nas.

* Leje. Kończę analizę pracy żurawi. Byłem na wystawie czeskiego sprzętu fotograficznego. Nic specjalnego. A znalazła te moje notatki i wszystko wyczytała. Kupiłem bilety na sobotę do Komedii na „Zwariowaną ulicę”. Wieczorem pomagam A liczyć.

* Brat pisał, abym mu się postarał o dwa zeszyty z wydawnictw Instytutu Organizacji i Mechanizacji Budownictwa oraz o projekt instalacji centralnego ogrzewania, wody, kanalizacji i gazu. Biegałem za tym pół dnia, ale wysłałem, co chciałem. Niech się cieszy, a zresztą bardzo chciałbym, aby skończył studia.

* Drugi dzień słoneczny. Chodzę po budowach MDM. Potem cały czas czytam „Hrabiego Monte Christo”. Nawet fakt, że przy pomocy E urwała się półka nad tapczanem, nie zdołał mnie oderwać od czytania.

* Śliczna pogoda. Sprawdzałem budynki MDM. Potem sprzątanie i zawieszanie półki, a potem do E na karty – nie wyszło. Wieczorem w Komedii na „Zwariowanej Ulicy”. Podobało się.

* Byliśmy na targach książki. Reszta jak w każdą niedzielę.

* Brzydko. Cały dzień robiłem nowy, usprawniony notatnik do budów. A miała moc zajęć. Ale wieczorem była naprawdę bardzo wesoła.

* Ładny dzień. Najpierw ostra koordynacja na Akademii Muzycznej, a potem w Przedsiębiorstwie Robót Inżynierskich. Wieczorem byliśmy u R na brydżu, a potem jeszcze liczyliśmy A pracownię.

* Ładnie. Najpierw koordynacja w Alejach Jerozolimskich. Potem w sądzie jako świadek w sprawie wypadku śmiertelnego na budowie. Niestety, odłożono rozprawę, gdyż nie było biegłego.

* Straszna bieganina. Najpierw mieszkanie ministra, potem rozmowa Śródmieście i PRI, następnie żuraw na Stronę Wschodnią i o dwunastej narada dyrektorów. Dowiedziałem się, że nie dostałem wcale wczasów. Nawet nie raczono mię o tym zawiadomić. Bardzo silnie odczułem to.

* Do południa byłem w domu, potem jeszcze sprawa żurawia na Stronę Wschodnią.

* Szefa nie ma, więc trochę swobody. Byłem na budowie Teatru Wielkiego. Przesada. Długo mię to gryzło.

* A się uczy całymi dniami, a ja nie mam co robić.

* Wielki brydż na dwa stoliki. Gramy z wszystkimi zasadami zawodów brydżowych. Po-robilem na tę okoliczność specjalne kasety do kart, aby oba stoliki rozgrywały te same rozdania.

* Jeszcze czytam Hrabiego Monte Christo.

* Dostałem 470 złotych premii za pierwszy kwartał. Znow mam wczasy w Wisiełce w tym samym terminie.

* Wysłałem bratu książkę, o którą mię prosił.

* Byliśmy w Teatrze Powszechnym na „Kochanym Kłamacy”. Bardzo nam się podobało.

* Byliśmy dwa razy w bibliotece. Potem robiłem szablon literek do plansz. Obraziłem się na A, zresztą na krótko. Nie pozwoliła mi spać po południu.

* Byliśmy w kinie na „Śpiącej Królownie”. Potem długo graliśmy w brydża. A potem nie zgodziłem się, aby A pojechała na noc do E.

Szczegółność takich zapisków, szczegółność pamiętnika polega na tym, że niby oddają dokładnie każdy dzień, ale aż dziw, że umyka zeń wszystko to co najważniejsze, a co nie istnieje w pojedynczych dniach, a staje się widoczne dopiero z perspektywy miesięcy, a nawet lat. W pamiętniku tak łatwo przemilczamy, bo to co się kryje pod skórą, co draży samą myśl tylko – nie jest przecież faktem czytelnym do zapisania.

*



Rozdział 37

biała wieża na e1
czarny hetman na a2!
i białe poddały się.

Grozi mat na g2 oraz czarny skoczek na d2 i szach królowi ze zdobyciem białego hetmana.

Ja poddałem się wcześniej.

Strony te zapisywałem bardzo systematycznie niemal codziennie, aż doszedłem do tego miejsca i przez czternaście miesięcy nie mogłem się zdecydować, aby zakończyć tę książkę. Miał tu nastąpić opis największej krzywdy, jaką mi wyrządzono. Zawahałem się, bo zwątpiłem, czy godnym jest utrwalanie zła – tego co było, czy też tego które mogłoby spowodować taki zapis. Zdałem sobie sprawę, że są jednak granice, których bezkarnie przekroczyć nie można, a ja nadal nie jestem przygotowany do poniesienia takiej kary (jednak granicę tę krzywdzący przekracza bez wahania). Zresztą krzywda ta wyblakła na tle tej, którą dziś czuję w sobie. Bo czuję się tak, jakby mi już powiedziano: – „Od tej chwili każde wypowiedziane przez pana słowo może być użyte przeciwko panu”.

Tym, co się wokół mnie dzieje, powinienem być przerażony. Coś się jednak wypaliło we mnie, bo czuję tylko głęboki smutek.

Jeszcze jedynie błąka się trochę żalu, że nie zdążyłem tego wszystkiego zapisać. A przecież miała być czwarta książka pod tytułem GAG i piąta LIBIDO. One to miały właściwie stanowić sedno zapisu, miały być puentą i kulminacją treści, miały oddać niejako sprawiedliwość i zrównoważyć jednostronność dotychczas dokonanego zapisu.

Jako motto poszczególnych rozdziałów pozwoliłem sobie wykorzystać partię graną w ramach XXIV Olimpiady Szachowej, która odbyła się na Malcie w 1980 roku pomiędzy: białe – F. Olafsson (Islandia) i czarne – A. Karpow (ZSRR).

*

A może mimo wszystko jest to tylko tak dziwne zakończenie kolejnej książki?
Dalszy ciąg w książce pod tytułem GAG – zapraszam.

Dziękuję za uwagę

Marian Czesław Sokołowski

Batna (Algeria), dnia 20 maja 1982 roku
Kolejna redakcja: Warszawa, 2012-02-26
Kolejna redakcja: Warszawa, 2014-12-22

*



Dopisywane przez dziesięciolecia

Prawo chaosu

Od czasów nauki w liceum rozmyślałem nad istotą wszechświata, kształtowałem pogląd, że odkrywane przez stulecia prawa różnych nauk nie mogą być absolutnie wszechstronne i słuszne zawsze i wszędzie. Właściwość tę nazwałem „prawem chaosu”. W wyniku stałych przemyśleń zapisywałem kolejne uściślenie tego prawa:

„Zawsze istnieje przestrzeń i czas, środowisko i okres, w którym dane prawo naukowe nie obowiązuje. Dotyczy to również prawa chaosu. Każde prawo ma środowisko i okres, w którym jest podważalne”.

*

Kolejne przetworzenie z 12 grudnia 1967 roku brzmi:

„Jeżeli przez środowisko będziemy rozumieli dowolną zależność między dowolną grupą składników określanych jako czas, przestrzeń, zasadę oraz stan, to naturalnym jest, iż dla dowolnego prawa, bądź grupy praw można określić takie środowisko, w którym prawo to, bądź grupa jest absurdem”.

Nowe wyzwania – taki np. kopernikański przewrót w nauce nie był pierwszym przewrotem, ale również nie będzie ostatnim przewrotem, a człowiek będzie musiał osiągnąć nieczłowieczą strukturę myślenia, wolną od ludzkich skażeń – **AHOMO**.

Warszawa, 23 lutego 1993 roku

Zadawanie sobie pytania – jakie mogą być te inne specyfiki ‘świata-wszechświata’ – jest dla specyfiki życia absurdem, bo ta nie jest w stanie przeniknąć do innych specyfik, a tym bardziej je pojąć.

Może dowodem na różność specyfik ‘świata-wszechświata’, a tym samym na istnienie innych specyfik, jest w specyfice życia brak pojęciowej odpowiedzi na fakt nieskończoności ‘świata-wszechświata’. Podobnie jest z pojęciem najmniejszego elementu – rozpatrywanego w specyfice życia. Podobnie jest i z innymi brakami odpowiedzi.

A więc detronizacja. Kiedyś Ziemia przestała być pępkiem Świata, a dziś specyfika życia musi dopuścić pojęcia innych specyfik, wśród których wcale nie jest uniwersalną, ani też najważniejszą. Pojęcia czasu i przestrzeni, zdefiniowane przez specyfikę życia, mają ograniczoną poprawność. [1997.08.24]

Wieczność jest zaprzeczeniem czasu, gdyż wieczność nie jest sumą czasu.

Nieskończoność jest zaprzeczeniem wielkości, gdyż nieskończoność nie jest sumą jakichkolwiek wielkości (przestrzeni). [1998.08.04]

Specyfiki wieczności i nieskończoności są sobą wzajemnie. Nie da się wyabstrahować z nich jakichkolwiek modeli cząstkowych, gdyż znaleźlibyśmy się znów w pojęciach czasu i wielkości (przestrzeni).

Określenie tych specyfik, które bezpieczniej byłoby zwać na przykład nowością, musiałoby nosić znamiona tej nowości lub inności.

Jednak tylko w tej nowości lub inności jest początek wszystkiego, który to początek wszystkiego raczej należy zwać wyjściem pojęciowym, aby nie wpaść w pułapkę czasu i wielkości (przestrzeni).

Wyjście pojęciowe nowej nauki. [1998.08.05].

Wyjście – a nie początek.

Wyjście – jako nie cząstkowa zasada.

Wyjście – bo nie mam lepszego określenia.

[1998.10.13]

Nieskończoności jest obojętna przestrzeń i czas, a nawet nie przeszkadza jej, gdy przestrzeń i czas gdzieś w niej wykwitną jako atrybuty życia, gdyż to wszystko jest tak nieistotne w pojęciu (nie mylić z pojmovaniem) specyfiki nieskończoności. [1998.10.14]

Noc 2000.12.25 Haarlem

Człowiekowi nie pozostaje nic innego, jak tylko po swojemu prowadzić analizę, prowadzić ją za pomocą sobie dostępnych możliwości.

Aby człowiek prowadził analizę istoty 'świata-wszechświata', musi uwzględnić specyfikę swych możliwości. Podstawą możliwości są zmysły ludzkie, które określają mu jego relacje ze światem, które pozwalają mu żyć: rozpoznawać, aby żyć. Zmysł powonienia, dający sygnał o innym osobniku, ma ograniczone znaczenie. Wzrok natomiast ma coraz większe znaczenie w procesie życia. Jednak widzenie staje się dla człowieka przesadnie przesądającym czynnikiem. Znamienne mickiewiczowskie „mędrca szkielecko i oko” winno zostać zdetronizowane, zdetronizowane po raz drugi, zdetronizowane w inny sposób. Istota widzenia ma zapewnić życie i analizę otoczenia dla realizacji życia, stąd widzenie jest bardzo subiektywnym czynnikiem, a nawet jest czynnikiem potrafiącym wypaczyć wynik analizy w imię potrzeb życia.

Dopuszczamy, że informacja wzrokowa jest nieprzydatna dla rozważań nad istotą wszechświata. Tak więc jako zasadnicze narzędzie dla tych rozważań pozostaje dla człowieka jego mózg i jego myśl. Tylko myślowe modelowanie istoty wszechświata daje człowiekowi szansę na uczynienie dalszego kroku w kształtowaniu filozofii sensu w ogóle.

Nawiązując do uprzednio omówionych pojęć specyfik należy rozważyć specyfikę zbliżoną do pojęcia energii, dla uproszczenia nazwijmy ją specyfiką energii. Śmiem twierdzić, że specyfika energii jest bardziej zasadniczą specyfiką niż specyfika życia, czy specyfika materii, że specyfika energii nie ma takich cech jak czas, czy przestrzeń.

Istota specyfiki energii jest tak bardzo mobilna, że można mówić w stosunku do niej o cechach możliwości i kreacji, o możliwości kreacji i kreacji możliwości, o możliwości kreacji możliwości i kreacji możliwości kreacji.

Czysta energia nie zawiera materii ani życia. Czysta energia spycha materię i życie na margines swojej istoty. Specyfika materii, nie mówiąc już w ogóle o specyfice życia, jest jakąś formą wynaturzenia (raczej: przenaturzenia albo znaturzenia) lub szczególności energii, z którą specyfika energii sobie radzi w swoisty sposób, którą kreuje w swoisty sposób.

Specyfika materii jest energią o szczególnym zakresie energii. Specyfika materii ma wykreowaną właściwość przestrzeni, która to właściwość zasadniczo wyłącza się ze specyfiki energii.

Specyfika materii na marginesie swej istoty mieści specyfikę życia, która to specyfika życia jest dalszą formą wynaturzenia lub szczególności energii, z którą specyfika energii sobie radzi w swoisty sposób, którą kreuje w swoisty sposób.

Specyfika życia ma wykreowaną właściwość czasu, która to właściwość tym bardziej i tym bardziej zasadniczo wyłącza się ze specyfiki energii.

*

Noc 2000.12.26 Haarlem

Specyfika energii. $E=mc^2$. Energia równa jest masie pomnożonej przez kwadrat prędkości światła (Albert Einstein). Ograniczona poprawność wzoru wynika z jej matematycznego wyrazu, a zwłaszcza z jej geometrycznej specyfiki. Wydaje się, że nie można definiować <Energii w ogóle> za pomocą masy (o właściwości przestrzeni) i za pomocą prędkości światła (o właściwości czasu), w dodatku z piętym geometrycznego kwadratu, z piętym matematycznego potęgowania i mnożenia.

Większą poprawność od definicji Energii dałaby wynikająca zeń definicja materii (masy) jako relacja Energii do istoty kwadratu prędkości światła – podobnie jak definicja prędkości światła jako pierwiastek relacji Energii do istoty materii (masy).

Przy czym nadajemy pierwiastkowi znamiona kreowania, to jest bardziej inne znamiona, niż matematyczna odwrotność kwadratu.

*



Noc 2000.12.27 Haarlem

Spróbujmy wykreować myślowy model specyfiki energii. Wyobraźmy sobie trójkąt równoramienny i obok niego przystawiony inny bratni trójkąt równoramienny. Absolutnie abstrahujmy od geometrycznych, matematycznych i obrazowych właściwości tego modelu, aczkolwiek podczas przejścia musimy z nich skorzystać.

(Taki model czarnych linii miałem przed oczyma w czasie bezsennych nocy spędzanych w łóżku na poddaszu w domu Zosi w Haarlemie. Jeszcze tylko jak katalizator uzupełniał go drugi obraz gwiazdozbioru Orion w prostokącie okna).

Najpierw weźmy jeden z tych trójkątów – trójkąt do prawa Pitagorasa. Boki przyprostokątne mogą prezentować „ c^2 ”, stąd przeciwprostokątna może prezentować relację Energii do masy: „ E/m ”.

Gdy jednak rozważymy nie jeden, lecz oba trójkąty modelu, to dotychczasowa relacja Energii do masy „ E/m ” stanie się prędkością światła, czyli „ c ”, a nowa relacja Energii do masy stanie się prędkością światła uzupełnioną o bratnią prędkość światła. Można by podkreślać specyfikę prędkości światła „ c ”, która tutaj modelowo potrafi stanowić zarówno o Energii, jak i o masie. Znamienne sąsiedztwo prędkości światła w nowej przeciwprostokątnej, jak i wzajemne przyleganie różnych prędkości światła bratnich trójkątów – mogą stanowić istotę modelu specyfiki Energii, podobnie jak i zmienność, czy zamienność prędkości światła i relacji Energii do masy „ E/m ”.

*

Noc 2000.12.28 Haarlem

Specyfika życia. Specyfika życia zaistniała na styku trzech stanów materii: stałego, ciekłego i gazowego. Jest nową specyfiką wobec specyfiki materii. Do zaistnienia specyfiki życia niezbędny jest udział specyfiki Energii i specyfiki życia.

Aczkolwiek specyfika życia jest formą Energii, bo bierze się z niewielkich ilości materii w stanie stałym, z liczących się ilości materii w stanie ciekłym oraz z zasadniczych ilości materii w stanie gazowym, to nie może ona zaistnieć bez kolejnych dwóch czynników: Energii w ogóle i życia równoległego, którym się musi żywić.

Bardziej nieodgadnionym od pierwszego impulsu życia materii inspirowanej Energią jest konieczność równoczesnego zaistnienia życia w ogóle, gdyż gdyby zaistniało tylko jedno życie, musiałoby niezwłocznie siebie unicestwić i skonsumować. Na szczęście nie mamy już respektu wobec fatum liczby „jeden”, podobnie wobec przestrzeni i czasu, co specyfikę życia stawia w dostatecznie klarownym świetle.

*

Noc 2000.12.29 Haarlem

Specyfika życia wyróżnia się istotą końca, bezwzględnego i totalnego końca, ale również nosi w sobie istotę świadomości. Istota końca w specyfice życia ma podobny charakter jak błyskawica: – Energia została coraz bardziej uwikłana w przeróżnych układach atmosfery i różne jej fragmenty usiłują coś z tym zrobić, wywikłać się z tych dziwnych układów; wreszcie jedno ze środowisk Energii znajduje przeskok do znacznie większego pola Energii, przeskakuje doń, ciągnąc za sobą wszystkie rozgałęzienia pól cząstkowych Energii; – podobnie uwikłana Energia w istocie życia jest już tak bardzo uwikłana i zawikłana, że musi się rozwikłać, opuścić te nieistotne układy uwikłania i połączyć z bardziej właściwymi stanami Energii.

Uwikłanie Energii

Istota świadomości w specyfice życia – to możliwość wyboru, możliwość zapisu (zapamiętania), możliwość analizowania (konkluzji), możliwość przekazania. Ta ostatnia generuje świadomość zbiorową. Możliwość wyboru – to kreowanie pewnych możliwości, to możliwość pewnych kreowań, to kreowanie pewnych możliwości kreowań, to możliwość kreowania pewnych możliwości, to kreowanie możliwości kreowania pewnych możliwości, to możliwość kreowania możliwości pewnych kreowań...

Pozostaje teraz problem specyfiki sprawczej – coś, co to wszystko puściło w ruch; coś, co to wszystko stale porusza. ? ...wpadliśmy w pułapkę syndromu religii. Konieczność istnienia specyfiki sprawczej może być właściwe tylko specyfice życia w specyfice ludzkiej.

W aspekcie specyfiki Energii, która, jak już uprzednio pisałem, jest nadal niezanieczyszczona syndromami przestrzeni i czasu, sprawczość jest sama w sobie zgenerowana w Energii, gdyż dla sprawczości musi być coś **przed** i musi być coś **po**, czyli ma ona sens tylko w syndromie czasu, czyli w specyfice życia.

Wróćmy do modelu specyfiki Energii (opisane uprzednio dywagacje trójkąta równoramienego). Mieliśmy stan dwóch bratnich trójkątów, przylegających do siebie swoimi bokami. Płynął stąd splot obiecujących możliwości. Nadal abstrahując zdecydowanie od czasu, przestrzeni i pochodzącego z nich pojęcia ruchu, zauważmy, że drugi bratni trójkąt jest de facto pierwszym trójkątem poddanym specyfice Energii – oba już stanowią specyfikę Energii w jej właściwości, to jest wykazują istotę generowania w specyfice Energii.

Dla przetarcia tej nowej drogi myślenia posłużmy się jeszcze jeden jedyny raz aparatem naszej myśli z jej przywarami przestrzeni i czasu, a w nich ruchu.

Pierwotny trójkąt jest właściwością Energetyczną (dopusćmy). Może on więc przemieszczać się, obracając się wokół jednego ramienia; gdy legną w jednej płaszczyźnie, uzyskamy stan pozornie szczególny – stan bratnich trójkątów równoramiennych. Ten stan jest właściwością Energetyczną w specyfice Energii.

Nasz trójkąt mógł się przecież przemieszczać, obracając się wokół jednego ramienia, mógł odwzorowywać się w wielu innych położeniach i za każdym razem była to ta sama właściwość Energetyczna specyfiki Energii, tylko powodująca inne reperkusje Energetyczne.

Ale przecież nasz trójkąt może i w istocie odwzorowuje się również wokół drugiego ramienia – z tymi samymi konsekwencjami pojęciowymi, odsłania więc dalsze właściwości Energetyczne.

Ale przecież nasz trójkąt może i w istocie odwzorowuje się również wokół przeciwprostokątnej (nota bene – związanej z nią relacją Energii do masy, a i nowej wartości prędkości światła) – z tymi samymi konsekwencjami pojęciowymi, odsłania więc dalsze właściwości Energetyczne.

Dopusćmy, że pewne odwzorowania trójkąta dają nowe możliwości. Przypomnijmy sobie bratnie trójkąty, które leżąc na jednej płaszczyźnie, zamieniały prędkość światła na relację Energii do masy, a tę kiedyś tam na prędkość światła; ponadto tworzyły nowy trójkąt, do którego mają znów zastosowanie wyżej opisane stany.

Szybko osiągniemy w myśli model specyfiki Energii, o zwielokrotnionych odwzorowaniach wszelkiego autoramentu. Dopusćmy jednak, że tylko pewne stany tego modelu, wcale nie takie

rządkie, mogą stanowić o innych możliwościach kreowania, bądź o kreowaniu innych możliwości.

Aby taki model specyfiki Energii był bardziej zrozumiały, a zwłaszcza zbliżony do prawdy, musimy pozbyć się tego manekina, na którym został opleciony, musimy zrzucić go z tego szkieletu przestrzeni i czasu. Musimy zapomnieć o tak zdradliwym pojęciu przypadkowości.

(2001-01-13)

*

Specyfika Energii zawiera treść wszelkich odmian swej istoty: jeśli jest w postaci jakiejś materii, to specyfika Energii zawiera jej treść (jej – to jest tej materii); jeśli jest w postaci innych postaci Energii, to też zawiera jej-ich treść; jeśli więc jest w postaci ruchu czyjejs ręki, to zawiera treść tego ruchu. Ponieważ specyfika Energii nie ma czynnika czasu, ani czynnika przestrzeni, to jej wszystkie treści są w niej zawarte, bez względu na miejsce przestrzeni i przedział czasu, w którym po tę treść sięgniemy, bez względu na miejsce przestrzeni i przedział czasu, do którego sięgniemy.

Sięganie po taką treść za pośrednictwem przestrzeni i czasu musi w konsekwencji dać odpowiedź z brzemieniem przestrzeni i czasu. Sięganie po treść za pośrednictwem specyfiki Energii da odpowiedź abstrahującą od przestrzeni i czasu. Nie muszę chyba już tłumaczyć, co to znaczy dla wiedzy ludzkiej. (2001-01-14)

*

Na roboczo, jako wariant, przyjmijmy pewną specyfikę (φ), która daje się zdefiniować jedynie w miejscu lub lepiej w sposobie przenikania jej przez Specyfikę Energii, przenikania, jako specyfika wyboru możliwości, przenikania stanowiącego o możliwości wyboru.

Na roboczo, jako wariant, przyjmijmy pewną specyfikę (σ), która stanowi o zakresie i rodzaju wyboru w specyfice energii. Dla zobrazowania weźmy genom, który według dotychczasowych ustaleń stanowi o ciągu przekształceń i tylko on decyduje o ostatecznych stanach i kształtach.

Jako przeciwstawną mu istotę decydowania o ostatecznych kształtach i stanach przyjmijmy specyfikę, która decyduje, poprzez swe rygorystyczne ograniczanie, o stanach i kształtach, która stanowi coś w rodzaju formy odlewniczej, w obszarze której specyfika energii może istnieć i realizować się, a której to formy specyfika energii nie może przekroczyć.

Koniecznym należy dopuścić zjawisko zwielokrotnienia lub może wszechobecności, lub może wszechrozstrzygnięcia $\varphi\sigma$ – może zewnętrznego genomu – nazwijmy go – prenom.

(2001-03-13)

*

Pisałem o sięganiu po treść za pomocą specyfiki Energii. Teraz trochę szerzej.

Dla najkrótszego przebrnięcia rozumowej drogi zacznijmy od faktu, że gdy na Marsie wylądował pojazd, który poruszał się po Marsie i był sterowany z Ziemi, to trzeba było ośmiu minut, żeby polecenia z Ziemi dotarły do niego.

To znaczy, że na Marsie można poznać przeszłość Ziemi sprzed ośmiu minut. Osiem minut, tak niewiele, ale jest to jednak przeszłość. Krótko mówiąc – można wrócić do przeszłości, można przeszłość odtworzyć.

W kierunku Marsa, czy innej planety, czy nawet gwiazdy można z ziemi wysłać na przykład promień, powiedzmy, radaru, czy falę radiową, które się odbiją odeń i wrócą na ziemię – w przypadku Marsa na przykład po podwójnych ośmiu minutach. Czyli w tym przykładzie przeszłość Ziemi sprzed tych ośmiu minut możemy odtworzyć po szesnastu minutach.

A jeśli zdołalibyśmy w jakiś sposób dotrzeć na Marsa wcześniej, niż po ośmiu minutach, to znaczy przed dotarciem na Marsa tych sygnałów zasadniczych, na przykład dotarlibyśmy po minucie, to odebralibyśmy ślad Ziemi sprzed: minus siedmiu minut – tak – z siódmej minuty przyszłości Ziemi. Dodajmy znów aspekt odbicia, aby analizować zagadnienie w specyfice Ziemi. Szyte grubymi nićmi, ale był to przykład, którego celem było w pierwszej kolejności naprowadzenie na inną drogę rozumowania, bo ta uprzednia droga rozumowania dotycząca przeszłości i przyszłości już właściwie może rozwijać się samodzielnie.

Odrzućmy teraz czas i przestrzeń, bo już wcześniej to zrobiliśmy. Oprzyjmy się na:

$$E=mc^2$$

'c' prędkość światła – jako istota Energii – zwielokrotnione (przez kwadrat w tym wzorze) mogłoby być tym sposobem na docieranie do śladów Ziemi z przeszłości, a tym bardziej z przyszłości, zwłaszcza jeśli uwzględnimy kolosalny wzrost prędkości światła spowodowany coraz bardziej radykalnym abstrahowaniem od specyfiki masy (niezręcznie jest mi pisać o masie zbliżonej do zera z powodów jak wyżej).

Prawdopodobnie w takim celu trzeba będzie dotrzeć do specyfiki Energii, właśnie przez to radykalne abstrahowanie od specyfiki masy, czyli wniknąć w istotę specyfiki Energii, co można nazwać poznaniem.

(2001-04-14)

*

Jest 2001-04-22, wracam do nocy 2000.12.28 i 29, to jest do specyfiki życia. Powtórzmy tamte wywody dla umożliwienia rozwinięcia ich.

Noc 2000.12.28 Haarlem

Specyfika życia. Specyfika życia zaistniała na styku trzech stanów materii: stałego, ciekłego i gazowego. Jest nową specyfiką wobec specyfiki materii. Do zaistnienia specyfiki życia niezbędny jest udział specyfiki Energii i specyfiki życia.

Aczkolwiek specyfika życia jest formą Energii, bo bierze się z niewielkich ilości materii w stanie stałym, z liczących się ilości materii w stanie ciekłym oraz z zasadniczych ilości materii w stanie gazowym, to nie może ona zaistnieć bez kolejnych dwóch czynników: Energii w ogóle i życia równoległego, którym się musi żywić.

Bardziej nieodgadnionym od pierwszego impulsu życia materii inspirowanej Energią jest konieczność równoczesnego zaistnienia życia w ogóle, gdyż gdyby zaistniało tylko jedno życie, musiałyby niezwłocznie siebie unicestwić i skonsumować. Na szczęście nie mamy już respektu wobec fatum liczby „jeden”, podobnie wobec przestrzeni i czasu, co specyfikę życia stawia w dostatecznie klarownym świetle.

Noc 2000.12.29 Haarlem

Specyfika życia wyróżnia się istotą końca, bezwzględного i totalnego końca, ale również nosi w sobie istotę świadomości. Istota końca w specyfice życia ma podobny charakter jak błyskawica: – Energia została coraz bardziej uwikłana w przeróżnych układach atmosfery i różne jej fragmenty usiłują coś z tym zrobić, wywikłać się z tych dziwnych układów; wreszcie jedno ze środowisk Energii znajduje przeskok do znacznie większego pola Energii, przeskakuje doń, ciągnąc za sobą wszystkie rozgałęzienia pól cząstkowych Energii; – podobnie uwikłana Energia w istocie życia jest już tak bardzo uwikłana i zawikłana, że musi się rozwikłać, opuścić te nieistotne układy uwikłania i połączyć z bardziej właściwymi stanami Energii.

[koniec powtórzeń]

2001-04-22

Stwierdziłem 2000.12.28, że aby zaistniało życie, aby wzięło swój początek w ogóle, musiałyby równocześnie już istnieć inne życie, które stałoby się pokarmem dla początku tej nowej jakości, czyli życia w ogóle.

Tak więc dotarliśmy po raz kolejny (jak w przypadku pojęcia nieskończoności) do granic poznania, bo nie mogło zaistnieć życie i jednocześnie już istnieć.

Ale podobnie jak specyfika Energii abstrahuje od czasu i przestrzeni, tak i specyfika życia w swej dogłębnej istocie abstrahuje od czasu i przestrzeni.

Żywe żywi, żywi żywią. Żywe (podmiot, liczba pojedyncza), żywi (orzeczenie), żywi (podmiot, liczba mnoga), żywią (orzeczenie).

Żywi (orzeczenie) żywe (dopełnienie). Żywi – siebie, żywi – inne żywe. Życie – daje – życie.

Nadchodzi moment, gdy już przestaje żywić siebie, to jest, gdy przestaje być żywe, ale nadal żywi inne żywe, inne żywe nim się żywi.

Żywe żywi się byłym żywym, to jest tym, co utraciło życie.

Na żywe (podmiot) składa się: żywe, które może żywić i składa się: żywe, które może przestać być życiem. Żywe – które może przestać być żywiącym się.

Dlaczego życie, aby żyć, musi żywić się życiem?

Można by przypuszczać, że mniej ważne jest to jednostkowe dosłowne życie, a ważniejsze jest stałe przechodzenie w stan żywienia sobą innego życia.

Życie żywi siebie żywym już nieżywym, a nawet żywym – jajka, ostrygi, a przecież i jarzyny, owoce.

Przechodzenie z jednego życia w inne życie, powszechne przechodzenie, wskazują, że całe życie, wszystko życie, wszystkie życia stanowią całość, jedność, a nawet stanowią constants.

Przy przechodzeniu z jednego życia w inne życie, wcześniejsza świadomość zanika i pojawia się nowa świadomość, ale czy rzeczywiście ta pierwsza jest w stanie dosłownie zaniknąć, a ta druga dosłownie pojawić się?

Wkroczyliśmy w istotę specyfiki życia.

[2001-04-23]

*

Specyfika Energii dosyć poważnie pretenduje do stania się zbiorem „A”.

Specyfika materii unosi się niejako na czystej specyfice Energii, gdyż specyfika Energii wypycha na swój margines specyfikę materii, będącą w pojęciu specyfiki Energii zdegenerowaną specyfiką Energii.

Specyfika życia jest z kolei podobnie na krawędzi specyfiki materii, ale przede wszystkim jest znacznie bardziej życiem w ogóle, życiem constants, niż życiem poszczególnych osobników lub sumą życia tych osobników.

Specyfika świadomości będzie musiała sięgnąć po specyfikę prędkości światła (wynikającą ze specyfiki Energii) dla realizacji specyfiki poznania – będzie musiała poznawać nie poprzez przestrzeń i czas, lecz będzie musiała poznawać poprzez energetyczną specyfikę prędkości światła.

W tym poznaniu przeszłość z przyszłością stanowią siebie wzajemnie.

[2001-04-24]

*

Dotychczasowa nauka nadal hołduje założeniu, że większe musi składać się z coraz mniejszego. Specyfika energii w swym incydencie specyfiki życia, a dokładniej w jej atrybucie, to jest w specyfice świadomości toleruje model cząstkowości i stara się ukazać nam przez nas pożądaną fakt minimalizacji – cząstki elementarne, a potem kwarki.

Kwark ma mieć swój potencjał, ma mieć ruch, czyli możliwość kreowania przestrzeni, a może i możliwość kreowania czasu, ale kwark ma nie mieć już masy. Czyli musi stanowić granicę specyfiki materii lub raczej może stanowić już o domenę specyfiki energii.

Muszę tu przywołać fizyka, który przytaczał „Alicję w krainie czarów”, a w niej kota siedzącego na drzewie i uśmiechającego się. Jednak ten kot zanikał, aż został sam uśmiech. Ten uśmiech miał obrazować nam, że kwark ma istotę punktu. Myśl dopuszcza jednak możliwość umieszczenia punktu w punkcie i tym samym chyba zakpić z punktu.

Jeżeli już zalegalizowaliśmy założenie minimalizacji i przezeń osiągnęliśmy kwark, to równocześnie zalegalizowaliśmy pojęcie maksymalizacji i przyjdzie nam zgodzić się na anty-kwark-max.

Zdrożność pojęcia anty-kwark-max, zresztą przecież jak zdrożność samego kwarka, który tu już może być rozumiany jako anty-kwark-min, wynika jedynie z ograniczoności specyfiki materii, a w specyfice energii anty-kwark-min jest tożsamym z anty-kwark-max.

Nakładając abstrahowanie od przestrzeni i czasu – pojęcie kwarku upraszcza się – ale kwark staje się czymś innym, swobodniejszym.

Zaakceptujmy taki kwark, jako wyjście zgłoszone w dniu 13 października 1998 roku.

[2001-05-27]

*

Świadomość

Dla specyfiki życia – specyfika energii – jawi się jako energia.

I to jest świadomość.

Nic nie wskazuje na to, że świadomość jest wytworem specyfiki życia, bądź tym bardziej specyfiki materii, bądź choćby specyfiki energii.

Myślenie – już tak, uczenie się – już tak, choć są to działania świadomości.

Można więc założyć, że specyfika życia jest jakby dotknięta specyfiką świadomości, dotknięta w różnym stopniu.

Specyfika świadomości jest tak dalece tożsama ze specyfiką życia, że przyjmuje się, że jest tożsama. Jednak to świadomość odchodzi w chwili końca życia. Może więc odejście świadomości ze specyfiki życia jest końcem życia lub co najmniej wstępem do końca życia.

Świadomość jest rozpoznawalna przez samą siebie, wszak jest świadomością. Świadomość akceptuje pojęcie podświadomości, nawet w tym zwyczajnym pojęciu, że coś zrobiliśmy podświadomie. Już gorzej jest z akceptowaniem nadświadomości, chociaż zupełnie poprawnym jest jej przykład w poszukiwaniu absolutu przez świadomość, wynikającym z przeczuwania absolutu. Do sfery nadświadomości należy zapewne pojęcie prawdy, czy chociażby piękna.

Obserwujemy zjawisko chorej świadomości, chociaż nie jest pewne, czy to świadomość choruje, czy też choruje jej instrument, jakim jest mózg. Dla tej części rozważań rozstrzygnięcie tego problemu nie jest istotne.

Padły kiedyś słowa: Byt kształtuje świadomość.

Ripostowano: świadomość kształtuje byt.

Zapewne świadomość związana jest z bytem i dlatego można stwierdzać, że świadomość kształtuje byt oraz że byt kształtuje świadomość. Wolałbym tu jednak używać stwierdzeń, że byt ogranicza świadomość, lub że byt kierkuje świadomość – w każdym z tych przypadków jest zastosowana część świadomości.

Czy świadomość może być zastosowana w pełni swej istoty i swych możliwości? Czy mamy pełną świadomość? Kiedykolwiek?

Z pewnością bliższe prawdy jest, że świadomość uzewnętrznia życie, że świadomość inspirowuje mechanizmy życia, a nawet jest tą ich jedyną przyczyną, przyczyną (jedyną) na przykład ruchu ręki.

Zanik świadomości w specyfice życia, a dokładniej – zniknięcie świadomości, jest unicestwieniem jej samej, ale unicestwieniem tylko w tym zastosowaniu (oczywiście mowa tu o żyjącym człowieku), a tym bardziej jej produktów – myśli, wiadomości, wiedzy, możliwości.

Jednak czy specyfika świadomości przez to cokolwiek traci – traci – przy pojmowaniu jej w ogóle? Może jest samodzielna? Może jest absolutem? Niezniszczalnym? Idealnym? Istotą?

Specyfika świadomości urasta do najbardziej zaskakującej emanacji, urasta do specyfiki przerastającej swym ewenementem inne specyfiki – nawet specyfikę energii, nawet specyfikę materii, czy życia. Może zadziwiać, może być najważniejszą, może szokować swą istotą. Zanika z końcem życia, ale czyż może być zniszczalną? Czy coś tak szalenie powszedniego i jednocześnie nieprawdopodobnego może nosić cechy przypadku i przemijania?

Może świadomość jest utożsamieniem absolutu, który, aczkolwiek pełny w swej idealności, jest realizowany w każdym życiu i każde życie go potwierdza, odnawia, i każde złe wykorzystanie świadomości przez życie nie może jej uszkodzić, a jedynie zaprzepaścić możliwość przyczynienia się do odnowienia świadomości–istoty. (Może nawet wzbogacenia w sposób niewyobrażalny samej Istoty?)

[2001-06-10]

Pytania te mogą być pytaniami retorycznymi.

[2001-06-11]

*

Od kilkunastu miesięcy mój mózg nagle przestawia się na inną relację widzenia. Co kilka miesięcy, przez kilka dni widzę tak, jakby widziany obraz przesuwiał się z lewa w prawo w cyklu ułamków sekundy. Jest to oczywisty wynik starzenia się, a dokładniej skutek niedokrwienia mó-

zgu. To niedokrwienie jest wynikiem najprawdopodobniej okresowego przewężenia krwiobiegu w części doprowadzającej ożywczą krew do mojego mózgu. Można jeszcze uściślać, że przewężenie to jest może spowodowane tworzącym się i przesuwającym się skrzepem krwi w tej części krwiobiegu. To już jest sprawa dla medycyny.

Dla nas znacznie bardziej istotny jest nie aspekt starzenia się, ale aspekt zupełnie innego postrzegania, aspekt zupełnie innego konkludowania. Istotne tu jest, że poprzez pewne uwarunkowania, nawet tylko mechaniczne uwarunkowania (jak w opisywanym moim przypadku) percepcja umysłu tak radykalnie się zmienia. Tym razem zmiana daje przypadkowe, a zwłaszcza nieistotne wyniki postrzegania dla dociekań istoty moich rozważań o wszechświecie.

Istotne jest tu – zauważmy – że mózg ma wiele możliwości zupełnie innego zakresu percepcji, percepcji bardzo poprawnych, bardzo ważkich obserwacji i konkluzji – jeśli ten mózg będzie odpowiednio inspirowany nie tylko mechanicznymi uwarunkowaniami.

Może wówczas postrzeganie i konkludowanie skutecznie wykracza poza dotychczasowy ich zakres, a mózg zdobędzie się na tworzenie bardziej poprawnych modeli istoty wszechświata, głębiej zrozumie wszechświat, osiągnie nową świadomość – nie tak ograniczoną jak dotychczasowa.

A przecież może to dotyczyć wszystkich zmysłów, nie tylko wzroku, może stanowić o ujawnieniu nowych zmysłów. Może ponad tym wszystkim umysł osiągnąć nową jakość percepcji, konkluzji i modelowania.

[2001.7.15]

*

2002.03.16

„W przedmiocie energetycznych nośników informacji o przeszłości należy zwrócić uwagę na meteoryty, w których są przecież zapisane wszystkie wydarzenia mające miejsce kiedykolwiek i gdziekolwiek we wszechświecie. Należy do badania tego zjawiska, może raczej tej właściwości, użyć podobnych metod i modeli strukturalnych, jakich ludzkość już użyła w przedmiocie genomu.

W przedmiocie filozofii empirycznych i teoretycznych kierunków badań naukowych, należy wreszcie zdać sobie sprawę o bezpodstawności poglądu, że istota rozwiązania nurtujących problemów dotyczących zasad i praw natury wszechświata i życia znajduje się i jest zapisana dopiero w najmniejszych elementach, co doprowadziło do kwarków i genomu. Należało szukać i szukano tej istoty w drugim ekstremum, to jest w niesłychanie wielkich elementach wszechświata, co doprowadziło do czarnych dziur i wielkiego wybuchu. Przecież Istota jest niemierzalna, nie można jej wiązać z przestrzenią, czasem i wielkością. Niestety, jest ona równie odległa od pojęć energetyki, a tym bardziej materii, czy nawet życia.

Istota może być rozpatrywana, gdy zdamy sobie sprawę, gdy dostrzeżemy, iż obecne niespójności wyników naukowych, niespójności między kwarkami a kinetyką, niespójności zachodzące zapewne i w innej problematyce, znajdują i mają swoje spójności dopiero w innych specyfikach Istoty – ten fakt na nowo kierkuje badania Istoty, ale muszą to być badania wyzwolone od nieuzasadnionych narostów naukowych, nie przyrząd, nie liczba, nawet nie teoria muszą stać się narzędziem umysłu, narzędziem musi stać się przebłysk intelektu, otwartość rozumu na kwestię: czy to mogłoby być inaczej, czyli, że to musi być inaczej, aby miało spójny sens”.

(2002-03-16)

*

„Teoria modelu specyfiki

Specyfika przyjęta jako nazwa

Specyfika nie jest częścią, nie jest też całością, można by przyrównać ją do właściwości, do formy, do samoistności

Specyfika nie jest szczegółnością ani ogólnością

jest **w**, jak i **poza**

jest inna, zarazem jest sobą

zarazem jest i są

jest, a nie jest to stan, nawet nie istnienie”

(2002-03-17)

„Co nie znaczy, że specyfika nie może być czymś z powyższego lub nawet wszystkim powyższym”

(2002-03-20)

*

„atmosfera mózgu

§ 1

tworzenie rzeczywistości: – jak świadomość dnia – zanikająca świadomość wczoraj – nieznanie jutro – rzeczywistość jest tylko tam, gdzie jest, bo tam fizycznie dotarliśmy – rzeczywistość zanika już w obszarze **ZA**, nie istnieje jeszcze w obszarze **PRZED** – relatywizm czasu i przestrzeni jako projekcja specyfiki życia

§ 2

specyfik nie można udowodnić, bo ich istota na tym polega, zwłaszcza dotyczy to specyfik tych odległych od specyfiki życia, ale samą specyfikę życia mamy, tylko nie chcemy jej dostrzec, tak jak nie dostrzegano kulistości Ziemi, czy obrotu ciał niebieskich.

§ 3

Kontakt przez mózg ze specyfiką życia: – zasilanie naszego życia przez specyfikę życia. Gdy żyjemy, specyfika życia w nas tkwi, równocześnie tkwi w drzewie, w komarze, ta sama, tak samo, po swojemu, niepodzielna. Dostrzeżmy ją, zdajmy sobie z niej sprawę – syntaps w mózgu nie działa samoistnie, nie jest odpowiedzią na życie, czy na myślenie. Jest kontaktem zasilającym specyfiką życia, jest nawet linkiem – ścieżką dostępu – do czerpania ze specyfiki życia.

§ 4

Te kontakty i te linki do specyfiki życia nazwałem atmosferą mózgu.

§ 5

Specyfika życia daje życiu właściwość obrazu rzeczywistości, ale nie jest to odwzorowanie rzeczywistości, bo jest tylko sposobem przemawiania innych specyfik do specyfiki życia.

§ 6

Specyfika życia daje możliwość kreowania, zwłaszcza kreowania teorii naukowych i nawet ich udowadniania. Pozwala na stawianie ograniczeń, czy pragmatów tam, gdzie życie widzi tego sens. Pozwala na wnioski sprzeczne, bo taka jest istota tej specyfiki i jej inność, inność mogąca pomieścić to wszystko, co życie, może nawet co mózg skonstatuje. Pozwala nam ocierać się o nią i jednocześnie nie dostrzegać jej. Zostawia nam wolny wybór: czy wygodniej nam będzie nadal nie dostrzegać jej, czy też dopuścimy w sobie świadomość jej samej, odsłaniając na razie np. względność.

§ 7

Klimat mózgu nie ma wyłączności na życie, może ma wyłączność na kreowanie – wszak poza tym życie pływa w klimacie życia, jest przezeń opływane i klimat życia płynie w samym życiu. Może oba klimaty stanowią komplet specyfiki życia, może.

klimat życia

§ 8

klimat życia jest formą dla cielesności życia – jest formą w znaczeniu dosłownym – kreuje tę cielesność życia – stanowi o cielesności – generuje życie – jest następnym przejawem specyfiki życia”

(2002-03-24)

*

(2002.05.22)

Wreszcie ślad przeszłości!

W TV widząc film fal morskich skojarzyłem, że na aktualnej fali są widoczne ślady fal wcześniejszych. Trzeba odjąć falę obecną, aby otrzymać sumę fal wcześniejszych. Teraz można odejmować nowsze fale, aby cofać się w przeszłość. Przenieśmy to na falowy charakter dźwięku i światła, aby odtworzyć przeszłość, np. rozwikłanie przestępstw, a nawet historii. To jeszcze droga bardzo daleka do efektu, ale początek nici uchwycony.

Ps. Warto było tyle godzin patrzeć w TV.

*

pytania

Zdarza się widzieć bardzo rozgwieżdżone niebo. Jest tych gwiazd takie krocie, że zdaje się, że są posklejane – tak blisko są usiane obok siebie – to daje bardzo nikły obraz ich ogromnej ilości. Dla ludzkiego oka są one gdzieś bardzo daleko, właściwie w jednej odległości. Już w prosty przyrząd uzbrojone oko zaprzecza temu – są one rozmieszczone w całej nieskończoności, w niewyobrażalnych odległościach od siebie. I co? Wszystkie na wszystkie świecą? Przez te niewyobrażalne odległości? A więc świecą kuliście, każda świeci kuliście, a jeżeli nie świeci, bo jest na przykład taką choćby planetą, to odbija też kuliście promienie, które do niej dotarły. Świecą kuliście w cały wszechświat, ich wysłane promienie są wszędzie we wszechświecie. Jakż to potężna energia sprawia taką projekcję? I właściwie dlaczego? Dlaczego to wszystko tak się rozprzestrzenia? Po co? Dlaczego? Czy rzeczywiście się rozprzestrzenia, a nie jest tak, że każda dla każdej przy każdej po swojemu jest? I to wszystko jest w tak zwanej próżni. Czy taka próżnia może być próżnią? Udowodniono odginanie promieni gwiazdy przez inne gwiazdy. Czyli nie biegną one, te promienie po prostej, choć powinny. Czyli wszystko jest odginane przez wszystko. Czy można mówić o kulistej naturze promieniowania? Kulistej, skoro wszystko w tym odginaniu jest przyśpieszane, przyciągane, spowalniane? I teraz przejdźmy z tej specyfiki emitowania wszystkiego w kierunku wszystkiego, do wszystkiego – czyli potrzebie, nieuchronności wysyłania się wszystkiego w kierunku wszystkiego – do specyfiki przyciągania. Wszystko jest przez wszystko przyciągane. Kiedy zmienia się natura tego emitowania, czyli tryskania we wszystkie strony, w naturę przyciągania wszystkiego ze wszystkich stron? Gdzie i jakie miejsce jest dla odpychania? Czym różni się emitowanie, przyciąganie, odpychanie? A może nie różni się? Dlaczego atom tak trudno rozbić, dlaczego jest tak szalenie wewnętrznie zwarty? Dlaczego jądro, na przykład Ziemi tak zdecydowanie przyciąga? Czym go wyróżniła nieskończoność, że ma takie uprawnienia i taką moc? A przecież taka specyfika przyciągania jest powszechna w kosmosie. Ale dlaczego w tych miejscach jest umieszczone jądro takiej Ziemi w kosmosie? Dlaczego jądra przyciągania są tam, gdzie są? A przecież mamy podobno jądra pochłaniania, zwane Czarnymi Dziurami. Dlaczego? Dlaczego gdzieś tam? Wszystkie gwiazdy, planety, gwiazdozbiory, mgławice – te i wiele innych – dlaczego wszystkie się kręcą obok siebie? Dlaczego atom jest splotem krążenia? A może to powszechne i wszechobecne i wszechwładne krążenie nie jest krążeniem? Ogon komety i jego ukierunkowanie – jest we wszechwładnej mocy wiatru słonecznego. Czym jest w istocie wiatr słoneczny? Albo dlaczego jest? Jakie jest przyciąganie (lub jak kto woli – oddziaływanie) gwiazdy na przykład Alfa Centauri (jeśli taka jest) na atomy mojej śliny? A tu jeszcze dał znać o sobie gen i genom – zapis kompletnej informacji o bycie osobniczym. Można z jednego włosa, można ze śliny pod znaczkim pocztowym na kopercie listu, można zidentyfikować osobnika, ba, można odtworzyć, sklonować. Więc gen nie jest tylko zapisem informacji o osobniku, jest przecież tym osobnikiem, jego istotą, posiadającą możliwość zaistnienia na nowo, całkowicie, tak samo. Po co? Po co takie uprawnienia i możliwości dostał gen?

Czy my to naprawdę rozumiemy?

Czy ma znaczenie nasze rozumienie?

Czy ma sens „dlaczego”?

Warszawa, 2003-09-27

*

Aby przekroczyć próg między HOMO a AHOMO, z HOMO do AHOMO, należy wykluczyć – usunąć pojęcie „**jest**” wraz z całą strukturą wynikającą i związaną z pojęciem „**jest**”.
Wtedy AHOMO okaże się nie być odwrotnością pojęcia „**jest**”.
(2006-02-05)

*

(2006-04-02)

Specyfika życia uzasadnia kurczenie mięśni, czyli ruch, uzasadnia myślenie, instynkt, minimalizację organizmów żywych, w ogóle życie i jego umieranie, które raczej należy zwać wycofywaniem się, tak jak wycofuje się energia na nowe miejsce. Stąd reinkarnacja jest faktem, ale nie tak dosłownym, bo życiu jest obojętna forma jego życia. Specyfika życia tkwiąc w jakimś organizmie, nie dzieli się na poszczególne osobniki, lecz ma w nich tak jakby swoje macki.

*

przeszłość

Fale na morzu niosą siebie wzajemnie jedne na drugich. Dlatego są różne, bo mają różne pochodzenie – jedne powoduje wiatr, inne są falami odbitymi, jedne i drugie pochodzą z różnego czasu – nie będziemy tego tutaj dogłębnie roztrząsać. Zaznaczmy jedynie, że podobne zjawiska zachodzą z falami w powietrzu, a tym bardziej z falami energetycznymi w ogólności. Każda chwila emituje swój bukiet fal, który jest co najmniej kliszą tej chwili. Bukiet taki zachowuje się w sobie właściwy, a właściwie we właściwy sposób dla istoty falowania. W każdym razie nakładają się one na siebie, niosą siebie wzajemnie. Dzieje się tak zarówno w widmie spektralnym, jak i w promieniowaniu, które Ziemia emituje. Falowanie fizycznie coraz bardziej zanika, ustaje... Ale czy istotnie zanika całkowicie, ustaje całkowicie? Raczej nie, choć jest coraz mniejsze, może coraz słabsze... Ale nadal jest. Archeologia bada przeszłość, odsłaniając kolejne, coraz wcześniejsze warstwy kulturowe. Używa do tego delikatnych narzędzi – szpachelek, sit, czy pędzli. Obecnie powstanie archeologia spektralna, która też będzie odsłaniać poprzez oddzielenie kolejnych warstw bukietów spektralnych – zyska nowe narzędzie odsłaniania przeszłości. Odsłanianie przeszłości Kosmosu już zachodzi. Podejmiemy (kiedyś) odsłanianie naszej przeszłości podobnymi metodami i narzędziami. Przecież zwykłe radio już potrafi wychwycić tę jedną jedyną długość fali, a wychwytyje spośród olbrzymiego spektrum falowania w ogóle.

(2006-04-13)

*

(2006-07-31)

Wychodząc z tezy „wielkiego wybuchu”, z której wynika pogląd, że Wszechświat stale się rozszerza, musimy dopuścić fakt, że wobec tego Wszechświat nadal i stale jest stwarzany tam na granicy postępującego rozszerzania się.

Pamiętajmy jednak, że „wielki wybuch” miałby konsekwencje odwrotne, to jest, że w którymś okresie następować będzie kurczenie się Wszechświata – mielibyśmy wówczas ... ze zjawiskiem cofania się stwarzania Wszechświata, mielibyśmy wówczas ... ze zjawiskiem destworcy.

Jeśli poważnie potraktujemy twierdzenie, że nic nie może poruszać się szybciej od prędkości światła, to musimy dopuścić wniosek, że tak zwana prędkość światła stanowi granicę dla zachodzenia pewnej klasycznej grupy odniesień fizycznych.

Przyjmijmy zatem prędkość światła jako punkt odniesienia, jako swoiste zero, wówczas po jednej stronie tego zera będziemy mieli klasyczne pojęcia fizyczne: czas, przestrzeń, ruch, materię, a nawet życie – a po drugiej znajdują się nieznanne nam obecnie procesy, syntezy, a zwłaszcza coś, co w uproszczeniu nazwę – antyfizyka.

Taka antyfizyka już się zarysowuje w postaci czarnych dziur, antymaterii, czy wreszcie wielkiego wybuchu.

Twierdzi się, że mamy do czynienia z falami, z których największe parametry ma promieniowanie gamma, a najmniejsze – fale radiowe. Dopuśćmy jednak, że tyle zaledwie dzisiaj wyróżniamy i nie jest to pełen obraz. Istota falowania wymaga dopiero odkrycia.

*

(2007-08-13)

Świadomość

Zacznijmy rozważania od banałów, bardzo prymitywnie, niejako od podstaw. Na koniec postawimy pytanie, czym jest świadomość.

Rozwój biologiczny organizmu jest poza świadomością, świadomość nie ma tu nic do powiedzenia.

Absolutnie poza świadomością danego osobnika i oddziaływaniem jego świadomości są jego cechy genetyczne jako osobnika.

Podobnie anomalie w organizmie, zwyrodnienia, rozwój choroby – tu też świadomość nie ma żadnego konstruktywnego wpływu.

Cały szereg procesów życiowych odbywa się nie tyle nieświadomie, ile poza świadomością

Szereg zachowań jest odruchowych – nieuświadomione działanie świadomości poprzedzające samo uświadomienie

Mamy świadomość bicia serca, bo czujemy to

Czucie – odbieranie informacji zmysłami

Już dosyć świadomie mrugamy

Niektóre fragmenty oddychania są w pełni wywołane świadomością

Świadomość bólu, rozkoszy, głodu, cierpienia

Sen jest usypianiem świadomości, sen niczym innym, jak usypianiem świadomości, aby organizm podjął samorzutnie działalność na rzecz regeneracji sił, oddalenia doświadczeń, aby organizm skoncentrował się tylko na tym.

Mamy świadomość otoczenia, które to otoczenie odbieramy zmysłami: dzień, noc, temperatura, stan pogody, przedmioty nas otaczające, inne organizmy będące w sąsiedztwie

Świadomość gromadzi informacje i doświadczenia, zapamiętuje je

Świadomość musi być w pełni zaangażowana przy zdobywaniu pożywienia, przy procesach rozrodczych, w walce o przetrwanie, w walce o swoje terytorium, w uzyskaniu łączności z innymi osobnikami

Taka świadomość jest oczywista, jest częścią życia i nie może dziwić swym istnieniem i działaniem, a przynajmniej może dziwić na tyle, na ile dziwi samo życie

Świadomość nie jest procesem abstrakcyjnym w stosunku do życia

To wszystko posiadają zwierzęta, więc gdzie zaczyna się wyższość świadomości człowieka?

Świadomość pozwala na coraz szersze i dogłębne rozpoznawanie otoczenia, a wszystko w ramach podstawowych potrzeb organizmu żywego do swego przetrwania

Zapis i umiejętności zapisu przez człowieka nie może być czymś szczególnym wobec zaznaczenia swego terytorium moczem bądź wydzielinami gruczołów

Również mowa jako instrument porozumiewania się z innymi osobnikami nie wyróżnia człowieka spośród zwierząt co najmniej, które przecież porozumiewają się między sobą dźwiękami.

*

Warszawa, 2008-10-30

Zarys problemu:

Grawitacja

Energia

Cały kompleks fal

Magnetyzm

Materia

Życie

Rzekoma próżnia

Ten podział jest sztuczny, mylący

Bo jakoś wszystko jest ze sobą powiązane – stanowi całość, nawet jedność

Grawitacja – na Ziemi stanowi powszechne wszechogarniające zjawisko – dzięki niej chodzimy, kartka leży na stole, obraz wisi na ścianie, deszcz pada, Ziemia przyciąga Księżyc – czyli grawitacja jest wszechobecna, taka sama tu jak i na antypodach, więc wewnątrz Ziemi jest coś, co stanowi o tej grawitacji, to nic że już zbadane, że określone, abstrahujemy od tego, przecież wbrew oczywistościom jest czymś szalenie dziwnym, mimo wszystko nieznanym, dlatego w środku Ziemi jest jądro tej grawitacji, centrum grawitacji, dlatego, skąd się wzięła w każdym obiekcie Wszechświata, dlatego grawitacja została tak rozczłonkowana, przecież ukształtowała Wszechświat, dlatego tak jednoznacznie wszechobecna jednocześnie jest tak dziwnie ograniczona, bo ziemską grawitację ma swoje gdzieś tam granice w kosmosie, nie oddziałuje, już nie istnieje, to samo obowiązuje Słońce a i cały Wszechświat – w swej istocie grawitacja chyba na czym innym polega...

*

(2008-11-18)

Jestem przeziębiony, więc będzie tu bałagan. Tych wiele dni przemyśleń wymaga opisania drogi rozumowania. Ale umieszczę tu jedynie jakieś odpryski myśli. Generalizując: grawitacja jest wszędzie i oddziałuje na wszystko, ale gdzie ona się znajduje? W jądrze Ziemi przecież się nie zaczyna, nie ma tam nic aż tak szczególnego, aby powodowało grawitację i załatwiało ją we wszechświecie. Byłbym skłonny przyjąć, że grawitacja jest sumą jednostkowych grawitacji. Widzę wytłumaczenie jedynie w tym, że grawitacja, jej zarodek, znajduje się wszędzie, to jest, że wszystko posiada własną grawitację, która się sumuje z innymi grawitacjami i dopiero tak wyraźnie daje o sobie znać w skali Ziemi, ziemskiego przyciągania. Może to nadal nie wyjaśnia istoty grawitacji, ale jest jedynym poprawnym wytłumaczeniem na jej istnienie. Ja, jak i cały wszechświat mam własną osobniczą grawitację, daję swój wkład w całościową grawitację naszej planety.

*

(2008-12-03)

To szkic myśli. Nie ma dostatecznego uzasadnienia na przyciąganie ziemskie i wszelkie inne. Nie mamy do czynienia z wielkim magnesem, który gdyby nawet istniał, nie przyciągałby wszystkiego. Nie rozwinę tego teraz. Powiedziałbym, że bardziej poprawne od przyciągania byłoby pchanie, a raczej wypychanie – grawitacja jako wypychanie jest śladem, dalszym ciągiem wielkiego wybuchu, a właściwie dowodem, że Wszechświat się rozszerza – to odwybuchowe rozszerzanie stanowi grawitację, stanowi pchanie, a nie przyciąganie. Rozszerzanie się Wszechświata zachodzi w wartościach powyżej prędkości światła. Tak monstrualny pęd rozszerzania powoduje wypychanie ze swej istoty tego brudu kosmicznego, jakim jest materia. Rozszerzanie się nie jest ukierunkowane – Wszechświat rozszerza się bardziej, niż w tak zwanych trzech wymiarach. Rozszerzanie jest totalne, może wypychać powodując skupianie się materii w gwiazdy, czy planety.

*

(2009-02-12)

Przy czym chwilowo należy abstrahować od podstawowych terminów Wielkiego Wybuchu, to jest o jego Początku i zasadzie stałego Rozszerzania. Nie zajmujemy się na razie Początkiem i Rozszerzaniem, czyli zostawmy do późniejszego przeanalizowania istotę samego Wielkiego Wybuchu. Jednak posługując się pojęciami samego Wybuchu podkreślenia i uwypuklenia wymaga sama istota mechanizmów Wielkiego Wybuchu, który odbywa się na swoich stale powiększających się granicach, ale znacznie znamienne w swoim wnętrzu – są to oddziaływania i naprężenia wewnętrzne – w pewnym uproszczeniu wyobraźmy sobie Wielki Wybuch również do środka, w jego wnętrzu – co jest istotą grawitacji.

*

(2009-02-17)

Istota grawitacji świadczy o istocie Wielkiego Wybuchu i w samej rzeczy jest istotą Wielkiego Wybuchu, a wobec tego nadana nazwa <Wielki Wybuch> nie oddaje charakteru zjawiska i powoduje wyciąganie mylnych wniosków, choćby sugeruje jakiś początek i chwilę obecną.

Nota bene: precyzja pionu murarskiego, a magnetyzm ziemski – czyż nie jest zastanawiająca ta precyzja pionu murarskiego?

*

(2009-04-15)

Przecież to takie oczywiste, że Słońce krąży wokół Ziemi i tak samo oczywiste jest, że wewnątrz Ziemi jest olbrzymi magnes, który przyciąga wszystko: wodę, rośliny, ludzi, minerały, Księżyc, a nawet meteoryty, nawet rakiety niemogące pokonać przyciągania ziemskiego. A jeśli grawitacja jest zjawiskiem zewnętrznym? ...jest rodzajem napięcia wewnętrznego Kosmosu? ...jest integralną częścią pędu rozszerzania się Wszechświata... ...który rozszerza się nie tylko na swych nieprawdopodobnych granicach, ale przede wszystkim wewnątrz... ... nagle przyspieszenie samochodu wgniata nas w fotel, to nie fotel nas przyciąga...

*

(2009-05-09)

Weźmy potężne leje po uderzeniach meteorytów. Wydaje się bardziej prawdopodobne, że siła takiego niewspółmiernie wielkiego uderzenia pochodzi z pchania powybuchowego, z wielorakich skutków Wielkiego Wybuchu, niż byłaby wynikiem tylko przyciągania meteorytu przez Ziemię. Samolot spadając na ziemię nie wybija tak wielkiego krateru, jaki w tej samej sytuacji powoduje wybuch spadającej bomby.

*

(2010-03-05)

Coś, co zostało określone mało precyzyjnie Wielkim Wybuchem, nie odbywa się jedynie w trzech wymiarach ziemskiego rozumowania człowieka, odbywa się przede wszystkim w pozostałych specyfikach, bo nie w czwartym, czy piątym wymiarze.

Wybuch nie kreuje, on dociera, jest antykreowaniem. Wielki Wybuch nie dociera, nie rozszerza się, nie jest antykreowaniem, On raczej definiuje, ustanawia.

Może raczej przemienia – zwijmy Go raczej Kreowaniem (bez przymiotnika, bo każdy by zawężał zagadnienie).

*

Dziś w 2010 roku zauważam brak wytłumaczenia dla istnienia różnych wartości w pojęciach „porządek” i „zakrzywienie”. „Porządek” niesie w sobie wielość wartości, całe swoje dostojęństwo, podczas gdy „zakrzywienie” jest jakby nieśmiałym zboczeniem z drogi. Podobnie jest z wyrazem „względność” w teorii względności. Nadal w tych pojęciach skutecznie istnieje to wszystko i narzuca swe wartości, od czego miały odchodzić, a właściwie abstrahować pojęcia „zakrzywienia” i „względności”. Nastąpiło niepełne wyzwolenie myśli. Nadal zapytujemy „porządek”, co sądzi o „zakrzywieniu”, nadal nie dopuszczamy myśli, że to „zakrzywienie” ma prawo wydać sąd o „porządku”.

(2010-04-19)

*

(2010-09-22)

Nieskończoność jest równa **odwrotności** w potędze (patrz dalej) **całki** wyznaczonej dla nieskończenie dużych obszarów w funkcji nieskończenie długiego czasu. Mamy tu odwrotność całkowania jednocześnie traktującą zarówno o przestrzeni, jak i o czasie. Czyli obszaru w funkcji czasu, jak i czasu w funkcji obszaru. Odwrotność jest w obszarze od potęgi n stopnia do pier-

wiastka n stopnia, czyli n zbliżonym do nieskończoności, analogicznie do modelu całkowania. Odwrotność powyższa jest samą istotą wyżej wymienionego obszaru, a nie dosłownie tym obszarem. Rozwiązaniem jest, że czas i przestrzeń jest nieskończenie małym zjawiskiem – nie najistotniejszym ewenementem nieskończoności. (Jest – nie Są). Co dowodzi grawitacji jako efektu Wielkiego Wybuchu z uwzględnieniem bardzo nieprecyzyjnej nazwy (WW) nie oddającej istoty (WW), bo sprowadzającej na zawężenia modelu.

*

(2010-11-17)

Grawitacja jako pochodna, jako wyraz tak zwanego Wielkiego Wybuchu charakteryzuje go, najbardziej dokładnie (jak dotychczas najbardziej dokładnie) świadczy o jego istocie. Jeśli istota grawitacji różni się od istoty Wielkiego Wybuchu, to znaczy, że należy przedefiniować Wielki Wybuch i może nawet odłączyć go nazywać.

*

(2011-01-21)

W „Czarnej Dziurze” „Nieskończoności” jeszcze nie ma, bądź już nie ma, bądź chwilowo nie ma; podobnie najwięcej „Nieskończoności” jest w jądrach gwiazd – bo taka niejednorodna i niestała jest mechanika „Nieskończoności”. Wszech-Fala Wielkiego Wybuchu ma więc takiż charakter. Wszystko to nie przywraca sensu powszechnego zachodzenia Czasu, Przestrzeni, a tym samym Masy, czy Materii – natomiast ustawia w nowych, bardziej właściwych, parametrach Energię.

*

(2011-04-08)

Wszechświat nie jest Stabilny ani się nie Rozszerza. Takie cechy zaprzeczałyby istocie Wszechświata. Wszechświat jest Inny w sobie tylko właściwym znaczeniu. Jest ponad wszelkie ograniczenia i modele, ponad dogmaty i zasady, ponad prawa fizyki czy chemii – co nie znaczy, że z tym wszystkim nie ma nic wspólnego. Można go widzieć jako stabilny lub rozszerzający siebie, nawet można o nim tak myśleć, ale widzenie go takim i myślenie o nim w ten sposób – nie przybliża nas do zgłębienia istoty Wszechświata. Wszechświat nie jest nawet matematyczny. Wszechświat nie jest zamkniętą całością. Wszechświat jest częściową przypadłością – nie jedyną tej Inności.

*

(2011-06-13)

Relacja między cyfrą a liczbą, jak i relacja między literą a słowem oraz w konsekwencji dalej między liczbą a wszechświatem, jak i między słowem a myślą są niepokojąco niedopracowane, przypadkowe i tym samym gmatwające, spowalniające i utrudniające dalszy ciąg percepcji na drodze dalszego rozpoznawania wszechświata i modelowania charakteru istoty przez człowieka.

Cyfra i litera oczekują bardziej przydatnego ukształtowania; cyfrę i literę czeka wielki skok swojego nowego wyrazu, nowej czytelności i zbieżności oraz zbliżenia z działaniem umysłu człowieka. Czekają na konieczność uogólnień i zarazem znacznie zwiększonej zawartości i zwartości swej treści. Myśl (każda) w swym pierwotnym, wyjściowym kształcie to nie litery i cyfry. To nie litery i cyfry na szczęście, bo myśl dzięki temu uzyskuje wspaniałą swobodę, szybkość, kontaktowość, niemal idealną właściwość twórczą. Wszechświat to nie cyfry na szczęście, bo jego istota jest znacznie bogatsza i wszechstronna; bo wszechświat nie tylko się rozszerza, ale i tworzy z całą swoją swobodą.

Niestety, myśl wymaga zapisu, bo tak łatwo zanika bądź ewoluuje. Jakimś rozwiązaniem byłoby zbliżenie jej utrwalania z techniką komputerową.

*

(2011-12-13)

Posługiwanie się porównaniami i przykładami jest dalece nieprecyzyjne, gdyż przykład może rzeczywiście mieć szereg cech objaśniających zagadnienie, ale równocześnie może nieść ze sobą i na ogół niesie szereg cech nieprzylegających do objaśnianego zagadnienia, a tym samym nasuwać wnioski o wątpliwej poprawności. Jednak czasami nie można inaczej zapisać sensu myśli, jak właśnie poprzez powołanie się na jakiś przykład, bo to pozwoli na wstępne uchwycenie myśli i potem dalsze jej dopracowywanie.

Chcę zarysować kierunek myślenia właśnie poprzez posłużenie się przykładem i porównaniem dla zobrazowania istoty wszechświata. To, co wiemy obecnie o istocie wszechświata na podstawie obserwacji i dostępnych badań, jest tak bardzo niedoskonałe, bo idące w kierunku prawie że nieistotnym, bo nadal nie sięga do istoty zagadnienia, bo opiera się na bardzo skrajnych, a właściwie subiektywnych przesłankach, bo tylko tyle nam daje wzrok oraz stworzone dotychczas zasady zwane nauką.

Oceniam obecny stan wiedzy i jej ukierunkowanie, jako tak bardzo odległe od istoty zagadnienia, że śmiem porównać to do stanu, jakbyśmy widzieli i mieli pojęcie jedynie o wyglądzie twardej okładki książki, nie zawierającej nawet żadnych napisów i nie potrafili sięgnąć do treści zawartej w samej książce i nawet nie zdajemy sobie sprawy z wielkiego zakresu możliwości jej treści, bo może tam być wspaniała powieść, ale i teoria względności Alberta Einsteina, ale i partitura koncertu lub zdjęcia zbiorów muzealnych Luwru.

*

(2012-01-30)

Czarna Dziura jest miejscem, do którego Wszechświat nie dotarł. Tak jak Czarna Dziura wygląda, czym ona jest, takie jest to, do którego Wszechświat jeszcze nie dotarł, bądź nigdy nie dotrze. Cechy Czarnej Dziury są cechami Istoty.

*

(2012-02-24)

Czytam artykuł „Niewidoczna strona Drogi Mlecznej” – Leo Blitz.

Dowiadujemy się o Ciemnej Materii. Przedtem były i Czarna Dziura, i Czarny Karzeł”. Wszystkie one są ogromne, już wyobraźalnie ogromne. Ale co z ich maleńkimi odpowiednikami, czy musi to być wszystko w macrissimo skali? Poza tym trzeba coś zrobić z tymi czerniami. Wprawdzie uściślają temat, ale czy nie za dużo sugerują, zbyt wcześnie przesądzają?

Nie da się tu na pisać KONIEC, ani nawet postawić zwyczajnej kropki.

*

2013-01-22

Jestem dyletantem, ignorantem, nie uczyłem się o energii elektrycznej, ale naukowcy też oświadczenia, że nie wiedzą, czym jest energia elektryczna. Więc spójrzmy na to zjawisko w sposób nienaukowy.

Piorun znany jest ludziom od tak dawna, odkąd istnieje ludzkość – do dziś jest czczony. Natomiast energię elektryczną człowiek odkrył bardzo niedawno. Butelka lejdejska i jej właściwości akumulowania energii elektrycznej zostały odkryte dopiero w 1746 roku. Benjamin Franklin i jego badania muszą tu być wymienione. We Francji 13 maja 1752 roku „złapano prąd” z błyskawicy do butelki, co dowiodło, że piorun jest wyładowaniem elektrycznym w atmosferze.

Piorun przejawia się w błyskawicy i gromie, powoduje pożary, czyli ma wysoką temperaturę, ale jest przede wszystkim olbrzymim wyładowaniem elektrycznym. Jak stwierdza nauka, wewnątrz chmury burzowej tarcie drobin wody i lodu o siebie powoduje naładowanie chmury elektrycznością. Zjawisko wyładowań elektrycznych obserwujemy również podczas burz pia-

skowych, jak i z chmur pochodzących z wybuchu wulkanu, a nawet podczas dużych pożarów lasów. Jakby to zjawisko inaczej opisywać i je uściślać naukowo, jest to przeskok olbrzymiej energii do ziemi, którą chmura została naładowana.

W każdym razie prąd elektryczny ludzkość uzyskuje poprzez różne formy „pocierania”, bo niczym innym jest turbina w elektrowni.

Jest to fizyczna forma pobrania czegoś z ziemi i to coś, gdy tylko może, zaraz wraca do ziemi. Człowiek tylko każe temu czemuś po drodze podczas tego przeskoku do ziemi (super gwałtownemu powrotowi do ziemi), coś dla człowieka zrobić: rozjarzyć żarówkę, pokręcić rotorem silnika elektrycznego. Człowiek dla elektryczności zawsze ma dwa przewody – jeden zwany plusem, po którym płynie prąd elektryczny, a drugi zwany minusem, który jest połączony z ziemią. Dwa druty – siła i ziemia.

Uderzenie pioruna w drzewo powoduje na ogół wyłupanie z drzewa olbrzymiej drzazgi od wierzchołka do ziemi, a czasem rozłupuje drzewo. Uderzenie pioruna w człowieka na ogół zabija człowieka i często spala jego ciało. Drzewo i ciało są dobrymi przewodnikami elektryczności, bo w swej strukturze zawierają duże ilości wody. Woda oraz metale są dobrymi przewodnikami elektryczności. Ceramika, szkło, suche drewno są złymi przewodnikami elektryczności.

Zauważmy jednak, że o ile piorun uszkadza poważnie pień drzewa, a człowieka zabija, to w miejscu styku człowieka z ziemią i pnia drzewa z ziemią ta olbrzymia energia nie zostawia śladu na ziemi, chociaż powinna nawet wytopić lej w gruncie. Można stąd wyciągnąć wniosek, że energia elektryczna nie dąży w głąb ziemi, a zanika na powierzchni ziemi – właśnie **zanika**.

Czy da się wytworzyć energie elektryczną np. na księżycu, czy tylko na powierzchni ziemi – czy pokrycie powierzchni ziemi energią elektryczną jest właściwością tylko kuli ziemskiej, tak jak istniejące na niej życie?

Relatywnie łatwe pozyskanie, relatywnie łatwe przesyłanie, niemal niemożliwe przechowywanie, graniczące z kataklizmem wyładowanie do ziemi, po wyładowaniu brak na ziemi jakichkolwiek odczuć o istnieniu energii elektrycznej.

Nieco zaciemnia rozważania na temat elektryczności problem niewielkich prądów i ich wyładowań. Tak na przykład masa metalu w samochodzie jest dostatecznym substytutem ziemi i wystarcza na rozładowanie elektryczne, czyli na pracę elektryczności. Również ciało człowieka może zostać naładowane niewielkimi ilościami prądu elektrycznego przy zwyczajnym zdejmowaniu koszuli i potem wyładować się całkiem odczuwalnie podczas zetknięcia ciała z przedmiotem metalowym. Można stąd wnosić, że elektryczność może być wytwarzana i realizowana w sytuacji braku styczności z ziemią. Generalnie jednak energia elektryczna jest integralną częścią Ziemi, a nawet tylko jej powierzchni. Można przypuszczać, że stanowi constans i jest niezniszczalna. Ujawnia się jednak dopiero w procesie pobierania jej części (tak zwanej dodatniej) z ziemi, a zwłaszcza w chwili jej przeskoku z powrotem do ziemi.

Ale może jednak samo tarcie nie wytwarza energii elektrycznej, lecz jeden składnik energii elektrycznej jest przez tarcie pobierany jednak z ziemi, a nawet może energia elektryczna jest oddzielana od ziemi i natychmiast, gdy tylko zdoła, wraca i to gwałtownie do ziemi. Może energia elektryczna, choć stosunkowo łatwo może zostać oddzielona od ziemi, to nie może być bezkarnie uniesiona z ziemi, natychmiast wraca i to z wielkim hukiem. Może energia elektryczna jest właściwością powierzchni ziemi, a ta pochodną parcia wybuchu zwanego Wielkim.

Prąd elektryczny pojawia się w przewodzie jednocześnie na całej długości przewodu, nie można mówić o wpływaniu prądu do przewodu. Jeszcze bardziej jest to zauważalne, gdy wyłączymy prąd – znika on natychmiast w całym przewodzie, nie da się odciąć części prądu w przewodzie za wyłącznikiem. Nawet bardzo duże przewężenie przewodu (bezpiecznik) nie powoduje zaniku prądu za przewężeniem. Jedynie prąd za bezpiecznikiem może wykonać znacznie mniejszą pracę, natomiast przy przeciążeniu przewodu zwężenie ulega spaleniu i zanik prądu.

Ziemia składa się z ciał stałych, płynnych, gazu, ale i z energii elektrycznej. Na Ziemi istnieje życie, które nie istniałoby, gdyby promieniowanie słoneczne nie docierało do Ziemi. Może energia elektryczna jest jakąś formą indukcji lub projekcji Wszechświata na Ziemię lub przynajmniej indukcji lub projekcji Słońca na Ziemię.

2013-02-12

Elektryczność (od gr. ἤλεκτρον (elektron) – bursztyn) – ogólna nazwa zjawisk związanych z oddziaływaniem ciał mających ładunek elektryczny (na przykład elektronów i protonów) oraz z przepływem tych ładunków (prądem elektrycznym). W fizyce elektryczność obejmuje elektrostatykę, elektrodynamikę i prąd elektryczny. Można wyróżnić elektryczność naturalną, np. atmosferyczną oraz elektryczność związaną z techniką.

Potocznie elektryczność jest kojarzona przede wszystkim z instalacją elektroenergetyczną.

Piorunochron
Przeskok iskry
Prądnic

2013-02-14

Współczesna nauka bada zjawiska elektryczne (jak zresztą wszystko) poprzez szukanie wyjaśnienia w coraz to mniejszych elementach – stąd elektrony i protony. Może należałoby obecnie zacząć badać elektryczność w skali mega. Bo tak: na Ziemi jest stała ilość wody, gazu, ale i materii; nawet Życie uważam za Konstans na Ziemi. Do Ziemi dociera promieniowanie słoneczne, ale czy ją wzbogaca, to jest czy Ziemia gromadzi coraz więcej energii słonecznej? Nie wydaje mi się. Podobnie człowiek wytwarza na Ziemi coraz więcej energii elektrycznej i coraz więcej jej zużywa, ale śmiałym twierdzić, że specyfika energii na Ziemi jest stała – jest właściwością, może nawet atrybutem Ziemi. Jest znamienne, że o ile pobieranie od Ziemi (wytwarzanie) energii elektrycznej jest procesem relatywnie bardzo łagodnym, to powrót tej energii do Ziemi jest tak dalece gwałtownym, równym zapewne prędkości światła. Z tych różnic pobierania i powrotu należy wyciągnąć wnioski. Niejako energia elektryczna istnieje tylko dzięki Ziemi i nie da się skutecznie od Ziemi oddzielić, jest jakoby właściwością Ziemi, jest integralną jej składową, niejako niezbywalną. Jest pochodną Pchania od Wielkiego Wybuchu.

2013-03-07

Kiedyś dotknąłem przewodu elektrycznego, doznałem wielkiej wibracji w całym ramieniu, a nawet w piersiach, trwało to ułamek sekundy, bo zdołałem oderwać rękę. Tu należy pamiętać o elektrowstrząsach stosowanych przy chorobach psychicznych lub przywracaniu akcji serca, a nawet o wszczepianych rozrusznikach serca.

Linie wysokiego napięcia w postaci słupów i zawieszonych przewodów miedzianych powodują zakłócenia fal radiowych, a nawet oddziałują niekorzystnie na samopoczucie i zdrowie – zachodzi to w bliskim sąsiedztwie przebiegu linii wysokiego napięcia. Czyli prądowi elektrycznemu w przewodach towarzyszą oddziaływania poza tymi przewodami.

Kable wysokiego napięcia tak bardzo się nagrzewają, że są chłodzone specjalnym przewodem olejowym.

Nie wiemy, czym jest prąd elektryczny, ale tak samo nie wiemy, dlaczego następuje krystalizacja skał, czym są minerały, czym jest woda, gaz, życie? Dlaczego taki podział, a nie inny? Ciała stałe, płynne, gazowe, energia, życie w dziwnym podziale na florę i faunę – skąd taki podział?

2013-03-19

Pisałem już o piorunach, cytowałem, że „chmury się pocierają, powstają w chmurach ładunki elektryczne dodatnie i potem następuje wyładowanie”. Tyle że chmury nad Ziemią są przez okrągły rok, a pioruny nie zdarzają się wcale zimą, a przynajmniej zdarzają się szalenie rzadko. Coś tu jest nie tak, coś jest niedopowiedziane.

Człowiek na Ziemi ma niezaprzeczalne osiągnięcia intelektualne i również materialne, ale największym osiągnięciem jest umiejętność wytwarzania elektryczności, jest to dziedzina totalna i brzemienna w skutki w całej działalności Człowieka – bez elektryczności Człowiek by nie był człowiekiem – przecież od zegarka, poprzez telefony, radio, samochody, pociągi i stacje ko-

smiczne wraz z satelitami, wszystko to jest oparte na elektryczności. Jediną działalnością Człowieka na Ziemi widzianą z kosmosu jest światło miast.

P.s. Morał nie może być niemoralny.

2013-03-21

Elektryczność nie miałaby znaczenia i zapewne nie znalazłaby wielkiego zastosowania, gdyby nie jej nieodparta potrzeba przeskakiwania do Ziemi (i to z siłą pioruna) lub przynajmniej tymczasowo do jakiejś masy.

2013-03-24

Elektryczność musi mieć przewody, w bardzo małym stopniu pojawia się poza przewodami. Przewody muszą być metalowe. Dlaczego tak jest? Czym dla elektryczności metal różni się od minerałów?

2013-03-29

Pozyskiwanie energii elektrycznej przez pocieranie jest tak banalnym sposobem (choć oczywiście pozyskującym energię elektryczną), że wręcz obraźliwym dla intelektu ludzkości.

2013-04-07

Dodać należy kondensator, który gromadzi elektryczność;

Akumulator, który też gromadzi elektryczność;

Baterię elektryczną, która wytwarza elektryczność metodą chemiczną;

Ale bateria ma też minus!

Mało tego – możemy połączyć ich plusy z minusami (to jest połączyć plus jednej baterii z minusem innej baterii) i nie dochodzi do spięcia i nagłego wyładowania, lecz uzyskujemy silniejszą elektryczność;

Na dodatek mamy prąd stały i zmienny.

Jestem coraz dalej od celu podróży.

2013-04-20

Zastanawiam się nad tajemniczością elektryczności, a czyż nie mniej tajemniczą jest fotosynteza i chlorofil? A samo życie?



Przejrzałem 2013-07-04

Marian Czesław Sokołowski, Warszawa, Poland



(2014-12-17)

Jest przecież elektromagnetyzm. Energia elektryczna przekształca się w magnes. Energię elektryczną wytwarza się za pomocą magnesu. Magnes i energia elektryczna powodują ruch, a więc i czas. Jeżeli przyciąganie np. ziemskie jest skutkiem, a może istotą idei umownie zwanej wielkim wybuchem, to energia elektryczna jest drugim obrazem magnetyzmu, ale tożsacym z nim, czyli przyciągania, czyli grawitacji, czyli motorem zjawisk wszechświata kojarzonym z wielkim wybuchem, czyli istotą czasu. Bo ruch to Od – Do, czyli czas, ale jednocześnie i przestrzeń. Bo już ustaliliśmy, że materia jest uwikłaniem energii, a życie jest szczególnym uwikłaniem tej samej energii.

Pojęcie Wielkiego Wybuchu musiało powstać, bo był potrzebny kompromis ze Stworzeniem, czyli zaistnieniem czasu. Można jednak rozważać, że czas, tym samym ruch, tym samym przestrzeń, jest tylko wewnętrzną sprawą tego, co się przejawia w energii, magnetyzmie, grawitacji, w sumie w TYM CZYMŚ W OGÓLE – uniwersalnym, obejmującym i zawierającym bezwzględnie wszystko.

2014-12-18

Na kanale „Da Vinci Learning” obejrzałem program pod tytułem „Szok i trwoga: Historia elektryczności – Odcinek 2 Epoka Wynalazków”. Oto fragmenty z tego programu:

Opowiada profesor Jim Al.-Khali:

W 1820 roku duński badacz Hans Kristian Ersted powiązał elektryczność i magnetyzm – elektromagnetyzm. Faraday stwierdził, że między przewodem elektrycznym a igłą kompasu musi działać stała siła (w doświadczeniu Ersteda). Faraday skonstruował obwód złożony z baterii, przewodów i naczynia z rtęcią, obwód biegnie przez miedziany stojak, a przewód jest zanurzony w rtęci, ponieważ metal ten jest świetnym przewodnikiem zamyka obwód. Kiedy prąd przepływa przez obwód, wokół przewodu powstaje pole magnetyczne, wchodzi ono w interakcję z polem magnesu stałego umieszczonego przez Faradaya pośrodku rtęci, razem generują siłę, która porusza przewodem. Faraday udowodnił, że owa niewidzialna siła istnieje, a skutkiem jej działania jest wirowanie przewodu. Urządzenie to jako pierwsze zamieniało prąd elektryczny na ruch. Był to zatem najstarszy silnik elektryczny. Faraday postanowił kontynuować eksperyment.

Profesor Frank James – Royal Institution of Great Britain:

Dzięki odkryciu przez Faradaya w 1821 roku zjawiska rotacji elektromagnetycznej, zauważono związek między elektrycznością, magnetyzmem a ruchem.



Silnik Faradaya z 1821 roku.

Profesor Jim Al.-Khali:

Faraday chciał dokładnie zbadać te relacje. Wyzaczył sobie jeszcze trudniejsze zadanie, pragnął z wykorzystaniem magnetyzmu i ruchu wytworzyć elektryczność. W końcu jego obsesyjna determinacja połączona z ciężką pracą przyniosła efekty. Przełom nastąpił 17 października 1831 roku, kiedy Faraday wsuwał magnes w zwinięty spiralnie przewód i wysuwał go z niego, wykrył w cewce niewielki prąd elektryczny zmieniający swój kierunek. Wiedział już, że dokonał odkrycia. Kilka dni później przeprowadził podobny eksperyment, nie przesuwając jednak magnesu wewnątrz przewodu, tylko zaczął obracać miedzianą płytkę w polu magnetycznym. Nie wiedział, że kiedy wirujący krążek przechodził przez pole magnetyczne, miliardy elektronów, miast krążyć po okręgach, zbliżały się do brzegów. Na skraju krążka gromadził się ładunek negatywny, a w jego środku ładunek dodatni. Kiedy krążek podłączono do przewodu, elektrony przepływały ciągłym strumieniem. Faraday wygenerował prąd elektryczny. Inaczej jednak niż w baterii, płynął on tak długo, jak krążek był w ruchu. Energia elektryczna powstawała wprost z energii mechanicznej.

Profesor Frank James:

Odkrycie indukcji elektrycznej było samo w sobie niezwykle ważne i miało wpływ na rozwój nauki techniki do końca XIX wieku. Dla samego Faraday'a było z kolei początkiem dekady dalszych badań. Wyzaczyło ich kierunek.

Profesor Jim Al.-Khali:

Kiedy Faraday dalej zgłębiał naturę elektryczności, wynalazcy z całej Europy myśleli już o tym, jak zarobić na nowym fenomenie.

Dr Iwan Rhys Morus –Aberystwyth University:

Bardzo charakterystyczne, zwłaszcza z dzisiejszego punktu widzenia, był fakt, że mało kogo interesowało, czym tak na prawdę jest elektryczność. Zamiast prowadzić teoretyczne debaty, czy to jakaś siła, fluid, substancja, energia, zastanawiano się, do czego może posłużyć.

Profesor Jim Al.-Khali:

W czasach kiedy królowała energia parowa, Faraday wyjaśniał światu nauki naturę elektryczności. Wtedy też doszło do przełomu w kwestii jej wykorzystania.

Pojawiło się pierwsze urządzenie elektryczne, które z laboratoriów trafiło w ręce zwykłych ludzi. Telegraf. Żeby zrozumieć jego działanie przyjrzyjmy się najpierw elektromagnesom, czyli magnesom działającym dzięki prądowi elektrycznemu. Pierwsze elektromagnesy wynaleźli równocześnie William Sturgeon (czyt. Sterdżen) w Wielkiej Brytanii i Jozeph Henry w Ameryce.

[Opuszczam duży fragment o telegrafii, żarówkach i prądzie zmiennym].

Nikoła Tesla był serbskim wynalazcą urodzonym w Chorwacji.

Profesor Frank James:

Istniejące wówczas silniki działały tylko na prąd stały. Nikt nie wierzył, że uda się skonstruować inny. Nikt oprócz Tesli. Tesla był wynalazcą. Powtarzał zawsze, że zanim się coś zbuduje, trzeba to sobie wyobrazić, przemyśleć, zaplanować. Był obdarzony pamięcią eidetyczną (fotograficzną), jak nazywają to dziś psycholodzy. Zapamiętywał wszystko, co zobaczył. I potrafił to sobie zwizualizować w trzech wymiarach. Ten obraz pojawiał się dosłownie przed jego oczami. Wiele wskazuje na to, że Tesla miał taką zdolność.

Profesor Jim Al.-Khali:

To jajko Tesli. Replika urządzenia, dzięki któremu zademonstrował swoje największe osiągnięcie. I jeden z największych wynalazków w historii. Pokazywało ono, jak prąd zmienny może zostać przetworzony na ruch obrotowy. Co ważne, ten prąd generowany jest tysiące kilometrów dalej. Nikt wcześniej tego nie dokonał. ...

Rozwiązanie Tesli było przełomowe. Podłączył do silnika kilka źródeł prądu i zsynchronizował ich działanie tak, żeby pracowały na zmianę. Pierwsze źródło prądu zmiennego zasilalo cewkę wewnątrz silnika, która wytwarzała pole elektromagnetyczne. Pole przyciągało wewnętrzną część silnika, aż w końcu słabło. Wtedy uruchamiało się drugie źródło prądu zasilające drugą cewkę, a po nim odpowiednio trzecie i czwarte. W ten sposób powstawało wirowe pole

magnetyczne, dość silne, by wprawić w ruch obrotowy silnik, czyli w tym wypadku jajo. Tesla zaprojektował cały układ elektryczny nazywany transmisją wielofalową. ...



Wirujące jajo Tesli z 1893 roku, replika.

Patrzyłem na to wirujące jajo w białej misie i zobaczyłem w nim Ziemię. Tak. Ona też jest takim silnikiem elektrycznym. Dlaczego nikt tego nie skojarzył? Przecież ruch obrotowy, na przykład Ziemi, musi być tak samo generowany. Jajo Tesli ma ruch obrotowy i postępowy tak jak Ziemia i inne planety układu słonecznego. Mechanika Świata – Wszechświata jest tworem elektryczności. No tak. Ale trzeba było najpierw dopuścić rewizję pojęcia grawitacji jako istotę czegoś umownie zwaną Wielkim Wybuchem.

O obrotach ciał niebieskich – De revolutionibus orbium coelestium!

Szereg razy kontakt z myślą innych generował i generuje olśnienie – indukcję elektryczną moich śmiałych skojarzeń i przemyśleń.



Spis treści

Rozdział 1	6
Rozdział 2	12
Rozdział 3	24
Rozdział 4	30
Rozdział 5	42
Rozdział 6	45
Rozdział 7	51
Rozdział 8	56
Rozdział 9	59
Rozdział 10	65
Rozdział 11	70
Rozdział 12	73
Rozdział 13	77
Rozdział 14	85
Rozdział 15	92
Rozdział 16	95
Rozdział 17	100
Rozdział 18	101
Rozdział 19	109
Rozdział 20	118
Rozdział 21	124
Rozdział 22	138
Rozdział 23	143
Rozdział 24	153
Rozdział 25	164
Rozdział 26	167
Rozdział 27	168
Rozdział 28	172
Rozdział 29	175
Rozdział 30	177
Rozdział 31	179
Rozdział 32	182
Rozdział 33	183
Rozdział 34	184
Rozdział 35	186
Rozdział 36	188
Rozdział 37	191
Dopisywane przez dziesięciolecia	192
Spis treści	215
O moich książkach	



Przeczytane 2024-06-17